

**KLASYKA  
KRYMINAŁU  
Z JOHNEM  
REBUSEM**

# IAN RANKIN

**ŻYCIE INSPEKTORA REBUSA ZACZYNA  
PRZYPOMINAĆ CZARNĄ KOMEDIĘ,  
A JEGO PRACA ZAMIENIA SIĘ W HORROR.**

## CZARNA KSIĘGA

ALBATROS

**IAN  
RANKIN**

**CZARNA  
KSIĘGA**

**Z ANGIELSKIEGO PRZEŁOŻYŁ  
BOGUSŁAW STAWSKI**



**ALBATROS**

Wydanie elektroniczne



# Spis treści

Strona tytułowa

Autor

Karta redakcyjna

Cytaty

Prolog

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Podziękowania

NIEROZWIĄZANE ŚLEDZTWO SPRZED LAT, DO KTÓREGO NIKT  
W EDYNBURGU NIE MA ODWAGI WRÓCIĆ.

POZA REBUSEM.

TAJEMNICZY POŻAR W HOTELU, NIEZIDENTYFIKOWANA  
ZASTRZELONA OFIARA I PRZERAŻAJĄCA NOC, O KTÓREJ WSZYSCY  
USIŁUJĄ ZAPOMNIEĆ.

Rebus nie po raz pierwszy zaczyna tracić kontrolę nad swoim życiem. I jak zawsze, kiedy problemy prywatne się nawarstwiają, rzuca się w wir pracy. A tym razem zdecydowanie nie może się uskarżać na jej brak.

Po tym, jak zaatakowano detektywa Briana Holmesa i ten leży w śpiączce, w ręce Rebusa wpada notatnik młodszego kolegi.

Podejrzewając, że zapiski dotyczące prowadzonych przez niego śledztw mogły być motywem napaści, inspektor uważnie im się przygląda. I trafia na notatki o nierozwiązanej sprawie sprzed pięciu lat, kiedy w zgłiszczach podpalonego hotelu znaleziono szczątki niezidentyfikowanej ofiary, która zanim spłonęła, została zastrzelona.

Być może zapiski Holmesa pomogą zakończyć stare śledztwo. Tylko czy wszyscy będą z tego zadowoleni? A przede czy wyjdzie to na dobre Rebusowi?

## IAN RANKIN

(ur. 1960) – szkocki pisarz, absolwent uniwersytetu w Edynburgu. Zanim odniósł sukces wydawniczy, pracował przy zbiorach winogron, był poborcą podatkowym, świniopasem, dziennikarzem i muzykiem punkowym. Wydana w 1987 roku pierwsza powieść kryminalna z inspektorem Rebusem – **Supelki i krzyżyki** – przyniosła mu niesłabnącą do dziś sławę. Kolejne książki – m.in. **Mętna woda**, **Miecz i tarcza**, **Święci Biblii Cienia**, **Sprawy wewnętrzne** i **Nawet zdziczałe psy** – trafiły na najwyższe pozycje list bestsellerów w Wielkiej Brytanii i zostały przetłumaczone na kilkanaście języków.

Od wielu lat Ian Rankin znajduje się w ścisłej czołówce najpopularniejszych brytyjskich pisarzy. Jest dwukrotnym zdobywcą prestiżowej nagrody Dagger, a także laureatem Edgar Allan Poe Award i kilkunastu innych nagród. Rankin od wielu lat jest stałym gościem (bądź gospodarzem) licznych programów telewizyjnych o tematyce kryminalnej.

**[ianrankin.net](http://ianrankin.net)**

*Tego autora*

OTWARTE DRZWI  
SPRAWY WEWNĘTRZNE  
NA KRAWĘDZI CIEMNOŚCI

**John Rebus**

SUPEŁKI I KRZYŻYKI  
MĘTNA WODA  
KIEŁ I PAZUR  
CZARNA KSIĘGA  
MIECZ I TARCZA  
PRÓBA KRWI  
ZAŁĘK SZKIELETÓW  
MEMENTO MORI  
POŻEGNALNY BLUES  
STOJĄC W CUDZYM GROBIE  
ŚWIĘCI BIBLIJ CIEŃ  
NAWET ZDZICZAŁE PSY  
WSZYSCY DIABLI



Tytuł oryginału:  
THE BLACK BOOK

Copyright © John Rebus Limited 1993  
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2022

Polish translation copyright © Bogusław Stawski 2009

Redakcja: Józef Wieczffński

Projekt graficzny okładki i serii: Agnieszka Drabek

Zdjęcie na okładce: © Tom Robinson/Arcangel (*postać*); Renaissance Art/Shutterstock  
(*woda*); Vita Leonis/Unsplash (*niebo*)

ISBN 978-83-6751-257-2

*Wydawca*

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.  
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa

[wydawnictwoalbatros.com](http://wydawnictwoalbatros.com)

[Facebook.com/WydawnictwoAlbatros](https://Facebook.com/WydawnictwoAlbatros)|[Instagram.com/wydawnictwoalbatros](https://Instagram.com/wydawnictwoalbatros)



Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Konwersja do formatu EPUB oraz MOBI

Karol Ossowski

**woblink**

[woblink.com](http://woblink.com)

Spis treści

Okladka

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Prolog

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Podziękowania

## DETEKTYW EDYNBURSKIEJ POLICJI

### **John Rebus**

Szkocki twardziel, który podczas konfliktu irlandzkiego służył w brytyjskiej armii i przeszedł szkolenie w elitarnej jednostce SAS.

Słucha muzyki klasycznej, jazzu, ale też rocka: Rolling Stonesów, The Who czy Jethro Tull. Ma imponującą kolekcję płyt – winylowy gość w zdigitalizowanym świecie.

Jeździ kultowym Saabem 900.

Powiedzieć, że nie stroni od alkoholu, to niedomówienie: pije piwo (głównie IPA) i whisky (jego ulubiona to Bell's), najchętniej w edynburskim Oxford Bar. I pali, o wiele za dużo.

Ma córkę i jest rozwiedziony. Jeśli chodzi o kobiety, raczej brakuje mu szczęścia.

Nieufny wobec autorytetów, postrzega świat w czarno-białych kolorach, a ludzi dzieli na dobrych i złych.

Szlachetny samotnik, trochę nieokrzesany, który dobre serce maskuje szorstkim usposobieniem i złośliwym poczuciem humoru.

I za to go kochamy!

*Dla złych wszystko jest złem;  
dla sprawiedliwych wszystko jest prawem i dobrocią.*

James Hogg, *The Private Memoirs  
and Confessions of a Justified Sinner*  
(Intymne wspomnienia i wyznania  
usprawiedliwionego grzesznika)

# Prolog

JECHALI WE DWÓCH FURGONETKĄ już od wczesnego ranka. Reflektory z trudem przebijały się przez mglistą bryzę wiejącą od Morza Północnego. Mgła była gęsta i biała jak dym. Kierowca prowadził samochód ostrożnie, zgodnie z otrzymanymi instrukcjami.

– Dlaczego wypadło właśnie na nas? – zapytał, tłumiąc ziewnięcie. – Nie mogli pojechać tamci dwaj?

Pasażer był solidniej zbudowany od swojego kompana. Mimo przekroczonej czterdziestki nosił długie włosy, przycięte na kształt niemieckiego hełmu z czasów wojny. Przeczesał palcami lewą stronę głowy, starając się je wyprostować. Przez moment jednak trzymał się boków siedzenia. Nie podobało mu się, gdy kierowca przymykał oczy podczas zbyt częstego ziewania. Pasażer nie lubił gadulstwa, ale pomyślał, że może rozmowa nieco orzeźwi jego towarzysza.

– To tylko tymczasowe zajęcie – odpowiedział. – Poza tym przecież nie robimy tego każdego dnia.

– I dzięki Bogu. – Kierowca znowu mocno zmrużył oczy przy kolejnym ziewnięciu i furgonetka zaczęła zjeżdżać na trawiaste pobocze.

– Może ja poprowadzę? – zaproponował pasażer i uśmiechnął się. – Możesz zdrzemnąć się z tyłu.

– Bardzo śmieszne. No i jeszcze jedna rzecz mnie wkurza, Jimmy. Ten smród!

– Mięcho zawsze zaczyna śmierdzieć po pewnym czasie.

– Ty to masz odpowiedź na wszystko, co?

– Tak.

– Już dojeżdżamy?

– Myślałem, że znasz drogę.

– Na drogach głównych daję sobie radę, ale w tej mgle...

– Jeśli trzymamy się wybrzeża, to znaczy, że nie jest już daleko. – Jimmy kontynuował w myślach swój wywód: jeśli trzymamy się wybrzeża, to wystarczą dwa koła poza krawędź drogi i spadniemy z klifu. Nie tylko to było powodem jego zdenerwowania. Nigdy wcześniej nie korzystali ze wschodniego wybrzeża, ale zachodnie zaczęło przyciągać zbyt dużo uwagi. A to był ich dziewiczy wypad i dlatego tak się niepokoił. – O, drogowskaz.

Zatrzymali samochód, by przez gęstą mgłę odczytać kierunek jazdy.

– Następna w prawo – oznajmił kierowca i ruszył. Po chwili wrzucił kierunkowskaz i przejechał przez niską, w połowie uchyloną żelazną bramę. – A co zrobimy, jak będzie zamknięta na kłódkę?

– W bagażniku są cęgi.

– Cholera, naprawdę masz odpowiedź na wszystko.

Wjechali na mały szutrowy parking. Przez mgłę nie widzieli porozstawianych wokół drewnianych stołów i ławek, gdzie zwykle rodziny organizowały sobie niedzielne pikniki i walczyły z komarami. To miejsce było popularne ze względu na ciekawy widok – niekończące się morze i niebo, łączące się na horyzoncie. Gdy otworzyli drzwi, poczuli i usłyszeli morze. Nad głowami darły się mewy.

– Musi być później, niż myśleliśmy, skoro ptaki już latają.

Podeszli do tylnych drzwi furgonetki i jeden z nich szarpnął za klamkę. Smród coraz mocniej dawał się we znaki. Nawet pełen stoickiego spokoju Jimmy starał się zacisnąć nos, by powstrzymać oddychanie.

– Im szybciej, tym lepiej – wyrzucił z siebie pospiesznie.

Ciało było zapakowane w dwa plastikowe worki po nawozie sztucznym, jeden naciągnięto od strony stóp, a drugi od głowy tak, by nakładały się na siebie pośrodku. Worki sklejonno taśmą i związane dodatkowo sznurem. W środku były już betonowe bloczki, obciążające pakunek. Nieśli tę groteskową paczkę nisko nad ziemią, ocierając ją czasem o mokrą trawę. Gdy wreszcie dotarli do tablicy ostrzegającej przed uskokiem klifu, w butach zaczęła im chlupotać woda. Pokonanie ogrodzenia wykonanego z chwiejnej siatki okazało się jeszcze trudniejsze.

- Taka siatka nie zatrzyma przecież żadnego cholernego bachora - skomentował jej jakoś kierowca. Przełykał w ustach gęstą jak klej ślinę.

- Mam to gdzieś - odpowiedział Jimmy. Podnosili pakunek z mozołem po kilkanaście centymetrów, aż do momentu, gdy mogli go wreszcie przerzucić nad ogrodzeniem. Za siatką nie było gruntu, tylko opadające wprost do wzburzonego morza urwisko. - No to już. - Bez zbędnych ceremonii wyrzucili ciało w pustą przestrzeń, ciesząc się, że mają kłopot z głowy. - Jedźmy stąd.

- Chłopie, ależ to powietrze pięknie pachnie. - Kierowca sięgnął do kieszeni po ćwiartkę whisky. Zbliżali się już do parkingu, gdy usłyszeli jakiś samochód od strony drogi i po chwili chrzęst jego kół na szutrze.

- Do jasnej cholery!

Światła samochodu omiotły ich, gdy docierali już do furgonetki.

- Pierdolona policja - jęknął kierowca.

- Stul pysk. - Jimmy powiedział to cichym głosem, ale jego oczy zdradzały zaniepokojenie. Usłyszeli zaciąganie hamulca ręcznego. Uchyliły się drzwi radiowozu i wyszedł z niego mundurowy. W ręce trzymał latarkę. Zostawił włączone światła i silnik. W środku nie było drugiego policjanta.

Jimmy uznał, że to nie jest zasadzka. Przypuszczalnie gliniarz był przed końcem nocnej zmiany, a w radiowozie miał termos lub koc. Przyjechał napić się kawy albo zdrzemnąć przed końcem pracy.

- Dzień dobry - powiedział mundurowy. Nie był już młody i raczej nie przywykł do poważnych kłopotów. Pewnie najwyżej do mordobicia w barze albo waśni sąsiedzkich między farmerami. Była to dla niego kolejna nudna zmiana, kolejna noc przybliżająca go do emerytury.

- Dzień dobry - odparł Jimmy. Wiedział, że poradzi sobie bez awantury, jeśli tylko jego towarzysz zachowa spokój. Pomyślał jednak, że wygląd kierowcy jest podejrzany.

- Chyba mleko się wylało na drogę, co? - zagaił policjant.

Jimmy skinął głową.



- Właśnie dlatego się zatrzymaliśmy - wyjaśnił kierowca. - Pomyśleliśmy, że przeczekamy, aż się trochę rozjaśni.

- Bardzo rozsądnie.

Kierowca patrzył, jak Jimmy odwraca się w stronę furgonetki i sprawdza lewą tylną oponę. Przeszedł na drugą stronę i zrobił to samo. Potem przyklęknął i oglądał podwozie. Policjant przyglądał się im.

- Macie jakieś problemy z autem?

- Nie, absolutnie - odpowiedział kierowca nerwowym tonem. - Ale zawsze lepiej wszystko sprawdzić.

- Widzę, że przejechaliście kawał drogi.

Kierowca skinął głową.

- Jedziemy do Dundee.

Zdziwiony policjant uniósł brwi.

- Z Edynburga? Dlaczego nie jechaliście autostradą albo drogą A dziewięćset czternaście?

Kierowca szybko starał się coś wymyślić.

- Musieliśmy najpierw coś dostarczyć do Tayport.

- No tak, ale...

W tym momencie Jimmy wstał z klęczek i stanął za policjantem. W ręce trzymał kamień. Kierowca skupił wzrok na pechowym funkcjonariuszu, gdy ręka z kamieniem uniosła się i gwałtownie opadła. Monolog policjanta urwał się w pół zdania i ciało osunęło się na trawę.

- No to pięknie.

- A co innego mogłem zrobić? - Jimmy skierował się do drzwi pasażera. - No dalej, spadamy stąd!

- No tak... Jeszcze chwila, a zauważyłby twój... eee...

Jimmy spojrzał spode łba na swojego towarzysza.

- Chcesz powiedzieć, że jeszcze chwila, a wyczułby gorzałą w twoim oddechu. - Nie przestawał spoglądać na niego wilczym wzrokiem, dopóki kierowca nie wzruszył ramionami na znak, że przyznaje mu rację.

Zawrócili furgonetkę i wyjechali z parkingu. Mewy nadal głośno skrzeczały w oddali. Silnik radiowozu wciąż mruczał, a lampy oświetlały

nieprzytomnego policjanta. Obok niego na ziemi leżała pęknięta latarka.

# Rozdział 1

**TO WSZYSTKO WYDARZYŁO SIĘ** tylko dlatego, że John Rebus siedział w ulubionym salonie masażu i czytał Biblię.

To wszystko wydarzyło się tylko dlatego, że jakiś mężczyzna wszedł do salonu masażu, niesłusznie sądząc, że skoro lokal jest usytuowany tak blisko browaru i kilku pubów, to musi obsługiwać przypadkowych ochlapusów i nocnych włóczęgów przepijających piątkową wypłatę.

Tymczasem Organ Grinder, bogobojny najemca tej nieruchomości, prowadził uczciwy zakład, w którym masowano i uklepywano zmęczone mięśnie. Rebus czuł się zmęczony. Zmęczony kłótniami z Patience Aitken, zmęczony tym, że jego brat musiał zamieszkać jako sublokator w mieszkaniu wypełnionym po sufit studentami. A przede wszystkim czuł się zmęczony pracą.

To był wyczerpujący tydzień.

W poniedziałek wieczorem odebrał telefon ze swojego mieszkania przy Arden Street. Studenci, którym wynajął lokum, znali numer telefonu Patience i wiedzieli, że mogą go tam złapać, ale do tej pory nie mieli powodu, by się z nim kontaktować. Do chwili, gdy tym powodem stał się Michael Rebus.

– Cześć, John.

Rebus momentalnie rozpoznał ten głos.

– Mickey?

– Jak się masz, John?

– Jezu, Mickey. Skąd dzwonicz? A nie... chwila. Przecież wiem, gdzie jesteś. Chciałem... – Gdy Michael zaśmiał się miękko, dodał: – Słyszałem, że miałeś wybrać się gdzieś na południe.

– Nie dało rady... – Michael zawiesił głos. – Chodzi o to, John, że... możemy chwilę pogadać? Bałem się do ciebie dzwonić, ale naprawdę

muszę z tobą porozmawiać.

– W porządku.

– Mogę wpaść do twojego mieszkania?

Rebus zaczął szybko myśleć. Patience miała odebrać dwie siostrzenice z Waverley Station, no ale...

– Nie, zostań na miejscu. Ja wpadnę do ciebie. Studenci nie są tacy źli. Może zrobią ci filiżankę herbaty albo skręcą jointa, gdy będziesz na mnie czekał.

Po drugiej stronie linii zaległa cisza, dopiero po chwili Rebus usłyszał głos brata:

– Mogłeś to sobie darować.

Michael odsiedział trzy lata z pięcioletniego wyroku za handel narkotykami. Podczas odbywania kary John Rebus odwiedził go zaledwie kilka razy. Odetchnął z ulgą, gdy brat został zwolniony i wszedł w autobus do Londynu. To było dwa lata temu i od tej pory nie zamienili ze sobą ani słowa. Teraz Michael nagle się pojawił, przywołując złe wspomnienia z okresu, o którym John Rebus wolałby zapomnieć.

Mieszkanie przy Arden Street zostało podejrzenie wysprzątane. Było w nim tylko dwoje studentów, para, która zajmowała dawną sypialnię Rebusa. Porozmawiał z nimi chwilę w korytarzu. Właśnie wychodzili do pubu i przy okazji oddali mu kolejny list na jego nazwisko z urzędu skarbowego. Szkoda, że sobie idą, pomyślał Rebus. Gdy wyszli, w mieszkaniu zapadła cisza. Domyślał się, że brat siedzi w salonie, i tak właśnie było. Klęczał przed sprzętem stereo i przeglądał płyty.

– Zobacz, co tu mają – odezwał się Michael, odwrócony plecami. – Beatlesi i Stonesi, ta sama muza, której kiedyś słuchałeś. Pamiętasz, jak doprowadzałeś tym tatę do szaleństwa? Jak się nazywał nasz stary gramofon?

– Dansette.

– No właśnie. Tata dostał go za kupony z pudełek papierosów. – Michael wstał i odwrócił się do brata. – Cześć, John.

– Cześć, Michael.

Nie objęli się ani nie uściśli sobie dłoni. Po prostu usiedli. Rebus w fotelu, jego brat na kanapie.

– To miejsce się zmieniło – stwierdził Michael.

– Musiałem dokupić trochę mebli, zanim je wynająłem.

Rozglądając się po pokoju, zauważył przypalony papierosami dywan, a także porozwieszane na ścianach plakaty, mimo jego szczegółowych instrukcji, by niczego nie przyklejać do tapet. Otworzył kopertę z listem z urzędu skarbowego.

– Żebyś ich widział, jak się rzucili do sprzątnięcia, kiedy powiedziałem im, że wpadniesz. Odkurzyli podłogę i umyli naczynia. Ktoś mówił, że studenci to leniuchy?

– Są w porządku.

– Od kiedy wynajmujesz to mieszkanie?

– Od kilku miesięcy.

– Powiedzieli mi, że mieszkasz z jakąś lekarką.

– Ma na imię Patience.

Michael skinął głową. Był blady i wyglądał na chorego. Rebus starał się nie zdradzać zainteresowania szczegółami związanymi z bratem, ale tak naprawdę był ciekaw. Jak wyczytał w liście, urząd skarbowy doskonale wiedział, że mieszkanie jest wynajmowane, i wyrażał zainteresowanie, czy właściciel nie zamierza w końcu podzielić się dochodem z państwem.

Rebus zaczął odczuwać mrowienie z tyłu głowy. Przydarzało mu się to, gdy był wkurzony, od czasu, kiedy poparzył się ogniem. Lekarze powiedzieli, że nie ma na to rady. No, chyba że nie będzie się wkurzał.

Schował kopertę z listem do kieszeni.

– Czego chcesz, Michael?

– Najważniejsza rzecz, John. Muszę znaleźć kąć dla siebie. Tak na tydzień albo dwa, dopóki nie stanę na nogi.

Spoglądał kamiennym wzrokiem na plakaty, gdy Michael opowiadał o tym, że chce znaleźć pracę, że ma mało pieniędzy, że w sumie weźmie każdą robotę...

– To wszystko, John. Chcę nowej szansy.

Rebus zastanawiał się nad tym. Patience miała wolny pokój w swoim mieszkaniu. Było w nim dosyć miejsca, nawet jeśli siostrzenice zostaną przez jakiś czas. Ale wcale nie miał zamiaru zabierać brata na Oxford Terrace. Życie nie układało się tak łatwo jak kiedyś. On harował do późna, Patience też. Angażując się maksymalnie w pracę, obydwójce często byli po prostu wyczerpani. Rebus doskonale zdawał sobie sprawę, że obecność Michaela w niczym by nie pomogła. Pomyślał, że przecież nie jest aniołem stróżem brata. Ale w końcu to brat.

– Moglibyśmy cię wcisnąć do pakamery. Musiałbym pogadać ze studentami. – Nie wyobrażał sobie, by mu odmówili, ale zawsze grzecznie zapytać. Jak mieli odmówić? On był właścicielem, a przecież trudno w mieście znaleźć mieszkanie na wynajem. Szczególnie ładne mieszkanie, i to w Marchmont.

– Cudownie! – wykrzyknął z ulgą Michael. Wstał z kanapy i przeszedł przez pokój, by obejrzeć pakamerę. Wyglądała jak wentylowana ogromna szafa przylegająca do salonu. Wystarczająco duża, by wcisnąć tam łóżko i komodę z szufladami, jeśli wyniesie się zalegające pudła i rupiecie.

– Moglibyśmy pewnie upchnąć te kłamoty w piwnicy – powiedział Rebus, stając za plecami brata.

– John – Michael westchnął – w takiej sytuacji, w jakiej jestem teraz, cieszyłbym się, nawet gdybym musiał zamieszkać w piwnicy. – Odwrócił się do brata i w jego oczach pojawiły się łzy.

**W ŚRODĘ REBUS ZACZAŁ** sobie zdawać sprawę z tego, że jego życie to czarna komedia.

Michael wprowadził się do mieszkania przy Arden Street bez żadnych trudności. Rebus opowiedział Patience o przyjeździe brata, ale pominął pozostałe szczegóły. I tak poświęcała dużo czasu córeczkom siostry. Wzięła kilka dni wolnego, by pokazać im Edynburg. Ta wizyta zapowiadała się kłopotliwie, bo piętnastolatka Susan chciała robić wszystko to, czego jej siostra Jenny, ósmiolatka, jeszcze nie mogła robić albo czym zupełnie nie była niezainteresowana. Rebus czuł się niemal całkowicie wyłączony z udziału w tym kobiecym triumwiracie, choć

czasem w nocy wślizgiwał się do pokoju, w którym spała Jenny, by jeszcze raz poczuć magię związaną z widokiem śpiącego dziecka. Starał się tak poruszać po mieszkaniu, by maksymalnie unikać Susan, która stała się już aż nazbyt świadoma różnic między kobietami a mężczyznami.

Był tak zajęty pracą, że nawet nie myślał o Michaelu, w każdym razie nie częściej niż kilkadziesiąt razy dziennie. A praca... szkoda gadać. Po spaleniu się komendy przy Great London Road Rebusa przeniesiono do regionalnej siedziby komendy Dystryktu Centralnego przy St Leonard's.

Wraz z nim przeniesiono detektywa sierżanta Briana Holmesa i ku przerażeniu wszystkich, także komendanta Watsona, zwanego Farmerem, i szefa dochodzeniówki, Lauderdale'a, zwanego Pierdzielem. Oczywiście dostali coś za coś – nowsze biura i meble, czystsze łazienki i lepszy sprzęt biurowy, ale i tak im było mało. Rebus nadal próbował się zorganizować w nowym miejscu. Wszystko tu było tak czyściutkie i poukładane, że nigdy niczego nie mógł znaleźć, dlatego chętnie opuszczał komendę i wychodził na miasto.

Właśnie z tego powodu znalazł się teraz u rzeźnika przy South Clerk Street i spoglądał na ugodzonego nożem faceta.

Miejscowy lekarz, który stał w kolejce po świeży schab i szynkę na pieczeń, udzielił mu już pomocy medycznej, po tym jak ranny mężczyzna wtoczył się do sklepu. Rana została wstępnie opatrzona czystym fartuchem rzeźnickim, a teraz wszyscy czekali, aż z karetki pogotowia, stojącej już na zewnątrz, przyniosą nosze.

Posterunkowy zdawał raport Rebusowi.

– Byłem niedaleko stąd, gdy ktoś powiedział mi, co się stało, i od razu przyszedłem, więc nie był tu dłużej niż jakieś pięć minut. Zgłosiłem to do centrali przez radio.

Rebus odebrał raport posterunkowego przez radio w swoim samochodzie i postanowił się zatrzymać. W sumie trochę żałował. Na podłodze była rozmazana krew, która zabarwiła na czerwono rozsypane trociny. Nie wiedział, dlaczego niektórzy rzeźnicy nadal rozsypują trociny na podłodze. Na ścianie pokrytej białymi kafelkami dostrzegł ślad krwi wielkości odcisku palca i mniej charakterystyczny rozbryzg poniżej.

Ranny mężczyzna pozostawił też krwawe ślady wzdłuż drogi, którą przeszedł od połowy Lutton Place, wręcz nieprzyzwoicie blisko St Leonard's. Ślady kończyły się przy krawężniku.

Mężczyznę, Rory'ego Kintoula, ugodzono w brzuch. Tyle tylko było wiadomo. Nie chciał powiedzieć nic więcej o tym przykrym wydarzeniu. Zupełnie inne podejście do sprawy mieli ludzie, którzy w tym czasie byli w sklepie. Wszyscy wyszli już na zewnątrz i przekazywali swoje wersje wydarzeń tłumkowi, który zebrał się pod sklepem i z zaciekawieniem zaglądał przez okna do środka. Przypominało to Rebusowi scenki z sobotnich popołudni na St James Centre, gdzie grupki facetów zbierały się przed wypożyczalniami telewizorów w nadziei na poznanie wyników meczów ligowych.

Rebus przykucnął koło leżącego mężczyzny, jakby chciał go przestraszyć.

– To gdzie pan mieszka, panie Kintoul?

Ranny nie miał jednak zamiaru udzielić odpowiedzi na to pytanie.

Do Rebusa dotarł głos z drugiej strony szklanej ludy chłodniczej.

– Duncton Terrace. – Mężczyzna, który to powiedział, miał na sobie pobrudzony krwią fartuch rzeźnicki i właśnie wycierał okrwawiony ciężki nóż w ścierkę. – To w Dalkeith.

Rebus spojrzał na rzeźnika.

– A pan jak się nazywa?

– Jim Bone. Jestem właścicielem sklepu.

– I zna pan tego człowieka?

Kintoul próbował obrócić głowę, by zobaczyć twarz rzeźnika, jakby chciał wzrokiem wpłynąć na jego odpowiedź. Ale siedząc na podłodze, oparty o ladę, musiałby mieć szatańską umiejętność okręcenia głowy o sto osiemdziesiąt stopni, by tego dokonać.

– Chyba powinienem, nie? – odparł rzeźnik. – To w końcu mój kuzyn.

Rebus już miał coś odpowiedzieć, ale w tej chwili pojawili się sanitariusze z noszami na wózk; jeden z nich omal się nie wywalił na śliskiej podłodze. Dopiero kiedy postawili nosze przed Kintoulem, Rebus



zobaczył coś, co na długo zapamiętał. Wewnątrz szklanej ludy chłodniczej znajdowały się dwie tabliczki z napisami. Jedna była wbita w kawałek wędzonej peklowanej wołowiny, a druga w płat surowej polędwicy wołowej. Jeden napis głosił: *Mięso na zimno*, a drugi po prostu: *Rozbiór*. *Rozbiór mięsa na zimno*. Rebus aż się wzdrygnął i ruszył w stronę drzwi.

**W PIĄTEK PO PRACY** Rebus zdecydował się na masaż. Była dopiero szósta, a obiecał Patience, że wróci do domu na ósmą. Poza tym uważał, że brutalne okładanie pięściami zrelaksuje go przed weekendem.

Najpierw udał się jednak do pubu Broadsword na duży kufel lokalnego piwa. Gęste, ciemne piwo marki Gibson's Dark nie mogło już być bardziej lokalne, ponieważ pochodziło z Gibson's Brewery, browaru oddalonego o zaledwie sześćset metrów. Browar, pub i salon masażu. Rebus pomyślał, że gdyby dołożyć do tego dobrą hinduską restaurację i sklep spożywczy na rogu, otwarty do północy, mógłby tu mieszkać w całkowitym szczęściu do końca świata i jeszcze dłużej.

Wcale nie dlatego, że nie podobało mu się mieszkanie z Patience w Oxford Terrace. To była jakby druga strona miasta. Oczywiście elegancka dzielnica, w której mieszkała Patience, była odległa o całe światy od tego niemającego zbyt pochlebnej opinii krańca Edynburga. Rebus zastanawiał się, co ciągnie go w takie miejsca.

Powietrze wokół było przesycone jęczmiennym zapachem warzonego piwa, który współzawodniczył z mocniejszymi aromatami ze znacznie większych browarów miejskich. Broadsword był bardzo popularną piwiarnią, jak większość chętnie obleganych pubów w Edynburgu. Mógł się nawet pochwalić mieszaną klientelą. Przychodzili tam zarówno studenci, jak i drobni pijaczkowie, a od czasu do czasu wpadali też biznesmeni. Lokal nie miał zbyt wielkich ambicji. Na jego plus można było zaliczyć jedynie to, że lali tam świetne piwo i mieli niezłą piwniczkę. Weekend już się rozpoczął i Rebus stał ściśnięty przy barze koło faceta, którego wielki owczarek niemiecki spał na podłodze między stołkami barowymi. Zabierał miejsce dla co najmniej dwóch stojących mężczyzn, ale nikt nie ośmielił się poprosić go, by się przesunął. Dalej, przy barze,

ktos pił, jedną ręką trzymając szklanke, a drugą, jak na godnego właściciela przystało, obejmował stojący wieszak na ubrania, który, jak Rebus ocenił, musiał kupić w sklepie z używanymi meblami. Wszyscy w pubie pili to samo ciemne piwo.

Chociaż w najbliższej okolicy było co najmniej sześć pubów, tylko w Broadsword lano gibsona z beczki, bo pozostałe puby były powiązane umowami z dużymi komercyjnymi browarami. Rebus zastanawiał się, jaki wpływ na metabolizm będzie miało piwo wlewające się w jego wnętrzości, gdy Organ Grinder zabierze się do roboty. Zrezygnował z drugiego i poszedł do O-Gee's – jak Organ Grinder nazwał swój salon. Rebusowi podobała się ta nazwa. Brzmiała tak samo jak westchnienie, które wydawali klienci Grindera, gdy ten brał ich w obroty: „Oh, Jeez!”. Byli jednak na tyle ostrożni, by nie wzdychać tak zbyt głośno, bo Organ Grinder nie lubił, gdy używano imienia Bożego nadaremnie. To go złościło, a przecież nikt nie chciał dostać się w łapy rozszoszczonego Organa Grindera.

Siedział teraz w swoim salonie z Biblią na kolanach, czekając na osobę umówioną na szóstą trzydzieści. Biblia była jedyną pozycją do poczytania w jego przybytku. Rebus trzymał już kiedyś Biblię w ręce i nie miał nic przeciwko powtórnemu zajrzeniu na jej strony.

I wtedy ktoś nachalnie wdarł się do salonu.

– Gdzie dziewczynki, co?

Nie dość, że nowy klient był niezbyt dobrze poinformowany, to jeszcze zionął alkoholem. Grinder nie miał zamiaru użerać się z pijakami.

– Źle trafiłeś, koleś.

Rebus już chciał wspomnieć intruzowi o paru pobliskich salonach, gdzie z pewnością zaoferowano by mu saunę w towarzystwie Tajek oraz inne niezwykle usługi, ale facet powstrzymał go, mierząc w niego grubym paluchem.

– John cholerny Rebus, ty sukinkocie!

Rebus zmarszczył czoło, próbując wywołać z pamięci tę twarz. Jego umysł wertował pliki złoczyńców, z którymi miał do czynienia w ciągu

ostatniego dwudziestolecia. Mężczyzna spostrzegł jego zakłopotanie i rozłożył szeroko ramiona.

– Deek Torrance, nie pamiętasz?

Rebus pokręcił głową. Torrance zaczął posuwać się z determinacją do przodu. Rebus zacisnął palce w pięści, gotowy na wszystko.

– Byliśmy razem na szkoleniu spadochronowym – wyjaśnił w końcu Torrance. – Jezu, musisz to przecież pamiętać!

Nagle Rebus wszystko sobie przypomniał – całą czarną komedię ze swojej przeszłości.

**PILI RAZEM W PUBIE** Broadsword, wymieniając się historyjkami z życia. Torrance nie zagościł na długo w kompanii spadochronowej. Już po roku miał dosyć, a wkrótce potem wypisał się z wojska na zawsze.

– Jestem zbyt żywiołowy, John, i to mój problem. A ty? Jaki był twój problem z armią?

Rebus pokręcił głową i wypił kolejny łyk piwa.

– Mój problem, Deek? Nie potrafię go jednoznacznie określić. – Ale po chwili zastanowienia znalazł to słowo. Nagle przecież pojawił się Mickey, a teraz Deek Torrance. To musiały być „duchy”, pomyślał Rebus i zdał sobie sprawę, że wcale nie chciał być ich „panem Scrooge’em”. Postawił jeszcze jedną kolejkę.

– Zawsze powtarzałeś, że chcesz spróbować dostać się do SAS – przypomniał mu Torrance.

– Nie dało rady. – Rebus wzruszył ramionami.

Przy barze ruch był jeszcze większy niż zwykle. W pewnej chwili Torrance został szturchnięty przez jakiegoś młodego faceta, który próbował się przepchać z kontrabasem przez cały tłumek.

– Nie mógłbyś tego zostawić na zewnątrz?

– Nie w tej okolicy.

Torrance zwrócił się do Rebusa:

– Widziałeś to?

Rebus tylko się uśmiechnął. Dobrze się czuł po masażu. Nikt nie wnosi nic małego do baru w tej okolicy, pomyślał i przyglądał się Deekowi Torrance'owi, który chrząkał w sobie właściwy sposób. Tak, teraz dobrze go sobie przypomniał. Tylko że dzisiejszy Torrance przytył, wyłysiał, twarz miał pooraną zmarszczkami i bardziej puciołowatą. Nawet głos miał zmieniony. Ale jedna rzecz pozostała ta sama: to jego charakterystyczne chrząkanie. Deek Torrance nigdy nie był zbyt gadatliwy, a teraz wręcz przeciwnie: miał wiele do powiedzenia.

– Czym się zajmujesz, Deek?

Torrance uśmiechnął się krzywo.

– Jesteś gliną, więc raczej nie powinienem ci mówić. – Rebus był cierpliwy, a Torrance tak pijany, że jeszcze chwila, a ulegnie. Musi się w końcu wygadać. – Kupuję i sprzedaję, głównie sprzedaję.

– A co sprzedajesz?

Dawny kolega przysunął się do niego.

– Czy rozmawiam z policjantem, czy ze starym kumplem?

– Z kumplem – odparł Rebus. – Po służbie. Więc co sprzedajesz?

Torrance chrząknął.

– Wszystko, co tylko chcesz, John. Jestem jak sklep wielobranżowy... tyle że ja oferuję rzeczy, których oni nie mają na składzie.

– A co na przykład? – Rebus spojrzał na zegar nad barem. Knajpiane zegary zawsze spieszą się dziesięć minut, ale przecież nie mogło być już tak późno.

– Wszystko, co chcesz – odpowiedział Torrance. – Od dywanu po klamkę. Co chcesz.

– A zegarek? – Rebus zaczął nakręcać swój. – Muszę go nakręcać co parę godzin.

Torrance rzucił na niego okiem.

– Longines – powiedział, dokładnie artykułując słowo. – Nie wyrzucaj go. Daj do przeczyszczenia i będzie w porządku. No wiesz, mógłbym ewentualnie zamienić się na rolexa.

– Więc sprzedajesz lewe zegarki?

- Czy ja to powiedziałem? Nie przypominam sobie. Sprzedam wszystko, John. Cokolwiek tylko klient sobie wymarzy. Po prostu mu to dostarczę. - Torrance mrugnął okiem.

- Słuchaj, o której stąd spadasz?

Torrance wzruszył ramionami i podciągnął rękaw marynarki. Nie miał zegarka. Rebus zaczął rozmyślać. Dotrzymał terminu wizyty u Grindera. Dawny kolega czekał na niego w poczekalni. Potem mieli dość czasu na piwo czy dwa, zanim powinien zbierać się do domu. Wypili po dwa... nie, po trzy. Możliwe, że zrobiło się trochę późno. Zwrócił na siebie uwagę barmana i puknął palcami w nadgarstek.

- Dwadzieścia po ósmej! - zawołał barman.

- Lepiej zadzwonię do Patience - zdecydował Rebus.

Ktoś jednak korzystał z aparatu telefonicznego i najwyraźniej chciał poromansować, bo zabrał słuchawkę aż za drzwi damskiej toalety, by nie przeszkadzał mu barowy hałas. Rozciągnął przewód tak, że można było stracić głowę, próbując dostać się do kibla. Rebus odczekał chwilę i zaczął się przyglądać widelkom słuchawki. A co mi tam, pomyślał. Nacisnął je i powrócił do pijących przy barze. Z damskiej toalety wyszedł młody facet i walnął wściekle słuchawką o widelki. Pogrzebał w kieszeniach, szukając drobnych, ale nic nie znalazł i ruszył w stronę baru.

Rebus dopadł telefonu i podniósł słuchawkę, lecz nie usłyszał sygnału. Spróbował jeszcze raz, nerwowo wykręcając numer. Na próżno. Coś pewnie się ułamało w słuchawce, gdy facet walnął nią o widelki. Dupa. Było już prawie wpół do dziewiątej. Do Oxford Terrace miał piętnaście minut jazdy. Sporo zapłaci za to spóźnienie.

- Wyglądasz, jakbyś potrzebował drinka - zauważył Deek Torrance, gdy Rebus dobił do niego przy barze.

- Wiesz co, Deek? - zaczął Rebus. - Moje życie to czarna komedia.

- He, he. Lepsze to niż tragedia, co?

Rebus zaczął się zastanawiać nad różnicą między tymi dwoma gatunkami.

Do domu wrócił dwadzieścia po dziewiątej. Prawdopodobnie Patience przygotowała kolację dla całej czwórki. Możliwe, że czekała na niego kwadrans, podgrzewając jego porcję, a potem wywaliła ją do kosza. Jeśli to była ryba, to chociaż kot się naje. W innym przypadku posiłek Rebusa trafi na kompost w rogu ogródka. To już się zdarzało, zbyt wiele razy. I niestety, nadal się powtarzało. Nie był pewien, czy spotkanie starego kumpla albo zepsuty zegarek wystarczą za usprawiedliwienie.

Stopnie do mieszkania, którego drzwi wychodziły na ogród były wytarte i śliskie. Rebus wchodził ostrożnie, więc dopiero po chwili zauważył w świetle pomarańczowego światła, dochodzącego z latarni ulicznej, sportową torbę spoczywającą na ratanowej macie przed frontowymi drzwiami. To była jego torba. Rozsunął zamek i zajrzał do środka. Na ubraniach i parze butów leżała karteczka z wiadomością. Przeczytał ją dwukrotnie.

*Nie próbuj dobijać się do drzwi. Są zamknięte na zasuwę.  
Odłączyłam dzwonek. Telefon też będzie rozłączony na cały weekend.  
Następną część twoich rzeczy wystawię przed drzwiami w poniedziałek rano.*

Wiadomość nie była podpisana. Rebus gwizdnął, wypuszczając powietrze, i spróbował otworzyć zamek swoim kluczem. Bez efektu. Nacisnął przycisk dzwonka. Znowu nic. Poczekał chwilę, łudząc się, że przynajmniej Jenny przerwie tę ciszę. Albo Susan, przecież była niezłym ziółkiem. I mogła łąmac serca samym swoim wyglądem.

– Cześć, Patience! – zawołał. – Cześć, Susan. Cześć, Jenny. – Nadal cisza. – Przepraszam. – I naprawdę było mu przykro. – To jeden z tych przeklętych tygodni – powiedział do siebie, podnosząc torbę.

**W NIEDZIELĘ RANO WIAŁ** dość ostry wiatr, a słońce ledwo przebijało się przez chmury. Andrew McPhail dotarł wreszcie do Edynburga. Nie było go tu przez dłuższy czas i jak zauważył, miasto bardzo się zmieniło. Wszystko wyglądało inaczej. Poza tym, że odczuwał niedogodność związaną ze

zmianą stref czasowych, tak jak kilka dni temu, i był znacznie uboższy ze względu na nadmuchane londyńskie ceny. Szedł pieszo od dworca autobusowego do dzielnicy Broughton, trochę w bok od Leith Walk. Marsz nie trwał długo, lecz z każdym krokiem McPhail czuł coraz większy ciężar, choć jego torby były lekkie. Nie wyspał się wcale w autobusie, ale nie było to nic nowego. Nie pamiętał już, kiedy ostatnio dobrze się wyspał, bez żadnych złych snów.

Słońce wyglądało tak, jakby miało za chwilę zniknąć z nieba. Nad Leith nadciągały ciężkie chmury. McPhail próbował przyspieszyć kroku. W kieszeni miał adres kwatery. Ubiegłej nocy dzwonił do właścicielki i na niego czekała. Przez telefon miała miły głos, ale nic więcej nie potrafił o niej powiedzieć. Zresztą mało go obchodził jej wygląd, byle za dużo nie gadała. Wiedział, że o jego wyjeździe pisały kanadyjskie gazety, a nawet kilka amerykańskich. Spodziewał się, że tutejsi dziennikarze też będą chcieli wydobyć od niego jakieś informacje. Aż się zdziwił, że udało mu się przemknąć przez Heathrow niepostrzeżenie. Wydawało się, że nikt nie ma pojęcia, kim jest, i był z tego bardzo zadowolony.

Nie chciał już nic więcej poza życiem w spokoju, choć może nie w takim spokoju, w jakim spędził ostatnie kilka lat.

Gdy wylądował w Londynie, zadzwonił do siostry i poprosił ją, by sprawdziła w informacji telefonicznej panią MacKenzie z Bellevue. Książki telefoniczne w Londynie nie były już tak przydatne jak kiedyś. Melanie ze swoją matką Alexis wynajmowały kiedyś kwaterę u pani MacKenzie, zanim zamieszkali razem. Alexis samotnie wychowywała córkę, a pani MacKenzie okazała się nadzwyczaj sympatyczną gospodynią. Nigdy ich nie odwiedził, gdy u niej mieszkały – pani MacKenzie niezbyt by się to podobało.

Ostatnio nie wynajmowała pokoi, ale była dobrą chrześcijanką, a McPhail bardzo nalegał.

Stał pod jej domem. Był to zwykły jednopiętrowy dom o ścianach pokrytych szarym gruboziarnistym tynkiem i brzydkich dwudzielnych oknach. Wyglądał dokładnie tak samo jak domy po obu jego stronach. Pani MacKenzie otworzyła szybko drzwi, jakby już przy nich czekała.

Pomarudziła coś o salonie i kuchni i zaprowadziła go na górę, by pokazać mu łazienkę i jego pokój. Nie był większy od więziennej celi, ale za to ładnie urządzone (z meblami z lat sześćdziesiątych, jak się domyślał). Wszystko było w porządku. Nowy najemca nie miał żadnych uwag.

– Jest śliczny – pochwalił panią MacKenzie, a ta wzruszyła ramionami, jakby chciała powiedzieć: „oczywiście, że jest”.

– Zaparzyłam herbatę – odezwała się. – Należę nam po filiżance. – Jeszcze sobie coś przypomniała: – I żadnego gotowania w pokoju.

Andrew McPhail pokręcił głową.

– W ogóle nie gotuję – oznajmił.

Znów o czymś pomyślała i podeszła do okna wciąż zasłoniętego firankami.

– O, proszę. Firanki można rozsunąć. I może sobie pan otworzyć okno, by wpuścić świeże powietrze.

– O, tak, lubię świeże powietrze – przytaknął skwapliwie.

Obydwoje wyjrzeni na ulicę.

– To cicha okolica – powiedziała. – Nie ma zbyt dużego ruchu. Oczywiście w ciągu dnia jest trochę miejskiego hałasu.

McPhail domyślił się, o czym mówiła. Po drugiej stronie ulicy był stary budynek szkolny otoczony czarnym stalowym ogrodzeniem. Nie była to duża szkoła, prawdopodobnie podstawówka. Okno wychodziło na bramę, na prawo od budynku szkoły. Tuż za bramą znajdował się opustoszały o tej porze plac zabaw.

– Idę nalać herbaty – powiedziała pani MacKenzie.

Gdy wyszła, McPhail położył walizki na sprężynowym materacu pojedynczego łóżka. Obok stały małe biurko i krzesło. Przesunął krzesło pod okno i usiadł. Odsunął małego szklanego krasnala, by oprzeć brodę o parapet. Nic nie przesłaniało mu widoku. Siedział tam, jakby o czymś marzył, patrząc na plac zabaw, aż do chwili, gdy pani MacKenzie zawołała go na herbatę do salonu.

– I jest też babka piaskowa! – dodała.



Andrew McPhail wstał i westchnął. Tak naprawdę to nie miał ochoty na herbatę, ale pewnie będzie mógł wziąć ją na górę i wypije później. Był bardzo zmęczony, wręcz wyczerpany, ale wreszcie wrócił w rodzinne strony i coś mu mówiło, że dzisiaj będzie spał kamiennym snem.

– Już idę, pani MacKenzie! – zawołał, odwracając wzrok od szkoły.

## Rozdział 2

W **PONIEDZIAŁEK RANO** rozeszło się po komendzie przy St Leonard's, że inspektor John Rebus ma jeszcze gorszy nastrój niż zwykle. Niektórym wydawało się to wręcz nieprawdopodobne i specjalnie próbowali się na niego natknąć, by poczuć to na własnej skórze... no, może nie do końca.

Pozostali nie mieli wyboru.

Detektyw sierżant Brian Holmes i detektyw posterunkowa Siobhan Clarke rozmawiali z Rebusem w swoim kąciku sali dochodzeniówki i wyglądali, jakby siedzieli na jajach na miękko.

– No i co z tym Rorym Kintoulem? – zaczął Rebus.

– Już wyszedł ze szpitala, panie inspektorze – odpowiedziała Siobhan Clarke.

Rebus skinął niecierpliwie głową. Czekał tylko, aż dziewczyna się na czymś sypnie. Nie dlatego, że była Angielką albo że miała tytuł magistra lub bogatych rodziców, którzy kupili jej mieszkanie w New Town. I wcale nie dlatego, że była kobietą. To był po prostu sposób postępowania Rebusa z młodszymi detektywami.

– I nadal nic nie mówi – uzupełnił Holmes. – Nie chce powiedzieć, co się wydarzyło, ani nie wnosi skargi.

Wyglądał na zmęczonego. Rebus zauważył to kątem oka. Nie musiał nawet nawiązywać z nim kontaktu wzrokowego. Nie chciał, żeby Holmes się zorientował, że łączy ich pewna sprawa.

Obydwaj zostali wyrzuceni z domu przez swoje dziewczyny.

Holmesowi przydarzyło się to ponad miesiąc temu. Jak później opowiadał, już po wprowadzeniu się do ciotki w Barnton, to wszystko miało związek z dziećmi. Nie zdawał sobie po prostu sprawy, jak bardzo Nell chciała mieć dziecko, a on zaczął sobie żartować z tematu potomstwa. I pewnego dnia nie wytrzymała i wykopała go na ulicę ku

zadowoleniu obserwujących akcję sąsiadek z górniczego miasteczka na południe od Edynburga. Holmes musiał się stamtąd zmywać.

Teraz przynajmniej pracował wydajniej. To też oczywiście było powodem rozejścia się: ona miała regularne godziny pracy, a on, niestety, nie. Holmes kojarzył się teraz Rebusowi z parą postrzępionych i wypłowiałych płóciennych spodni roboczych tuż przed wyrzuceniem na śmietnik.

– Masz jakieś wnioski? – zapytał Rebus.

– Tak. Uważam, że powinniśmy zamknąć tę sprawę, panie inspektorze. Z całym szacunkiem.

– Z całym szacunkiem, Brian? Tak mówią ludzie, którzy chcą powiedzieć „ty pieprzony idioto”. – Rebus nadal nie patrzył mu prosto w oczy, ale czuł, że młody się rumieni. Clarke spuściła wzrok i wpatrywała się w swoje kolana. – Posłuchajcie – zaczął Rebus. – Ten facet leżąc jakieś dwieście metrów z sześciocentymetrową raną kłutą brzucha. Dlaczego? – Nie było żadnej odpowiedzi. – Dlaczego? – nalegał. – Dlaczego facet mija kilkanaście sklepów i pcha się do rzeźni swojego kuzyna?

– Może chciał dojść do lekarza, ale musiał odpocząć – zasugerowała Clarke.

– Może – odparł Rebus głosem odrzucającym taką możliwość. – Tylko śmieszne jest to, że akurat musiał przystanąć przy sklepie kuzyna.

– Czy pan sądzi, że to może mieć jakiś związek z tym kuzynem?

– Pozwólcie, że zapytam was o coś innego. – Rebus wstał i zrobił parę kroków do przodu, a potem się wycofał i zobaczył, jak Holmes i Clarke wymienili spojrzenia. To go zastanowiło. Na początku trochę między nimi zgrzytało, ale teraz nawet nieźle ze sobą współpracowali. Miał nadzieję, że nie dojdzie do niczego więcej. – Pozwólcie, że was o to zapytam – powtórzył. – Co wiemy o ofierze?

– Niewiele – odpowiedział Holmes.

– Mieszka w Dalkeith – dodała Clarke. – Pracuje jako technik laboratoryjny w szpitalu. Jest żonaty, ma syna. – Wzruszyła ramionami.

– To wszystko? – dążył Rebus.

– To wszystko, panie inspektorze.

– No właśnie – rzucił Rebus. – Jest takim sobie nikim. Nikt nie powiedział na niego choćby złego słowa. Więc wyjaśnijcie mi, dlaczego w takim razie ktoś go dźgnął nożem? I na dodatek w środę rano? Jeśli ktoś chciałby go tylko obrabować, to Kintoul by nam na pewno o tym powiedział. Ale facet trzyma głowę na kłódkę tak mocno, jak mieszkaniec Aberdeen ścisną portfel w kościele podczas kwesty, by nie stracić złamanego pensa. Coś ukrywa. Bóg wie co, ale ma to coś wspólnego z samochodem.

– Skąd pan wie?

– Ślady krwi zaczynają się przy krawężniku, Holmes. Wygląda mi na to, że jak wysiadał z wozu, już był ranny.

– On ma prawo jazdy, ale samochodu nie.

– Jaka bystra dziewczyna, ta Siobhan. – Clarke prychnęła na słowo „dziewczyna”, ale Rebus mówił dalej: – I ten gość wziął sobie pół dnia wolnego, nie mówiąc nic żonie. – Inspektor usiadł. – Dlaczego, dlaczego, dlaczego? Chcę, żebyście jeszcze raz zajęli się tym gościem na poważnie. Powiedzcie mu, że nie jesteśmy zadowoleni z braku jakichkolwiek wyjaśnień. Nie damy mu spokoju, dopóki czegoś nie wyśpiewa, więc lepiej niech wymyśli jakąś historyjkę. Powiedzcie mu, że znamy się na swojej robocie. – Rebus przerwał na moment. – A później wybadajcie tego rzeźnika.

– Zrobimy ciach, ciach, panie inspektorze – odezwał się Holmes.

Uratował go dzwonek telefonu. Rebus podniósł słuchawkę. Może to dzwoniła Patience.

– Detektyw inspektor Rebus.

– John, możesz wpaść do mojego biura?

To nie była Patience. To był Farmer Watson.

– Za dwie minuty, panie komendancie. – Rebus odłożył słuchawkę i rzucił do Holmesa i Clarke: – To brać się do roboty!

– Tak jest, panie inspektorze.

– Myślisz, Brian, że za bardzo kombinuję z tą sprawą?

– Tak, panie inspektorze.

– Może i tak, ale nie lubię tajemnic bez względu na to, jakie są małe. Więc spadajcie stąd i przynieście coś, co zaspokoi moją ciekawość.

Gdy wstawali, Holmes skinął głową na olbrzymią walizę, którą Rebus próbował ukryć za biurkiem.

– Czy o tym też powinienem wiedzieć?

– Tak – odparł Rebus. – Tu trzymam kasę z łapówek, które dostają. Twoja lewizna pewnie mieści się tylko w kieszeni marynarki.

Holmes nie wyglądał, jakby chciał ustąpić, choć Clarke schowała się już za swoim biurkiem. Rebus wypuścił powietrze i powiedział cicho niskim głosem:

– Właśnie dołączyłem do grona wypędzonych. – Gdy twarz Holmesa się ożywiła, dodał: – I trzymaj gębę na kłódkę. To tylko między nami.

– Jasne. – Detektyw sierżant się zastanowił. – Wie pan, wieczorami jadam w Heartbreak Cafe...

– Więc teraz będę wiedział, gdzie cię znaleźć, jeśli zechcę posłuchać wczesnego Elvisa.

Holmes skinął głową.

– I Elvisa z jego czasów w Vegas. Chciałem tylko powiedzieć, że jeśli mógłbym coś dla pana zrobić...

– Możesz zacząć od przebierania się za mnie i łożenia do Farmera Watsona.

Holmes pokręcił głową.

– Miałem na myśli coś bardziej w granicach normalności.

**W GRANICACH NORMALNOŚCI... REBUS** zastanawiał się, czy mieściła się w nich taka oto sytuacja, kiedy pytał studentów, czy może spać na własnej rozkładanej kanapie, podczas gdy jego brat nocuje już w pakamerze. Może powinien obniżyć im czynsz za wynajem? Kiedy przyjechał zupełnie niezapowiedziany do swojego mieszkania w piątek późnym wieczorem, troje studentów i Michael siedzieli po turecku na dywanie i kręcili jointy,

śłuchając Rolling Stonesów z ich środkowego okresu. Rebus był przerażony na widok bibulek papierosowych w rękach Michaela.

– Mickey! Co jest, do kurwy nędzy?!

W końcu chociaż raz Michael uzyskał emocjonalną reakcję od swojego brata. Studenci wykazali odrobinę godności i przyjęli posępne twarze przestępców, którymi w tym momencie byli.

– Macie szczęście – rzucił Rebus – że w tej chwili gównu mnie to wszystko obchodzi.

– Sztachnij się, John – zaproponował Michael, wyciągając do niego na wół wypalonego skręta. – To ci nie zaszkodzi.

– W tym właśnie problem. – Rebus wyjął butelkę whisky z torby podróźnej. – Ale przynajmniej to mi zaszkodzi.

W następstwie tych pięknych okoliczności ostatnie godziny wieczoru spędził rozwalony na kanapie, pijąc whisky i śpiewając razem z muzyką ze starych płyt puszcanych na tradycyjnym gramofonie. Większość weekendu przesiedział w tym samym miejscu. Studenci chyba nie mieli do niego o to pretensji, chociaż zmusił ich do odstawienia trawki na czas jego pobytu. Posprzątał ładnie mieszkanie, nawet Michael się do tego dołączył, a w sobotni wieczór wszyscy pomaszerowali do pubu, zostawiając Rebusa samego z telewizorem i kilkoma puszkami piwa. Wyglądało na to, że Michael nie podzielił się ze studentami historią swojej więziennej przeszłości. Rebus miał nadzieję, że tak już zostanie. Michael zaproponował, że się wyniesie, żeby brat miał przyzwoite miejsce w pakamerze, ale Rebus odmówił. Sam nie wiedział dlaczego.

W niedzielę pojechał do Oxford Terrace, ale chyba nie było nikogo w mieszkaniu, a jego klucz nadal nie pasował do zamka. Więc albo wymieniono zamki, albo Patience chowała się gdzieś w środku, przeżywając własną wersję „ucieczki z uzależnienia” w towarzystwie siostrzenic.

Teraz stał przed drzwiami Farmera Watsona i karcił się w myślach. Było za co. Gdy dziś rano pojechał do Oxford Terrace, przywitała go walizka przed drzwiami wystawiona przez Patience. Bez żadnej karteczki, tylko walizka. W toalecie na komendzie przebrał się w czysty garnitur. Był

trochę pognieciony, ale wcale nie bardziej niż zwykle. Nie miał dobranego krawata. Patience spakowała tylko dwa okropne brązowe krawaty (czy w ogóle były jego?) i granatowy garnitur. Brązowe krawaty z pewnością nie pasują do granatu. Zapukał w drzwi, zanim nacisnął klamkę.

– Wchodź, John, wchodź. – Rebusowi wydawało się, że Farmer ma kłopoty z dostosowaniem gabinetu w komendzie przy St Leonard's do osobistych preferencji. Ten pokój nie wyglądał tak, jak powinien. – Siadaj.

Rebus rozejrzał się za krzesłem. Jedno stało pod ścianą zavalone segregatorami z dokumentacją. Podniósł je i starał się znaleźć odrobinę miejsca na podłodze, by je tam złożyć. Komendant miał jeszcze mniej miejsca koło biurka niż Rebus.

– Cały czas czekam na cholerne szafki – poskarżył się.

Rebus zakręcił krzesłem, postawił je koło biurka i usiadł.

– Co się dzieje, szefie?

– Jak ci leci?

– Leci?

– Tak.

– Świetnie, panie komendancie. – Rebus zaczął się zastanawiać, czy Farmer wie o Patience. Z pewnością nie.

– Czy detektyw posterunkowa Clarke daje sobie jakoś radę?

– Nie narzekam.

– To dobrze. Zwali nam się trochę więcej roboty. Wspólna operacja z Wydziałem Standardów Handlowych.

– Tak?

– Inspektor Lauderdale zapozna cię ze szczegółami, ale chciałem sam najpierw ci o tym powiedzieć i dowiedzieć się, jak ci leci.

– O jaką wspólną operację chodzi?

– Pożyczki pieniężne – odpowiedział Watson. – Zapomniałem cię zapytać: chcesz kawy?

Rebus pokręcił głową i obserwował, jak Watson pochylił się w fotelu. Miał tak mało miejsca w gabinecie, że musiał ustawić ekspres na podłodze koło biurka i już co najmniej dwa razy rozlał kawę na nowiusieńką

beżową wykładzinę. Gdy się wyprostował, trzymał w lepkiej łapie prawdziwego szatana. Kawa robiona przez komendanta była owiana legendą w całym Edynburgu.

– Pożyczki pieniężne z ochroną na boku – poprawił się Watson. – Ale głównie chodzi o pożyczki.

Czyli ta sama stara historia, mówiąc innymi słowy. Ludzie, którzy nie mieli już szansy na kredyt w banku czy na zastawienie czegoś w lombardzie, nadal mogli pożyczyć pieniądze mimo dużego ryzyka. Problem był w tym, że oprocentowanie takich pożyczek rosło w setki procent i zaległości nieustannie narastały, zwiększając odsetki. To było najbardziej podstępne błędne koło, bo w końcu dochodziło do poniżania, bicia dłużników i gorszych sytuacji.

Nagle Rebus pojał, dlaczego komendant chciał sobie z nim pogadać.

– Chodzi o Dużego Gera, tak? – zapytał.

– W pewnym sensie – przyznał Watson.

Rebus zerwał się na równe nogi.

– To będzie czwarty raz w ciągu czterech lat. Jemu zawsze udaje się zwiać. Wie pan o tym. Ja też doskonale to wiem! – W normalnych warunkach wygłaszałyby swoją kwestię, chodząc po pokoju, ale tu było tak mało miejsca, że dał upust frustracji, stając bez ruchu jak mówca na manifestacji w parku Mound. – Próba dorwania go za pożyczanie pieniędzy jest stratą czasu. Wydawało mi się, że wielokrotnie już to przerabialiśmy, zawsze trafiając kulą w płot, i zdecydowaliśmy, że wznowianie dochodzenia bez żadnego konkretnego haka jest bezsensowne.

– Wiem, John, ale ludzie z Wydziału Standardów Handlowych są zaniepokojeni. Ta sprawa jest większa, niż im się wydawało.

– Cholerni biurokraci.

– Spokojnie, John...

– Ale... – Rebus przerwał na moment. – Z całym szacunkiem, panie komendancie. Przecież to jest kompletna strata czasu i marnowanie ludzkiego wysiłku. Będziemy za nim łązić, pstrykniemy kilka zdjęć,



zaaresztujemy paru palantów, którzy są tylko posłańcami, a i tak nikt nie złoży zeznań w sądzie. Jeśli skarbowka i finansowi chcą dorwać Dużego Gera, to powinni dać nam środki na przeprowadzenie porządnej operacji na szeroką skalę.

Problem był właśnie w tym, że nikt nie chciał dorwać Morrisa Geralda Cafferty'ego, zwanego Dużym Gerem, tak bardzo, jak chciał tego Rebus. Pragnął go po prostu ukrzyżować. Pragnął trzymać w ręce włócznie i przebić mu bok, by sprawdzić, czy gnojek rzeczywiście wyzionął ducha. Cafferty był bydlakiem, ale bystrym bydlakiem. Zawsze miał jakiegoś sługusa w zastępstwie, który szedł za niego do więzienia. Właśnie dlatego, że już tyle razy Rebus bezskutecznie próbował wsadzić go do paki, wołał po prostu o nim nie myśleć. A teraz Farmer mówi mu, że będzie „operacja”. To oznacza długie dni i noce obserwacji, mnóstwo papierkowej roboty i na końcu aresztowanie kilku przyszczatych młodocianych na bandyckich praktykach.

– John – odezwał się Watson, zbierając do kupy swoje umiejętności analizy charakterologicznej – wiem, jak się czujesz. Ale spróbujmy jeszcze raz, dobrze?

– Znam jeden sposób na niego, jeśli tylko dostanę nawet pół szansy. – Rebus złożył palce w pistolet i przeładował go drugą ręką.

Watson się uśmiechnął.

– To mamy szczęście, że nie wydamy wam broni, co nie?

Po chwili Rebus też się uśmiechnął. I usiadł.

– No to proszę mnie oświecić – powiedział. – Słucham z uwagą.

**O JEDENASTEJ WIECZOREM** tego dnia Rebus oglądał telewizję w swoim mieszkaniu. Jak zwykle o tej porze był sam. Studenci albo nadal siedzieli w bibliotece uniwersyteckiej, albo poszli do pubu. A skoro Michaela też nie było, to z całą pewnością siedzieli w pubie. Rebus zdawał sobie sprawę, że studenci boją się, czy nie wywali któregoś z nich, by zająć jeden pokój. Poruszali się po mieszkaniu jak potencjalne ofiary eksmisji.

Dzwonił do Patience wielokrotnie, ale za każdym razem włączała się automatyczna sekretarka, a on nagrywał się i pytał, dlaczego nie podnosi słuchawki, chociaż – jak wiedział – jest w domu.

Dlatego właśnie trzymał telefon na podłodze koło kanapy. Bo jak zadzwoni, to wystarczy tylko opuścić rękę, szybko podnieść słuchawkę i przycisnąć ją do ucha. Co właśnie teraz zrobił.

– Halo?

– John?

Natychmiast usiadł prosto.

– Patience, dzięki ci, Jezu...

– Słuchaj, to ważne.

– Wiem, że to ważne. Wiem, że zachowałem się jak głupek, ale musisz mi uwierzyć...

– Posłuchaj mnie wreszcie, dobrze?!

Rebus zamknął się i słuchał. Zrobi wszystko, co mu powie, nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

– Myśleli, że tu mieszkasz, więc zadzwonili z komendy przed chwilą. Chodzi o Briana Holmesa.

– Co chciał?

– Nic. Dzwonili w jego sprawie.

– W jakiej jego sprawie?

– Wpłatał się w coś... nie wiem dokładnie. Tylko tyle, że jest ranny.

Trzymając słuchawkę, zerwał się na nogi i zaczął ciągnąć za sobą po podłodze aparat telefoniczny.

– Gdzie on jest?

– Gdzieś na Haymarket, w jakimś barze...

– W Heartbreak Cafe?

– O, właśnie. I słuchaj, John...

– Tak?

– Porozmawiamy. Ale jeszcze nie teraz. Potrzebuję więcej czasu.

– Czego tylko sobie życzysz, Patience. Cześć. – Odłożył słuchawkę i złapał marynarkę.

**ZALEDWIE SIEDEM MINUT** później Rebus parkował samochód przed Heartbreak Cafe. To było właśnie piękne w poruszaniu się po Edynburgu... jeśli tylko zgrały się światła na skrzyżowaniach. Heartbreak Cafe otworzył jakiś rok temu fan Elvisa Presleya. Do dekoracji wnętrza wykorzystał wiele souvenirów z wizerunkiem Presleya, a do przyciągnięcia klientów własne umiejętności kulinarne, które pozwoliły na stworzenie menu wartego wizyty, nawet jeśli, tak jak Rebus, niespecjalnie lubiło się Presleya. Holmes bywał tu od samego początku istnienia lokalu; przesiadywał nad deserem o wdzięcznej nazwie Blue Suede Choux, wziętej zresztą z repertuaru Presleya. Restauracja była także barem oferującym jaskrawokolorowe drinki i muzykę z lat pięćdziesiątych oraz różne gatunki amerykańskiego puszkowanego piwa, którego ceny wywołałyby konwulsje u bywalców pubu Broadsword. Rebus domyślił się, że Holmes zaprzyjaźnił się z właścicielem. Jasne, przecież spędzał tu mnóstwo czasu od momentu, gdy rozszedł się z Nell, czego efektem było także przybranie na wadze.

Z zewnątrz lokal nie wyglądał specjalnie – szare, betonowe mury z prostokątnym oknem pośrodku w całości prawie wypełnionym neonami reklamującymi różne marki piwa. Nad oknem umieszczono duży neon z nazwą restauracji. To jednak nie tutaj rozegrała się cała akcja. Holmes był pewnie gdzieś z tyłu. Wąska alejka, przez którą mógł się przecisnąć co najwyżej ford cortina, prowadziła na parking dla gości. Był malutki jak na standardy jakiegokolwiek restauracji. Stały tu też kontenery na śmieci. Większość klientów, jak domyślił się Rebus, parkowała na ulicy przed lokalem. Tylko Holmes wjeżdżał na parking z tyłu, po pierwsze, dlatego, że spędzał tu dużo czasu, po drugie, dlatego, że już raz ktoś zarysował mu samochód, gdy zostawił go przed restauracją na ulicy.

Na parkingu stały dwa samochody. Jeden należał do Holmesa, a drugi z pewnością do właściciela Heartbreak Cafe. Był to stary ford capri z malunkiem Elvisa na masce. Brian Holmes leżał między dwoma samochodami. Do tej pory nikt go jeszcze stamtąd nie ruszył. Ale jak tylko lekarz zakończy badanie wstępne, zabierze go karetka. Jeden z policjantów rozpoznał Rebusa i zbliżył się do niego.

- Dostał paskudny cios w tył głowy. Od razu stracił przytomność. Znalazł go i rozpoznał właściciel restauracji, natychmiast zadzwonił na policję. Pewnie ma pęknięcie czaszki. Nieciekawie to wygląda, panie inspektorze.

Rebus skinął głową, ale nic nie odpowiedział, skupiając wzrok na sylwetce nieprzytomnego kolegi. Policjant dodał, że Holmes normalnie oddycha, i wyraził współczucie. Rebus podszedł do ciała i stanął nad klęczącym lekarzem, który nawet nie ruszył głową, tylko nakazał mundurowemu policjantowi przesunąć latarkę oświetlającą Briana Holmesa trochę bardziej na lewo. Zaczął badać lewą stronę czaszki.

Rebus nie mógł dopatrzeć się krwi, ale to nie miało żadnego znaczenia. Ludzie umierają przecież bez krwawienia. Jezu. Holmes leżał jak sztywny. Zupełnie jak w trumnie. Rebus odwrócił się do policjanta, z którym rozmawiał wcześniej.

- Jak się nazywa ten właściciel?

- Eddie Ringan.

- Jest w środku?

Policjant skinął głową.

- Stoi za barem.

- Pogadam z nim - powiedział Rebus.

**EDDIE RINGAN OD WIELU LAT CIERPIAŁ** na coś, co eufemistycznie określano problemem z piciem. Zaczęło się to na długo, zanim otworzył Heartbreak Cafe. Ludzie sądzili więc, że jego interes szybko upadnie, jak wszystkie inne biznesy, które wcześniej prowadził. Ale tym razem się pomylili, i to z jednego powodu: Eddiemu udało się znaleźć menedżera, który był nie tylko finansowym guru, ale też wspierał go jak najlepszy przyjaciel. Nie oszukiwał go i trzymał tam, gdzie było jego miejsce w godzinach pracy, czyli w kuchni.

Eddie nadal pił, ale przynajmniej pił i gotował - a to już nie było takim wielkim problemem. Zwłaszcza że w kuchni pomagał mu zwykle jakiś praktykant i to on wykonywał czynności wymagające ostrego wzroku

i stabilnej ręki. Tak więc, zgodnie z tym, co opowiadał Brian Holmes, Heartbreak Cafe nieźle prosperowała. Holmesowi nie udało się namówić Rebusa, by dołączył do niego i zjadł z nim na przykład smażone krewetki King Shrimp Creole albo grillowaną polędwicę Love Me Tenderloin. Rebus nie dał się przekonać, by odwiedzić ten przybytek... aż do dzisiejszego wieczoru.

Światła nadal były zapalone. Poczuł się, jakby wszedł do świątyni muzycznego idola jakiegoś nastolatka. Na ścianach były plakaty z Elvisem, okładki jego płyt, naturalnej wielkości wycięta figura piosenkarza; nawet zegar barowy miał na tarczy wizerunek Elvisa – ręce piosenkarza wskazywały godziny. Telewizor był włączony. Przekazywano ostatnią informację wieczornych wiadomości. Ktoś wręczał wielką makietę czeku na cele dobroczynne przed Gibson's Brewery.

W środku nie było już nikogo poza Eddiem Ringanem, rozwalonym na stołku barowym, i facetem za barem, nalewającym właśnie dwie szklanki bourbona Jim Beam. Rebus przedstawił się i usiadł. Barman nazywał się Pat Calder.

– Jestem partnerem pana Ringana – przedstawił się.

Sposób, w jaki to powiedział, sprawił, że Rebus zaczął się zastanawiać, czy ci dwaj młodzi ludzie są partnerami jedynie w biznesie. Holmes nie wspominał, że Eddie jest gejem. Rebus skupił całą uwagę na szefie kuchni.

Eddie Ringan był koło trzydziestki, choć wyglądał na dziesięć lat więcej. Miał przerzedzone proste włosy i owalną głowę. To wszystko było niepewnie oparte na większym owalu, który stanowił jego korpus. Rebus często widywał grubych i grubszych kucharzy, a Ringan z pewnością mógł służyć jako żywa reklama mistrza sztuki kulinarnej. Nałana twarz wskazywała na spore zmęczenie alkoholem, wypitym nie tylko tego wieczoru, ale regularnie konsumowanym tygodniami i miesiącami. Rebus obserwował, jak pochłania porcję bursztynowego płynu jednym haustem.

– Nalej mi jeszcze jeden.

Pat Calder pokręcił jednak głową.

– Nie dam ci, jeśli chcesz prowadzić samochód. – I dodał, wyraźnie wymawiając słowa: – Eddie, jest tu pan z policji. Przyszedł porozmawiać o Brianie.

Eddie Ringan skinął głową.

– Przewrócił się i upadł na głowę.

– Tak myślisz? – zapytał Rebus.

– No, nie do końca. – Ringan po raz pierwszy podniósł głowę znad baru i spojrzął Rebusowi w oczy. – Może ktoś chciał go okraść, a może to było ostrzeżenie.

– Jakie ostrzeżenie?

– Eddie za dużo dziś wypił, panie inspektorze – wyjaśnił Pat Calder. – Zaczyna coś sobie wymyślać.

– Nic, do cholery, sobie nie wymyślam. – Dla podkreślenia swoich słów Ringan wałnął płaską dłonią w blat baru. Nadal patrzył na Rebusa. – Wie pan, jak to jest. Albo chodzi o kasę za ochronę... taka forma ubezpieczenia, jak to nazywają... albo to inni restauratorzy bawią się w gangsterów, bo nie podoba im się, że komuś się lepiej powodzi niż im. W tym biznesie ma się wielu wrogów.

Rebus kiwał głową ze zrozumieniem.

– Czy masz kogoś konkretnego na myśli, Eddie?

Ringan pokręcił wolno głową.

– Nie. Niestety, nie.

– A może to ty miałeś być ofiarą napaści?

Ringan poprosił gestem o następną kolejkę i Calder nalał mu do szklanki. Ringan wypił, zanim odpowiedział.

– Może. Tego nie wiem. Mogą próbować przestraszyć klientów. Czasy są ciężkie.

Rebus zwrócił się do Caldera, który patrzył na Eddiego Ringana z obrzydzeniem.

– A pan, panie Calder. Co pan o tym sądzi?

– Myślę, że to była zwykła próba rabunku.

– Nie wygląda na to, że coś zabrano.

– Może ktoś im przeszkodził.

– Ktoś idący alejką? To jak uciekł? Przecież z tego parkingu nie ma innego wyjścia.

– Nie wiem.

Rebus przyglądał się Patowi Calderowi. Był o kilka lat starszy od Ringana, ale wyglądał młodziej. Włosy miał ściągnięte do tyłu w coś, co, jak podejrzewał Rebus, miało być modnym kucykiem. Proste bokobrody sięgały mu niżej uszu. Był wysoki i szczupły. Wyglądał na kogoś, komu przydałby się porządny obiad. Rebus widział więcej mięsa na ołówku rzeźnika niż na tym gościu.

– A może... – zaczął znowu Calder. – Może naprawdę upadł. Tam jest dość ciemno. Powinniśmy zainstalować jakieś oświetlenie.

– Bardzo słusznie. – Rebus wstał z niewygodnego stołka. – A tymczasem, jeśli coś wam przyjdzie do głowy, a szczególnie jakieś nazwiska, zawsze możecie do mnie zadzwonić.

– Oczywiście.

Zatrzymał się w drzwiach.

– I jeszcze jedno, panie Calder.

– Słucham?

– Jeśli pozwoli pan prowadzić samochód panu Ringanowi, to zostaniecie zatrzymani, zanim dojedziecie do Haymarket. Czy może go pan odwieźć do domu?

– Ja nie prowadzę samochodu.

– To sugeruję wygrzebać z kasy drobne na taksówkę. W przeciwnym wypadku kolejnym lokalem pana Ringana może być areszt w Roquefort.

Gdy Rebus wychodził, usłyszał za sobą śmiech Eddiego Ringana.

**NIE ŚMIAŁ SIĘ ZBYT DŁUGO.** Jego alkoholizm domagał się kolejnego drinka.

– Nalej mi jeszcze jednego – zarządził.

Pat Calder nalał po sam brzeg szklanki. Kupili je, jak i sporo innych rzeczy, podczas wycieczki do Miami. Dużo pieniędzy poszło na zakupy z kieszeni Pata Caldera oraz jego rodziców. Przytrzymał szklankę przed

Ringanem, wznosił toast i sam wypił całą jej zawartość. Gdy Ringan zaczął marudzić, Calder dał mu w pysk na odlew.

Ringan nie był tym ani zaskoczony, ani przejęty. Calder strzelił go jeszcze raz.

– Ty głupkowaty palancie! – syknął. – Ty głupi, głupi palancie!

– Nic na to nie poradzę – powiedział Ringan, przesuając w jego kierunku pustą szklankę. – Jestem tym strasznie wstrząśnięty. Należ mi drinka, zanim zrobię coś naprawdę głupiego.

Pat Calder zastanawiał się przez chwilę. Potem nalał Eddiemu Ringanowi kolejnego drinka.

**KARETKA ZABRAŁA BRIANA HOLMESA** do Szpitala Królewskiego.

Rebus nie był nigdy przekonany do tego szpitala. Mimo dobrych intencji lekarzy i pielęgniarek, wyczuwało się tu braki personelu. Inspektor stanął tuż przy łóżku Holmesa, tak blisko, jak tylko mu na to pozwolono. Starał się nie poddawać zmęczeniu wraz z upływem czasu, tylko odsunął się do tyłu i oparł o ścianę. Teraz kucnął z głową na kolanach, dłońmi podpierał się o zimną podłogę, gdy poczuł, że ktoś nad nim stanął. To była Nell Stapleton. Rebus rozpoznał ją po wzroście, zanim jeszcze dostrzegł jej zapłakaną twarz.

– Cześć, Nell.

– Jezu, John. – I znowu zaczęła płakać. Podniósł się i szybko ją objął. Rzuciła wprost do jego ucha: – Rozmawialiśmy jeszcze wieczorem. Byłam dla niego taka okropna. A teraz to...

– Cicho, Nell. To nie twoja wina. Takie coś może się przydarzyć każdemu.

– Tak, ale nie mogę zapomnieć, że nasza ostatnia rozmowa była kłótnią. Gdybyśmy się nie pokłócili...

– Ćśśś, dziecino. Już dobrze. Uspokój się. – Przytulił ją mocno. O Jezu, jak dobrze się poczuł. Nawet nie chciał o tym myśleć, jak dobrze mu było tak się do niej tulić. Jej perfumy, jej kształty, sposób, w jaki wtuliła się w jego ramiona.



– Kłóciliśmy się i poszedł do baru, a potem...

– Óóóó, Nell. To nie twoja wina.

Wierzył w to, chociaż nie był pewien, czyja to wina. Reketierów? Zazdrosnych właścicieli innych restauracji? Zwykłych złodziei? Trudno było znaleźć na to prostą odpowiedź.

– Czy mogę go zobaczyć?

– Oczywiście. – Wskazał łóżko Holmesa.

Gdy Nell Stapleton podeszła tam, odwrócił się, by dać im trochę prywatności. Ten gest i tak niewiele znaczył – Holmes był cały czas nieprzytomny, podłączony do monitora. Głowę miał grubo obandażowaną. Rebus prawie słyszał słowa, które wypowiadała Nell do porzuconego kochanka. Ton jej głosu sprawił, że zaczął myśleć o doktor Patience Aitken. John niemal żałował, że to nie on leży pozbawiony świadomości. Miło było wiedzieć, że ludzie mówią o tobie dobrze.

Po pięciu minutach Nell cofnęła się od łóżka.

– Ciężko w pracy? – zapytał Rebus, by zmienić temat.

Widział, że dziewczyna jest zmęczona. Skinęła głową.

– Słuchaj... chyba wiem, dlaczego to się stało.

– Tak?

Mówiła prawie szeptem, jakby bała się zburzyć panującą ciszę. Tylko dwie wyczerpane, zgnębione dusze. Westchnęła głośno. Rebus zaczął się zastanawiać, czy nie chodziła kiedyś na lekcje aktorstwa.

– Czarna księga – powiedziała w końcu.

Skinął głową, jakby zrozumiał, o co chodzi, ale po chwili zmarszczył czoło ze zdziwienia.

– Jaka czarna księga? – zapytał.

– Pewnie nie powinnam ci tego mówić, ale nie jesteś przecież zwykłym kolegą z pracy, prawda? Jesteś jego przyjacielem. – Odetchnęła. – To notatnik Briana. Nic oficjalnego, to drobne sprawy, którymi zajmował się prywatnie.

Rebus, w obawie że kogoś obudzą, wyprowadził ją z sali na korytarz.

– Pamiętnik? – zapytał.

– Nie do końca. Czasem coś usłyszał, fragmenty informacji, jakieś plotki barowe. Zapisywał to wszystko w czarnym notesie. A gdyby udało mu się zebrać coś więcej, pchnąłby te swoje prywatne śledztwa na oficjalne tory. To było takie jego hobby, a może myślał, że pomoże mu szybciej awansować. Nie wiem. O to też się kłóciliśmy. Rzadko spędzaliśmy wspólnie czas. Ciągłe był zajęty.

Rebus patrzył na ścianę korytarza. Oświetlenie z sufitu raziło go w oczy. Nigdy nie słyszał, by Holmes chwalił się prowadzeniem jakiegoś notatnika.

– Coś jeszcze?

Nelly pokręciła głową.

– Coś powiedział, zanim... – Przycisnęła dłoń do ust, jakby znowu miała zacząć płakać. – Zanim zerwaliśmy.

– Co powiedział, Nell?

– Nie jestem pewna, co to było dokładnie. – Jej oczy napotkały wzrok Rebusa. – Wiem, że był przestraszony. Nigdy wcześniej tak bardzo się nie bał.

– A czego się bał?

Wzruszyła ramionami.

– To musi być w tym notatniku. – Jeszcze raz pokręciła głową. – Nie jestem pewna, o co chodziło. Nie mogę przestać myśleć o tym, że... Czuję się za to odpowiedzialna. Gdybyśmy się nie rozeszli...

Rebus przyciągnął ją do siebie.

– Już dobrze, mała. To nie twoja wina.

– Moja, właśnie że moja.

– Nie, nie twoja – rzucił stanowczo. – A teraz powiedz mi, gdzie Brian trzyma tę swoją czarną księgę.

**GDZIEŚ PRZY SOBIE, JAK SIĘ DOWIEDZIAŁ.** Ubrania i drobiazgi Briana Holmesa zabrano z karetki, gdy przywieziono go do szpitala. Legitymacja policyjna Rebusa wystarczyła, by dostać się do szpitalnego depozytu nawet o tak dziwnej godzinie. Wyłuskał notatnik z dużej koperty A4 zawierającej

rzeczy, które Brian miał przy sobie. Przy okazji przejrzał całą jej zawartość: portfel, pamiętnik, klucze, drobne. Drobiazgi jak każde inne, tyle że odseparowane od właściciela. Zawartość koperty przekonała Rebusa, że nie był to zwykły napad rabunkowy.

Nell, która przez cały czas płakała, poszła już do domu, ale nie zostawiła żadnej wiadomości do przekazania Brianowi. Jak domyślał się Rebus, prawdopodobnie podejrzewała, że napaść na jej byłego chłopaka była w pewien sposób powiązana z tym notatnikiem. I może miała nawet rację. Siedział na korytarzu przed salą, w której leżał Brian, i pijąc wodę z butelki, przerzucał kartki taniego notesu oprawionego w imitację skóry. Holmes pisał jakimiś skrótami, ale ich rozszyfrowanie nie było trudne dla gliniarza. Większość informacji pochodziła z jednej nocy i jednej akcji: nocy, gdy obrońcy praw zwierząt wdarli się do siedziby głównej archiwum policyjnego i laboratorium kryminalistycznego Fettes. Przy okazji zdobyli i ujawnili dowody na skandal związany z usługami seksualnymi świadczonymi przez chłopców najbardziej szanowanym obywatelom Edynburga. To akurat nie było dla Rebusa żadną rewelacją, ale kilka innych wpisów mocno go zaintrygowało, a szczególnie jeden, dotyczący hotelu Central.

Hotel Central jeszcze przed pięcioma laty był poważaną instytucją Edynburga, aż został zrównany z ziemią. Krążyły pogłoski o próbie wymuszenia odszkodowania, a firma ubezpieczeniowa wyznaczyła pięć tysięcy funtów nagrody dla każdego, kto udowodni, że był to przekręt. Nikt nie zgłosił się po nagrodę.

Hotel był kiedyś rajem dla przyjezdnych. Usytuowany przy Princes Street, niedaleko dworca kolejowego Waverley, stał się niemal domem dla będących wciąż w ruchu handlowców. Pod koniec swojego istnienia zaczął jednak podupadać. Gdy liczba gości spadła, uczciwy biznes został wyparty przez nieuczciwy. Nie było tajemnicą, że staromodnie urządzone piękne pokoje hotelowe można było wynajmować na godziny lub popołudnia. Obsługa dostarczała szampana i tyle prezerwatyw, ile tylko goście sobie życzyli.

Innymi słowy, hotel Central stał się burdelem i nikt nawet nie starał się tego ukryć. Obsługiwał różne mniej lub bardziej mroczne postacie półświatka. Urządzano tu wesela i wieczory kawalerskie dla najgorszego elementu, a niepełnoletnia młodzież do woli „bezpiecznie” korzystała z baru, wiedząc, że żaden uczciwy gliniarz nie wsadzi tu nosa. Poufałość i pobłażanie rodziły dalsze przestępstwa. W barze hotelowym zaczęto handlować narkotykami, przeprowadzano też inne – równie nielegalne – transakcje. Hotel Central nie był już tylko zwykłym burdelem, stał się po prostu bagnem.

Bagnem z wyrokiem eksmisji nad głową.

Policja nie mogła w nieskończoność udawać, że nie widzi, zwłaszcza że z miesiąca na miesiąc notowano coraz więcej skarg od obywateli. Nawet zwykli pijacy przestali tam przychodzić. Jeśli ktoś zjawiał się w hotelu Central, znaczyło to tyle, że szuka dziwki, tanich narkotyków albo zaczepki. I tylko Bóg mógł uratować tych, którzy myśleli, że znajdą tam coś innego.

Pewnej nocy wydarzyło się to, co w końcu musiało się stać. Hotel Central spłonął do szczytu. Nikogo to szczególnie nie zdziwiło. Reporterzy lokalnej prasy nawet nie kwapili się za bardzo, by w jakiś specjalny sposób opisywać pożar. Policja, co oczywiste, była zachwycona. Pożar oszczędził im nalotu na to bagno.

Następnego ranka przyszło jednak zaskoczenie: choć cały personel i wszystkich klientów uratowano, wśród osmalonych ścian i belek stropowych znaleziono zwłoki – spalone do tego stopnia, że nie udało się ustalić tożsamości denata.

Ofiara była martwa jeszcze przed pożarem.

Te poszarpane fragmenty informacji były Rebusowi doskonale znane. Hotel stoczył się na samo dno. Ale teraz inspektor miał w rękach czarną księgę Holmesa z ciekawymi zapiskami. A przynajmniej na takie wyglądały. Rebus jeszcze raz z uwagą przeczytał fragment:

*Pożar w Central. El tam był! Poker na I piętrze.*

*Bracia R. zamieszani (może Mork też?). Dowiedz się.*

Studiował charakter pisma Holmesa, starając się ustalić, czy zapisano El czy E1: czy to była litera l, czy cyfra 1. A jeśli to była litera l, czy oznaczało to, że El jest fonetycznym zapisem litery l? Po co wykrzyknik? Można było sądzić, że to El (albo L, albo E-jeden) była dla Briana Holmesa jakimś objawieniem. Ale kim, do licha, byli bracia R.? Rebus natychmiast pomyślał o Michaelu i sobie, o braciach Rebus, ale szybko usunął ten obraz ze świadomości. A jeśli chodzi o Mork, to do głowy nie przychodziło mu nic innego, jak tylko tytuł kiepskiego programu telewizyjnego.

Był już za bardzo zmęczony, żeby rozwiązywać zagadki. Jutro będzie miał na to dosyć czasu. Może nawet Brian Holmes odzyska przytomność i będzie można z nim porozmawiać. Rebus postanowił zmówić za niego modlitwę, zanim położy się spać.

## Rozdział 3

NIESTETY, MODLITWA NIE ZOSTAŁA wysłuchana. Gdy Rebus zadzwonił do szpitala o siódmej rano, Brian Holmes nadal nie odzyskał przytomności.

– Czy on jest w śpiączce?

– Dziś rano przeprowadzimy badania. – Głos po drugiej stronie linii telefonicznej był chłodny i rzeczowy.

– Jakże?

– Czy jest pan członkiem najbliższej rodziny pana Holmesa?

– Nie, do cholery, nie jestem. Jestem... – Policyjnym śledczym? Jego szefem? Po prostu przyjacielem? – A zresztą... – Rzucił słuchawkę.

Jedna ze studentek zajrzała do pokoju i zapytała:

– Chce pan herbaty ziołowej?

– Nie, dzięki.

– A może muesli?

Rebus pokręcił głową. Uśmiechnęła się do niego i zniknęła. Herbata ziołowa i muesli, dobry Boże, pomyślał. Co to za sposób na rozpoczynanie nowego dnia? Drzwi od pakamery otworzyły się od środka i ku wielkiemu zdziwieniu Rebusa wyszła z niej, przecierając oczy, nastoletnia dziewczyna ubrana jedynie w męską koszulę. Uśmiechnęła się do niego, przechodząc przez pokój i kierując się w stronę korytarza. Szła na palcach, unikając pełnego kontaktu stóp z chłodnym linoleum.

Rebus patrzył przez dziesięć sekund jak oniemiały na drzwi pakamery i w końcu tam poszedł. Michael leżał nago na wąskim pojedynczym łóżku, które Rebus kupił w składzie używanych mebli w miniony weekend. Michael drapał się po klatce piersiowej i gapił w sufit. Powietrze wewnątrz pomieszczenia było cuchnące.

– Co ty, kurczę, sobie myślisz? – wybuchnął Rebus.

- To osiemnastka, John.
- Nie o to mi chodzi.
- Taaak? Więc o co niby ci chodzi?

Sam już nawet nie wiedział. Było coś totalnie nieestosownego w tym, że jego brat przyjmował w swojej kanciapce jakąś uczennicę, a on spał na kanapie niecałe trzy metry dalej. To było paskudne. Wszystko, bez dyskusji. Michael będzie musiał się stąd wyprowadzić, a on poszuka sobie jakiegoś hotelu albo innego lokum. To nie może tak dłużej trwać. To było nieuczciwe wobec studentów.

- Powinieneś częściej chodzić do pubu - zauważył Michael. - To jest właśnie twój problem.

- Co?

- John, ty po prostu nie dostrzegasz życia dookoła siebie. Czas, żebyś zaczął trochę normalniej funkcjonować.

Michael nadal się uśmiechał, gdy starszy brat trzasnął mu drzwiami przed nosem.

- **WŁAŚNIE DOWIEDZIAŁAM SIĘ** o Brianie.

Detektyw posterunkowa Siobhan Clarke patrzyła na niego przejęta. Zbladła tak bardzo, że pozostały jedynie dwa niewielkie rumieńce na kościach policzkowych i trochę bardziej czerwone usta. Rebus ruchem głowy dał jej znak, by usiadła. Przysunęła sobie krzesło bliżej jego biurka.

- Co się stało? - spytała.
- Ktoś uderzył go w głowę.
- Czym?

To było dobre pytanie, takie, które każdy detektyw powinien zadać od razu. To było właśnie to pytanie, które Rebus zapomniał zadać poprzedniego wieczoru.

- Nie wiemy - odpowiedział. - I nie mamy też żadnego motywu.

- Czy to wydarzyło się na zewnątrz Heartbreak Cafe?

Kiwnął głową.

- Z tyłu, na parkingu.

– Ciągłe powtarzał, że zabierze mnie tam na kolację.

– Brian zawsze dotrzymuje słowa. Nie bój się, Siobhan, on z tego wyjdzie.

Skinęła głową, starając się w to uwierzyć.

– Pojadę później go odwiedzić.

– Jak chcesz – odparł Rebus, choć sam nie był pewien, co ta odpowiedź miała naprawdę znaczyć.

Clarke spojrzała na niego.

– Tak, chcę.

Gdy wyszła, dokładnie zapoznał się z notatką od szefa dochodzeniówki, Lauderdale'a. Były w niej szczegółowe wyjaśnienia dotyczące planów wstępnej obserwacji działalności lichwiarskiej. Rebusa poproszono o „konstruktywne uwagi”. Uśmiechnął się, czytając to określenie. Wiedział, że Lauderdale specjalnie tak napisał, mając nadzieję, że zniechęci go do krytykowania wszystkiego, co tylko wpłynie na jego biurko. Chwilę później dostarczono mu sporą paczkę, na którą czekał. Rozchylił klapy kartonu i zaczął wyciągać opasłe teczki z dokumentami. To były akta śledztwa w sprawie hotelu Central, jego historia i opis przykrego końca. Wiedział, że studiowanie zawartości tych teczek zabierze mu cały poranek, więc odszukał na biurku notatkę od Lauderdale'a, napisał na nagłówku duże OK i podpisał się pod spodem. Wrzucił kartkę na tackę z wychodzącą pocztą wewnętrzną. Lauderdale pewnie nie uwierzy, że bez narzekania zaakceptował projekt obserwacji. To zapewne wprowadzi szefa dochodzeniówki w niezłą konsternację.

Całkiem dobry początek pracowitego dnia.

Rebus usiadł, wyciągnął pierwszą teczkę z kartonu i zaczął czytać.

**ZAPEŁNIAŁ JUŻ DRUGĄ KARTKĘ** notatkami, gdy zadzwonił telefon. To była Nell Stapleton.

– Nell, gdzie jesteś? – zapytał Rebus, nie przerywając pisania.

– W pracy. Myślałam, że zadzwonisz do mnie, jak dowiesz się czegoś nowego.



Dokończył pisać zdanie.

– Czego miałbym się dowiedzieć?

– Tego, co stało się z Brianem.

– Jeszcze nic nie wiem. Może sam nam coś opowie, jak się przebudzi.

Dzwoniłaś do szpitala?

– Rano, kiedy tylko wstałam.

– Ja też.

Rebus znowu zaczął pisać. Po drugiej stronie linii zapadła nerwowa cisza.

– A co z tym czarnym notatnikiem?

– Przejrzałem go.

– Znalazłeś coś, czego Brian się bał?

– Może tak, a może nie. Nie martw się, Nell. Pracuję nad tym.

– To dobrze. – W jej głosie dało się wyczuć ulgę. – Tylko jak Brian się obudzi, nie wspominaj mu, że coś ci powiedziałam, dobrze?

– A dlaczego nie? Przecież to... oznaka, że się nim przejmujesz.

– Jasne, że się przejmuję!

– Co oczywiście nie przeszkodziło w tym, że go rzuciłaś. – Już po chwili żałował tych słów. Niemal czuł jej cierpienie po drugiej stronie i wyobraził sobie, jak w bibliotece uniwersyteckiej ukrywa twarz przed koleżankami z pracy.

– John, nie znasz całej historii. Słyszałeś tylko wersję Briana.

– To prawda – przyznał. – Czy chcesz mi opowiedzieć swoją?

Zamilkła, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Nie tutaj, nie przez telefon. Może kiedy indziej.

– Kiedykolwiek będziesz miała ochotę, Nell.

– Muszę wracać do pracy. Odwiedzisz dziś Briana?

– Może wieczorem. Dziś będzie przechodził jakieś badania. A ty?

– Też wpadnę. Przecież to tylko dwie minuty stąd.

No właśnie. Rebus pomyślał o Siobhan Clarke. Z jakiegoś powodu nie chciał, by te dwie kobiety spotkały się przy łóżku Briana.

– O której godzinie planujesz go odwiedzić?

- Myślę, że w porze lunchu.
- Jeszcze jedna rzecz, Nell.
- Tak?
- Czy Brian ma jakichś wrogów?

Zamyśliła się.

- Nie - rzuciła w końcu.

Począł moment, licząc na to, że coś jeszcze doda.

- No dobrze. Trzymaj się, Nell.
- Ty też, John. Cześć.

Po odłożeniu słuchawki Rebus znowu zaczął robić notatki, jednak w połowie zdania przerwał i stukał w zamyśleniu końcem długopisu o usta. Przez dłuższy czas bawił się tak długopisem, po czym zadzwonił do swoich kontaktów (nie lubił słowa „kapusie”) i uczulił ich na informacje o napadzie przy Heartbreak Cafe.

- Ofiarą jest mój kolega, a to znaczy, że sprawa jest dla mnie szczególnie ważna, okej?

Użył słowa „kolega”, choć chciał powiedzieć: „przyjaciel”.

**W PORZE LUNCHU PRZESZEDŁ** się na uniwersytet i odwiedził zakład patologii. Zapowiedział swoją wizytę wcześniej i doktor Curt czekał na niego w swoim gabinecie. Miał na sobie kremowy prochowiec i nucił jakąś klasyczną melodię, którą Rebus od razu rozpoznał, ale nie zdołał wygrzebać z pamięci nazwiska kompozytora, co go jak zwykle w takich przypadkach zdenerwowało.

- O, pan inspektor. Co za miła niespodzianka.

- Naprawdę? - Rebus mrugnął.

- Oczywiście. Zwykle nieźle pan mi się daje we znaki, bo zawsze przychodzi pan z jakąś pilną sprawą lub niecierpiącym zwłoki śledztwem. Ale dzisiaj... - Curt szeroko rozpostarł ramiona. - Dzisiaj nie ma żadnej sprawy! A mimo to zadzwonił pan, żeby zaprosić mnie na lunch. Na St Leonard's najwyraźniej trochę się poluzowało.

Było zupełnie inaczej, ale Rebus wiedział, że wszystkie ważne sprawy znajdowały się w dobrych rękach. Przed wyjściem przekazał Siobhan Clarke tyle zadań, że pewnie nie będzie miała nawet czasu na przerwę na lunch poza kanapką i jakimś napojem. Gdyby narzekała, powiedziałaby jej, że może sobie zrobić przerwę po południu i wtedy odwiedzić Briana Holmesa.

– Zadzwoń się pan w nowej komendzie?

Rebus wzruszył ramionami.

– Nie ma dla mnie większego znaczenia, gdzie mnie usadzą. Dokąd idziemy?

– Pozwoliłem sobie zarezerwować stolik w Klubie Pracowników Uniwersytetu.

– To jakaś stołówka?

Curt zaśmiał się i pokręcił głową.

– Nie. To nie jest stołówka. Pomyślałem, że skoro pan funduje, to wyskoczmy do czegoś bardziej wyrafinowanego.

– No to chodźmy do tej rafinerii.

**RESTAURACJA MIEŚCIŁA SIĘ NA** parterze, koło głównych drzwi do Klubu Pracowników Uniwersytetu przy Chambers Street. Przeszli kawałek pieszo, nie rozmawiając o niczym szczególnym, bo i tak ledwie się słyszeli w hałasie ulicznym. Curt zawsze chodził tak, jakby już był spóźniony na jakieś spotkanie. Był bardzo zapracowanym człowiekiem – prowadził wykłady i zajęcia ze studentami, oprócz tego prawie wszystkie komendy policji z całej Szkocji zarzucały go dodatkowymi obowiązkami. A szczególnie dużo zleceń otrzymywał oczywiście od edynburskiej policji.

Sala restauracyjna nie była duża, ale zachowano dość spore odległości między stolikami. Rebus ucieszył się, widząc, że ceny nie są zbyt wygórowane, choć rachunek pewnie nie będzie mały, bo Curt zamówił wino.

– Ja funduję wino – powiedział.

Rebus pokręcił głową.

– Fundatorem jest komenda policji – oznajmił. W końcu miał zamiar zadeklarować rachunek jako umotywowany wydatek służbowy. Wino podano przed zupą. Gdy kelnerka napełniała kieliszki, Rebus zastanawiał się, kiedy powinien nastąpić moment na rozpoczęcie „prawdziwej” rozmowy.

– Na zdrowie! – powiedział Curt, podnosząc kieliszek. I zaraz dodał: – Więc o co chodzi? Nie jest pan typem, który tak sobie zaprasza kolegę na lunch, chyba że chodzi o coś, czego pan chce, a nie może dostać, stawiając jedynie piwo i drinki w zadymionym barze.

Rebus się uśmiechnął.

– Pamięta pan hotel Central?

– Norę przy Princes Street. Spaliła się jakieś sześć czy siedem lat temu.

– Tak naprawdę to pięć lat temu.

Curt upił łyk wina.

– Znaleziono tam zwęglone ciało, o ile dobrze pamiętam. Zwłoki w takim stanie nazywamy „chrupkiem”.

– Ale po sekcji okazało się, że ofiara nie zginęła w pożarze, prawda?

– Czy pojawiły się jakieś nowe dowody w tej sprawie?

– Niekoniecznie. Chciałem się tylko dowiedzieć, co pan z niej pamięta.

– Spróbuję sobie przypomnieć. – Curt przerwał, gdy podano zupę. Zjadł kilka łyżek i wytarł usta serwetką. – Nigdy nie udało się zidentyfikować ciała. Sprawdziliśmy nawet stan uzębienia, ale nic z tego nie wynikało. Wstępna obdukcja nie dała nam żadnych punktów odniesienia, a ludzie głupio wierzą, że spalone zwłoki nie opowiedzą żadnej historii. Rozciąłem ciało i odkryłem to, czego się spodziewałem: wszystkie organy wewnętrzne były w całkiem niezłym stanie. Ugotowane na zewnątrz, ale surowe w środku, jak dobry stek z francuskiej wołowiny. – Para ludzi przy sąsiednim stoliku bezgłośnie przeżuwała jedzenie, skupiając ciężki wzrok na stoliku. Curt albo tego nie dostrzegwał, albo zupełnie się tym nie przejmował. – Testy DNA wykorzystujemy dopiero od czterech lat i choć mieliśmy trochę krwi z serca, to nie dostarczono nam

żadnego materiału porównawczego. Oczywiście serce było decydującym dowodem.

– Ze względu na ranę po kuli.

– Dwie rany, panie inspektorze, wlotową i wylotową. Czyż nie to sprawiło, że znowu pan się tym zainteresował?

Rebus skinął głową. Przeszukiwali teren wokół miejsca, w którym pozostawiono zwłoki, a potem poszerzyli obszar, aż jeden z funkcjonariuszy znalazł pocisk kalibru osiem milimetrów pasujący do rany w sercu. Lecz nawet to nie rozwiązało zagadki.

– Odkrył pan także, że ofiara miała kiedyś złamaną rękę.

– Naprawdę?

– Ale to i tak nie popchnęło śledztwa.

– Zwłaszcza że – zaczął Curt, wycierając chlebem talerz po zupie – trzeba pamiętać o reputacji hotelu Central i o tym, że co drugi klient wdawał się w bójki i mógł coś sobie złamać.

Rebus pokiwał głową.

– Zgadzam się. Ale nie udało się go zidentyfikować. Jeśli byłby to stały klient albo osoba z personelu, to ktoś by w końcu coś bąknął. A tymczasem nie dostaliśmy żadnego cynku.

– To było dawno temu. Zamierza pan obudzić duchy?

– Na pewno nie był duchem ten, kto rozwalił czaszkę Brianowi Holmesowi.

– Sierżantowi Holmesowi? Co się stało?

**REBUS MIAŁ NADZIEJĘ**, że po południu poświęci jeszcze trochę czasu na czytanie dokumentacji tej sprawy. Myślał, że studiowanie materiałów zabierze mu najwyżej pół dnia, ale już na samym początku okazało się, że to założenie było zbyt optymistyczne. Teraz zdawał sobie sprawę, że przeglądanie dokumentów może potrwać nawet pół tygodnia, łącznie z wieczorami w domu. Materiał był bardzo obszerny. Przydługie raporty ze straży pożarnej, z wydziału budownictwa urzędu miasta, wycinki prasowe, dokumentacja z przesłuchań...

Gdy jednak wrócił do komendy przy St Leonard's, Lauderdale już tam na niego czekał. Przesłano mu notatkę o obserwacji z OK Rebusa i teraz chciał pchnąć sprawę do przodu. A to oznaczało, że Rebus utknął w gabinecie szefa dochodzeniówki prawie na dwie godziny. Pierwsza upłynęła na omawianiu kwestii personalnych. W drugiej godzinie dołączył do nich detektyw inspektor Alister Flower, który pracował w komendzie przy St Leonard's od jej otwarcia we wrześniu 1989 roku i przechwalał się ciągle, że gdy witał się z przybyłym z tej okazji wysokim urzędnikiem, okazało się, że obydwaj są masonami oraz że to Flower należał do starszego klanu.

Flower nie lubił przybyszów z komendy przy Great London Road i jeśli zdarzały się jakieś tarcia i niesnaski, to zazwyczaj gdzieś za nimi stał właśnie on. Jeżeli cokolwiek łączyło Lauderdale'a i Rebusa, była to obopólna niechęć do Flowera, chociaż Pierdziel dawał się powoli wciągać do jego obozu.

Rebus czuł niechęć nawet do tego, jak facet literował swoje imię. Od nazwiska, ale nie tylko, przezywał go Chwaścior i sądził, że to właśnie Flower miał coś do czynienia z nagłym zainteresowaniem się urzędu skarbowego jego przychodami z wynajmu mieszkania.

Podczas obserwacji lichwiarzy Flower miał być szefem drugiej ekipy. By się podlizać, Lauderdale dał mu prawo wyboru grup śledczych. Jedna miała przesiadywać w pubie, gdzie podobno spotykali się lichwiarze i oczekiwali na spłaty. Drugi zespół miał obserwować miejsce, które wyglądało na siedzibę gangu. Był to pokój wynajmowany od firmy taksówkarskiej przy Gorgie Road.

- Inwigilację na Gorgie Road uzgodniłem z Regionalną Komendą Zachód - powiedział Lauderdale, jak zwykle efektownie zza biurka.

Gdyby tak wziąć go na ulicę, pomyślał Rebus, byłby skuteczny jak pieprz na rany.

- Dobrze - zaczął Flower. - Jeśli inspektor Rebus nie ma nic przeciwko temu, wolalbym trzymać pieczę nad pubem. Jest trochę bliżej mojego domu. - Uśmiechnął się chytrze.

- Ciekawy wybór - skomentował Rebus z rękami skrzyżowanymi na piersiach i wyciągniętymi do przodu nogami.

Lauderdale kiwał głową; jego oczy tańczyły pomiędzy obydwoma inspektorami.

- To świetnie. Wszystko mamy ustalone. Przejdźmy zatem do szczegółów.

Omawiali te same informacje, które Rebus już poznał przed przybyciem Flowera. Próbował się skoncentrować, lecz nie potrafił. Chciał koniecznie wrócić do przeglądania zapisków ze śledztwa w sprawie hotelu Central, ale im bardziej się wkurzał, tym wolniej wszystko się toczyło.

Sam plan obserwacji był prosty. Lichwiarze działali w pubie Firth na Tollcross. Przychodzili tam interesanci i tam też dłużnicy spłacali swoje tygodniowe raty, a w ściśle określonym czasie zabierano pieniądze do biura przy Gorgie Road. Najważniejsze jednak, że można było tam spotkać głównego gracza tego biznesu.

Agenci lichwy pracujący w pubie Firth byli tylko trybikami maszyny. Zbierali gotówkę i najwyżej używali perswazji słownej, gdy spóźniano się ze spłatą. Ale w momencie krytycznym wszyscy kłaniali się nisko Daveyowi Dougary'emu. Davey pojawiał się co rano w biurze punktualnie jak każdy biznesmen. Parkował swoje bmw 635CSi przy poobijanych taksówkach. W drodze do biura, gdy było ciepło, zdejmował z siebie marynarkę i podwijał rękawy koszuli. Funkcjonariusze Wydziału Standardów Handlowych obserwowali Daveya już od dłuższego czasu.

W obydwie inwigilacje będą zaangażowani funkcjonariusze Wydziału Standardów Handlowych. Policja miała właściwie tylko jedno zadanie: dokonać aresztowań. To była akcja Wydziału SH i otrzymała kryptonim Worki Pieniądzy... Bardzo ciekawy wybór nazwy akcji, pomyślał Rebus ironicznie. I jaki oryginalny. Obserwacja w pubie oznaczała po prostu siedzenie na tyłkach, czytanie gazet, zaznaczanie pozycji koni na zakładach wyścigów konnych, granie w bilard czy domino lub słuchanie muzyki. O, tak, i jeszcze picie piwa; w końcu śledczy nie mogli wyróżnić się z tłumu.

Prowadzenie obserwacji biura gangu oznaczało głównie siedzenie w oknie pustego mieszkania na pierwszym piętrze kamienicy czynszowej po drugiej stronie ulicy. To miejsce nie miało żadnego uroku – brak tu było nawet działającej toalety i ogrzewania. Rury doprowadzające wodę i baterie, a nawet sedes, ukradziono podczas włamania parę miesięcy wcześniej. Co za radosna perspektywa pracy, zwłaszcza że to Holmes i Clarke mieli wziąć na siebie cały ciężar obowiązków, oczywiście pod warunkiem że Holmes do tego czasu wydobrzeje. Rebus już widział oczami wyobraźni swoich podwładnych spędzających długie godziny w tym miejscu, opatulonych w śpiwory, by się odrobinę ogrzać. No trudno – takie życie. Dzięki Bogu, Dougary nie pracował w nocy. I dzięki Bogu, że będą tu też ludzie z Wydziału Standardów Handlowych.

Mimo wszystko nadzieja na dorwanie Daveya Dougary’ego rozgrzewała serce Rebusa. Trudno będzie gangsterom go zastąpić, choć na zewnątrz może się wydawać, jakby nic się nie stało. Oczywiście, że Dougary był tylko jednym z poruczników Dużego Gera Cafferty’ego. Cafferty nawet raz pojawił się w tym biurze, co zostało utrwalone na kliszy fotograficznej. Pewnie nie dałoby to wiele – można mieć przecież tysiąc powodów, żeby po prostu wpaść do takiego biura. To nie przeszłoby w sądzie. Mogliby dorwać Dougary’ego, ale Cafferty był lata świetlne dalej. Cała pogoń za nim wyglądała, jakby pchali złom samochodu, a on jechał daleko przed nimi na piątym biegu.

– W takim razie – powiedział Lauderdale – możemy zaczynać już od następnego poniedziałku, tak, panowie?

Rebus przebudził się z zadumy. Jasne było, że wiele rzeczy przedyskutowano podczas jego duchowej nieobecności. Zastanawiał się, czy zgodziłby się ze wszystkimi punktami dyskusji. Jego milczenie bez wątpienia przyjęto za ciche wyrażenie zgody.

– Nie widzę żadnych przeciwwskazań – odezwał się Flower.

Rebus poruszył się na krześle, wiedząc, że już niedługo będzie mógł stąd nareszcie wyprysnąć.

– Pewnie będą potrzebował kogoś na zastępstwo za detektywa sierżanta Holmesa.



– Ach, tak. A jak on się czuje?

– Dziś jeszcze nie miałem żadnych wiadomości, szefie – odparł Rebus.

– Zadzwoń do szpitala koło pierwszej.

– Dobrze. I daj mi znać, co się z nim dzieje.

– Robimy na niego zrzutkę – oznajmił Flower.

– Rany boskie, przecież on żyje!

Flower przyjął ten wybuch spokojnie.

– No i co z tego?

– To miły gest – skomentował Lauderdale.

Flower skłonił skromnie głowę. Lauderdale wyjął portfel, wyciągnął niechętnie opuszczający jego ciepłą przegródkę pięcioletni banknot i wręczył go Flowerowi.

Ale rzucił kasą, pomyślał Rebus z przekąsem. Nawet Flower był zaskoczony.

– Pięć funciaków – skomentował niepotrzebnie.

Lauderdale nie oczekiwał wyrazów wdzięczności. Chciał, by Flower tylko wziął te pieniądze. Portfel zniknął w otchłani marynarki, a Flower wsunął banknot do kieszeni koszuli i wstał z krzesła. Rebus też wstał i pospiesznie ruszył w stronę drzwi, by nie być sam na sam z Flowerem w korytarzu, ale Lauderdale go zatrzymał.

– Jeszcze słówko, John.

Wychodząc, Flower wciągnął głośno powietrze, jakby oczekiwał, że Rebus dostanie ochrzan. W rzeczywistości Lauderdale wcale nie zamierzał tego zrobić.

– Rano przechodziłem koło twojego biurka. Zauważyłem, że masz akta sprawy pożaru hotelu Central. Grzebiesz w starociach? – Gdy Rebus nie odpowiedział, spytał z naciskiem: – Powinienem o czymś wiedzieć?

– Nie. – Rebus znów ruszył w stronę drzwi. Flower pewnie był już daleko. – To nic takiego, żeby pana tym kłopotać. Tak po prostu czytam sobie. Można by to nazwać projektem historycznym.

– Taka policyjna archeologia?

To była prawda: szkielety i hieroglify, i próba przywrócenia martwych do życia.

- Przeszłość ma znaczenie, szefie – odpowiedział Rebus i wyszedł.

## Rozdział 4

**PRZESZŁOŚĆ NA PEWNO MIAŁA** znaczenie dla Edynburga. Miasto żywiło się nią jak wąż polykający własny ogon. Wydawało się, że przeszłość Rebusa zatacza podobny krąg. Na biurku znalazł wiadomość napisaną ręką Clarke. Pojechała odwiedzić Holmesa, ale najpierw odebrała telefon do swojego szefa i zanotowała wiadomość.

*Dzwonił detektyw inspektor Morton z Falkirk. Będzie próbował później. Nie powiedział, o co chodzi. Był bardzo spięty. Wracam za dwie godziny.*

Mimo że Rebus pozbawił ją przerwy na lunch, Siobhan Clarke należała do tych, którzy potrafią zostać w pracy przez kilka nocy, by uczciwie odpracować te dwie godziny. Chociaż była Angielką, miała w charakterze coś ze szkockiego protestanta. To nie jej wina, że dano jej imię Siobhan. W latach sześćdziesiątych jej rodzice wykładali literaturę angielską na Uniwersytecie Edynburskim. Wybrali dla córki celtyckie imię, po czym przeprowadzili się z powrotem do Anglii, a ona zaczęła chodzić do szkoły w Nottingham, a później w Londynie. Wróciła jednak do Edynburga, zapisała się tu do college'u i zakochała w tym mieście (przynajmniej tak opowiadała). Zdecydowała się wstąpić do policji i zrobić tu karierę (co pewnie odepchnęło od niej przyjaciół i zantagonizowało liberalnych rodziców, jak podejrzewał Rebus). Ale skoro kupili jej mieszkanie w ekskluzywnym New Town, to pewnie niesnaski nie były zbyt poważne.

Rebus uważał, że ta dziewczyna doskonale sobie poradzi w policji, mimo konieczności współpracy z ludźmi takimi jak on. Wszyscy zdawali sobie sprawę z tego, że policjantki, by się wykazać i awansować, musiały pracować znacznie ciężiej niż ich koledzy na tych samych stanowiskach. Clarke pracowała już wystarczająco dobrze i – Jezu! – jaką ona miała

pamięć. Po miesiącu mógł zapytać o dowolną notatkę z jego biurka, a wydeklamowałaby z pamięci całą rozmowę, słowo po słowie. Aż się tego bał.

Bał się też trochę tego, że akurat w tym czasie w notatce z rozmowy telefonicznej pojawiło się nazwisko Jacka Mortona. To kolejny duch z przeszłości. Gdy pracowali razem sześć lat temu, Rebus nie dawał młodszemu Mortonowi więcej niż pięć lat życia, biorąc pod uwagę, ile wypalał papierochów i wypijał gorzały.

Na karteczce nie było numeru kontaktowego. Wprawdzie ustalenie numeru telefonicznego Mortona zabrałoby mu tylko parę minut, ale Rebus nie miał na to ochoty. Za to z chęcią przystąpił do studiowania teczek leżących na biurku. Wcześniej jednak zadzwonił do szpitala, by dowiedzieć się, co się dzieje z Holmesem. Powiedziano mu, że nic się nie dzieje, ale przynajmniej stan się nie pogorszył.

– To nie jest zbyt radosna informacja.

– Nic na to nie poradzę – odpowiedział głos po drugiej stronie linii telefonicznej. – Wyniki badań będą znane dopiero jutro rano.

Rebus pogrążył się przez moment w zadumie, po czym zadzwonił do pracy Patience Aitken. Patience, niestety, wyszła na wizytę domową, więc zostawił wiadomość. Poprosił, by recepcjonistka przeczytała mu ją, dzięki czemu upewnił się, że wszystko dobrze zapisała.

*Pomyślałem, że zadzwonię, by ci powiedzieć, jak czuje się Holmes. Szkoda, że cię nie zastałem. Możesz zatelefonować do mnie do mieszkania, gdybyś miała ochotę. John.*

Tak, tyle wystarczy. Teraz będzie musiała się do niego odezwać, żeby udowodnić, że zdrowie Holmesa nie jest jej obojętne. Z okrucieństwem nadziei w sercu Rebus powrócił do swoich zajęć.

**DO MIESZKANIA DOTARŁ** O szóstej, po zrobieniu małych zakupów. Zrezygnował z zabrania dokumentów starego śledztwa do domu, bo chciał wreszcie mieć trochę wytchnienia. Był zmęczony, bolała go głowa i miał

nos zapchany kurzem unoszącym się ze starych kartek. Mozolnie wspiął się po schodach, otworzył drzwi i zaniósł torby z zakupami spożywczymi do kuchni, gdzie jeden ze studentów smarował właśnie masłem orzechowym grubą kromkę razowego chleba.

– Siemka, panie Rebus. Ktoś do pana dzwonił.

– Taaa?

– Jakaś lekarka.

– Kiedy?

– Z dziesięć minut temu.

– Co mówiła?

– Chciała się dowiedzieć czegoś o...

– Brianie? Brianie Holmesie?

– O, właśnie. „Jeśli chciałabym dowiedzieć się o jego stan, to zadzwoniłabym do szpitala, co zresztą zrobiłam już dzisiaj dwukrotnie”. – Student był zachwycony sobą, że zdołał dokładnie zapamiętać całą wiadomość.

Więc Patience przejrzała jego podstęp. Powinien był to przewidzieć. To właśnie inteligencja, oprócz oczywiście innych rzeczy, tak go w niej pociągała. Poza tym w wielu sprawach byli do siebie podobni. Rebus powinien był już dawno zdać sobie sprawę, że nie można wykiwać kogoś, kto doskonale wie, jak działa twój umysł. Z torby z zakupami wyciągnął pojemnik z jajkami, puszkę fasoli i paczkę bekonu.

– O mój Boże – westchnął student. – Czy pan wie, że świnie są bardzo inteligentne?

Rebus spojrzął na jego kanapkę.

– Na pewno o niebo inteligentniejsze od orzeszków ziemnych – odpowiedział ironicznie. – Gdzie jest patelnia?

**PO POSIŁKU REBUS WŁĄCZYŁ** telewizor. Po chwili uszczypnął się w policzek – przecież powinien odwiedzić Holmesa. Pomyślał, że szybciej będzie przejść przez park The Meadows, niż objeżdżać go dookoła samochodem.

Poszedł więc pieszo i po drodze starał się oczyścić umysł. Sama wizyta była jednak przygnębiająca. Ani odrobiny poprawy.

– Jak długo może pozostawać w takim stanie?

– To może trochę potrwać – oznajmiła pielęgniarka.

– To już trochę trwa.

Ścisnęła go za ramię.

– Cierpliwości, cierpliwości.

Ten nagły gest kobiety sprawił, że Rebus pomyślał o Patience. Patience! Już chciał brać taksówkę, by do niej pojechać, ale porzucił ten pomysł. Zamiast tego poszedł pieszo z powrotem na Arden Street, wdrapał się po trzeszczących starych schodach i rzucił na kanapę. Tyle wieczorów spędził, rozmyślając w tym pokoju, ale było to jeszcze wtedy, gdy miał całe mieszkanie tylko do siebie.

Do salonu wszedł Michael, odświeżony po prysznicu i goleniu. Wokół bioder i płaskiego brzucha miał owinięty ręcznik. Był w dobrej formie, czego Rebus wcześniej nie zauważył. Za to teraz zauważył to Michael i poklepał się po brzuchu.

– Jedyne plus mojego pobytu w Peterhead to sporo ćwiczeń.

– Pewnie musiałeś złapać formę, żeby się bronić, gdyby ktoś chciał ci się dorwać do dupska – zakpił Rebus.

Po Michaelu ten przytyk spłynął jak woda.

– Pedziów było tam pełno, ale mnie to jakoś nie pociągało. – Gwiżdżąc, wszedł do pakamery i zaczął się ubierać.

– Wychodzisz na miasto?! – zawołał Rebus.

– A po co mam tu siedzieć?

– Idziesz się znowu spotkać z tą sikszą?

Michael zajrzał do salonu.

– Zgodnie z prawem może już spotykać się z dorosłymi.

– To siksa – rzucił Rebus i zerwał się na nogi. Podszedł do pakamery i spojrzął na Michaela, zmuszając go do przerwania ubierania się.

– A co? Mam przestać spotykać się z kobietami? Jeśli to ci się nie podoba, to już twój problem.

Rebus zastanawiał się przez chwilę nad odpowiedzią. To moje mieszkanie... Jestem jego starszym bratem... Powinien wiedzieć, co robi... Był pewien, że Michael zacznie się z tego wszystkiego śmiać – i byłoby to całkiem zrozumiałe. Więc wymyślił zupełnie inną odpowiedź.

– Pieprz się, Mickey.

Michael znowu zaczął się ubierać.

– Przykro mi, że tak bardzo cię rozczarowałem, ale co mam robić? Siedzieć tu z tobą przez cały wieczór i patrzeć, jak coś cię zżera od środka, albo słuchać twoich fochów, albo czegokolwiek, co tam właśnie gryzie twój mózg? Nie, dzięki. Po prostu wielkie dzięki.

– Miałeś się rozglądać za jakąś pracę.

Michael podniósł książkę z łóżka i rzucił nią w brata.

– Szukam pieprzonej pracy! A myślisz, że czym się zajmuję przez cały dzień? Daj sobie luzu, brachu. Dobra? – Złapał kurtkę i przepchnął się obok Rebusa. – I nie czekaj na mnie wieczorem!

Rebus zasnął przed wiadomościami o dziesiątej i śniły mu się niezłe głupoty – gonił Patience po jakimś biurowcu i nie mógł jej złapać. Potem śniło mu się, że jest w restauracji z nastolatką, a do kolacji przygrywiają im zupełnie niezauważeni – stojący gdzieś w kącie na małej scenie – Rolling Stonesi. Obserwuje, jak pali się hotel aż do gołej ziemi, zastanawiając się, czy Brian Holmes nadal jest uznany za zaginionego, czy może wydostał się stamtąd żywy...

Obudził się wstrząsany dreszczami. Pokój był oświetlony poświatą z latarni ulicznych docierającą przez szczelinę między zasłonami. Zasnął, czytając książkę, którą Michael w niego rzucił. Była o terapii hipnozą i nadal leżała na jego brzuchu, pod kocem, którym ktoś go przykrył. Usłyszał jakiś hałas – odgłosy seksu. Dochodziły z pakamery. Niezła terapia, pomyślał Rebus. Przysłuchiwał się tym dźwiękom przez chwilę, która wydawała się nieskończonością, aż na zewnątrz zaczęło się robić błado.

## Rozdział 5

ANDREW MCPHAIL SIEDZIAŁ PRZY oknie swojej sypialni. Po drugiej stronie ulicy na szkolnym podwórzu dzieci stały parami przed drzwiami do szkoły. Chłopcy musieli trzymać się za ręce z dziewczynkami, nadzorowani przed dwie opiekunki, które zupełnie nie wyglądały na matki, a co dopiero na nauczycielki. McPhail popijał zimną herbatę z kubka i obserwował. Szczególnie przyglądał się dziewczynom. Każda z nich mogła być Melanie. No ale Melanie była przecież starsza. Niewiele starsza, ale jednak. Nie starał się siebie oszukiwać. Zdawał sobie sprawę z tego, że nie było najmniejszej szansy, żeby Melanie chodziła do tej szkoły. Prawdopodobnie nie było jej już w Edynburgu. Ale i tak obserwował dzieci i wyobrażał sobie, że jej dłoń trzyma chłodną, mokrą dłoń jednego z chłopców. Małe, delikatne paluszki, cieniutkie linie papilarne, rozpoczynające się na opuszkach palców. Jedna z dziewczynek była nawet całkiem podobna do Melanie. Miała krótkie, proste włosy założone za uszy. Była podobnego wzrostu, ale twarz, z tego, co widział z daleka, nie była wcale podobna do Melanie. Nie, ta dziewczynka w ogóle nie była do niej podobna. A poza tym jakie to miało dla niego znaczenie?

Dzieci wchodziły teraz do budynku szkolnego, zostawiając McPhaila z zimną herbatą i wspomnieniami. Słyszał hałasy z dołu. Pani MacKenzie myła naczynia i prawdopodobnie tłukła lub wyszczerbiała ich tyle samo, ile udało jej się umyć nietkniętych. Nie jej wina; wzrok bardzo już jej bardzo osłabł. Wszystko wokół niej się waliło. Ale miała przynajmniej dom wart ze czterdzieści tysięcy funtów. Niezłe pieniądze. A co on miał? Tylko wspomnienia z Kanady i z tego, co działo się przed wyjazdem do Kanady.

W kuchni rozbił się na podłodze talerz. To nie może tak się ciągnąć, nie może. Nic z tego jej nie zostanie. Nie chciał nawet myśleć o papuzce w salonie...



Dopił resztki mocnej herbaty z dna kubka. Od kofeiny zakręciło mu się w głowie, a na czole pojawiły się krople potu. Plac zabaw był pusty, drzwi szkoły zamknięto. Przez okna nie mógł już nic więcej zobaczyć. Najwyżej jakiegoś marudera spóźniającego się na lekcje, ale nie chciał marnować więcej czasu. Miał robotę do wykonania. Dobrze jest być czymś zajęтым. Aktywność utrzymuje człowieka w zdrowiu psychicznym.

- **DUŻY GER** – wyjaśniał Rebus. – Jego prawdziwe nazwisko brzmi Cafferty. Morris Gerald Cafferty.

Z poczucia obowiązku i mimo swojej doskonałej pamięci detektyw posterunkowa Siobhan Clarke zapisywała jego słowa w notatniku. Rebus nie miał nic przeciwko temu. To dobre ćwiczenie, uważał. Gdy pochylała się, by coś zapisać, widział czubek jej głowy, jasnobrązowe włosy opadające do przodu. Była ładna w naturalny sposób. Nawet przypominała mu trochę Nell Stapleton.

- Jest kluczowym graczem, a jeśli się nam wystawi, to go bierzemy. Operacja Worki Pieniędzy skupiona jest jednak głównie na Davidzie Charlesie Dougarym, znanym jako Davey. – Znowu jego słowa znalazły się na papierze. – Dougary wynajmuje biuro od firmy taksówkarskiej przy Gorgie Road.

- To chyba niezbyt daleko od Heartbreak Cafe?

To pytanie go zaskoczyło.

- To prawda. Rzeczywiście, nie jest daleko.

- A właściciel restauracji wspomniał coś o płaceniu za ochronę?

Rebus pokręcił głową.

- Trzymaj się naszego śledztwa, Clarke.

- Ale przecież ci ludzie zajmują się także wymuszeniami, prawda?

- Nie ma zbyt wielu rzeczy, w które Duży Ger Cafferty nie jest zamieszany: pranie pieniędzy, prostytutka. To kawał bydlaka, ale nie o to chodzi. W tej chwili koncentrujemy się na lichwiarstwie, pożyczkach na wielki procent. I koniec, kropka.

– Chcę tylko powiedzieć, że może sierżant Holmes został napadnięty przez pomyłkę zamiast właściciela knajpy.

– Istnieje takie prawdopodobieństwo – przyznał Rebus. A jeśli to prawda, pomyślał, to marnuję mnóstwo czasu na badanie starej sprawy. Choć zgodnie z tym, co powiedziała Nell, Brian boi się czegoś związanego z zapiskami w swojej czarnej księdze. I dlatego, że zaczął się interesować tajemniczymi braćmi R. – Wróćmy do naszej sprawy, dobra? Zajmiemy punkt obserwacyjny po drugiej stronie ulicy naprzeciwko tej firmy taksówkarskiej.

– Obserwacja całodobowa?

– Zaczniemy od godzin pracy, Dougary ma raczej ustalone godziny urzędowania.

– A czym niby zajmuje się w tym swoim biurze?

– Jak twierdzi, wszystkim, począwszy od drobnej działalności gospodarczej, po organizowanie paczek żywnościowych dla Trzeciego Świata. Nie zrozum mnie źle. Dougary to bystrzak. Wytrzymał najdłużej ze wszystkich współpracowników Dużego Gera. Ma swoje napady maniakalne, o czym warto pamiętać. Kiedyś aresztowaliśmy go po awanturze pijackiej w pubie. Odgryzł komuś ucho. Gdy dojechaliśmy na miejsce, już je tak potwornie pogryzł, że nie udało się go odzyskać.

Rebus zawsze spodziewał się reakcji na swoje ulubione opowiadki, ale Siobhan Clarke tylko się uśmiechnęła i powiedziała:

– Kocham to miasto. – Po chwili zapytała: – Mamy teczkę Cafferty’ego?

– Ależ oczywiście! Jest mnóstwo teczek. Możesz przeryć je dokładnie. Wtedy dopiero zrozumiesz, z kim mamy do czynienia.

Skinęła głową.

– Przejrzę je. A kiedy rozpoczynamy obserwację?

– Od samego rana w poniedziałek. Wszystko będzie przygotowane w niedzielę. Mam nadzieję, że wreszcie dostaniemy porządną kamerę. – Zauważył, że Clarke odetchnęła. – Nie bój się, nie przegapisz meczu Hibsów.

Uśmiechnęła się.

– Mają mecz wyjazdowy w Aberdeen.

– Pojedziesz?

– Oczywiście.

Clarke starała się nie opuścić żadnego meczu. Rebus pokręcił głową. Nie znał zbyt wielu fanów Hibsów.

– Nie jechałbym tak daleko na mecz rewanżowy.

– Oczywiście, że by pan pojechał.

Dopiero teraz się uśmiechnął.

– Są jakieś nowe, ciekawe wieści? Co mamy dzisiaj na tapecie?

– Rozmawiałam z rzeźnikiem. Nic nowego nie powiedział. Myślę, że więcej byśmy wydusili z półtuszy wiszących w jego chłodni. Ale jeździ mercedesem, a to drogi samochód. Rzeźnicy chyba nie wyróżniają się zbyt wysokimi zarobkami? Co pan o tym sądzi?

Rebus wzruszył ramionami.

– Sami ustalają ceny. Nie wyciągałbym zbyt pochopnych wniosków.

– No dobrze. Wybieram się zaraz do jego domu, żeby wyjaśnić parę drobiazków.

– Ale przecież on już będzie w sklepie.

– Niestety, tak.

Rebus załapał, o co chodzi.

– Chcesz porozmawiać z jego żoną.

– Taką mam właśnie nadzieję. Może zaprosi mnie na herbatkę, pogawędzimy trochę w salonie. Zapytam o Rory'ego. Coś może wypłynie.

– Więc chcesz zerknąć na ich domowe życie i liczysz na to, że gadatliwa żona wrzuci coś ciekawego do kotła. – Pokiwał powoli głową. To było niezwykle przebiegłe. Sam powinien być o czymś takim pomyśleć. – No to bierz się do tego, dziewczyno! – rzucił się po chwili.

Siobhan Clarke wyszła, a on podniósł z podłogi jedną z teczek z dokumentami śledztwa w sprawie spalonego hotelu i położył ją na biurku.

W trakcie czytania kolejnej strony zamarł. Była to lista klientów hotelu z dnia wybuchu pożaru. Jedno nazwisko natychmiast rzuciło mu się

w oczy.

– I ja mam w to uwierzyć?

Zerwał się i włożył marynarkę. Kolejny duch z przeszłości i jeszcze jedno usprawiedliwienie, by wymknąć się z komendy.

To był duch Matthew Vanderhyde'a.

## Rozdział 6

DOM, KTÓRY STAŁ OBOK DOMU Vanderhyde'a, wyglądał tak samo zwariowanie jak zawsze. Jego właścicielem był stary nacjonalista, który wywiesił na bramie flagę z krzyżem świętego Andrzeja, a okna zalepił czymś, co wyglądało na trzydziestoletnią bibułę. Do środka chyba nie wpadało za dużo światła. Podobnie było w domu, do którego wybierał się Rebus. Jego okna były zasłonięte grubymi storami.

Nacisnął dzwonek i czekał. Przez głowę przemknęła mu myśl, że przecież Vanderhyde może już nie żyć. Pewnie przekroczył siedemdziesiątkę i choć ostatnim razem, gdy się spotkali, wyglądał zdrowo, to teraz mogło być różnie. Minęły już przecież ze dwa lata.

Rebus konsultował się wtedy z Vanderhyde'em w pewnej sprawie związanej z prowadzonym dochodzeniem. Po zamknięciu śledztwa wpadał do Vanderhyde'a co jakiś czas towarzysko. W końcu mieszkali od siebie zaledwie sześć przecznic. Odkąd jednak Rebus zaczął mieszkać u doktor Patience Aitken, nie znalazł już czasu na odwiedziny.

Drzwi się otworzyły i stanął w nich Matthew Vanderhyde. Wyglądał tak samo jak zwykle. Jego niewidzące oczy ukryte były za ciemnymi, zielonymi szklami okularów, nad którymi świeciły wysokie czoło i długie, zaczesane do tyłu żółtawosiwie włosy. Ubrany był w beżowy sztruksowy garnitur z brązową kamizelką, a z jej kieszeni zwisał złoty łańcuszek zegarka. Mężczyzna podpierał się lekko laską ze srebrnym okuciem, czekając, aż gość coś powie.

– Witam, panie Vanderhyde.

– Aaa, inspektor Rebus. Zastanawiałem się, czy jeszcze kiedykolwiek pan tu zawita. Zapraszam do środka. – Z tonu jego głosu można było wnioskować, że spotkali się zaledwie dwa tygodnie temu. Poprowadził gościa przez ciemny korytarz do jeszcze ciemniejszego salonu. Rebus

ledwo dostrzegął kształty szaf na książki, obrazów i wielkiego gzymsu kominka, na którym stały pamiątki z zagranicznych podróży. – Jak pan widzi, nic się nie zmieniło od pana ostatniej wizyty.

– Cieszę się, widząc pana w tak dobrej formie.

Vanderhyde nie zwrócił uwagi na komplement.

– Herbaty?

– Nie, dziękuję.

– Bardzo mi miło, że pan do mnie wpadł. Znaczy to zapewne, że jest coś, co mogę dla pana zrobić.

Rebus się uśmiechnął.

– Przepraszam, że przestałem pana regularnie odwiedzać.

– To wolny kraj, a ja się przez to nie rozkleiłem.

– Właśnie widzę.

– Więc o co panu chodzi? O jakieś czary? Szatańskie sprawy na ulicach miasta?

Rebus cały czas się uśmiechał. W latach sprawności Matthew Vanderhyde był aktywnym wyznawcą białej magii. Przynajmniej Rebus miał nadzieję, że była to biała magia. Nigdy zresztą o tym nie rozmawiali.

– Sądzę, że nie ma to nic wspólnego z magią – wyjaśnił. – Chodzi o hotel Central.

– Hotel Central? Och, to radosne wspomnienia, inspektorze. Chodziłem tam jako młody człowiek. Popołudniowe potańcówki, niezłe jedzenie. W tamtych dniach mieli świetnych kucharzy. Parę razy byłem nawet na balach.

– Mam na myśli bardziej współczesne czasy. Był pan w hotelu, gdy go podpalono.

– Nie przypominam sobie, by udowodniono, że było to umyślne podpalenie.

Jak zwykle pamięć Vanderhyde'a była niezwykle ostra... ale tylko wtedy, gdy mu to odpowiadało.

– Tak, ale nie zmienia to faktu, że pan tam był.

– Owszem, byłem, wyszedłem jednak z hotelu wiele godzin przed wybuchem pożaru. Niewinny, Wysoki Sądzie.

– Po co pan tam był?

– Umówiłem się z przyjacielem na drinka.

– Dość obskurne miejsce na spotkanie towarzyskie.

– Naprawdę? Musi pan pamiętać, inspektorze, że przecież nic nie widziałem. W środku na pewno nie pachniało pięknie ani też nie było zbyt wytwornie.

– Cofam moje słowa.

– Pamiętałem go z lepszych czasów. Dla mnie to był ten sam hotel Central, do którego chodziłem na lunchy i potańcówki. Tamtego wieczoru też dobrze się bawiłem.

– Więc to pan wybrał Central na spotkanie?

– Nie, mój przyjaciel.

– A kim był ten pana przyjaciel?

Vanderhyde zastanowił się nad odpowiedzią.

– Och, nie robię z tego tajemnicy. To był Aengus Gibson.

Rebus szukał pospiesznie w pamięci.

– Nie jest to czasem Czarny Aengus?

Vanderhyde zaśmiał się szeroko, ukazując małe poczerwiałe zęby.

– Lepiej niech się nie dowie, że pan go tak nazywa.

Tak. Aengus Gibson przeżył głęboką metamorfozę i wszyscy o tym wiedzieli. Był jednym z najbardziej pożądanych kawalerów do wzięcia w Szkocji, jeśli wiek trzydziestu dwóch lat można uznać za kawalerski. Czarny Aengus był jedynym spadkobiercą Gibson's Brewery i wszystkiego, co się z tym browarem wiązało.

– Aengus Gibson – powtórzył Rebus.

– Właśnie on.

– Ale to było pięć lat temu, gdy miał jeszcze...

– ...pstro w głowie? – Vanderhyde zachichotał. – Ach, zdecydowanie zasłużył sobie na swój przydomek. Gazety doskonale określiły jego charakter, gdy nazwały go Czarny.

Rebus coś sobie przypomniał.

– Nie widziałem jego nazwiska w zapisach, choć pana nazwisko tam widnieje.

– Jestem pewien, że rodzina Aengusa dopilnowała, by jego nazwisko nie pojawiło się w raportach ze śledztwa. To dałoby mediom więcej paliwa, niż było to potrzebne.

Jezu, Czarny Aengus tak dawał czadu, że nawet londyńskie gazety się nim interesowały. Kręcił się jak pozbawiony kontroli kołowrotek w spirali coraz to dziwniejszych wybryków, ale nagle wszystko ucichło. Został zresocjalizowany i obecnie był szanowanym człowiekiem. Pracował w biznesie browarnianym i działał na rzecz wielu organizacji charytatywnych.

– Pantera zmieniła kolor swoich cętek, inspektorze. Wiem, że wy, w policji, nie wierzycie w takie przypadki. Dla was każdy, kto kiedyś łamał prawo, zawsze już pozostanie przestępcą. Podejrzewam, że musicie być cynikami w swojej pracy, ale w przypadku młodego Aengusa pantera naprawdę się zmieniła.

– Wie pan dlaczego?

Vanderhyde wzruszył ramionami.

– Może po naszej rozmowie.

– Tego wieczoru w hotelu Central?

– To jego ojciec poprosił mnie, żebym z nim porozmawiał.

– Więc zna pan dobrze tę rodzinę?

– Od dawna. Aengus uważał mnie bardziej za wujka niż za kogoś obcego. Słyszałem, że hotel Central został zrównany z ziemią. To miało wręcz symboliczne znaczenie. Może dla niego też. Oczywiście wiem, jaką zdobył wcześniej reputację: totalnie pozbawionego moralności typka. Gdy przydarzył się ten pożar, pomyślałem właśnie, że czas na Feniksa, by odrodził się z popiołów. I tak też się stało. – Przerwał na chwilę i dokończył: – A pan przyszedł do mnie zadawać pytania o dawno zapomniane wydarzenia.

– Znalaziono zwłoki.



- A, tak, ale ich nie zidentyfikowano.

- To było morderstwo.

- I nagle pan wznowił akurat to zakończone dawno śledztwo. Ciekawe.

- Chciałem pana prosić, by opowiedział mi pan, co pan pamięta z tamtego wieczoru. Kogo pan spotkał, cokolwiek, co mogło wydać się podejrzan.

Vanderhyde przechylił głowę na bok.

- Tego wieczoru było tam wielu ludzi, inspektorze. Przecież ma pan ich listę. A jednak zdecydował się pan rozmawiać ze ślepcem?

- No właśnie - odparł Rebus. - Ze ślepy męczyzną o fotograficznej pamięci.

Vanderhyde się uśmiechnął.

- Pewnie. Jakies wrażenia zapamiętałem. - Zastanowił się nad tym, co powiedzieć. - Dobrze. Wyznam panu wszystko, co pan chce wiedzieć, panie inspektorze. Ale chcę pana prosić o jedną rzecz.

- O co?

- Muszę się stąd ruszyć. Niech mnie pan zabierze na wycieczkę, dobrze?

- Ma pan jakieś szczególne miejsce na myśli?

Vanderhyde był zdziwiony tym pytaniem.

- Do hotelu Central, oczywiście!

- **JESTEŚMY NA MIEJSCU** - oświadczył Rebus. - Albo raczej w miejscu, w którym kiedyś tu był. W tej chwili stoi pan twarzą do hotelu.

Czuł na sobie spojrzenia przechodniów. W porze lunchu Princes Street była pełna pracowników biurowych podążających w różne strony. Kilku z nich wyglądało na rozżłoszczonych tym, że musieli manewrować pomiędzy dwoma mężczyznami stojącymi bez ruchu pośrodku chodnika. Większość mijających zauważyła, że jeden z nich jest niewidomy, a drugiego brali za jego przewodnika, więc w ramach współczucia nie marudzili.

- Co tu teraz jest, inspektorze?

– Fast food z hamburgerami.

Vanderhyde skinął głową.

– Tak właśnie mi się wydawało, że poczułem zapach mięsa. Znowu jakaś franszyza, pewnie amerykańska. A tyle ciekawych rzeczy działo się kiedyś na Princes Street. Czy wiedział pan, że gdy powstała organizacja Miecz i Tarcza Szkocji, jej członkowie spotykali się w sali balowej tego hotelu? Mnóstwo ludzi i wszyscy pragnęli przywrócenia królestwa Dalriady i powrotu dni chwały.

Rebus milczał, wygrzebując z pamięci informacje o celtyckiej monarchii, która po unii z Piktami dała początek państwu szkockiemu.

– Nie pamięta pan organizacji Miecz i Tarcza, odgałęzienia Partii Narodowej?

– To musiało być, zanim się urodziłem.

– No tak, całkiem możliwe. To były lata pięćdziesiąte. Sam byłem na dwóch mityngach. Nawoływali do walki zbrojnej, a potem pili herbatę i jedli babeczki. Długo to wszystko nie trwało. Broderick Gibson był przez rok przewodniczącym.

– Ojciec Aengusa?

– Tak. – Vanderhyde wszystko pamiętał. – Tu niedaleko był pub, znany z politykujących i czytających poezje klientów. Po mityngach często tam zaglądaliśmy.

– Wspomniał pan, że był pan tylko na dwóch mityngach...

– Pewnie na kilku więcej.

Rebus uśmiechnął się z przekąsem. Gdyby chciało mu się drażnić temat, okazałoby się, że niejaki M. Vanderhyde też był przez jakiś czas przewodniczącym partii Miecz i Tarcza.

– To był świetny pub – wspominał Vanderhyde.

– W latach swej chwały – uzupełnił Rebus.

Vanderhyde westchnął.

– To właśnie Edynburg, inspektorze. Wystarczy się odwrócić, a już zmieniają nazwę jakiegoś pubu albo przeznaczenie lokalu. – Wskazał laską za siebie, niemal potrącając jakiegoś przechodnia. – Ale tego nie

zmienia. To też Edynburg. – Koniec jego laski powędrował w górę i wskazał na Górę Zamkową, trącając jakąś kobietę.

Rebus uśmiechnął się przepaszająco.

– Może przejdźmy na drugą stronę ulicy i usiądźmy na chwilę – zaproponował.

Vanderhyde skinął głową, więc przeszli na światłach dla pieszych na spokojniejszą część ulicy, gdzie stały ławki, ustawione tyłem do ogrodów. Każda z nich była poświęcona jakiejś ważnej osobistości. Vanderhyde poprosił, by inspektor przeczytał mu wszystkie nazwiska na tabliczkach pamiątkowych.

– Panie Vanderhyde – zaczął poważnie Rebus. – Zaczynam odnosić wrażenie, że nie przyjechaliśmy tu z żadnego konkretnego powodu, tylko na zwykłą wycieczkę.

Vanderhyde nic nie odpowiedział, tylko się uśmiechnął.

– O której poszedł pan do baru tamtego wieczoru? – zapytał Rebus.

– Byłem tam dokładnie o siódmej, zgodnie z obietnicą. Oczywiście Aengus się spóźnił. Jeśli dobrze pamiętam, to pojawił się o wpół do ósmej. Siedziałem już wtedy w rogu sali i popijałem whisky z wodą. To chyba była whisky J&B. – Jego twarz pojaśniała na wspomnienie jej smaku.

– Był tam ktoś, kogo pan znał?

– Słyszę kobzy – zmienił temat Vanderhyde.

Rebus też je słyszał, ale nie widział kobziarza.

– To koncert dla turystów – wyjaśnił. – Nieźle na tym zarobią latem.

– Kiepsko gra. Założę się, że ma na sobie kilt, ale pewnie z niewłaściwym wzorem.

– Był tam ktoś, kogo pan znał? – nalegał Rebus.

– Niech pomyślę...

– Z całym szacunkiem, wcale nie musi pan myśleć. Albo pan wie, albo nie.

– Tom Hendry. Pamiętam, że zatrzymał się przy stoliku, by się ze mną przywitać. Pracował w jakiejś gazecie.

– Tak. – Rebus przypomniał sobie, że widział to nazwisko na liście.

– Ale był tam jeszcze ktoś... Nie znałem ich i wcale nie rozmawiali ze sobą. Przypominam sobie jedynie bardzo wyrazisty zapach cytryny. Może to były perfumy, ale gdy wspomniałem o tym Aengusowi, uśmiechnął się i powiedział, że to nie jest kobiecy zapach. Nic więcej nie chciał dodać, ale czułem, że gdy mu o tym powiedziałem, odebrał to jako świetny dowcip. Czy to ma dla pana w ogóle jakiegokolwiek znaczenie?

– Sam nie wiem.

Rebusowi zaburczało w żołądku. Z oddali dobiegło uderzenie dzwonu. Vanderhyde wydobyl z kieszeni kamizelki zegarek na łańcuszku, otworzył szklaną pokrywę i odczytał godzinę, palcami dotykając wskazówek.

– Jest dokładnie pierwsza – oznajmił. – Jak już mówiłem, inspektorze, niektóre rzeczy związane z naszym szybko zmieniającym się miastem są niezmiennie.

– Na przykład opady atmosferyczne? – Zaczynało kropić. Poranne słońce zniknęło jak królik w cylindrze iluzjonisty. – Nie chciałby pan mi jeszcze czegoś ciekawego powiedzieć?

– Aengus i ja po prostu rozmawialiśmy. Staralem się go przekonać, że kroczy bardzo niebezpieczną ścieżką. Marnował sobie zdrowie, a majątek jego rodziny zaczął podupadać. Jeśli cokolwiek mogło do niego przemówić, był to raczej ten drugi argument.

– Więc to właśnie tam i wtedy porzucił swój wulgarny styl bycia i życie utracjusza?

– Nie posunąłbym się aż do tak daleko idących wniosków. Edynburska socjeta lubiła się zabawić. Gdy się rozstaliśmy, poszedł na spotkanie z jakąś kobietą. – Vanderhyde się zamyślił. – Ale jak sobie sam powtarzam, moje słowa musiały wywrzeć na nim jakieś wrażenie. – Skinął głową. – Tego wieczoru jadłem kolację sam w restauracji The Eyrie.

– Znam to miejsce – odparł Rebus. Jego żołądek znowu zaburczał. – Ma pan ochotę na hamburgera?

**PO ODWIEZIENIU VANDERHYDE'A** do domu Rebus wrócił na St Leonard's, choć może nie było to najmądrzejsze posunięcie tego wieczoru. Na jego widok

Siobhan Clarke zerwała się na równe nogi. Wyglądała na zadowoloną z siebie.

– Widzę po tobie, że pani rzeźnikowa lubi sobie pogadać – powiedział Rebus i usiadł przy biurku.

Na blacie leżała kartka z informacją, że dzwonił Jack Morton. Tym razem zanotowano numer telefonu, pod którym Rebus mógł go złapać.

– To była niezła sesja plotkarska – odparła Clarke. – Nie mogłam od niej uciec.

– I co?

– Coś i nic.

– Więc daj mi to coś. – Poglaskał się po brzuchu. Smakował mu ten hamburger, lecz nie do końca wypełnił jego żołądek. Na komendzie była kafeteria, ale nie chciał wyhodować „oponki” w pasie.

– To coś to jest to. – Clarke usiadła. – To kość, dzięki której rzeźnik wygrał mercedesa.

– To był zakład?

Clarke skinęła głową.

– Postawił swoje udziały w sklepie rzeźnickim. I wygrał zakład.

– Cholerny szczęściarz.

– Jego żona była z tego bardzo dumna. Powiedziała mi, że mąż często wygrywa zakłady. Może i jest szczęściarzem, ale nie wygląda na to, żeby miał jakiś sposób na wygrywanie.

– Co masz na myśli?

Rozgrzewała się do przekazania dalszych faktów. Rebus lubił obserwować jej radość ze skutecznie przeprowadzonego śledztwa.

– W ich salonie było dosyć dziwnie. Na przykład mieli półkę z taśmami video, ale brakowało magnetowidu, chociaż widać było, że kiedyś tam stał. I choć mieli specjalną komodę na duży telewizor, to na jego miejscu stał mały, turystyczny telewizorek.

– Więc stracili magnetowid i duży telewizor.

– Myślę, że chodziło o dług lub nawet całą serię długów.

– A ty brałaś pożyczki na pokrycie kosztów uzależnienia od hazardu?

- Jeśli lubiłabym zakłady, to tak, ale na szczęście nie jestem hazardzistką.

Rebus się uśmiechnął.

- Może zastawili te przedmioty i nie dotrzymali terminów wykupienia?

- Może - rzuciła, mimo że nie była do tego przekonana.

- Okej, to wszystko jest całkiem interesujące, ale nie prowadzi nas zbyt daleko... jeszcze nie. I nic nie mówi nam o Rorym Kintoulu, prawda? - Gdy Clarke zmarszczyła czoło, dodał: - Pamiętasz go? To jego dźgnięto nożem na ulicy, a on nawet nie chciał o tym mówić. To nim się interesujemy.

- Więc co pan proponuje, inspektorze? - W tym „inspektorze” była nutka zagniewania. Clarke nie lubiła, gdy jej przebiegłość w śledztwie nie była właściwie doceniana. - Przecież już go przesłuchaliśmy.

- Więc jeszcze raz z nim pogadamy.

Wyglądała, jakby miała zaprotestować.

- Tyle że tym razem - ciągnął Rebus - będziesz pytać o jego kuzyna, pana Bone'a, rzeźnika. Nie jestem pewien, czego dokładnie szukamy, więc musisz wykorzystać intuicję. Bądź czujna, a coś wreszcie wypłynie na powierzchnię.

- Tak jest, panie inspektorze. - Wstała. - Aha, i jeszcze jedno: mam akta Cafferty'ego.

- Sporo czytania, a większość z tego jest dozwolona tylko dla dorosłych.

- Wiem. Właśnie zaczęłam czytać. Teraz nie ma już „dla dorosłych”. Teraz mówi się „dozwolone od lat osiemnastu”.

Rebus mrugnął okiem.

- To tylko takie powiedzenie. - A gdy się odwracała, zatrzymał ją. - Rób notatki, dobrze? O Caffertym i jego gangu. A jak skończysz, to odświeżysz mi pamięć. Zmarnowałem wiele czasu, starając się wyrzucić tego potwora z pamięci, ale chyba już pora, żebym znowu się nim zajął.

- W porządku. - Wyszła z sali.

Rebus zastanawiał się, czy powinien jej powiedzieć, że świetnie sobie poradziła z żoną Bone'a. Teraz i tak było już za późno. Gdyby pomyślała, że sprawia mu radość efektami swojej pracy, to może przestałaby się tak starać. Podniósł słuchawkę i wykręcił numer do Jacka Mortona.

– Jack? Kupa czasu, co? Tu John Rebus.

– John? Jak leci?

– Nie tak źle, a u ciebie?

– Świetnie. Zostałem inspektorem.

– Ja też.

– Słyszałem. – Morton zakaszłał.

– Ciągle tyle palisz, Jack?

– Ograniczam.

– Przypomnij mi, bym sprzedał swoje akcje w koncernach tytoniowych. No więc po co dzwoniłeś? W czym problem?

– W tym, że to twój problem, nie mój. Widziałem coś w papierach Policji Metropolitalnej o Andrew McPhailu.

Rebus próbował wyszperać to nazwisko z pamięci.

– Złapałeś mnie. Nie pamiętam go.

– Był notowany za wykroczenia związane z molestowaniem seksualnym. Dobierał się do córki kobiety, z którą żył. To było jakieś osiem lat temu. Nigdy jednak nie postawiliśmy mu zarzutów.

Rebus wreszcie zaczął sobie przypominać jakieś fragmenty tej sprawy.

– Przesłuchaliśmy go, gdy siksy zaczęły znikać. – Wzdrygnął się. Przecież jego córka też była „siksą”.

– No właśnie. To była zwykła rutyna. Zaczęliśmy od byłych skazanych i przeszliśmy do podejrzanych o molestowanie.

– To taki krępawy facet z rudymi włosami?

– Ten.

– Więc o co chodzi, Jack?

– Chodzi o to, że on jest teraz twoim zmartwieniem. Pojawił się w Edynburgu.

– No i?

– Jezu, John. Myślałem, że znasz szczegóły. Nawiał do Kanady po naszym ostatnim przesłuchaniu. Urządził się jako fotograf i udawał, że robi zdjęcia do katalogów mody. Podchodził do rodziców dzieci, które mu się podobały. Wydrukował sobie wizytówki, miał sprzęt fotograficzny, ciemnię, wynajął studio i fotografował dzieci, obiecując im, że ich zdjęcia będą umieszczone w katalogach mody. Dzieci musiały się przebierać w wymyślne stroje, a czasem pewnie występowały w bieliźnie...

– Rozumiem, Jack.

– No i dorwali go. Dotykał dziewczynek, wielu dziewczynek. Więc go zapuszkowali.

– I?

– Wypuścili go po odbyciu kary i deportowali.

– I jest w Edynburgu?

– Zacząłem go szukać. Chciałem się dowiedzieć, gdzie się uumościł, bo gdyby to było w moim rejonie, złożyłbym mu wizytę późnym wieczorem. Ale okazało się, że jest u ciebie. Mam adres.

– Poczekaj sekundę. – Rebus znalazł długopis i zanotował informację.  
– A jak znalazłeś adres? Przez satelity szpiegowskie?

– Nie. W aktach śledztwa mieliśmy adres jego siostry w Ayr. Powiedziała mi, że zdobyła dla niego numer telefonu kobiety, która wynajmuje kwatery. I wiesz, co jeszcze powiedziała? Żebyśmy wsadzili go do ciemnej piwnicy i wyrzucili klucz.

– Jakaś niezwykła laska.

– Taaa, mój typ kobiety. No ale on może być już zresocjalizowany.

Zresocjalizowany. Słowo, którego użył Vanderhyde w odniesieniu do Aengusa Gibsona.

– Może tak być – przyznał Rebus, wierząc w to prawdopodobnie tak samo jak Morton. Byli zawodowymi niedowiarkami. Pierwszy punkt na liście ich obowiązków służbowych.

– Okej, dobrze o tym wiedzieć. Dzięki, Jack.

– Nie ma za co. Jakies szanse, że wpadniesz kiedyś do Falkirk? Moglibyśmy wyskoczyć na drinka.



- Jasne. Słuchaj, myślę, że nawet już niedługo się spotkamy.
- Tak?
- Podwiozę McPhaila do centrum miasta.
- Niech to szlag! - Morton się zaśmiał i odłożył słuchawkę.

**JACK MORTON PATRZYŁ NA TELEFON** jeszcze przez niecałą minutę, nadal krzywiąc usta w uśmiechu. Potem wyjął z papierka listek gumy, włożył do ust i zaczął żuć. Ciągłe sobie powtarzał, że to jest zdrowsze od papierosów. Spojrzał na notatki. Ta dziewczynka, którą McPhail molestował, nazywa się obecnie Melanie Maclean. Jej matka wyszła za mąż i Melanie mieszkała z nią i ojczymem w Haddington, na tyle daleko od Edynburga, że z pewnością przypadkowo nie natrafi na McPhaila. I najprawdopodobniej McPhail jej nie odnajdzie. Musiałby poznać nazwisko jej ojczyma, a to nie będzie dla niego łatwe. Nie było to nawet takie łatwe dla Mortona. Miał to nazwisko w swoich notatkach - Alex Maclean. Miał też jego adres, numer telefonu domowego i telefonu do pracy. Zaczął się zastanawiać...

Dowiedział się też, że Alex Maclean jest cieślą, a policja z Haddington poinformowała, że facet ma skłonności do rozrabiania i dwa razy (na długo przed małżeństwem) był aresztowany za bójki i zakłócanie spokoju publicznego. Morton ciągle się zastanawiał, ale wiedział, co zrobić. Podniósł słuchawkę i wybrał numer. Czekał na połączenie.

- Halo! Czy mogę rozmawiać z panem Macleanem? Pan Maclean? Pan mnie nie zna, ale mam pewne informacje, którymi chciałbym się z panem podzielić. Dotyczą niejakiego McPhaila...

**MATTHEW VANDERHYDE TEŻ DOKĄDŚ ZADZWONIŁ**, ale dopiero po dłuższej chwili namysłu i odpoczynku w swoim ulubionym fotelu. Trzymał słuchawkę bezprzewodowego telefonu i stukał w nią długim paznokciem. Z głębi ulicy dochodziło przeciągłe wycie psa. Cykanie zegara, stojącego na gzymsie kominka, wydawało się wolniejsze, gdy Matthew skupiał na nim uwagę. Czas to pieniądz, pomyślał i wybrał numer.

- Był u mnie ktoś z policji - oznajmił bez wstępu. - Dopytywał się o pożar w hotelu Central. - Wahał się przez chwilę. - Powiedziałem mu o Aengusie. - Zrobił pauzę, słuchając z krzywym uśmiechem wybuchów wściekłości po drugiej stronie linii, wściekłości, którą znał tak dobrze. - Broderick - przerwał słowotok rozmówcy. - Jeśli jakiegokolwiek tajemnice wypłyną na światło dzienne, to ja nie chcę być jedynym, który będzie się trząsał ze strachu. - Gdy wrzaski rozpoczęły się od nowa, Matthew Vanderhyde przerwał połączenie.

## Rozdział 7

**REBUS ZOBACZYŁ FACETA** po raz pierwszy tego wieczoru. Wydawało mu się, że widział go już po południu koło komendy przy St Leonard's. Był młody, wysoki, o szerokich plecach. Stał teraz przed wejściem na klatkę schodową kamienicy przy Arden Street, w której mieszkał Rebus.

Inspektor zaparkował samochód po drugiej stronie ulicy w taki sposób, by móc obserwować intruza przez lusterko wsteczne. Mężczyzna wydawał się naładowany dziwną energią, jakby był czymś przejęty. A może tylko czekał na swoją dziewczynę. Może.

Rebus nie miał się czego bać, ale przekręcił kluczyk w stacyjce i odjechał. Postanowił poczekać godzinę i zobaczyć, czy facet sobie pójdzie. Jeśli nadal będzie tam sterczeć, to stanie się oczywiste, że nie czeka na żadną dziewczynę, choćby i najpiękniejszą. Rebus ruszył Meadows do Tollcross, potem skręcił w prawo w Lothian Road. Jechał wolno, ale nie z własnego wyboru. Zdawało się, że liczba samochodów, które chciały przedrzeć się przez miasto każdego wieczoru, rosła z tygodnia na tydzień. Edynburg o zachodzie słońca wyglądał tak samo jak każde inne miasto: sklepy i biura, zatłoczone chodniki. Nikt nie sprawiał wrażenia szczególnie uradowanego.

Przeciął Princes Street, wjechał na Charlotte Square i zaczął się wlec Queensferry Street i Queensferry Road, aż wreszcie udało mu się skręcić w prawo (Bogu dzięki) w zbawienne osiedle Oxford Terrace. Zauważył, że Patience nie ma w domu. Wiedział, że w tym tygodniu spodziewała się wizyty siostry, która przyjechała po dziewczynki i miała zostać kilka dni. Kot Patience siedział na ganku, domagając się wpuszczenia do mieszkania, i Rebus po raz pierwszy mu współczuł.

– Nie masz szczęścia, brachu – powiedział do kota.

Gdy wrócił na Arden Street, po czającym się, dobrze zbudowanym mężczyźnie nie było już śladu. Gdyby go jeszcze raz zobaczył, z pewnością rozpoznałby go bez problemu. Takich ludzi się nie zapomina.

Kiedy wszedł do mieszkania, odbył kolejną tradycyjną awanturę z Michaeliem w salonie, a reszta mieszkańców schowała się w kuchni. Rebus zaczął się zastanawiać nad pewną sprawą: ilu wynajmujących studentów się tu kręciło? Oszacował, że co najmniej z dziesiątka przewija się przez to mieszkanie, a przecież wynajął trójce z ewentualną dostawką dla czwartej osoby. Przysięgłby, że co rano widział zupełnie nowe twarze, dlatego nie potrafił zapamiętać ich imion.

To był kolejny powód do awantury, tym razem w kuchni ze studentami, gdy Michael siedział już w swojej pakamerze, zakończonej wykrzyczanym:

– Do licha z wami!

Rebus sam wysłuchał swojej rady, załadował się do samochodu i pojechał do najmniej szacownej dzielnicy miasta na kolację i parę piwek, które spożył ze wzrokiem wbitym w telewizor z wyłączonym dźwiękiem. Pogadał ze swoimi kontaktami, które niestety, nie miały nic do powiedzenia w sprawie ataku na Briana Holmesa.

Tak minął mu kolejny wieczór. Jak zwykle nic specjalnego.

Do domu wrócił późno, mając nadzieję, że wszyscy będą już spać. Celowo trzasnął zewnętrznymi drzwiami, po czym ze schyloną głową, szukając po kieszeniach kluczy do mieszkania, ruszył na górę. Nie zauważył mężczyzny, który siedział na schodach.

– Cześć.

Zaskoczony Rebus podniósł wzrok i rozpoznał w mroku tego faceta. Wypuszczając z ręki drobne monety i klucze na podłogę, skierował nagły cios w jego stronę. Był tylko trochę pijany, za to jego cel okazał się trzeźwy jak skała i o dwadzieścia lat młodszy. Łatwo uchylił się przed uderzeniem. Wydał się zdziwiony atakiem, ale jednocześnie podniecony. Rebus chciał to szybko zakończyć, więc skierował kolano w nieosłonięte krocze nieznajomego. Mężczyzna stęknął głośno, zwijając się wpół, co dało

Rebusowi możliwość walnięcia go w kark. Od siły tego uderzenia poczuł wszystkie kosteczki dłoni.

– Jezu Chryste – sapnął nieznajomy. – Przestań!

Rebus powstrzymał się i zaczął rozmasowywać dłoń. Ale nie miał zamiaru podnosić nikogo z kolan. Trzymając dystans, zapytał:

– Jak się nazywasz?

Mężczyzna na chwilę przestał sapać.

– Andy Steele.

– Miło cię poznać, Andy. Czego ty, kurwa, ode mnie chcesz?

Andy Steele spojrział na Rebusa ze łzami w oczach. Dłuższą chwilę starał się złapać oddech. Kiedy wreszcie zaczął mówić, Rebus nie mógł zrozumieć jego gwary albo po prostu nie mógł uwierzyć w to, co słyszał. Poprosił, by nocny gość powtórzył swoje słowa.

– Przysłała mnie pana ciotka – powiedział. – Mam dla pana wiadomość.

**SIEDZIELI NA SOFIE**, pijąc herbatę. Steele posłodził swoją aż czterema łyżeczkami cukru.

– To nie jest zbyt zdrowe dla twoich zębów.

– To nie są moje zęby – odpowiedział Steele pochylony nad kubkiem herbaty.

– To czyje? – spytał Rebus, a gdy jego gość wydobyl z siebie cień uśmiechu, dodał: – Śledziłeś mnie przez cały dzień.

– Nie przez cały dzień. Może gdybym miał samochód... ale nie mam.

– Nie masz samochodu? – Kiedy Steele pokręcił głową, Rebus rzucił z przekąsem: – Też mi prywatny detektyw.

– Nie powiedziałem, że jestem prywatnym detektywem. Jedyne chcę nim zostać.

– Czyli jesteś kimś w rodzaju praktykanta?

– Powiedzmy. Na razie testuję grunt.

– No i co czujesz, Andy?

Chłopak uśmiechnął się i upił łyk herbaty.

– Nie jest zbyt płaski. Następnym razem będę bardziej ostrożny.

– Nie wiedziałem nawet, że mam jakąś ciotkę. Na pewno nie na północy kraju.

Wymowa zdradziła jego pochodzenie.

Andy Steele kiwnął głową.

– Jest sąsiadką moich rodziców, mieszka po drugiej stronie ulicy od Pittodrie.

– W Aberdeen? – Rebus sam sobie przytaknął. – Teraz dopiero sobie przypomniałem. Rzeczywiście mam wujka i ciotkę w Aberdeen.

– Pana ojciec i Jimmy, pana wuj, nie utrzymywali kontaktów od wielu lat. Pewnie jest pan za młody, żeby to pamiętać.

– Dzięki za komplement.

– Mam wiadomość tylko od ciotki Eny.

– A co? Wuj Jimmy nie żyje?

– Umarł trzy tygodnie temu.

– I ciotka Ena chce się ze mną spotkać?

Steele skinął głową.

– A o co jej chodzi?

– Nie wiem. Cały czas powtarzała, że zależy jej na spotkaniu z panem.

– Tylko ze mną? Nie wspominała o moim bracie?

Steele pokręcił głową. Rebus sprawdził wcześniej, czy Michael jest w pakamerze. Nie było go tam, ale w innych pokojach siedzieli ich mieszkańcy.

– W porządku – powiedział Rebus. – Jeśli pokłócili się, gdy byłem jeszcze siusmajtkiem, to rzeczywiście musiało to być, zanim urodził się Michael.

– Mogli nawet nie wiedzieć, że pan ma brata – zauważył Steele. – Ale to rodzina i Ena ciągle wspominała o panu, więc powiedziałem jej, że pojedę na południe się rozejrzeć. Pół roku temu zwolnili mnie z firmy rybackiej i od tego czasu mam ciągle pod górkę. No i mówiłem już panu, że chciałbym zostać prywatnym detektywem. Zawsze lubiłem filmy detektywistyczne.

– Filmy nie ustrzegą cię przed kopem w jaja.

– To prawda.

– No i w końcu mnie znalazłeś.

Twarz Steele'a się rozjaśniła.

– Pojechałem pod adres, który dała mi Ena, tam gdzie mieszkał pan z ojcem. Wszyscy sąsiedzi wiedzą, że jest pan policjantem w Edynburgu. Więc wziąłem książkę telefoniczną i obdzwoniłem każdą komendę w Edynburgu, pytając o Johna Rebusa. – Gdy skończył swoją historię, wzruszył ramionami i powrócił do picia herbaty.

– A jak zdobyłeś mój adres domowy?

– Ktoś z wydziału śledczego mi dał.

– Niech zgadnę. To był inspektor Flower?

– Coś w tym stylu, chyba tak.

Siedzący na sofie Andy Steele wyglądał, jakby miał dwadzieścia pięć lat. Był solidnej postury, którą można utrzymać w dobrej formie jedynie ciężką pracą, jaką wykonują rybacy na Morzu Północnym. Pozbawiony od pół roku takiej harówki, zaczął przybierać na wadze. Rebus nie wierzył, że Andy Steele spełni swoje marzenia i zostanie prywatnym detektywem. Sposób, w jaki patrzył znad kubka z herbatą, zdradzał, że czuje się całkowicie zagubiony, a jego najbliższa przyszłość pozbawiona jest konkretnego planu.

– To pojedzie pan spotkać się z ciotką?

– Może w ten weekend – odpowiedział Rebus.

– Ucieszyłaby się.

– Mogę cię odwiedzić.

Młody człowiek pokręcił głową.

– Nie. Pokręcę się trochę po Edynburgu.

– Jak chcesz – mruknął Rebus. – Ale bądź ostrożny.

– Ostrożny? Mógłbym opowiedzieć panu historii o Aberdeen, od których włosy stają na głowie.

– A czy mogłyby też trochę je zageścić nad skronią?

Andy Steele dopiero po dłuższym namyśle zrozumiał dowcip.

NASTĘPNEGO DNIA REBUS CHCIAŁ złożyć wizytę Andrew McPhailowi. Niestety, nie było go w domu, a właścicielka nie widziała go od poprzedniego wieczoru.

– Zwykle schodzi na dół dokładnie o siódmej na lekkie śniadanie. Więc poszłam dziś na górę, ale go nie zastałam. Czy on ma jakieś kłopoty, inspektorze?

– Nie, nic w tym stylu, proszę pani. Wspaniałe ciasto.

– Ach. Upiekłam je kilka dni temu McPhailowi. Pewnie już trochę wyschło.

Rebus pokręcił głową i wypił łyk herbaty, opłukując nim usta w nadziei, że usunie z zębów wszystkie okruchy. Ale resztki ciasta zbiły się w nieprzełykálną kulkę, którą musiał rozgryzać i połykać po kawałku, nie okazując tego na zewnątrz.

W rogu pokoju stały klatka na ptaki, wielkie lustro, pokarm z mątwy i proso, ale ptaszka nigdzie nie było. Pewnie uciekł.

Rebus zostawił pani MacKenzie wizytówkę, prosząc, by przekazała ją McPhailowi, gdy go spotka. Nie wątpił, że starsza pani to zrobi. Przedstawiając się jej jako policjant, postąpił trochę nieuczciwie wobec McPhaila. Mogą zacząć kielkować w niej jakieś podejrzenia i wypowie lokatorowi pokój. To byłoby wręcz okropne, pomyślał złośliwie Rebus.

Tak naprawdę nie sądził, że pani MacKenzie w czymś się połapie, a McPhail na pewno wymyśli jakiś powód wizyty Rebusa. Ściemni, że edynburska policja chce przyznać mu nagrodę za uratowanie szczeniactków, które ktoś próbował utopić w zimnych wodach rzeki Leith. McPhail był dobry w zmyślaniu historyjek. A dzieci uwielbiały historyjki.

Rebus stał przed domem pani MacKenzie i spoglądał na drugą stronę ulicy. To musiał być przypadek, że McPhail wybrał kwatery akurat naprzeciwko szkoły podstawowej. Rebus zobaczył szkołę, kiedy tylko tu dotarł, i to wystarczyło, by podjąć decyzję o przedstawieniu się właścicielce domu jako inspektor policji. W końcu nie wierzył w przypadki.

Nawet jeśli McPhail nie będzie chciał się wyprowadzić, to może sąsiedzi poznają prawdę o lokatorze pani MacKenzie. Rebus wszedł do



samochodu. Czasem nie lubił ani siebie, ani swojej pracy.

Niektóre jej elementy nie były jednak wcale takie złe.

**PO POWROCIE NA KOMENDĘ** nie dowiedział się niczego nowego od Siobhan Clarke na temat śledztwa w sprawie ugodzenia nożem. Rory Kintoul był bardzo przebiegły i unikał drugiego przesłuchania. Odwołał jedno umówione spotkanie i Clarke nie udało się już z nim skontaktować.

– Jego syn ma siedemnaście lat i jest bez pracy, więc większość czasu spędza w domu. Mogłabym spróbować z nim porozmawiać.

– Mogłabyś.

– Same problemy z tym śledztwem. Może Holmes miał rację?

– Spróbuj ostatni raz – zdecydował Rebus. – Jeśli po rozmowie z Kintoulem nie będzie żadnego postępu, umorzmy śledztwo. Skoro gość lubi dostawać w brzuch nożem, to jego sprawa.

Clarke skinęła głową i odwróciła się.

– Jakies wiadomości o Brianie? – spytał Rebus.

Odwróciła się z powrotem.

– Coś mówił.

– Jak to mówił?

– Przez sen. Myślałam, że pan wie.

– Co mówił?

– Nie mogli nic z tego zrozumieć, ale to oznacza, że powoli wychodzi ze śpiączki.

– To dobrze. – Gdy Clarke chciała odejść, Rebus nagle coś sobie przypomniał. – Jak jedziesz do Aberdeen w sobotę?

– Samochodem, a czemu pan pyta?

– Masz jedno wolne miejsce?

– Przecież jadę sama.

– Więc może podrzucisz mnie kawałek?

Zaskoczyła ją ta prośba.

– No pewnie. Dokąd?

- Do Pittodrie.

To ją jeszcze bardziej zdziwiło.

- Nie wygląda pan na fana Hibsów.

Rebus postanowił szybko zakończyć tę rozmowę, żeby się nie wygadać.

- Niestety, w tej kategorii ludzkiej jesteś osamotniona. Po prostu potrzebuję podwózki, to wszystko.

- Oczywiście.

- A po drodze będziesz mogła mi opowiedzieć, czego dowiedziałaś się z lektury teczki Dużego Gera.

## Rozdział 8

DO SOBOTY REBUS ZDAŹYŁ SIĘ pokłócić trzy razy z Michaeliem (który zaczął wreszcie przebąkiwać coś o wyprowadzeniu się), raz ze studentami (którzy też podjęli podobne decyzje) i raz z recepcjonistką w przychodni, gdzie pracowała Patience, bo nie chciała go połączyć z panią doktor. Brian Holmes na krótko otworzył oczy i lekarze uznali, że jest na dobrej drodze do odzyskania świadomości. Nikt z nich nie zaryzykował jednak stwierdzenia „do odzyskania zdrowia”, ale nawet takie wiadomości ucieszyły Clarke i była w dobrym nastroju, gdy podjechała pod mieszkanie Rebusa przy Arden Street. Czekał już na nią na dole. Siedziała za kierownicą swojego czerwonego jak czereśnie dwuletniego renault 5. Był jak nówka w odróżnieniu od stojącego obok samochodu Rebusa, który sprawiał wrażenie, że za chwilę całkowicie się rozpadnie. Saab wyglądał tak już od trzech, czterech lat i zawsze, gdy Rebus podejmował ostateczną decyzję o pozbyciu się tego jeżdżącego wraka, następował nagły powrót sprawności technicznej. Wydawało mu się, że ten samochód czyta w jego myślach.

– Dzień dobry panu – przywitała się Siobhan Clarke. Z samochodowego stereo dobiegały dźwięki muzyki pop. Zauważyła, jak Rebus skrzywił się, wsiadając, i natychmiast ściszyła muzykę. – Niewyspanie?

– Chyba wszyscy ludzie mnie o to pytają.

– A skąd to się bierze?

Zatrzymali się przy piekarni, by Rebus mógł kupić sobie coś na śniadanie. W mieszkaniu nie miał niczego, co można by określić słowem „jedzenie”, ale nie narzekał. Jego wkład do wspólnego garnka do tej pory mógł wypełnić zaledwie jeden koszyk sklepowy. A większość koszyka i tak

stanowiło mięso, czyli coś, czego studenci nie tykali. Zauważył, że nawet Michael przeszedł na vegetarianizm, przynajmniej w ich towarzystwie.

– To jest zdrowsze, John – wyznał bratu, klepiąc się po brzuchu.

– A co to niby ma znaczyć? – zapytał Rebus.

Michael pokręcił smutno głową.

– Za dużo kofeiny.

No właśnie, jedna półka w szafce kuchennej była wypełniona słoikami z czymś, co wyglądało jak kawa, ale okazało się mieszanką „herbatki ziołowej”, pokruszonej kory brzoźowej i cykorii.

W piekarni Rebus kupił kawę w styropianowym kubku i dwie parówki w cieście. Okazały się totalną porażką, bo przy każdym ugryzieniu ciasto kruszyło się i zaśmiecało nieskazitelnie czystą podłogę samochodu, mimo że Rebus dzielnie starał się jeść nad papierową torebką.

– Przepraszam za ten bałagan – powiedział do Clarke, która miała podejrzenie opuszczonej szyby od strony kierowcy. – Nie jesteś czasem wegetarianką, co?

Uśmiechnęła się.

– To znaczy, że pan do tej pory tego nie zauważył?

– Jak widać, nie.

Spojrzała na parówkę w cieście.

– Czy słyszał pan o mechanicznie odzyskiwanym mięsie?

– Przestań – ostrzegł ją Rebus. Szybko skończył jeść i przepłukał gardło kawą. – Czy między tobą a Brianem jest coś, o czym powinienem wiedzieć?

Wyraz jej twarzy wskazał mu wyraźnie, że w konkursie na najlepsze rozpoczęcie rozmowy zajął, niestety, ostatnie miejsce.

– Nic takiego, o czym sama bym nie wiedziała.

– Chodzi mi o to, że on i Nell byli... no wiesz... jest jeszcze spora szansa, że oni...

– Nie jestem potworem, panie inspektorze. I wiem, co łączy Briana z Nell. On jest po prostu fajnym facetem. Dobrze się rozumiemy. – Odwróciła na chwilę wzrok od przedniej szyby. – I to wszystko.

Chciał coś powiedzieć, ale zrezygnował.

– Nawet gdyby było coś między nami, to, z całym szacunkiem, nie wiem, jaki miałby pan interes w tym, żeby znać szczegóły, dopóki nie wpływałoby to na efekty naszej pracy, na co bym nigdy sobie nie pozwoliła. Sądzę, że Brian też by nie pozwolił.

Rebus milczał.

– Przepraszam. Nie powinnam tak mówić.

– To, co powiedziałaś, było uczciwe i szczerze, ale sposób, w jaki to powiedziałaś, uważam za niewłaściwy. Oficer policji nigdy nie ma „wolnego”, a ja jestem twoim szefem nawet podczas dzisiejszego wypadu. Nie zapominaj o tym.

W samochodzie panowała cisza, dopóki nie przerwała jej Clarke:

– Marchmont to ładna dzielnica.

– Prawie tak ładna jak New Town.

Spojrzała na niego, ściskając mocno kierownicę, jak dusiciel szyję swojej ofiary.

– Wydawało mi się – zaczęła nieśmiało – że mieszka pan przy Oxford Terrace.

– Źle ci się wydawało. I może wreszcie wyłączysz tę cholerną muzykę? W końcu mamy sporo do obgadania.

To „sporo” oznaczało oczywiście Morrisa Geralda Cafferty’ego.

Siobhan Clarke zapomniała wziąć ze sobą notatki, ale i tak ich nie potrzebowała. Potrafiła wyrecytować najistotniejsze szczegóły z pamięci wraz z detalami, które może nie były bardzo istotne, ale za to interesujące. Z pewnością dobrze odrobiła zadanie domowe. Rebus rozmyślał nad tym, jak frustrująca może być ich praca. Ona wkłuła na pamięć całe akta Dużego Gera, przygotowując się do operacji Worki Pieniędzy, a ta operacja najprawdopodobniej nie doprowadzi do jego ujęcia. Poza tym spędziła wiele godzin nad sprawą ugodzenia nożem Kintoula, a i to może zakończyć się niczym.

– Jest jeszcze jedna rzecz – rzuciła. – Prawdopodobnie Cafferty ma notatnik z różnymi informacjami zapisywanymi szyfrem. Nigdy nie udało

nam się złamać jego kodu, co znaczy, że wykorzystuje go do bardzo osobistych informacji.

Tak, Rebus przypomniał sobie o tym. Kiedykolwiek udawało im się postawić zarzuty Dużemu Gerowi, ten notatnik zawsze zabierano razem z innymi przedmiotami. Notatnik obfotografowano strona po stronie i próbowano rozszyfrować treść zapisków. Nigdy im się to jednak nie udało.

– Plotka głosi – kontynuowała Clarke – że ten kapownik zawiera notatki o przeterminowanych długach, którymi Cafferty zajmuje się osobiście.

– Na temat takiego człowieka zwykle krąży wiele plotek. Robią z niego nie wiadomo kogo, a on jest tylko zwykłym tępowym gangsterem.

– Jego szyfr nie jest tępowy.

– No, może.

– W teczce znalazłam niedawny wycinek z „The Sun”. Jest o tym, jak morze ciągle wyrzuca na brzeg jakieś zwłoki.

Rebus skinął głową.

– Na wybrzeżu w okolicy Stranraer.

– Myśli pan, że to może być sprawka Cafferty’ego?

Wzruszył ramionami.

– Nie udało się zidentyfikować tych ciał. To mógł być każdy. Mogli być wypchnięci z promu do Larne. Mogli mieć coś wspólnego z Ulsterem. Między Larne a Stranraer są dziwne prądy morskie. – Przerwał. – To mógł zrobić ktokolwiek.

– Innymi słowy, mógł to też zrobić Cafferty.

– Mógł.

– To kawał drogi, żeby jechać tylko w celu pozbycia się zwłok.

– Ale on chyba nie srałby we własne gniazdo, co?

Zastanowiła się nad tym.

– W jednej z gazet wspomniano, że na wybrzeżu zauważono furgonetkę o zbyt wczesnej porze, by mogła to być jakakolwiek dostawa.

Rebus skinął głową.

- I nie było w okolicy żadnego miejsca, do którego można by cokolwiek dowozić. Czasem przeglądam ich lokalne gazety. Policja z Dumfries i Galloway częściej patroluje teraz tamte tereny.

Clarke prowadziła przez dłuższą chwilę w ciszy, zbierając myśli.

- Do tej pory miał dużo szczęścia, prawda? - odezwała się w końcu. - Rozumiem, że jest inteligentnym przestępcą, a inteligentnych przestępców trudniej złapać. Ale przecież musi zlecać pewne zadania. Bystry gangster zwykle ma podwładnych, którzy mogą być tak głupi albo leniwi, że w końcu nasrają w swoje gniazdo.

- Język, Clarke, dbaj o język. - Wreszcie wydobył z niej uśmiech. - Jasna sprawa.

- Czytając o wspólnikach Cafferty'ego, nie odniosłam wrażenia, że są to ludzie z górnej półki przestępczego świata. Wszyscy mają dziwne pseudonimy, jak Poroniony, Spermol albo Kaloryfer.

Rebus skrzywił usta w uśmiechu.

- Kaloryfer McCallum. Pamiętam go. Podobno jest potomkiem jakichś kanibali z gór. Sprawdzał nawet genealogię rodziny. Był taki dumny ze swoich przodków.

- Ale zniknął ze sceny.

- Tak, jakieś trzy, cztery lata temu.

- Cztery i pół roku temu, jak napisano w aktach. Ciekawe, co się z nim mogło stać?

Rebus wzruszył ramionami.

- Chciał zdradzić Dużego Gera, przestraszył się i w końcu uciekł.

- A może nie dostał szansy ucieczki.

- To też niewykluczone. A może obrzydło mu takie życie albo dostał inną ofertę pracy. Gangsterka to bardzo mobilny zawód. Gdziekolwiek jest praca, tam są i oni...

- Cafferty z pewnością radzi sobie ze swoim personelem. Kuzyn McCalluma zniknął z widoku jeszcze wcześniej.

Rebus zmarszczył czoło ze zdziwienia.

- Nie wiedziałem, że miał jakichś kuzynów.

- Byli znani jako Bracia Bru-Head, bo uwielbiali napój energetyzujący Irn-Bru.

- No tak, to rozumiałe. Ale jak się naprawdę nazywali?

- Tam i Eck Robertsonowie.

- Eck Robertson, tak, ale tego drugiego nie znałem. Poczekaj chwilę...

- Tam i Eck Robertsonowie, Bracia R. Co mogło znaczyć, że Mork to... - Cholerny Morris Cafferty! - Rebus aż walnął dłonią w deskę rozdzielczą. Brian skrócił nazwisko i napisał je przez „k”, a nie „c”. Chryste. Jeśli Brian Holmes był na tropie czegoś, w czym maczali łapy Cafferty i jego gang, to nic dziwnego, że mógł się czegoś obawiać. To coś mogło dotyczyć nocy w hotelu Central, kiedy wybuchł pożar. Czy podłożyli ogień tylko dlatego, że hotel nie płacił za ochronę? A co ze zwłokami? Może to był jakiś dłużnik? I zaraz potem Kaloryfer McCallum i jego kuzyni opuścili scenę. Cholera jasna.

- Jeśli za chwilę będzie miał pan atak serca - odezwała się Clarke - to proszę się nie martwić, bo przeszłam przeszkolenie z resuscytacji.

Rebus jej nie słuchał. Patrzył na drogę przed sobą, jedną ręką trzymał kubek z kawą, a drugą, zwiniętą w pięść, uderzał w kolano. Myślał o notatce Briana. Nie miał pewności, czy Cafferty był tam tego wieczoru, ale wspominał, że bracia byli. I coś o grze w pokera. Brian próbował odnaleźć braci Robertsonów - to był jego komentarz na końcu notatki. A potem ktoś go zaatakował ciosem w głowę. To wszystko zaczynało się ze sobą powoli łączyć.

- Ale nie jestem pewna, czy poradzę sobie z osłupieniem katatonicznym.

- Co?

- Czy chodzi o coś, co powiedziałam?

- Tak, właśnie tak.

- O braciach Bru-Head?

- Co jeszcze o nich wiesz?

- Pochodzą z Niddrie, już w wózecku byli drobnymi złodziejaskami.

- Pewnie sami ukradli ten wózek. Coś jeszcze?



Clarke domyśliła się, że szef wpadł na jakiś trop.

– Sporo. Obydwaj mieli wypełnione kartoteki. Eck lubił szpanerskie ciuchy. Tam zawsze chodził w dżinsach i T-shircie. Śmieszna sprawa. Tam niezwykle dbał o swoją higienę. Gdziekolwiek szedł, zabierał ze sobą mydło. To jakieś niezłe dziwactwo.

– Jeśli lubiłbym zakłady, to założyłbym się, że mydło miało cytrynowy zapach.

– Skąd pan o tym wiedział?

– Instynkt. Ale nie mój, kogoś innego. – Zmarszczył brwi i zaczął głośno myśleć. – Dlaczego nigdy nie słyszałem o Tamie?

– Przeprowadził się do Dundee po ukończeniu szkoły lub raczej gdy poproszono go, by grzecznie opuścił szkołę. Do Edynburga wrócił kilka lat później. W notatkach w kartotece jest mowa o tym, że dla gangu pracował przez jakieś sześć miesięcy, może nawet mniej. – Clarke zrobiła pauzę, a po chwili spytała: – Powie mi pan w końcu, o co w tym wszystkim chodzi?

– O pożar hotelu.

– Ma pan na myśli te teczki leżące na podłodze za pana biurkiem?

– Tak, mam na myśli te teczki leżące na podłodze za moim biurkiem.

– Nie mogłam się powstrzymać i zajrzałam do nich.

– Ich zawartość może łączyć się z atakiem na Briana.

Clarke odwróciła się do Rebusa.

– Gdzie się gapisz? Skoncentruj się na prowadzeniu, to opowiem ci historię. Może być tak długa, że nie skończę przed Aberdeen.

I rzeczywiście była.

- **WCHODŹ, WCHODŹ, JOCK.** Mój kochany. Już bym cię nie rozpoznała.

– Ostatni raz widziałas mnie, ciociu, jak nosiłem szorty.

Staruszka się uśmiechnęła. Musiała korzystać z balkonika, by poruszać się po domu. Przeszli przez zatęchły wąski korytarz do małego, zagraconego meblami pokoju z tyłu domu. W pomieszczeniu od frontu mieściła się duża jadalnia, używana tylko podczas specjalnych okazji.

Rebus należał do rodziny, a rodzinę przyjmuje się w saloniku z tyłu domu. Ciotka była wątlej postury, przygarbiona. Na kościste ramiona zarzuciła chustę, siwe włosy zaczesła do tyłu i upięła ciasno spinkami. Miała zapadnięte oczy, a skóra twarzy była delikatna jak pergamin. Rebus zupełnie nie mógł jej sobie przypomnieć z dzieciństwa.

– Gdy byłeś ostatni raz w Fife, miałeś chyba ze trzy lata. Mówiłeś jeszcze niewyraźnie, aż trudno cię było zrozumieć. Ciągle chciałeś żartować albo śpiewać piosenki.

– Zmieniłem się – odparł Rebus.

– Słucham? – Usiadła głęboko w fotelu obok kominka i wyciągnęła szyję do przodu. – Już słabo słyszę, Jock.

– Powiedziałem, że już nikt nie zwraca się do mnie per Jock. Tylko John – wyjaśnił głośno.

– O, tak, John. Masz rację.

Okryła nogi kocem. W miejscu kominka zamontowano elektryczną imitację grzejących płomieni i palącego się drewna. Niestety, ciepło też było imitacją, zauważył Rebus. Jedno niby-polano jaśniało na pomarańczowo, ale nie czuło się żaru.

– Danny cię odnalazł, tak?

– Chyba Andy?

– To dobry chłopak. Taka szkoda, że go zwolnili z pracy. Przyjechał z tobą?

– Nie. Został w Edynburgu.

Staruszka odchyliła głowę na oparcie fotela. Rebus zaczął podejrzewać, że zaraz pogrąży się w drzemce. Pewnie ją wykończył spacer do drzwi frontowych i z powrotem.

– Jego rodzice to porządni ludzie. Są dla mnie tacy dobrzy.

– Prosiłaś, ciciu, żebym przyjechał, bo chciałaś ze mną o czymś porozmawiać.

– Co?

Rebus pochylił się w stronę fotela ciotki, opierając ręce na podłokietnikach.

– Chciałaś, żebym przyjechał.

Jeszcze przed chwilą miała otwarte oczy, teraz już nie. Zaczęła pochrapywać przez otwarte usta.

Rebus wstał i głośno westchnął. Zegar na gzymsie kominka nie działał, ale on wiedział, że musi jakoś zabić dwie godziny oczekiwania na transport do Edynburga. Rozmowa z Siobhan Clarke o sprawie hotelu Central pobudziła go. Chciał wrócić, by się nią zająć, lecz został uwięziony w tym miniaturowym muzeum. Rozejrzał się dookoła i zmarszczył nos na widok chromowanego nocnika w rogu pokoju. Na półkach przeszklonej etażerki na porcelanę stały fotografie. Zaczął je oglądać. Rozpoznał swoich dziadków ze strony ojca, ale nie było zdjęcia ojca. Wszystko przez właśnie rodzinne. Szkoci nigdy nie zapominają. Niby brzemię, ale jednocześnie cnota.

Z salonu przechodziło się bezpośrednio do spiżarni. Rebus zajrzał do środka i zobaczył przedpotopową lodówkę. Znalazł w niej kawałek pieczeni i go obwąchał. W dużej formie leżał chleb, obok, w miseczce na suszarce do naczyń, stało masło. Dziesięć minut robił kanapki, a pięć minut zabrało mu znalezienie herbaty.

Obok zlewozmywaka stało przenośne radio; włączył je i próbował znaleźć stację nadającą sprawozdanie z meczu piłkarskiego. Niestety, baterie były tak kiepskie jak herbata. Wrócił na palcach do pokoju, gdzie ciotka Ena nadal spała, i usiadł w fotelu naprzeciwko niej. Nie przyjechał tu w nadziei na otrzymanie spadku, ale spodziewał się odrobinę więcej akcji niż to, co się działo. Nagle wyjątkowo głośne chrapnięcie przywróciło staruszkę do stanu czuwania.

– Co? To ty, Jimmy?

– Nie, to ja, John, twój bratanek.

– Święta Panienko, John. Czy ja zasnęłam?

– Na chwilkę.

– To okropne z mojej strony. Mam gościa, a ucinam sobie drzemkę.

– Nie jestem gościem, ciociu. Jestem członkiem rodziny.

- No tak, synku, jesteś. A teraz posłuchaj. W lodówce jest pieczeń. Chcesz trochę...?

- Nie, dzięki, już się poczęstowałem.

- Co?

- Zrobiłem kanapki.

- No tak, zawsze byłeś bystry. A może herbaty?

- Siedź, ciociu. Zrobię świeżej. - Zaparzył w imbryku herbatę, przyniósł kanapki na talerzu i postawił na taboreciku przed fotelem Eny. - Proszę, ciociu.

Już miał jej podać kanapkę, gdy nagle chwyciła go za nadgarstki, niemal wywracając talerz. Miała zamknięte oczy i choć wyglądała słabo, to uścisk jej dłoni był silny. Zaczęła mówić. Rebus dopiero po chwili zorientował się, że była to tylko modlitwa dziękczynna.

- Są ludzie, którzy jedzą mięso, a inni nie mogą; są też tacy, którzy nie mają nic do jedzenia. Ale my mamy mięso i możemy jeść, więc niech Bogu za to będą dzięki.

Rebus omal nie parsknął śmiechem, choć zarazem był wzruszony. Uśmiechnął się do ciotki, podając jej kanapkę. Poszedł do kuchenki po herbatę.

Posiłek wyraźnie ożywił Enę. Znów wyglądała, jakby pamiętała, po co go tu ściągnęła.

- Twój ojciec i mój mąż pokłócili się wiele lat temu. Może czterdzieści, a może więcej. Od tamtej pory nigdy nie napisali do siebie listu ani nawet kartki na Boże Narodzenie, nie wymienili ani słowa. Nie uważasz, że to głupota? A wiesz, o co im poszło? O to, że na ślub naszej Ishbel zaprosiliśmy twojego ojca i twoją matkę, a nie zaprosiliśmy ciebie. Zdecydowaliśmy, że na weselu nie będzie żadnych dzieci. Peggy Callaghan przyjechała z synem, który nie był zaproszony, ale nie mogliśmy, niestety, nic na to poradzić, bo nie mógł sam wracać do domu. Gdy twój ojciec zobaczył, wybuchła wściekła kłótnia z Jimmym. Wtedy twój ojciec odwrócił się na pięcie i wyszedł jak burza, ciągnąc za sobą twoją matkę. To była taka dobra kobieta. No i to wszystko.

Rozsiadła się głębiej w fotelu. Do dolnej wargi przykleiły się okruszki chleba.

– To wszystko?

Skinęła głową.

– To przecież żaden powód, by wybuchła taka waśń, prawda? Przynajmniej gdy się patrzy na to dziś. Ale im wystarczyło. I obaj byli tak uparci, że nigdy się nie pogodzili.

– I dlatego chciałaś, ciociu, bym przyjechał? Żeby mi to opowiedzieć?

– Po części. Chciałam też coś ci dać.

Uniosła się powoli z fotela i korzystając z balkonika, pochyliła się nad gzymsem kominka. Rebus wstał, by ją podtrzymać, ale nie potrzebowała jego pomocy. Znalazła fotografię i dała ją Rebusowi. Na wyblakłym biało-czarnym zdjęciu byli dwaj uśmiechnięci chłopcy, niezbyt elegancko ubrani. Obejmowali się ramionami, ich głowy były blisko siebie. Najlepsi przyjaciele, a nawet więcej: bracia.

– Trzymał to zdjęcie, wiesz? Kiedyś powiedział, że wyrzucił wszystkie fotografie z twoim ojcem. Ale gdy przeglądaliśmy jego rzeczy, znaleźliśmy to jedno zdjęcie na spodzie pudełka po butach. Weź je, proszę, Jock.

– Nie Jock, tylko John – poprawił ją Rebus, a jego oczy, zazwyczaj suche, dziwnie zwilgotniały.

– No tak – zgodziła się ciotka. – No tak.

**TEGO SAMEGO POPOŁUDNIA** Michael Rebus drzemał, leżąc na kanapie, nieświadomy, że opuszcza jeden ze swoich ulubionych seriali, *Podwójne ubezpieczenie*, na BBC2. W południe poszedł do pubu na drinka – sam, jak się okazało. Studenci nie dopisali, bo albo byli na zakupach, albo poszli do pralni samoobsługowej, albo pojechali do domów odwiedzić rodziców i przyjaciół. Michael wypił dwa jasne z odrobiną soku, wrócił do mieszkania i szybko zapadł w sen przy włączonym telewizorze.

Ostatnio sporo myślał o Johnie. Zdawał sobie sprawę, że narzuca się starszemu bratu, i nie miał zamiaru tego ciągnąć w nieskończoność. Rozmawiał przez telefon z Chrissie. Nadal mieszkała w Kirkcaldy

z dziećmi. Po aresztowaniu nie chciała już mieć z nim nic wspólnego. Była szczególnie załamana tym, że rodzony brat dostarczył dowodów przeciwko niemu. Jednak Michael nie miał do niego wielkiego żalu. John żył według zasad. A poza tym niektóre z tych dowodów przedstawił po to, by go wybronić.

Michael pisał do Chrissie listy przez całą odsiadkę, a potem z Londynu, nie wiedząc nawet, czy do niej docierają. Ale podczas rozmowy przyznała się, że je czytała. Mówiła, że nie ma żadnego faceta, a dzieci są zdrowe, i pytała, czy miałby ochotę kiedyś je odwiedzić.

– Chcę się z tobą spotkać – powiedział wtedy. To było szczerze.

Śniła mu się, gdy zadzwonił dzwonek do drzwi. Szczerze mówiąc, nie tylko ona mu się śniła, ale też... Gail, ta młoda studentka. Zerwał się na nogi. Dzwonek dzwonił i dzwonił.

Otwarcie zamka i drzwi trwało sekundę, a potem świat Michaela się zapadł.

**PO KOLEJNEJ PORAŹCE DRUŻYNY** Hibernian Siobhan Clarke nie odzywała się w drodze powrotnej, co nawet odpowiadało Rebusowi. Chciał przemyśleć kilka rzeczy, dla odmiany nie dotyczących pracy. Ostatnio za dużo o niej myślał i poświęcił się jej tak, jak nigdy nie poświęcił się żadnej osobie. Ani ekszombie, ani córce, ani Patience, ani Michaelowi.

Do policji przyszedł znużony przedwcześnie życiem i pełen cynizmu. Potem obserwował rekrutów, takich jak Holmes i Clarke. Widział, jak ich najlepsze intencje są duszone przez system i podejście społeczeństwa do pracy policjanta. Zdarzały się chwile, gdy ludzie witali i traktowali ich gorzej niż malarzy znakujących krzyżami drzwi w czasie zarazy.

– Nie są warci złamanego szeląga – stwierdziła Clarke.

– Chyba tak.

– Właśnie. Dzisiaj straciłam na nich więcej niż parę złamanych szelągów.

Rebus się uśmiechnął.

- No tak - rzucił. - Ciągłe zapominam, że na świecie żyją ludzie, którym przydarzają się gorsze przypadki niż tobie... Oczywiście jeśli nie są fanami Hibsów.

- Ha, ha, cholernie śmieszne.

Siobhan Clarke włączyła radio i próbowała znaleźć stację niepodającą wyników dzisiejszych rozgrywek sportowych.

## Rozdział 9

**PEŁEN DOBRYCH INTENCJI REBUS** otworzył drzwi do mieszkania, natychmiast wyczuwając, że nie ma w nim nikogo. W końcu to był sobotni wieczór. Ale mogli przynajmniej wyłączyć telewizor.

Zajrzał do pakamery i położył starą fotografię na niepościelonym łóżku Michaela. W małym pomieszczeniu poczuł lekki zapach perfum, co przypomniało mu o Patience. Tęsknił za nią bardziej, niż mógłby się do tego przyznać. Kiedy zaczęli się spotykać, zgodnie uznali, że są już za starzy na coś, co można by określić jako „miłość”. Uzgodnili także, że są gotowi na mnóstwo seksu. Gdy Rebus się wprowadził, odbyli jeszcze jedną poważną rozmowę. W grę nie wchodzi żadne zobowiązanie – zgodzili się, że tak po prostu będzie im wygodniej. No tak, ale gdy wynajął swoje mieszkanie... to oznaczało właśnie zobowiązanie, zobowiązanie do spania na sofie, jeśli Patience wyrzuci go ze swojego domu.

Leżał teraz na sofie, zdając sobie sprawę z tego, że całkowicie zaanektował wspólną część mieszkania. Studenci woleli siedzieć w kuchni i rozmawiać cicho za zamkniętymi drzwiami. Rebus nie miał im tego za złe. Potworny bałagan w salonie był jego bałaganem. Przy oknie na podłodze leżała otwarta walizka z wystającymi skarpetami i krawatami. Torba podróżna była wciśnięta za oparcie sofy. Dwa garnitury wisiały zaczepione na półeczce na zdjęcia tuż koło pakamery, częściowo zasłaniając psychodeliczny plakat, od którego bolały go oczy. Niewietrzony pokój nie pachniał zbyt ładnie. Ale ten zapach mu odpowiadał. Przecież to była jego własna norka.

Podniósł słuchawkę i zadzwonił do Patience. Na sekretarce było zupełnie nowe nagranie powitalne: „Wyjeżdżam z Susan i Jenny do ich matki. Zostaw wiadomość po sygnale”.



Rebus pomyślał od razu, że to totalna głupota zostawiać taką wiadomość, którą usłyszy każdy, kto zadzwoni, i dowie się, że gospodyni nie ma w domu. Przecież złodzieje zawsze najpierw dzwonią. Zwykle przeglądają książkę telefoniczną i wykręcają numer na chybił trafił, polując na sytuację, gdy telefon będzie dzwonił i dzwonił lub gdy włączy się automatyczna sekretarka. Należało zawsze zostawić taką wiadomość, by nie wynikało z niej, że dom jest pusty.

Doszedł do wniosku, że skoro Patience pojechała do siostry, to wróci najwcześniej jutro późnym wieczorem, a może nawet zostanie u niej do poniedziałku.

– Cześć, Patience – zaczął się nagrywać na sekretarkę. – To ja. Chętnie porozmawiam, gdy tylko będziesz miała na to ochotę. Tęsknię za tobą. Pa.

Więc odwiozła dziewczynki. Może teraz wszystko się jakoś ułoży. Nie będzie już boczącej się na cały świat Susan ani wrażliwej Jenny. To nie dziewczynki sprawiły, że się rozstali, ale też w niczym nie pomogły.

Zaparzył sobie studencki substytut kawy, cały czas myśląc, czy nie przejść się do otwartego do późna sklepiku na rogu Marchmont Road. Ale tam mieli tylko rozpuszczalną albo drogą kawę, a poza tym może to studenckie „coś” też będzie smakowało.

Smakowało okropnie i było całkowicie pozbawione kofeiny, co pewnie sprawiło, że Rebus zasnął, oglądając jakiś film w telewizji.

Obudził go telefon. Ktoś wyłączył telewizor i przypuszczalnie ta sama osoba przykryła go kocem. To stało się już zwyczajem. Cały zeszywniały, usiadł i sięgnął po słuchawkę. Zegarek wskazywał pierwszą piętnaście w nocy.

– Halo?

– Inspektor Rebus?

– Przy telefonie. – Przeczesał ręką włosy.

– Inspektorze, mówi posterunkowy Hart. Jestem w South Queensferry.

– Tak?

– Jest tu ktoś, kto twierdzi, że jest pana bratem.

– Michael?

- Takie podał nam imię.
- Co się stało? Jest nawalony?
- Nic z tych rzeczy, panie inspektorze.
- Więc o co chodzi?
- Znaleźliśmy go...

Rebus wreszcie się przebudził.

- Znaleźliście go... gdzie?
- Zwisał z mostu Forth Rail.
- Co? – Jego ręka zacisnęła się na słuchawce, jakby chciał ją udusić. – Jak to „zwisał”?

- To nie to, o czym pan pomyślał, panie inspektorze. Przepraszam, jeśli...

Rozluźnił trochę dłoń na słuchawce.

- Nie. Chciałem powiedzieć, że zwisał przywiązany za stopy. Tak w powietrzu, przywiązany, pośrodku między mostem a wodą.

- **POCZĄTKOWO MYŚLELIŚMY, ŻE** to jakiś dowcip, który komuś nie wyszedł. No wie pan, taki skok na bungee. – Posterunkowy Hart prowadził Rebusa do budki po portowej stronie South Queensferry. Przed nimi rozpościerało się ciemne i ciche ujście rzeki Forth do morza. W pewnej odległości Rebus dostrzegł w górze most kolejowy. – Ale to nie jest historyjka, którą nam opowiedział. Poza tym to oczywiste, że sam nie mógł się tak przywiązać.

- Co to znaczy „oczywiste”?

- Miał związane ręce. I usta zalepione szeroką taśmą.

- Jezu.

- Lekarz mówi, że wszystko będzie w porządku. Gdyby go zepchnęli, to nogi mogłyby wyrwać się ze stawów, ale lekarz doszedł do wniosku, że musieli go opuszczać.

- A jak się dostali na most?

- To całkiem proste, jeśli ktoś nie boi się wysokości.

Rebus, który raczej nie należał do tej grupy, stanowczo odmówił zwiedzenia brązowej stalowej konstrukcji i obejrzenia miejsca, z którego

zwisał Michael.

– Wygląda na to, że poczekali na moment, gdy nie będzie przejeżdżał żaden pociąg, ale pod mostem przepływał mały statek. Kapitan coś zauważył i wezwał nas przez radio. W przeciwnym wypadku pana brat mógłby tak wisieć całą noc. – Hart pokręcił głową. – Zimna noc. Trudno byłoby wytrzymać.

Doszli wreszcie do budki. W środku było miejsce tylko dla dwóch ludzi. Jednym z nich był Michael, a drugim lekarz mieszkający w pobliżu. Wyrwano go z łóżka, co można było stwierdzić po jego ubiorze. Pozostali ludzie stali na zewnątrz: policjanci, właściciel hotelu na nabrzeżu, kapitan statku, który uratował Michaelowi życie albo przynajmniej jego zdrowie psychiczne.

– John, dobry Boże. – Michael trząsał się jak w febrze, twarz miał trupio błądą.

Lekarz trzymał kubek gorącej kawy czy jakiegoś innego napoju i namawiał Michaela do picia.

– Pij – zachęcił brata Rebus.

Michael wyglądał żałośnie, jak ofiara jakiejś potwornej tragedii. Rebusa ogarnął niezwykle smutek. Brat spędził długie lata w więzieniu, gdzie Bóg jeden wie, co się z nim działo. Po odbyciu kary raczej nie dopisywało mu szczęście, aż wreszcie trafił do Edynburga. Zuchwalstwo, nocne imprezki ze studentami – Rebus dopiero teraz zrozumiał, czemu to służyło. To była tylko maska, próba zapomnienia o wszystkim, czego Michael bał się przez tyle lat. A teraz wydarzyło się coś, co sprawiło, że wyglądał jak trzęsący się zbity zwierzak.

– Za moment wracam, Mickey. – Rebus odciągnął Harta za budkę. – Co panu powiedział? – zapytał, starając się kontrolować wściekłość.

– Powiedział, że był sam w pana mieszkaniu.

– Kiedy?

– Po południu, około czwartej. Ktoś zadzwonił do drzwi, a gdy pana brat je otworzył, trzech mężczyzn wdarło się do środka. Pierwsze, co zrobili, to zarzucili mu worek na głowę, powalili na podłogę i związali. Potem ściągnęli worek, zakleili taśmą usta i znów włożyli worek.

- Zobaczył ich twarze?

- Trzymali go głową w dół. Widział ich tylko przez moment, kiedy otwierał drzwi.

- I co dalej?

Rebus starał się nie spoglądać do góry na most kolejowy. Skupiał wzrok na czerwonych światelkach dochodzących z odległego mostu drogowego.

- Musieli go w coś zawinać, być może w dywan, i zanieśli do furgonetki. Pana brat powiedział, że jej środek był zawalony kartonami. - Hart przerwał na chwilę. Nie podobało mu się przenikliwe, zdradzające maksymalną koncentrację spojrzenie inspektora.

- No i? - ponaglił Rebus.

- Mówił, że wozili go przez kilka godzin, nie odzywając się do niego. Potem wzięli go do pomieszczenia, które przypominało piwnicę lub jakiś skład. Nie zdjęli mu worka z głowy, więc nie był pewien. - Hart znowu przerwał. - Biorąc pod uwagę jego stan, nie chciałem dopytywać się o szczegóły, panie inspektorze.

Rebus skinął głową.

- W końcu go tu przywieźli, przywiązali do krawędzi mostu i opuścili. Cały czas nic nie mówili, a na koniec zdjęli mu worek z głowy.

- Chryste.

Rebus zacisnął oczy. To przypomniało mu najgorsze wspomnienia z treningu SAS. Właśnie w taki sposób starano się wycisnąć z niego informacje. Wsadzali go do helikoptera z torbą na głowie, potem grozili, że go wyrzucą, i straszili tym cały czas, choć helikopter unosił się tylko niecałe trzy metry nad ziemią, a jemu wydawało się, że są to setki metrów. Przeżycie było naprawdę okropne. Odsunął Harta, odciągnął lekarza na bok i pochylił się, by przytulić Michaela. Gdy przycisnął go mocno do klatki piersiowej, brat zaczął głośno łkać. Płakał przez wiele minut, ale Rebus go nie puszczał.

W końcu płacz Michaela zmienił się w suche, bolesne łkanie, jakby kaszel. Wreszcie oddech stał się wolniejszy, a na koniec uspokoił się

zupełnie. Twarz Michaela pokrywały smugi po łzach i śluzie z nosa. Rebus podał mu chusteczkę.

– Przyjechała karetka – powiedział cicho lekarz.

Rebus skinął głową. Jego brat był w szoku i będzie musiał zostać w szpitalu na obserwacji przez całą noc.

Teraz mam dwóch pacjentów do odwiedzania, pomyślał Rebus. A co więcej, podejrzewał, że motywy obydwu ataków były podobne. Gdy się poważniej nad tym zastanowił, to nawet bardzo podobne. Znowu poczuł wściekłość. Skóra na głowie zaczęła go okropnie swędzić. Uspokoił się trochę, pomagając Michaelowi dojść do karetki.

– Chcesz, żebym z tobą pojechał? – zapytał.

– Absolutnie nie – odparł Michael. – Wracaj do domu.

Podczas drogi do karetki nogi się pod nim ugiwały, jakby nie blokowały się w kolanach. Sanitariusze prowadzili go jak kontuzjowanego piłkarza zabieranego z boiska. Gdy zamknęły się drzwi i karetka odjechała, Rebus podziękował lekarzowi, kapitanowi statku i Hartowi.

– Piekielna sprawa – skomentował posterunkowy. – Ma pan jakieś domysły?

– Nawet kilka – odpowiedział Rebus.

**GDY WRÓCIŁ DO MIESZKANIA** I zaszył się w ciemnym salonie, zapadł w głęboką zadumę. Jego życie zaczęło przypominać drogę do piekła. Ktoś wysłał mu dziś wiadomość. Postanowili wykorzystać do tego celu Michaela albo wzięli Michaela za niego. W sumie wszyscy ludzie są do siebie podobni. Skoro porywacze przyszli do mieszkania przy Arden Street, to albo mieli stare informacje, albo wiedzieli wszystko o jego rozstaniu z Patience, co mogło znaczyć, że są doskonale poinformowani. Rebus jednak optował za tym pierwszym. Tabliczka przy dzwonku nadal nosiła jego nazwisko, choć obok dolepiono kartkę z czterema innymi nazwiskami. To musiało ich na moment zatrzymać. Ale mimo to zdecydowali się zaatakować. Dlaczego? Czy to znaczyło, że są aż tak

zdesperowani? A może wystarczył im jakikolwiek zakładnik, by przesłać wiadomość?

Wiadomość dotarła.

I prawie została zrozumiana. Prawie. To była poważna sprawa. Śmiertelnie poważna. Najpierw Brian, teraz Michael. Rebus właściwie nie miał wątpliwości, że te dwa przypadki się łączą. Czuł, że czas coś przedsięwziąć, a nie czekać na następny ruch przeciwnika. Wiedział już, co zrobić. Wyrażenie „droga do piekła” sprawiło, że przyszło mu to na myśl. Część jego natury chciała trzymać w ręce broń. Pistolet ładnie wyrównałby szanse. Rebus wiedział już nawet, gdzie go zdobyć. „Wszystko, od dywanu po kłamekę”. Zorientował się, że chodzi w kółko pod oknem. Czuł się jak zamknięty w klatce; nie chciało mu się spać, a nie mógł jeszcze nic zdziałać przeciwko swojemu niewidocznemu wrogowi. Ale musiał coś zrobić... więc wybrał się na przejażdżkę samochodem.

Pojechał do Perth. Podróż w nocy po autostradzie nie trwała długo. Po dotarciu do miasta zabłądził kilka razy (nie miał kogo zapytać o drogę, nie było nawet żadnego policjanta), zanim znalazł właściwą ulicę. Oddzielała domy po jednej stronie od otwartego pola po drugiej. Tu właśnie mieszkała siostra Patience. Rebus zauważył samochód Patience i zaparkował dwa miejsca dalej. Wyłączył światła i zgasił silnik. Sięgnął po koc i szczelnie się nim opatulił. Siedział przez chwilę, czując się bardziej zrelaksowany niż kiedykolwiek. Zastanawiał się, czy nie wziąć ze sobą trochę whisky, ale wiedział, jak czułaby się jego głowa następnego dnia rano. A jeśli czegoś chciał od kolejnego dnia, to na pewno ostrości umysłu. Pomyślał o Patience, która spała w pokoju gościnnym, sąsiadującym z sypialnią Susan. Spała silnym snem, a jej czoło i policzki oświetlało światło księżyca. Wydawało mu się, że jest bardzo daleko od Edynburga i jeszcze dalej od cienia mostu Forth Rail. Poczul senność i od razu mocno zasnął.

Gdy się obudził, był niedzielny poranek, godzina szósta trzydzieści. Odrzucił koc, uruchomił silnik i włączył ogrzewanie na pełną moc. Było mu chłodno, ale czuł się doskonale wyspany. Ulica była pusta, poza jednym mężczyzną spacerującym z brzydkim białym pudlem. Musiał się

zdziwić, gdy ujrzał zaspanego faceta w samochodzie. Rebus uśmiechnął się do niego przymilnie, wrzucił bieg i odjechał.

## Rozdział 10

POJECHAŁ PROSTO DO SZPITALA, gdzie mimo przedśniadaniowej pory podawano pacjentom herbatę. Michael siedział na łóżku, trzymając tacę z filiżanką na kolanach. Nieruchomo jak posąg wpatrywał się w brązowy płyn. Jego twarz była pozbawiona wszelkiego wyrazu. Nie poruszył się, nawet gdy Rebus z łoskotem przyciągnął krzesło spod ściany i usiadł.

– Siemano, Mickey.

– Cześć, John.

Michael nadal wpatrywał się w filiżankę. Jego powieki były nieruchome.

– Cały czas to rozpamiętujesz?

Michael milczał.

– Ja też tak miałem. Jak człowiekowi przydarzy się coś okropnego, to przez cały czas widzi te sceny, rozpamiętuje je od początku do końca. W końcu przestają się pojawiać i znikają. Wiem, że teraz trudno jest ci w to uwierzyć.

– Staram się domyślić, kto to mógł zrobić i dlaczego.

– Chcieli, żebyś był przerażony. Sądzę, że to była wiadomość dla mnie.

– Czy zamiast tego nie mogli po prostu przysłać ci listu? Byłem naprawdę przerażony. Omal nie narobiłem w portki ze strachu.

Rebus zaczął się śmiać. Jeśli Michael odzyskiwał poczucie humoru, to oznaczało, że wkrótce wróci do zdrowia.

– Zobacz, co ci przyniosłem.

To była fotografia z Aberdeen. Rebus położył ją na tacy obok nietkniętego kubka z herbatą.

– Kto to?

– Ojciec i wujek Jimmy.



- Wujek Jimmy? Nie pamiętam żadnego wujka Jimmy'ego.

- Pokłócili się i od tego czasu nie odezwali się do siebie ani się nie spotkali.

- To przykre.

- Wujek Jimmy zmarł kilka tygodni temu. Wdowa po nim, ciotka Ena, dała mi tę fotografię.

- Po co?

- Może dlatego, że jesteśmy braćmi – odparł Rebus.

- Chyba nie zawsze o tym pamiętałeś. – Michael uśmiechnął się i spojrzał na brata oczami błyszczącymi od łez.

- Teraz już nie zapomnę – zadeklarował Rebus i wskazał brodą na herbatę. – Mogę ją wypić, jeśli nie masz na nią ochoty? Mój język czuje się jak wycieraczka do butów przed wejściem do baru w porze serwowania drinków za pół ceny.

- Bierz śmiało.

Rebus opróżnił filiżankę dwoma wielkimi haustami.

- O Jezu. Pijąc to świństwo, zrobiłem ci przysługę.

- Znam dobrze te herbatki serwowane w państwowych instytucjach.

- Widzę, że nie jesteś taki oziębiały, na jakiego wyglądasz – zauważył Rebus. – Przyjrzałeś się im choć trochę?

- Komu?

- Tym facetom, którzy cię uprowadzili.

- Zobaczyłem tylko ich cielska ładujące się przez drzwi. Pierwszy był mojego wzrostu, ale o wiele szerszy w ramionach. A ci pozostali... nie mam pojęcia. I nawet przez sekundę nie widziałem ich twarzy.

- Trudno. A możesz jeszcze coś dodać do tej historii?

- Nic poza tym, co powiedziałem wczoraj posterunkowemu. Przypomnij mi, jak on się nazywa?

- Hart.

- No właśnie. Myślał, że skakałem na bungee. – Michael uśmiechnął się ponuro. – Odpowiedziałem mu, że nie, że tak tylko sobie wisiałem.

- Dzięki Bogu mocno cię przywiązali, co?

Michael przestał się uśmiechać.

– Miałem koszmar senny. Musieli coś mi dać, żebym zasnął. Nie wiem, co to było, ale do tej pory czuję się nawalony.

– Jak ich kiedyś spotkasz, poproś o receptę, może sprzedasz te prochy studentom.

– Ci studenci są w porządku, John.

– Wiem.

– Przykro by mi było, gdyby musieli się wyprowadzić.

– Wiem.

– Pamiętasz Gail?

– Tę dziewczynę, z którą się widujesz?

– Tak, widziałem każdy centymetr kwadratowy jej ciała. Ale to już czas przeszły. Ona ma chłopaka w Auchterarder. Mam nadzieję, że faceci z tego miasteczka nie są zbyt zazdrośni.

– Nie sądzę, by to on stał za tym, co cię spotkało.

– Nie? Tylko że nie kręciłem się na tyle długo po Edynburgu, by narobić sobie wrogów.

– Nie bój się – odparł Rebus. – Ja mam tylu wrogów, że wystarczy dla nas dwóch.

– To bardzo pokrzepiające. Ale...

– Tak?

– A może by tak zamontować judasza w twoich drzwiach? Tylko pomyśl, co by się stało, gdyby drzwi otworzyła jedna ze studentek.

Rebus już o tym pomyślał.

– I łańcuch do drzwi. Będą zamontowane dziś po południu – powiedział i po chwili dodał: – Hart wspominał coś o furgonetce.

– Gdy wepchnęli mnie do środka, czułem się, jakby wciśnięto mnie w szczelinę, chociaż miałem wrażenie, że jest to dość spora furgonetka.

– Czyli miała jakiś towar?

– Możliwe. To było coś twardego, bo mam siniaki na kolanach. – Michael wzruszył ramionami. – Więcej nic już nie pamiętam. – Coś sobie

jednak przypomniał. – Czułem dziwny zapach. Jakby wcześniej coś martwego leżało na dywanie, w który mnie zawinęli.

Bracia rozmawiali jeszcze przez kwadrans, aż wreszcie Michael przymknął oczy i zasnął. Nie spał długo, bo podawano śniadanie. Rebus wstał i przesunął krzesło do tyłu. Położył fotografię na stoliku nocnym koło łóżka. Miał jeszcze jedną wizytę w szpitalu do odbycia.

Niestety, wokół Briana Holmesa zgromadzili się lekarze, a pielęgniarka nie potrafiła określić, jak długo zajmie im narada. Powiedziała jedynie, że pacjent obudził się jeszcze raz w nocy prawie na całą minutę. Rebus żałował, że nie było go wtedy przy nim. Minuta wystarczyłaby na uzyskanie odpowiedzi na pytanie, które chciał mu zadać. Holmes mówił też przez sen, ale słowa były niewyraźne i nikt ich nie zapisywał. Rebus zrezygnował z czekania i wyszedł ze szpitala, by zrobić zakupy. Postanowił zadzwonić w południe i dowiedzieć się, kiedy wypuszczą Michaela.

Idąc do domu, po drodze wstąpił do spożywczego na rogu i zrobił zapasy na cały tydzień. Właśnie kończył śniadanie, gdy w kuchni pojawił się jeden ze studentów i wypił trzy szklanki wody.

– Powinieneś napić się wody przed snem – zaczął się wymądrzać Rebus.

– Dzięki, Sherlocku. – Młodzieniec zaśmiał się krzywo. – Ma pan paracetamol?

Rebus pokręcił głową.

– W tej becce musiało być skisłe piwo. Pierwszy kufel smakował jak kwasior.

– No tak, ale pewnie drugi już smakował lepiej, a szósty był wręcz rewelacyjny.

Student zaśmiał się głośno.

– Co pan je?

– Grzankę z dżemem.

– A co z jajkami na bekonie?

Rebus pokręcił głową.

– Postanowiłem zapomnieć o mięsie na jakiś czas.

Chłopak wyglądał na niezwykle zadowolonego.

– W lodówce jest sok pomarańczowy – dodał Rebus.

Student otworzył lodówkę i gwizdnął z zachwytu.

– Tu jest żarcia na wykarmienie całej sali wykładowej!

– Właśnie dlatego tyle kupiłem – wyjaśnił Rebus – żeby starczyło nam chociaż na dzień, może dwa.

Chłopak wziął list leżący na lodówce i wręczył go Rebusowi.

– Przyszedł wczoraj.

To było pismo z urzędu skarbowego. Rozpatrywali możliwość wizyty w celu sprawdzenia mieszkania.

– Pamiętaj, jeśli ktokolwiek będzie was pytał, kim jesteście, to jesteście moimi bratankami i siostrzenicami – powiedział Rebus.

– Dobrze, wujku. – Student zaczął buszować po lodówce. – A dokąd wybraliście się wczoraj z Mickeyem? Jak wróciłem o drugiej, nie było tu śladu życia.

– Tak wyskoczyliśmy... – Rebus nie mógł znaleźć odpowiedniego słowa.

– Przewietrzyć się? – wyręczył go chłopak.

– Tak, przewietrzyć się.

**POJECHAŁ DO SKLEPU DLA** majsterkowiczów na peryferiach miasta i kupił łańcuch do drzwi, judasza i narzędzia, które uprzejmy sprzedawca uznał za konieczne do samodzielnego montażu. Jak się okazało, z niektórych Rebus wcale nie skorzystał. A skoro obok był supermarket, wpadł tam, żeby dokupić kilka artykułów spożywczych. Gdy skończył zakupy, właśnie otwierano puby, więc wstąpił do kilku, ale nie znalazł tego kogoś, z kim chciał pogadać. Sprzedał temat barmanom, a ci obiecali, że przekażą poszukiwanej osobie prośbę o kontakt.

Już ze swojego mieszkania zadzwonił do szpitala i dowiedział się, że Michael może wrócić do domu po południu. Rebus uzgodnił, że odbierze brata o czwartej, po czym zabrał się do pracy. Wywiercił dziurę w drzwiach, ale okazało się, że umieścił ją zbyt wysoko dla jednej ze

studentek, tak że dziewczyna musiałaby stawać na palcach, żeby coś zobaczyć. Niżej wywiercił więc nową dziurę, a tę wyższą wypełnił szpachlą do drewna. Na koniec zamontował judasza. Wprawdzie był trochę przekrzywiony, lecz spełniał swoją funkcję. Przykręcenie łańcucha z blokadą do drzwi okazało się łatwiejszym zadaniem. Nie skorzystał z dwóch narzędzi i wiertła do betonu. Zastanawiał się, czy sklep przyjmie je z powrotem.

Następnie posprzątał pakamerę i wrzucił rzeczy Michaela do pralki. Potem zjadł na lunch zapiekany makaron z serem, który przygotowali studenci. Nie do końca przeprosił ich za swoje paskudne zachowanie w ciągu tygodnia, ale nalegał, by korzystali z salonu, kiedy tylko im się spodoba, i oznajmił, że obniża wysokość czynszu – ta wiadomość była dla nich radosną niespodzianką. Nie powiedział im nic o Michaelu; sądził, że brat nie chciałby, żeby wiedzieli cokolwiek o tym wydarzeniu. Wyjaśnił im, że dodatkowe środki bezpieczeństwa w postaci łańcucha i judasza są związane z częstymi włamaniami w okolicy.

**PO POŁUDNIU ODEBRAŁ BRATA** ze szpitala. Michael otrzymał od lekarza wielką butelkę środków nasennych. Wcześniej jednak Rebus przekupił studentów, by wynieśli się z domu na cały wieczór. Jeśli Michaelowi znowu zbierze się na płacz, przynajmniej nie będzie miał niepotrzebnej widowni.

– Zobacz, mamy judasza – oznajmił Rebus, gdy wchodzili do mieszkania.

– Szybko ci poszło.

– To protestancka etyka pracy. A może kalwińskie poczucie winy? Nigdy nie wiem, co jest właściwsze. – Rebus zamknął za nimi drzwi. – Mamy jeszcze łańcuch.

– Od razu widać, że robiłeś to w pośpiechu. Ale fuszerka!

– Hej, brachu, nie przeginaj.

Michael usiadł w salonie, a brat zaparzył herbaty w dwóch kubkach. Klatka schodowa wydawała im się obca i groźna; nie zdołali ukryć

niepokoju. Choć zabarykadowany w swoim domu, Rebus nie czuł się bezpiecznie. Nie chciał jednak dzielić się swoimi troskami z Michaelem.

– Tak jak lubisz. – Podał mu herbatę. Zauważył, że brat znowu ma wilgotne oczy, choć starał się panować nad sobą.

– Dzięki, John.

Zanim Rebus zdążył cokolwiek odpowiedzieć, zadzwonił telefon. To Siobhan Clarke chciała uzgodnić kilka szczegółów dotyczących jutrzejszej obserwacji.

Rebus zapewnił ją, że wszystko jest pod kontrolą, a oczekiwano od niej tylko tego, by rano zjawiła się, gdzie trzeba, i odmrażała sobie tyłek przez kilka godzin.

– Pan to potrafi zmotywować człowieka – powiedziała na pożegnanie.

– Więc – zwrócił się do brata Rebus – co chcesz teraz robić?

Michael właśnie wytrząsał wielką okrągłą tabletkę z brązowej buteleczki ze środkami nasennymi. Drżącą ręką położył ją na języku i popił herbatą.

– Chciałbym zostać w domu i spokojnie się wyspać – powiedział.

– Masz to jak w banku.

# Rozdział 11

OPERACJA WORKI PIENIĘDZY ROZPOCZĘŁA się po cichu w poniedziałek o ósmej trzydzieści rano, pół godziny przed tym, jak bmw Daveya Dougary'ego wjechało na dziurawy asfalt parkingu firmy taksówkarskiej. Alister Flower i jego zespół zaczną pracę dopiero po otwarciu pubów, czyli o jedenastej albo i później. Lepiej nawet o tym nie myśleć, zwłaszcza że Siobhan Clarke już w momencie rozpoczęcia obserwacji była skostniała z zimna i nie dopuszczała do siebie myśli o skorzystaniu z chemicznej toalety ustawionej w kanciapie służącej dawniej do przechowywania odkurzacza i środków czystości.

Clarke była znudzona tym wszystkim. Detektyw posterunkowy Peter Petrie (z komendy przy St Leonard's) i Elsa-Beth Jardine z Wydziału Standardów Handlowych wyglądali, jakby hołubili w sobie totalnego weekendowego kaca i związane z nim nudności. Clarke pomyślała, że ona i Jardine mogłyby znaleźć wiele wspólnych tematów, jak choćby niedoceny kobiet w zawodzie zawłaszczonym przez facetów. Obecność Petriego wykluczała jednak takie pogaduszki.

Peter Petrie był jednym z tych w miarę inteligentnych, lecz niezbyt wnikliwych detektywów, którzy awansowali, zdając egzaminy (choć nigdy nie otrzymywali najlepszych ocen) i nie wchodząc nikomu w drogę. Był spokojny i metodyczny; Clarke nie wątpiła w jego kompetencje. Problem w tym, że brakowało mu iskry bożej czy też instynktu profesjonalnego śledczego. I najprawdopodobniej dlatego siedział tutaj teraz z termosem i żartował, udając rozmownego cwaniaka z uniwersyteckim wykształceniem. Kimkolwiek starał się być, daleko mu było do Johna Rebusa.

Choć Clarke bliska była tego, by zarzucić szefowi brak motywowania podwładnych do wytężonej pracy, prawda wyglądała całkiem inaczej.

Potrafił wciągnąć swoich detektywów w śledztwo, w swój tok rozumowania, podchodząc do niego w sposób zawężony i subiektywny. Jego tajemniczość i nieustępliwość w dążeniu do celu były intrygujące, wręcz fascynujące. A przede wszystkim dokładnie wiedział, dokąd zmierza. I nawet był dosyć przystojny. Siobhan Clarke dużo się o nim dowiedziała, słuchając Briana Holmesa, który bardzo chętnie dzielił się informacjami o zakończonych śledztwach i doskonale znał życiorys szefa.

Biedny Brian. Miała nadzieję, że wróci do zdrowia. Wiele o nim myślała minionej nocy, lecz jeszcze więcej o Caffertym i jego gangu. Bardzo by chciała w istotny sposób pomóc inspektorowi Rebusowi w śledztwie. Miała nawet kilka własnych przemyśleń o pożarze hotelu Central.

– Ktoś nadchodzi – rzucił Petrie. Kucnął przy statywie z aparatem fotograficznym i starał się wyregulować ostrość. Kilka razy nacisnął spust migawki. – Niezidentyfikowany mężczyzna. Kurtka dżinsowa i jasne spodnie. Zbliży się do biura pieszo.

Clarke wzięła notatnik i dokonała odpowiedniego wpisu.

– Wchodzi do biura. – Petrie odwrócił się od aparatu fotograficznego i skrzywił usta w uśmiechu. – Właśnie dlatego wstąpiłem do policji, dla życia pełnego przygód. – Nalał gorącego kakao z termosu do kubka.

– Muszę iść do toalety – powiedziała Elsa-Beth Jardine. – Muszę stąd wyjść.

– Nie da rady – rzucił Petrie. – Mogłabyś zwrócić czyjąś uwagę. Nie możesz stąd wychodzić, jak tylko zachce ci się siusiu.

Jardine spojrzała na Clarke.

– Ten twój koleś jest niezwykle elokwentny.

– On jest niepoprawnym romantykiem. Ale z tym wychodzeniem na zewnątrz to akurat ma rację.

Po zesłorocznym włamaniu do mieszkania i kradzieży sedesu łazienkę zalała woda i całkowicie zniszczyła podłogę, która teraz groziła zawaleniem, dlatego przenośną toaletę umieszczono w dawnym schowku na odkurzaczu.



Jardine przerzuciła stronę w czasopiśmie.

- Burt Reynolds ma siedem łazienek w swoim domu – przeczytała.
- Po jednej dla każdego krasnoludka – dodał Petrie.

**REBUS RZECZYWIŚCIE MÓGŁ WIEDZIEĆ**, dokąd zmierza w śledztwie, ale teraz czuł się, jakby chodził w kółko. Odwiedził wszystkie wcześniej otwierane puby znajdujące się blisko biura lokalnej gazety i wokół portu w dzielnicy Leith, kluby osiedlowe i punkty totalizatora sportowego; zadawał pytania i zostawiał wizytówki z prośbą o kontakt. Deek Torrance albo wcale się nie ujawniał, albo po prostu wyjechał z miasta. Gdyby był tu nadal, to wchodząc do jakiegoś pubu, oznajmiałby głośno o swoim przybyciu i suchym gardle. Jeśli już ktoś go poznał, z pewnością nie mógłby go tak szybko zapomnieć.

Rebus skontaktował się ze szpitalami w Edynburgu i Dundee, by sprawdzić, czy któryś z braci Robertsonów nie zgłosił się tam kiedykolwiek ze złamaną ręką. Zwłoki znalezione w zgłiszczach hotelu miały właśnie takie ślady.

Niestety, musiał porzucić własne śledztwo i sprawdzić swoich detektywów biorących udział w Operacji Worki Pieniędzy. Zostawił Michaela pogrążonego w głębokim śnie, który pewnie jeszcze trochę potrwa, jeśli tabletki nasenne były coś warte. Studenci weszli na paluszkach około północy, nieźle jak to określił jeden z nich, ugotowani, po wydaniu w pobliskiej knajpie trzydziestu funtów, które dostali od Rebusa. Oni też jeszcze spali, gdy wychodził z mieszkania. Nie miał śmiałości przyznać sam przed sobą, że nawet podobało mu się takie spanie na waleta we własnym salonie.

Cały miniony weekend jawił mu się jak jakiś dziwny koszmar. Wycieczka do Aberdeen, spotkanie z ciotką Eną, porwanie Michaela... podróż do Perth, zakładanie judasza i łańcucha i zbyt dużo wolnego czasu (mimo tylu wydarzeń). Zastanawiał się, jak ten weekend upłynął Patience. Pewnie wróci do domu dopiero dziś po południu. A on znowu spróbuje do niej zadzwonić.

Zaparkował przy uliczce odchodzącej od Gorgie Road i zamknął samochód. Nie była to najbezpieczniejsza dzielnica miasta. Miał nadzieję, że Siobhan Clarke założyła dziś zielono-biały szal do pracy... Szedł Gorgie Road. Autobusy rozpryskiwały kałuże po porannym deszczu. Był ostrożny: nie zatrzymał się ani na chwilę przed drzwiami, nie spojrzął na drugą stronę ulicy na siedzibę przedsiębiorstwa taksówkowego. Po prostu pchnął drzwi i ruszył w górę klatki schodowej. Zapukał do drzwi mieszkania.

Otworzyła Clarke.

– Dzień dobry, panie inspektorze. – Była zziębnięta, choć całkowicie opatulona kocem. – Kawy?

Kawa z jej termosu. Rebus pokręcił głową. Zwykle podczas obserwacji dowozi się napoje i posiłki, ale niestety, tym razem było inaczej. Uzgodnili, że nie powinno być żadnego zbędnego ruchu w tej pustawej kamienicy, więc trochę dziwnie by to wyglądało, gdyby nagle pojawił się dostawca pizzy z trzema styropianowymi kubeczkami herbaty. Nie było tu nawet wyjścia na tylne podwórko.

– Jak leci?

– Luzik – odpowiedziała Elsa-Beth Jardine, która wcale nie czuła się tu komfortowo. Na kolanach miała jakieś czasopismo. – Dzięki Bogu, o pierwszej ktoś mnie zmieni.

– Ty szczęściar – odezwał się detektyw posterunkowy Petrie.

Rebus wręcz uwielbiał, gdy wszyscy byli zadowoleni.

– To nie jest zabawa – skomentował. – To jest zwykła praca. I dopiero jak dorwiemy Dougary’ego i jego kompanów, będziemy mieli zabawę.

Nikt nic nie dodał. Rebus też milczał. Podeszedł do okna i wyjrzał. Szyba była tak brudna, że nikt nie mógł ich dojrzeć, a zwłaszcza z drugiej strony ulicy. Kawalek szyby został wytarty, by aparat fotograficzny mógł zrobić przyzwoite zdjęcie.

– Wszystko działa? – spytał Rebus.

– Jak na razie – odpowiedział Petrie. – Nie ufam tym aparatom z automatycznym przewijaniem filmu. Jak się coś zepsuje, to nie ma

szans, by naciągnąć film ręcznie.

– Macie zapasowe baterie?

– Nawet dwa komplety. Z tym nie ma problemu.

Rebus skinął głową. Wiedział, że Petrie poważnie podchodzi do swojej pracy i pewnie dochrapie się awansu.

– A telefon?

– Podłączony – odpowiedziała Siobhan Clarke.

Zwykle w kontaktach z centralą korzystali z krótkofalówek, ale nie w przypadku operacji Worki Pieniędzy. Obawiano się bowiem, że spore zamieszanie wprowadzi firma taksówkarska, której wozy i centrala mogłyby wylapywać komunikaty pomiędzy obserwatorami a centralą operacji Worki Pieniędzy. No i taksówki mogłyby zakłócać policyjne przekazy.

By uniknąć tych niedogodności, w niedzielę rano podłączono linię telefoniczną. Aparat telefoniczny leżał na podłodze koło drzwi. Został użyty tylko dwa razy: raz przez Jardine, gdy umawiała się z fryzjerką, a drugi raz przez Petriego, który wykupił zakłady w wyścigach konnych. Clarke miała dopiero zamiar zadzwonić do szpitala, by dowiedzieć się o stan zdrowia Holmesa. Teraz telefonem zainteresował się Rebus i zadzwonił na komendę przy St Leonard's.

– Macie jakieś wiadomości dla mnie? – Odczekał chwilę. – Tak? A to ciekawe. Coś jeszcze? Co? Czemu od razu nie mówisz? – Walnął słuchawką o widelki. – Brian odzyskał świadomość! – krzyknął. – Siedzi sobie na łóżku, je rosół i ogląda telewizję.

– Każda z tych dwóch rzeczy może spowodować nawrót choroby – skomentowała Clarke. Zaczęła się zastanawiać, jaka była pierwsza wiadomość, którą usłyszał szef.

**– CZEŚĆ, BRIAN.**

– Dzień dobry, szefie. – Holmes miał słuchawki na uszach i słuchał muzyki. Gdy zobaczył Rebusa, zdjął je i wyłączył walkmana. – Patsy Cline – wyjaśnił. – Sporo jej słucham od czasu, gdy rzuciła mnie Nell.

– Skąd masz taśmę?

– Ciotka mi przyniosła, niech Bóg ją błogosławi! Ona wie, jaką muzykę lubię. Taśma czekała już tu na mnie, gdy się obudziłem.

Rebus nagle o czymś pomyślał. Przecież pacjentom w stanie śpiączki puszczano muzykę. Pewnie z Holmesem postępowano tak samo, gdy spał. Nic dziwnego, że tak długo nie wracał do przytomności.

– Trudno mi w to wszystko uwierzyć – ciągnął Holmes. – Całe moje życie... pstryk i go nie ma. A tak lubię się dobrze wyspać. Tylko szkoda, cholera, że nic nie pamiętam z tego, co mi się śniło.

Rebus usiadł na krześle przy łóżku.

– Ktoś mnie odwiedzał? – spytał Holmes.

– Tylko jedna osoba. Nell.

– To miłe z jej strony.

– Cały czas płakała, jak tu była.

– Dlaczego nikt mi nic nie powiedział? Moja gęba nie wygląda chyba aż tak paskudnie?

– Owszem, tak samo paskudnie jak zawsze. A co z amnezją?

Holmes się uśmiechnął.

– Pamiętam wszystko. Tylko nie wiem, czy to coś pomoże.

Holmes wyglądał dobrze. Było tak, jak powiedzieli lekarze: mózg wyłącza wszystkie systemy, analizuje uszkodzenia, dokonuje naprawy, a potem budzi cały organizm. Policjanci tak właśnie sami się leczą.

– No więc?

– Cały wieczór – zaczął opowiadać Holmes – spędziłem w Heartbreak Cafe. Nawet pamiętam, co jadłem.

– Cokolwiek to było, założę się, że wieczór kończyłeś z Blue Suede Choux.

Holmes pokręcił głową.

– Niestety, już zabrakło. Tak jak powiedział Eddie: „To najlepszy deser od czasów, gdy mieliśmy Króla”.

– Co robiłeś po kolacji?

– To co zwykle. Usiadłem przy barze i rozmawiałem, marząc, że jakieś boskie kobiety przysiądą się do mnie i zapytają, czy często tam przychodzę. Gadałem przez chwilę z Patem. Tego wieczoru miał dyżur za barem. – Holmes przerwał. – Powiniennem coś wytłumaczyć. Pat jest...

– Partnerem biznesowym Eddiego, a może też partnerem łóżkowym.

– Proszę, tylko bez homofobii.

– Niektórzy moi przyjaciele znają gejów – zaznaczył Rebus. – Wspomniałeś kiedyś coś o Calderze. Mogę jedynie dodać, że nie prowadzi samochodu.

– To prawda. Za kierownicą zawsze siedzi Eddie.

– Nawet gdy jest mocno nawalony.

Holmes wzruszył ramionami.

– To nie mój biznes.

– Ale będzie, gdy ktoś potrąci jakąś staruszkę.

Holmes się uśmiechnął.

– Ten jego samochód może wygląda na wyścigówkę, ale jest w kiepskim stanie. Ledwo wyciąga sto dziesięć na prostej drodze. Poza tym Eddie jeździ jak maruder. Widziałem, jak nawet deskorolka go przegoniła, i to wtedy, gdy ktoś niósł ją pod ręką.

– Więc w barze byliście tylko ty i Calder?

– Potem dołączył do nas Eddie, gdy już skończył pracę w kuchni. Oczywiście byli jeszcze inni ludzie, ale nie wyglądali na bandytów.

– Błagam, opowiadaj dalej.

– Wyszedłem, by pójść do domu. Ktoś musiał się zaczaić na mnie przy śmietniku. Następne, co pamiętam, to powiew wiatru pod moją spódniczką w kratę. Otworzyłem oczy, a tu dwie pielęgniarzki myją mojego wojownika.

– Co?

– Właśnie to mnie przebudziło, przysięgam.

– To cud medyczny.

– Magiczna gąbeczka – uzupełnił Holmes.

– No więc kto ci tak przyłożył?

– Cały czas się nad tym zastanawiałem. Może chcieli dorwać Eddiego albo Pata?

– A niby dlaczego ich?

Holmes wzruszył ramionami.

– Nie trzymaj nic w tajemnicy przed starym wujem Rebusem, Brian. Zapomniałeś, że umiem czytać w myślach.

– Skoro tak, to niech pan sam mi powie, kto to zrobił.

– Może nie spłacali swoich należności?

– Myśli pan o haraczu za ochronę?

– Albo o ubezpieczeniu, jak niektórzy wolą to nazywać.

– No tak, to możliwe.

– A ten dobrany duet z Heartbreak Cafe był pewien, że chodzi o spisek serwujących curry właścicieli restauracji, którym spadały obroty.

– Nie rozumiem.

– Ja też nie. Może to wcale nie było tak, Brian. Może to jednak nie chodziło o Eddiego ani o Pata. Może im chodziło o ciebie? A jak myślisz, dlaczego o ciebie?

Różowe policzki Holmesa lekko się zaczerwieniły.

– Widział pan mój czarny notes?

– Oczywiście, że widziałem. Szukałem jakichś wskazówek, więc musiałem pogrzebać w twoich rzeczach. I znalazłem. Zakodowane notatki. Na szczęście systemem stenotypicznym, by tylko gliniarz mógł się dowiedzieć, nad czym pracujesz. Ja jestem tym gliniarzem, Brian. Znalazłem tam sporo spraw, ale tylko jedna szczególnie się wyróżniała.

– Hotel Central.

– Brawo, mistrzu. Tak, Central. Grano w pokera; byli tam Eck i Tam Robertsonowie, ale żaden z nich nie pojawił się na liście klientów hotelu Central tego wieczoru. Próbowałeś ich odnaleźć. Bez rezultatu?

– Bez. – Holmes pokręcił głową.

– Ale ktoś ci to musiał powiedzieć, bo w aktach sprawy nie ma notatki o grze w pokera. A teraz ty mi coś powiedz. – Rebus pochylił się w stronę

łóżka. – Czy dobrze myślę, że tą osobą, która ci to powiedziała, był nasz tajemniczy El?

Holmes skinął głową.

– Więc powiedz mi wreszcie, Holmes, kim, do licha, jest ten El?

W tym momencie do pokoju weszła pielęgniarka z lekarstwami i tacą z lunchem.

– Umieram z głodu – wyznał Holmes. – To mój drugi posiłek od momentu przebudzenia.

Podniósł metalową pokrywę talerza. Pod spodem leżały różowy plaster pieczeni, wodniste purée z ziemniaków i pokrojona zielona fasolka.

– Pycha – skomentował Rebus.

Holmes wyglądał na głodnego i nie potrzebował zachęty. Nabrał na widelec purée, umoczył w sosie i włożył do ust.

– Sądziłem, że skoro pan odcyfrował tę trudniejszą część, to nie będzie miał pan kłopotu z ustaleniem, kim jest El.

– Przykro mi, ale nie kojarzę. Kim jest ten El?

– To Elvis – wyjaśnił Brian Holmes. – Sam Elvis mi to powiedział. – Podniósł kolejną porcję purée do ust.

## Rozdział 12

REBUS STUDIOWAŁ KARTĘ DAŃ i poza popularnymi wypychaczami brzucha nie znalazł zbyt wielu potraw, które wzbudziłyby jego zainteresowanie. Heartbreak Cafe było otwarte cały dzień, a Rebus pojawił się tu akurat w porze serwowania dań z oferty lunchowej. Zastanawiał się nad całkiem przewidywalną w smaku kielbaską długości trzydziestu centymetrów, podaną jak hot dog na długiej bułce, ale zaczął się obawiać jednego: widniejąca w karcie nazwa Hound Dog mogła sugerować, że potrawa będzie smakować jak psie mięso, a nie jak zwykła parówka. Lista napojów alkoholowych zawierała równie dziwaczne określenia. Jeden z gatunków wina nazywał się Mama Lubila Różowe Wino. Rebus zdecydował, że jednak nie jest głodny. Pozostał przy piwie, wdzięcznie nazwanym w karcie Teddy Beer, i oddał menu nastoletniemu barmanowi.

– Nie ma Pata? – zapytał jak stały bywalec.

– Robi zakupy. Niedługo wróci.

Rebus pokiwał głową.

– A Eddie?

– Jest w kuchni. – Barman rozejrzał się po części sali ze stolikami. W lewym uchu miał trzy złote ćwieki. – Ale nie będzie tu zbyt długo siedział, jeśli nie ma jakiegoś specjalnego zamówienia na wieczór.

– Rozumiem – odpowiedział Rebus.

Kilka minut później wziął z baru szklankę z piwem i podszedł do wielkiej maszyny grającej, stojącej koło wejścia do toalet. Gdy okazało się, że jest tu tylko dla ozdoby, zaczął czytać opisy pamiątek po Presleyu powieszonych na ścianie; dostrzegł wśród nich opatrzone autografem zdjęcie Elvisa z okresu, gdy występował w Las Vegas, oraz rzadką winylową płytę z wydawnictwa Sun Records. Obydwie pamiątki były schowane za grubym pleksi i oprawione w ramki. Z otaczającego mroku



wydobywało je światło reflektorków halogenowych. Rebus niby przypadkiem trafił na wahadłowe drzwi do kuchni. Otworzył je, popychając skrzydło barkiem, i pozwolił mu się pobujać tam i z powrotem.

Eddie Ringan był w trakcie kulinarnego natchnienia. Na jego twarzy błyszczał pot, kosmyki włosów przykleiły się do czoła. Właśnie potrząsał małą patelnią nad płomieniami gazowego palnika. Wygląd kuchni zadziwił Rebusa – była czystsza i większa, niż się tego spodziewał, a przy tym dobrze wyposażona w kilka kuchenek, spore blaty robocze i mnóstwo garnków i patelni. Dużo pieniędzy musiało na to wszystko pójść, pomyślał. Czyli ta restauracja to nie tylko designerski blichtr. Zabawne: leciała tu inna muzyka niż na sali, gdzie bez przerwy faszrowano gości Presleyem. Eddie Ringan słuchał Milesa Davisa.

Szef kuchni nie spostrzegł jeszcze Rebusa, a ten nie zauważył praktykanta, który niósł coś z lodówek ustawionych przy przeciwległej ścianie.

Inspektor obserwował, jak Eddie, przerywając pracę, złapał butelkę Jima Beama i z nieskrywaną radością ją opróżnił.

– Halo – odezwał się praktykant. – Tu nie wolno wchodzić.

Eddie podniósł głowę znad patelni i wydał z siebie wesoły okrzyk.

– To ten człowiek! – zawołał. – O niego mi chodziło! Zapraszam bliżej.

Eddie był chyba jeszcze bardziej zalany niż wtedy, gdy Rebus widział go po raz pierwszy. Ale tamto spotkanie odbyło się w obecności czynnika przywołującego Eddiego do porządku, czyli Pata Caldera; trzeźwiąco działała także świadomość, że przed chwilą ktoś napadł na Briana Holmesa.

Rebus podszedł do kuchenki. Zaczął się pocić od bijącego z niej gorąca.

– To – wskazał Eddie Ringan na patelnię – jest moje najnowsze danie. Kawałki sera roquefort uwięzione w tartej bułce i przyprawach i usmażone albo na płytce, albo na głębokim tłuszczu. Tylko muszę się zastanowić, co wybrać.

– Więzienie Roquefort – zaproponował nazwę Rebus.

Ringan znowu wykrzyknął radośnie, ratując utraconą na moment równowagę przesunięciem stopy do tyłu.

– Świetny pomysł, inspektorze Rabies.

– Miło mi, ale nazywam się Rebus.

– A, tak. Powinien być pan zadowolony, bo może zamieścimy w menu wzmiankę o pomysłodawcy. Co pan na to? – Ringan przyglądał się przez chwilę złocistym kawałkom usmażonego sera, po czym przewrócił je widelcem na drugą stronę. – Dam tym maluchom sześć minut. Willie!

– Jestem.

– Jak długo już je smażę?

Praktykant spojrzął na zegarek.

– Trzy i pół minuty. Masło położyłem koło jajek.

– Willie jest moim asystentem, inspektorze.

Poirytowanie w głosie Williego i wyraz jego twarzy uświadomiły Rebusowi, że taka zależność służbowa niezbyt długo się utrzyma. Willie wzrostem przypominał Ringana, lecz był młodszy. Trudno byłoby przyznać, że jest szczupły. Pewnie próbuje za dużo potraw, jak każdy kucharz zresztą, pomyślał Rebus.

– Możemy zamienić kilka zdań?

– Mamy dwie i pół minuty.

– Chciałbym dowiedzieć się czegoś o hotelu Central. – Ringan chyba nie dosłyszał, a jego uwagę całkowicie pochłaniała patelnia ze smażącym się serem. – Byłeś tam tego wieczoru, gdy wybuchł pożar.

El było skrótem imienia Elvis, a Elvis to przydomek Eddiego Ringana. Holmes nie chciał, żeby źli ludzie, którym mógł wpaść w ręce czarny notatnik, rozpoznali osobę informatora, dlatego dodatkowo zaszyfrował imię Ringana.

Poprosił także Rebusa, by nie wygadał się przed Ringanem, że wie o jego roli informatora. To miała być tajemnica, taka króciutka opowieść, jak wypicie naparstka bourbona. Ringan jednak nie nalał Holmesowi pełnego kieliszka, dał mu jedynie posmakować kilka kropeł.

– Słyszałeś mnie, Eddie?

– Została minuta, inspektorze.

– Twoje nazwisko nie pojawiło się na liście personelu, bo pracowałeś na czarno kilka nocy w tygodniu i nie chciałeś, żeby twój główny pracodawca się o tym dowiedział. Podałeś fałszywe nazwisko i nikt nigdy nie wpadł na to, że byłeś tam tej nocy, gdy grano w pokera.

– Prawie gotowe.

Na twarzy Ringana pojawiło się więcej potu, a usta zacisnęły się w źle skrywanej złości.

– Ja też już prawie kończę, Eddie. Kiedy zacząłeś chlać, co? Założę się, że po tamtej nocy. Pewnie dlatego, że coś wydarzyło się w hotelu. Ciekawe co. I ty byłeś tego świadkiem. Więc jeśli nie powiesz mi, co tam się stało, i tak się dowiem, a wtedy przyjdę po ciebie. – Rebus dotknął wyprostowanym palcem jego ramienia, by dobitnie podkreślić znaczenie swoich słów.

Ringan chwycił za rączkę patelni i zamachnął się nią w stronę Rebusa, wysyłając w powietrze kawałki panierowanego roqueforta.

– Niech pan się ode mnie odpiardoli!

Rebus uchylił się przed uderzeniem, ale Ringan nadal trzymał patelnię skierowaną w jego stronę, gotowy do wykonania pchnięcia.

– Wypierdzielaj pan stąd! A zresztą, kto panu o tym powiedział, co?

– Nikt mi nie powiedział, Eddie. Sam do tego doszedłem.

Willie klęczał na jednym kolanie. Kawałek gorącego sera uderzył go w oko.

– Umieram! – wrzasnął. – Wezwijcie pogotowie! I mojego adwokata! To jest wypadek przy pracy!

Eddie Ringan spojrział na praktykanta, potem na trzymaną w ręce patelnię, wreszcie na Rebusa i zaczął się śmiać. Jego śmiech przerodził się w histeryczny rechot. W końcu odłożył patelnię, podniósł kawałek smażonego sera i ugryzł.

– Smakuje jak gówno. – Wciąż zanosząc się śmiechem, zaczął wypluwać grube okruchy tartej bułki w stronę inspektora.

– Powiesz mi, Eddie, czy nie? – zapytał Rebus spokojnie.

– Powiem panu jedno: spierdalaj pan stąd.

Rebus powstrzymał nerwy, a Eddie odwrócił się do niego plecami.

– Powiedz mi, gdzie mogę znaleźć braci Bru-Head.

To pytanie spowodowało kolejny wybuch śmiechu.

– Musisz mi coś powiedzieć, Eddie. Oczyszcz swoje sumienie.

– Straciłem sumienie już dawno temu, inspektorze. Willie, daj nową porcję sera.

Młody kucharz cały czas sprawdzał, jakie poniósł szkody. Dłonią zakrywał zdrowe oko, jakby udawał pirata.

– Nic nie widzę – marudził. – Chyba mam uszkodzoną siatkówkę.

– I stopioną rogowkę – zakpił Ringan. – Ruszaj się, chcę to dodać do wieczornego menu jeszcze dziś. – Odwrócił się do Rebusa. – Ciągle tutaj? – zdziwił się. – Znów to samo. Zbyt wielu kucharzy w kuchni.

Rebus spojrział na niego ze smutkiem, zarazem przyszpilając go wzrokiem.

– Musisz mi coś powiedzieć.

– Spier-da-laj.

Rebus odwrócił się powoli i zaczął otwierać drzwi.

– Inspektorze! – krzyknął Ringan. – W Cowdenbeath jest pub The Midtown. Nazywają go Midden. Nie zamawiałbym tam nic do jedzenia.

– Dzięki za radę. – Rebus powoli skinął głową, lecz gdy przekroczył próg, znów usłyszał Ringana:

– To pan powinien dać mi radę! Drzwi do kuchni to nieprzekraczalna granica dla gości.

– Prawdziwa granica zaczyna się daleko za tą cholerną kuchnią – odparł Rebus i zdał sobie sprawę, że dopiero teraz będzie musiał przekraczać nieprzekraczalne granice i przywoływać duchy z własnej przeszłości.

## Rozdział 13

**REBUS WPADEŁ NA CHWILĘ** do komendy przy St Leonard's, by zabrać kilka rzeczy ze swojego biurka, ale oficer dyżurny zatrzymał go w holu.

– Ten pan czeka na pana inspektora. Wydaje się czymś bardzo przejęty.

„Ten pan”, który do tej pory stał w kącie, zwrócił się szybko do Rebusa:

– Nie poznaje mnie pan?

Inspektor przyglądał się facetowi przez dłuższą chwilę, aż wreszcie poczuł dawno zapomnianą niechęć do tego człowieka.

– O, tak – odparł. – Pewnie, że pana poznaję.

– Czy otrzymał pan wiadomość ode mnie?

To była ta pierwsza wiadomość, którą przekazano mu telefonicznie, gdy dzwonił z punktu obserwacyjnego przy Gorgie Road. Skinął głową.

– No i co zamierza pan zrobić?

– A co niby miałbym zrobić, panie McPhail?

– Musi pan go powstrzymać!

– Kogo pan ma na myśli? I niby przed czym?

– Przyznał pan, że dostał pan moją wiadomość.

– Powiedziano mi, że dzwonił niejaki McPhail i chciał ze mną rozmawiać.

– Chcę ochrony policyjnej!

– Proszę się uspokoić.

Rebus zauważył, że oficer dyżurny zamierza zareagować, ale chyba nie było ku temu powodów.

– To co mam zrobić? – ciągnął McPhail. – Mam pana uderzyć, żeby mnie zamknęto w celi? Dopiero tam byłbym bezpieczny.

Rebus skinął głową.

– No tak. Tam będzie pan bezpieczny do momentu, gdy powiemy innym zatrzymanym, co z pana za ziółko.

To podziałało na McPhaila jak kubeł zimnej wody wylany na głowę. Może przypomniał sobie jakieś szczególne przypadki ze swojego pobytu w kanadyjskim więzieniu. A może był to strach związany z tutejszymi przeżyciami. Jego głos przybrał nagle płaczące brzmienie.

– On mnie zabije.

– Kto?

– Niech pan nie udaje! Wiem, że pan go na mnie napuścił. To musiał być pan.

– Nie jestem w nastroju do żartów – odparł Rebus.

– Maclean – oznajmił McPhail. – Alex Maclean.

– A kimże jest Alex Maclean?

McPhail wyglądał na zdegustowanego. Zaczął mówić półszepem:

– To ojczym tej siksy, tej Melanie.

– Ach, tak.

Rebus świetnie zdawał sobie sprawę z tego, co zrobił ten złośliwiec Jack Morton. Nic dziwnego, że McPhail zwrócił się do policji. A skoro to Rebus odwiedził jego kwaterę u pani MacKenzie, od razu skojarzył, kto musiał stać za tym małym spiskiem.

– Czy on panu groził?

McPhail skinął głową.

– Co powiedział?

– Przyszedł do domu, w którym mieszkam. Nie było mnie wtedy. Powiedział pani MacKenzie, że wróci, by mnie dorwać. Biedna kobieta była przerażona.

– Przecież może się pan wyprowadzić. Najlepiej w ogóle wynieść się z Edynburga.

– Jezu, tego właśnie chcecie? To dlatego napuściliście na mnie Macleana? Nie ma mowy. Zostaję.

– Jest pan bardzo bohaterki, panie McPhail.

– Wiem, za co siedziałem, ale to już przeszłość.

Rebus skinął głową ze zrozumieniem.

– I wszystko, co tylko panu zostało, to ten widok z pańskiego pokoju, tak?

– O rany. Przecież nie wiedziałem, że pani MacKenzie mieszka naprzeciwko szkoły podstawowej!

– Mimo to radzę, by się pan przeprowadził. Taka baza obserwacyjna może jeszcze bardziej rozdrażnić Macleana.

McPhail gapił się na Rebusa.

– Jest pan odrażający – skomentował. – Cokolwiek zrobiłem w życiu... to założę się, że pan był jeszcze gorszy. Proszę się już o mnie nie martwić. Dam sobie radę. – W teatralnym geście odepchnął Rebusa i ruszył do wyjścia.

– Proszę na siebie uważać, panie McPhail.

– Jezu, kto to był? – zapytał oficer dyżurny.

– To był ktoś, kto wreszcie zaczyna rozumieć, co przeżywa ofiara – wyjaśnił Rebus.

Czuł się jednak odrobinę winny. A może McPhail rzeczywiście się zresocjalizował, a Maclean wyrządzi mu krzywdę? A jeśli ze strachu McPhail w odruchu obronnym zaatakuje pierwszy? No ale przecież mam teraz pilniejsze sprawy do załatwienia, pomyślał Rebus.

**W SALI DOCHODZENIÓWKI PRZYJRZAŁ** się zrobionym przed pięcioma laty zdjęciom Tama i Ecka Robertsonów. Poprosił detektywa posterunkowego, by wykonał kopie, ale po chwili wpadł na lepszy pomysł. Choć nie było w pobliżu żadnego rysownika policyjnego, niezbyt się tym zmartwił, bo wiedział, gdzie może skorzystać z pomocy fachowca.

Była już piąta, gdy pojawił się w barze McShane's przy Royal Mile. McShane's było kultowym miejscem brodatych fanów sztuki ludowej odzianych w rozciągnięte wełniane swetry. Na górze zawsze grano muzykę na żywo; wykonawcą był zwykle profesjonalny muzyk albo jakiś bywalec, który rzępolił na instrumencie lub nucił szkockie piosenki ludowe.

Midgie McNair robił tu niezły biznes, szkicując klientów za ich przyzwoleniem, a oni nie dość, że płacili za rysunki, to jeszcze stawiali mu drinki.

O tak wczesnej porze Migdie siedział w kącie sali na parterze i czytał gazetę. Na stole leżały blok rysunkowy i sześć ołówków. Rebus postawił obok dwa duże piwa, usiadł i położył przed nim zdjęcia braci Bru-Head.

– To raczej nie Butch i Sundance, co? – zapytał Midgie McNair.

– Raczej nie – odparł Rebus.



## Rozdział 14

**JOHN REBUS ZNAŁ KIEDYŚ** Cowdenbeath bardzo dobrze, bo chodził tam do szkoły. Było to jedno z osiedli górniczych w regionie Fife, które powstało z małej osady pod koniec dziewiętnastego wieku albo na początku dwudziestego, gdy węgiel był bardzo poszukiwanym surowcem, a kosztów jego wydobycia prawie nie brano pod uwagę w wyliczeniach finansowych. Jednak okres prosperity nie trwał długo. Głęboko pod ziemią było nadal dużo węgla, ale występował w wąskich, poprzerrywanych złożach, których eksploatacja okazała się trudna, a więc i bardzo kosztowna. Rebus podejrzewał, że wydobywa się tu jeszcze węgiel metodą odkrywkową. Kiedyś środkowozachodnia część Fife była słynna w całej Europie z największej dziury w ziemi. Potem najgłębsze szyby kopalniane zostały zasypane. Jako piętnastolatek Rebus miał do wyboru trzy oczywiste ścieżki kariery: kopalnia, Port Rosyth lub armia. Wybrał tę ostatnią możliwość. W dzisiejszych czasach był to najprawdopodobniej jedyny wybór.

Cowdenbeath ze swoimi miasteczkami i wioskami sprawiał przygnębiające wrażenie: pozamykane warsztaty i ponure sklepiki odzieżowe. Rebus zdawał sobie jednak sprawę z tego, że tutejsi mieszkańcy byli silniejsi wewnątrz, niż mogłoby się zdawać na pierwszy rzut oka. Trud utrzymania się na powierzchni owocował gorzkim, aczkolwiek przenikliwym poczuciem humoru i umiejętnością radzenia sobie w najcięższych sytuacjach życiowych, oprócz oczywiście największych tragedii ludzkich. Rebus nie lubił drażnić tych tematów, ale w głębi duszy czuł, że wraca w domowe pielesze. Edynburg był jego bazą przez dwadzieścia lat, ale wciąż czuł się mieszkańcem Fife. Takich jak on nazywano Latającymi Fiferami. Tym razem był przygotowany na stoczenie walki z kilkoma prawdziwymi „latającymi lokalsami”.

Poniedziałek był najspokojniejszym dniem w pubach w całym kraju. W ten dzień robotnicy dostający tygodniówki lub wynagrodzenie akordowe siedzieli wieczorem w domach. Trudno się było jednak tego domyślić po tym, co Rebus zastał po wejściu do pubu Midden. Jego nazwa, kojarząca się z kupą gnoju lub odpadkami, była myląca. Wystrój wnętrza wcale nie odbiegał od standardowego wyposażenia wielu pubów w Edynburgu czy innych miastach. Sprawiał może tylko trochę zgrzebne wrażenie, z czerwonym linoleum na podłodze z setkami czarnych plamek wypalonych przez pety. Stoliki i krzesła wyglądały całkiem przyjemnie i choć wnętrze nie było zbyt duże, to udało się wygospodarować miejsce na stół bilardowy i rzutki. Gdy Rebus wchodził do środka, gra w rzutki trwała w najlepsze, a jakiś młodzieniec krążył dookoła stołu bilardowego, pakując bile do luz w otoczeniu dymu unoszącego się z papierosa, który trzymał w ustach. Przy narożnym stoliku siedziało trzech starszych mężczyzn w płaskich beretach na głowach i grało w domino. Sąsiednie stoliki były zajęte przez spragnionych napitku bywalców.

Rebus nie miał wyboru i musiał stanąć przy barze. Było miejsce w sam raz dla jednego człowieka i wcisnąwszy się w nie, powitał skinieniem głowy sąsiadów rozkoszujących się dużymi szklankami piwa. Żaden z nich nie odpowiedział mu tym samym.

- Dużego specjalja poproszę - rzucił do zaczesanego do tyłu barmana.
- Specjal, synu. Już się robi.

Rebus odniósł wrażenie, że barman, który był już po pięćdziesiątce, do dziadków grających w domino w kącie sali również zwracał się per synu. Nalewał piwo z odpowiednią dozą pietyzmu, jakby był to jakiś specjalny rytuał w tej części kuli ziemskiej.

- Specjal, synu. Dla ciebie.

Rebus zapłacił. Było to chyba najtańsze piwo, jakie dane mu było wypić w ciągu wielu miesięcy. Zaczął nawet myśleć o tym, że dojeżdżanie stąd do pracy nie byłoby wcale takie kosztowne...

- Specja, Dod.
- Spec, synu. Już się robi.

Bilardzista stanął tuż za plecami Rebusa, ale nie zrobił tego złośliwie. Postawił pustą szklanę na ladzie i czekał, aż zostanie powtórnie napełniona. Rebus przypuszczał, że młody był ciekawy, kogo tu przyniosło, i miał ochotę na pogawędkę z przybyszem. Ale Rebus się odezwał. Wyjął z kieszeni marynarki fotokopie dwóch rysunków i rozprostował je na blacie. Oryginały zostawił bezpieczne w skrytce w samochodzie. Choć to, jak bezpieczny był jego samochód na słabo oświetlonej uliczce, było już zupełnie inną sprawą.

Wyczuł zaciekawione spojrzenia piwoszy po obu stronach baru i nie miał wątpliwości, że młody też rzucił okiem na dzieło Midgiego McNaira. Nikt jednak nie odezwał się ani słowem.

– Spec, synu. Dla ciebie.

Bilardzista wziął piwo, ale rozlał odrobinę na rysunki. Rebus odwrócił się w jego stronę.

– O, przepraszam bardzo – rzucił chłopak.

Rebus rzadko słyszał tak nieszczerzy ton przeprosin.

– W porządku – odparł podobnym tonem. – Mam jeszcze mnóstwo kopii.

– Ach, tak? – Młody odebrał resztę od barmana, wrócił do stołu bilardowego i przykucnął, by wrzucić monety do mechanizmu odblokowującego bile. Potoczyły się z łoskotem i gracz zaczął je ustawiać na stole, patrząc na Rebusa.

– Trochę się rysuje, co? – zagaił barman.

Rebus, który przecierał rysunki ręką, odwrócił się do niego.

– To nie ja rysowałem, ale całkiem nieźle wyszło, prawda? – Odwrócił rysunki, by Dod mógł się im lepiej przyjrzeć.

– No tak. Nie są takie złe. Nie jestem specjalistą. Jedyni, którzy tu kreślą jakieś krechy, to tylko ci, którzy piją na krechę.

Wokół rozległ się rechot.

– Albo biorą żarcie na krechę – dodał jeden z piwoszy.

– Albo papierosy – wtrącił się ktoś inny, ale dowcip umarł już śmiercią naturalną.

Barman kiwnął głową w stronę rysunków.

– To ktoś znajomy?

Rebus wzruszył ramionami.

– Wyglądają na braci, co?

Rebus odwrócił się do sąsiada po lewej stronie, który to powiedział.

– A po czym pan poznał?

Piwosz się wzdrygnął, odwrócił i zaczął przyglądać się rzędowi lampek nad barem.

– Podobni są do siebie.

Rebus przyjrzał się obu rysunkom. Tak jak poprosił, Midgie postarzył braci o pięć, sześć lat.

– Może ma pan rację.

– Albo to kuzyni – odezwał się sąsiad po prawej.

– To na pewno rodzina – stwierdził zgodnie Rebus.

– Nie widzę dobrze – przyznał się Dod.

– Niech się pan przyjrzy – doradził Rebus, wskazując palcem. – Te same podbródki, oczy też identyczne. Może to są jednak bracia.

– To kim są w końcu? – zapytał piwosz po prawej stronie, żwawy mężczyzna o nieogolonej kanciastej szczęce i żywych, niebieskich oczach.

Rebus znowu wzruszył ramionami. Jeden z graczy w domino podszedł do baru, by zamówić następną kolejkę. Wyglądał, jakby właśnie wygrał partyjkę, i zacierał ręce z radości.

– Jak leci, James? – zapytał bywalca po prawej stronie Rebusa.

– Nie najgorzej, Matt. A tobie?

– Jak zwykle. – Uśmiechnął się do Rebusa. – Nie widziałem cię tu nigdy wcześniej, synu.

Rebus pokręcił głową.

– Bo wyjechałem.

– Ach, tak?

Na tacy pojawiły się trzy duże piwa.

– Dla ciebie, Matt.

– Dzięki, Dod.

Matt wręczył barmanowi dziesięciofuntowy banknot. Czekając na resztę, zauważył rysunki.

– Butch i Sundance, co? – Zaśmiał się.

Rebus odpowiedział miłym uśmiechem, a potem dodał:

– A może bardziej Steptoe ze swoim bratem.

– Bracia? – Matt przyjrzał się bliżej rysunkom. I nadal na nie spoglądając, zapytał Rebusa: – Więc jesteś z policji, synu?

– Czy ja wyglądam na kogoś z policji?

– Nie do końca.

– Za chudy jak na glinę – oznajmił Dod. – Co, synu?

– Gliny też bywają chuderlakami – zauważył James. – A taki Stecky Jamieson?

– No dobra – przyznał Dod. – Ten facet mógłby schować się za latarnią.

Matt wziął tacę z piwem, bo pozostali gracze domino zaczęli już wołać, że „umierają z pragnienia”.

– Widziałem kiedyś tych gnojków – powiedział i odszedł do swojego stolika.

Rebus dokończył piwo i zamówił kolejne. Bywalec po lewej stronie dopił swoje, założył beret na głowę i zaczął się żegnać.

– Trzymaj się, Dod.

– Cześć.

– Trzymaj się, James.

To pożegnanie trochę trwało. Rebus złożył rysunki i schował je do kieszeni. Powoli pił drugie piwo. Przysłuchiwał się pogaduszkom o piłce nożnej, pozamałżeńskich przygodach miłosnych, nieistniejącym rynku pracy. Tyle rzeczy się tu dzieje, pomyślał z przekąsem, aż dziwne, że ludzie znajdują w ogóle czas i energię na pracę.

– Wie pan, co się stało z tą częścią Fife, nie? – zaczął rozmowę James. – Olbrzymie centrum sklepów dla majsterkowiczów. Albo się w jednym z nich pracuje, albo kupuje. I to wszystko.

– To prawda – przyznał Dod, choć bez specjalnego przekonania.

Rebus dopił drugie piwo i poszedł do toalety. Śmierdziała jak ściek, nawet napisy na ścianach były kiepskie. Wracając, zatrzymał się przy stoliku graczy w domino.

– Matt? Przepraszam, że przeszkadzam. Nie pamiętasz, gdzie widziałeś tych dwóch, Butcha i Sundance’a?

– Może tylko jednego z nich – odpowiedział Matt. Wymieszano płytki domina i wybrał siedem dla siebie. Wziął trzy do jednej ręki i cztery do drugiej. – Ale chyba nie w tej okolicy. Raczej w Lochgelly. Tak mi się właśnie wydaje, że w Lochgelly. – Położył płytki na stoliku grzbietami do góry i wybrał jedną, którą chciał rozpocząć grę.

Mężczyzna obok niego wydał policzki.

– Zły znak, Tam. Taka płytka na samym początku.

Rzeczywiście, zły znak, pomyślał Rebus. Będzie musiał udać się do Lochgelly. Wrócił do baru i pożegnał się.

– Albo mógłbyś narysować pożar – rzucił ktoś przy barze, przypominając dawno przebrzmiały dowcip.

**DROGA Z COWDENBEATH DO** Lochgelly prowadziła przez Lumphinnans. Jego ojciec zawsze opowiadał dowcipy o Lumphinnans. Rebus nie wiedział dlaczego, nie mógł też sobie przypomnieć żadnego z nich. Z dzieciństwa pamiętał unoszący się w powietrzu siwy dym z kominów, bo wszystkie domy były ogrzewane kominkami na węgiel. Ale czasy węgla już minęły i zastąpiły go gaz ziemny oraz centralne ogrzewanie.

Smutno mu się zrobiło na widok martwych kominów.

Smutno mu się zrobiło, że będzie musiał powtarzać swoje przedstawienie z rysunkami. Miał jedynie nadzieję, że pub Midden był początkiem, ale będzie także stanowił kres jego poszukiwań. Oczywiście, że Eddie mógł podać fałszywy trop, pomyślał. Jeśli to byłaby prawda, to Eddie dostanie deser, na jaki zasłużył, i z pewnością nie będzie to Blue Suede Choux.

Rebus powtórnie odtworzył w pamięci swoje przedstawienie w trzech pubach. W każdym z nich wypił po piwie, lecz usłyszał tylko kilka

zgranych dowcipów, łącznie z tym o „braniu na krechę”. Za to w czwartym pubie, w niezwykle ruderze koło torów kolejowych, przyciągnął uwagę bystrego staruszka, który od wszystkich sępił drinki. Wtedy właśnie Rebus pokazywał rysunki malarzom i budowlańcom siedzącym wokół rogu lady barowej w kształcie litery L. Dowiedział się, że są ekipą remontową, bo od razu zapytali go, czy nie potrzebuje ludzi do pracy. Rebus pokręcił głową i pokazał im rysunki.

Staruszek przepchał się między nimi i popatrzył na budowlańców.

– No dobra, chłopaki. Mnie też by się przydał mały remoncik. – Zaśmiał się ze swojego dowcipu.

– Ciągłe nam to powtarzasz, Jock.

– W każdy pieprzony wieczór.

– I, kurwa, ciągle to samo.

– Przepraszam, chłopaki – wymamrotał Jock i wskazał palcem na jeden z rysunków. – Wygląda znajomo.

– Może to jakiś cholerny dżokej. – Jeden z członków ekipy mrugnął do Rebusa. – Ja wcale nie żartuję, panie. Jock szybciej rozpozna prawdziwego dżokeja z wyścigów niż jakąkolwiek inną gębę.

– E tam – rzucił skromnie Jock. – A idźcie sobie w cholerę. – Po czym odezwał się do Rebusa: – To nie pan jest mi winien drinka za ostatni tydzień...?

**PIĘĆ MINUT PO TYM**, jak Rebus wyszedł z pubu z kwaśną miną, do baru przyjechał młody mężczyzna. Sporo czasu zmarnował, jeżdżąc od baru do baru i wypytując o faceta, który pokazuje rysunki. Był zły, że musiał przerwać bilardowy trening tak wcześnie. Jego cudowne uderzenia wymagały dopracowania. W niedzielę miały się odbyć zawody, a on koniecznie chciał wygrać główną nagrodę, czyli sto funtów. Zorientował się jednak, że może komuś pomóc, śledząc faceta, który twierdził, że nie jest gliniarzem. A upewnił się o tym, dzwoniąc z pubu Midden.

– Wyświadczysz mi przysługę – powiedział mężczyzna po drugiej stronie linii telefonicznej do bilardzisty, gdy wreszcie go z nim połączono

po tym, jak musiał najpierw opowiedzieć całą historię dwóm innym osobom.

Zawsze warto mieć na swoim koncie przysługę dla kogoś ważnego, więc wyruszył z Midden, wiedząc, że człowiek z rysunkami pojechał w kierunku Lochgelly. Młody mężczyzna dojechał do końca miasteczka, a dalej nie było już żadnych pubów, aż do Lochore. A ten człowiek gdzieś zniknął. Bilardzista znów zadzwonił, by przekazać raport z poszukiwań. Nie było wiele do powiedzenia, ale przecież poświęcił na to tyle własnego czasu.

– Jestem twoim dłużnikiem, Sharky – usłyszał.

Sharky poczuł się wyróżniony, gdy wsiadał do pordzewiałego datsuna. Przy odrobinie szczęścia zdąży jeszcze zagrać kilka rundek w bilard przed zamknięciem pubu.

**JOHN REBUS JECHAŁ Z POWROTEM** do Edynburga, mając jedynie desery na myśli. I jeszcze Andrew McPhaila, i Michaela z jego środkami nasennymi, i Patience, i operację Worki Pieniędzy, i wiele innych spraw.

Gdy wrócił do mieszkania, Michael spał jak zabity. Rebus pogadał ze studentami, którzy wystraszyli się, że Michael jest na silnych prochach. Zapewnił ich, że brat przyjmuje przepisane środki, a nie „polecone”. Potem zadzwonił do Siobhan Clarke.

– Jak dzisiaj poszło?

– Szkoda, że pana tu nie było. Mogłabym napisać książkę o nudzie. Dougary miał pięciu gości w ciągu całego dnia. Zamówił pizzę. Z biura wyjechał o piątej trzydzieści.

– Czy któryś z tych gości wydał się interesujący?

– Pokażę panu zdjęcia. Pewnie klienci. Ale wychodzili z tą samą liczbą rąk i nóg, z jaką wchodzili. Czy dołączy pan do nas jutro?

– Możliwe.

– Pomyślałam, że moglibyśmy porozmawiać o hotelu Central.

– À propos, widziałaś się z Brianem?



– Wpadłam do niego po pracy. Wygląda doskonale. – Przerwała na chwilę. – Ma pan zmęczony głos. Dużo pan pracował?

– Tak.

– Hotel Central?

– Bóg jeden raczy wiedzieć. Mam nadzieję, że tak. – Rebus podrapał się po karku. Zaczynał się kac.

– Musiał pan pewnie trochę wypić? – domyśliła się Clarke.

– Tak.

– O jednego za dużo?

– Znowu masz rację, Sherlocku.

Zaśmiała się i cmoknęła.

– I po tym wszystkim pojechał pan do domu. Polecam się jako szofer następnym razem, jeśli to mogłoby w czymś pomóc. – Powiedziała to szczerym i życzliwym głosem.

– Dzięki, Clarke. Będę o tym pamiętał. – Przerwał na moment. – A wiesz, co chciałbym dostać na Boże Narodzenie?

– Jeszcze daleko do świąt.

– Chciałbym otrzymać dowód na to, że te zwłoki należały do jednego z braci Bru-Head.

– Jedna kość była po złamaniu.

– Wiem, sprawdziłem w szpitalach. Zresztą to nie twój problem. Do zobaczenia jutro.

– Dobranoc, panie inspektorze.

Przez jakiś czas siedział w ciszy. Rozmowa z Siobhan Clarke wpłynęła na niego tak, że nagle zapragnął porozmawiać z Patience. Podniósł słuchawkę i wykręcił numer.

– Halo?

O Boże, nareszcie nie automatyczna sekretarka!

– Cześć, Patience.

– John.

– Chciałbym porozmawiać. A ty?

Po chwili usłyszał:

- Dobrze. Porozmawiajmy.

John Rebus wyciągnął się na sofie z ręką za głową. Tego wieczoru nikt już nie mógł skorzystać z telefonu.

## Rozdział 15

**WE WTOREK RANO JOHN** Rebus był w dobrym nastroju, bo przez prawie pół nocy rozmawiał przez telefon z Patience. Umówili się na drinka – miała oddzwonić, podać miejsce i czas spotkania. Nadal miał dobry humor, gdy wchodził po schodach do punktu obserwacyjnego operacji Worki Pieniędzy przy Gorgie Street.

Już z dołu słyszał jakieś głosy – nie było to nic niezwykłego. Ale im był bliżej mieszkania, tym bardziej głosy się nasilały. Gdy otworzył drzwi, zobaczył, jak jakiś mężczyzna właśnie wymierza Petriemu uderzenie w nos. Petrie poleciał do tyłu w stronę okna i przewracając się, potracił statyw z aparatem fotograficznym. Z nosa zaczęła mu lecieć krew. Rebus zauważył, że z boku przyglądało się temu dwóch chłopców wraz z Siobhan Clarke i Elszą-Beth Jardine. Napastnik zaczął podnosić Petriego, lecz wtedy Rebus chwycił go za rękę i wykręcił do tyłu na plecy. Mężczyzna starał się wywinąć; kołysał się w prawo i lewo, wrzeszcząc przy tym przeraźliwie. Aż dziwne, że nikt na ulicy tego nie słyszał.

Rebus pociągnął go do tyłu i tak zakręcił, że napastnik stracił równowagę i upadł na podłogę, a Rebus usiadł na nim. Petrie rzucił się w ich kierunku, ale mężczyzna odepchnął go nogami tak silnie, że detektyw posterunkowy poleciał do tyłu na okno i łokciem wybił szybę. Rebus zrobił to, co musiał w takiej sytuacji zrobić. Walnął faceta w krtań.

– Co tu się, do licha, dzieje? – zapytał.

Mężczyzna nie mógł złapać powietrza, ale nadal się wrywał.

– Przestań!

Nagle coś uderzyło Rebusa w tył głowy. To była piąstka jednego z chłopców, ale trafiła we wrażliwy punkt, w oparzone miejsce. Zmrużył oczy, walcząc z piekącym bólem na głowie i mdłościami w żołądku, w którym jeszcze miał muesli i poranną herbatę z miodem.

– Zostaw mojego tatę!

Siobhan Clarke złapała chłopaka i odciągnęła na bok.

– Aresztuj tego małego gnojka! – krzyknął Rebus, a potem odezwał się do ojca chłopca: – Tak właśnie zrobimy. Jeśli się pan nie uspokoi, pana syn zostanie oskarżony o napaść.

– Jest za młody – wysapał mężczyzna.

– Doprawdy? – odparł Rebus. – Jest pan pewien?

Mężczyzna uspokoił się po chwili.

– Już lepiej – rzucił Rebus i wstał z jego klatki piersiowej. – A teraz czy ktoś może mi powiedzieć, co się tutaj stało?

**WSZYSTKO MU WYJAŚNIONO**, jak tylko odesłano Petriego do lekarza, by opatrzył mu nos, a chłopców do domu. Mężczyzna nazywał się Bill Chilton i nienawidził squattersów.

– Squattersów?

– Tak powiedział mi Neilly.

– Bezdomnych mieszkających w pustostanach?

Rebus odwrócił się do Siobhan Clarke, która właśnie wróciła z ulicy, poszła bowiem sprawdzić, czy spadające szkło nie zrobiło krzywdy jakiemuś przechodniowi. I teraz mogła mu wszystko wyjaśnić.

– Ci dwaj chłopcy wpadli do tego mieszkania. Często przychodzili tutaj się bawić.

Rebus przerwał jej i zwrócił się do Chiltona:

– Dlaczego Neil nie jest w szkole?

– Został zawieszony za bójki z kolegami.

– Ma niezłe uderzenie – przyznał Rebus. Jego głowa mogła o tym poświadczyć. Spojrzał na Clarke.

– Zapytali nas, co tutaj robimy, a Elsa-Beth Jardine odpowiedziała, że jesteśmy squattersami.

– Tylko żartowałam. – Jardine poczuła się zobligowana do złożenia dodatkowych wyjaśnień. Rebus udał zdziwienie, a ona opuściła oczy

i zaczerwieniła się ze wstydu. – Petrie też dołączył się do żartów, a gdy chłopcy sobie poszli, mieliśmy z tego niezły ubaw.

– Ubaw? – powiedział Rebus. – To nie był ubaw, tylko naruszenie zasad bezpieczeństwa. – Nie próbował ukrywać wściekłości. Nawet Clarke opuściła wzrok. Rebus odwrócił się w stronę Billa Chiltona.

– I wtedy – ciągnął opowieść Chilton – Neil przyszedł do domu i powiedział mi, że tu mieszkają bezdomni. Przez ostatnie dwa lata mieliśmy tutaj sporo różnych wydarzeń. Włamania do opuszczonych mieszkań, handel narkotykami i inne takie historie. Niektórzy mieszkańcy próbują coś z tym zrobić.

– O czym mi pan tu mówi, panie Chilton? Jest pan członkiem straży obywatelskiej? Chodzicie z pałkami po zmroku czy co?

Chilton nie dał się zbić z tropu.

– To wy nic nie robicie, żeby nam pomóc.

– Więc przyszedł pan przegonić squattersów, tak?

– Tak. Żeby tu się nie wprowadzili.

– I?

Chilton nic nie odpowiedział.

– I zaczął pan wrzeszczeć na detektywa Petriego, który chciał pana przekrzyczeć i tłumaczył, że są z policji i żeby pan się odpieprzył – wyjaśnił za niego Rebus. – Tylko że już był pan zbyt nakręcony, żeby się wycofać. Niezły charakterek, nie ma co, panie Chilton. Może Neilly go panu odziedziczył, co? A pan sam pewnie ma długą historię bójek z czasów szkolnych?

– A co to ma wspólnego z tym wszystkim? – W Chiltonie znowu zaczęła wzbierać złość.

Rebus podniósł rękę, żeby go uspokoić.

– Napaść na funkcjonariusza policji jest poważnym przestępstwem.

– Nie wiedziałem, że on jest z policji.

– Nawet po tym, jak się przedstawił?

Chilton wzruszył ramionami.

– Nie pokazał mi legitymacji.

Rebus podniósł brwi.

– Jest pan dobrze poinformowany o procedurach. Może już kiedyś miał pan kolizję z prawem, co?

Chilton wreszcie zamilkł.

– Może jak wrócę na komendę, to zajrzę do naszego komputera... i co się okaże? Drugie wykroczenie? Trzecie? Może będzie warto tego, by przejechać się do aresztu w Saughton? – Chilton wyglądał już na przestraszonego, a właśnie do takiego stanu Rebus chciał go doprowadzić.

– Oczywiście moglibyśmy przymknąć na to oczy – zaproponował, a wzrok Chiltona wyrażał niemą prośbę. – Ale musi pan trzymać gębę na kłódkę i nie wypłać nikomu, co tu się stało. A Neil i jego kolega mają o wszystkim zapomnieć.

Chilton skinął w kierunku aparatu fotograficznego.

– Obserwujecie kogoś, tak?

– Najlepiej, żeby pan o niczym nie wiedział, panie Chilton. To co? Rozumiemy się?

Mężczyzna skinął głową.

– To dobrze – powiedział Rebus. – A teraz spieprzaj pan stąd.

Chilton ochoczo skorzystał z okazji i zniknął za drzwiami. Rebus pokręcił głową.

– Panie inspektorze – zaczęła Clarke.

– Zamknij się i posłuchaj – przerwał jej. – To mogło zepsuć całą operację. Może już jest spieprzona, ale o tym dowiemy się jutro albo pojutrze. A teraz ustawcie aparat i do pracy. Zadzwońcie do centrali i niech ktoś wprawi kawałek dykty, zostawiając otwór na obiektyw aparatu, a jak nie, to będziemy potrzebowali nowej szyby. I posłuchajcie! – Podniósł palec. – Nikt nie ma prawa dowiedzieć się o tym, co się tutaj stało. Nikt! Już o tym zapomniałem. Zrozumiano?

Zrozumiano bez problemu. Może tylko nie do końca jasne było to, dlaczego Rebus nie chciał, żeby ktokolwiek się o tym dowiedział. Nie chodziło o obawę przed wcześniejszym zakończeniem operacji Worki Pieniędzy, bo i tak od początku uważał, że ta akcja zakończy się porażką.

Bał się o coś zupełnie innego. O to, że detektyw inspektor Alister Flower, który siedzi w bezpiecznym i przytulnym pubie Firth ze swoją ekipą obserwacyjną, dowie się o wszystkim. Boże, to oznaczałoby kłopoty, tak poważne kłopoty, że Rebus nawet nie miał zamiaru się nad nimi teraz zastanawiać.

Szkoda, że nie udało mu się powiedzieć paru słów detektywowi Peterowi Petriemu, który pojechał na komendę przy St Leonard's zmienić koszulkę. Plamę na jego T-shircie można by wziąć za sos pomidorowy albo rozlaną herbatę, ale nikt nie będzie miał wątpliwości, co stało się z jego nosem, gdy ujrzy na nim gazę przyklejoną plastrem. A kiedy ktoś go o to zapyta, chętnie opowie całą historię, koloryzując ją nieco – zwłaszcza jeśli chodzi o wagę i rozmiary napastnika, a także siłę i szybkość ataku. W zamian zyska współczujące kiwanie głowami i ten sam komentarz powtarzany przez kolegów: „Poczekajcie, aż Flower się o tym dowie”.

Już w południe Flower wiedział z kilku źródeł o ataku potwora, który zmasakrował punkt obserwacyjny przy Gorgie Street.

– O matko – skomentował wydarzenie, popijając sok pomarańczowy lekko zaprawiony najlepszej jakości wódką. – To okropne. Ciekawe, czy inspektor Lauderdale o tym wie? Ach, pewnie już wie. Rebus nie trzymałby takiej historii w tajemnicy przed nim, prawda? – I uśmiechnął się do siedzącego obok niego detektywa tak ciepło, że ten bardzo się przestraszył, naprawdę okropnie się przestraszył o swojego szefa...

#### **SIOBHAN CLARKE PODNIOSŁA SŁUCHAWKĘ.**

– Halo? – Patrzyła, jak John Rebus wygląda przez okno. Obserwował biuro firmy taksówkarskiej od pół godziny, tak głęboko zamyślony, że ani ona, ani Jardine nie ośmieliły się odezwać do siebie głośniej niż szeptem. – To do pana, inspektorze.

Rebus wziął od niej słuchawkę. Dzwoniono z komendy z wiadomością dla niego.

– Tak, słucham.

– Od niejakiego Pata Caldera. Powiedział, że pan Ringan zniknął.

- Zniknął?

- Tak. I chciał, żeby pan o tym wiedział. Czy mamy podjąć jakieś działania w tej sprawie?

- Na razie nie. Sam pojedę czegoś się dowiedzieć. Dzięki za wiadomość. - I odłożył słuchawkę.

- Kto zniknął? - dopytywała się Clarke.

- Eddie Ringan.

- Ten z Heartbreak Cafe?

- Tak. Rozmawiałem z nim jeszcze wczoraj. Zaatakował mnie patelnią ze smażącym się serem.

- Aha... - Wyraźnie zainteresowała się sprawą.

- Zaczekaj tutaj przynajmniej do czasu, aż wróci Petrie.

Heartbreak Cafe było zaledwie pięć minut drogi stąd. Rebus zastanawiał się, czy zastanie tam Caldera. Stracili szefa kuchni, więc po co otwierać knajpę...

Gdy tam dotarł, w restauracji podawano wczesny lunch. Calder, który przejął funkcję szefa sali, pomachał mu na powitanie. Przechodząc koło młodego barmana, którego poznał już wcześniej, Rebus mrugnął porozumiewawczo. Calder wyglądał na przerażonego.

- Co pan, do licha, powiedział wczoraj Eddiemu?

- O co ci chodzi?

- Niech pan nie udaje. Przecież mieliście niezłą awanturę, prawda? Wiedziałem, że coś jest nie tak. Przez cały wieczór chodził wkurzony, nawet jego potrawy były do niczego. - Dla Caldera to nie było wcale śmieszne. - Musiał mu pan coś powiedzieć.

- A od kogo o tym wiesz?

Calder skinął głową w stronę kuchni.

- Od Williego.

Rebus westchnął.

- A dzisiaj Willie ma swoją szansę na sławę i bogactwo.

- Przygotowuje potrawy na lunch, jeśli o to panu chodzi.

- Więc kiedy zniknął Eddie?



– W nocy po zamknięciu poszedł poszukać jakiegoś klubu... takiej imprezy organizowanej w jednym z wynajętych na noc magazynów.

– A ty nie lubisz takich imprez?

Calder wyraził swoją opinię zmarszczeniem nosa.

– Czy to klub tylko dla dżentelmenów, panie Calder?

– Tak, to klub dla gejów. To żadna tajemnica, inspektorze. Wszystko jak najbardziej legalne.

– Nie mam wątpliwości. Ale pan Ringan nie wrócił do domu?

– Nie.

– A może spotkał kogoś i poszedł do jego domu?

– To nie w stylu Eddiego.

– Więc co jest w jego stylu?

– On jest wierny, proszę mi wierzyć. Często wypada na miasto, żeby się napić, ale zawsze wraca do domu.

– Aż do dziś.

– Tak.

Rebus zaczął się zastanawiać.

– Trochę za wcześnie, żeby przyjąć meldunek o zaginięciu. Zwykle czekamy czterdzieści osiem godzin, jeśli nie ma żadnych dowodów.

– Jakich dowodów?

– Na przykład zwłok.

Calder odwrócił głowę.

– Chryste! – zawołał.

– Słuchaj, jestem pewien, że nie ma się czego obawiać.

– A ja wręcz przeciwnie, inspektorze.

No tak, szczerze mówiąc, Rebus też nie był wcale tego pewien.

Calder przywołał uśmiech na twarz, gdy zobaczył, jak jakaś para wchodzi do środka. Wziął dwie karty dań i zaprowadził ich do stolika. Goście mieli zaledwie po dwadzieścia lat i byli bardzo elegancko ubrani. Mężczyzna wyglądał, jakby wyskoczył z filmu o gangsterach z lat trzydziestych, a dziewczyna – jakby przez pomyłkę włożyła spódniczkę młodszej siostry.

Gdy Calder wrócił, zaczął mówić półgłosem:

– Ktoś powinien jej powiedzieć, że nie da się ukryć pryszczki kredką do makijażu. Wie pan co? Eddie zmienił się po tym, gdy zaatakowano Briana.

– A tak przy okazji... Brian ma się całkiem dobrze.

– Tak, wiem. Eddie dzwonił wczoraj do szpitala.

– Ale go nie odwiedził?

– Nienawidzimy szpitali... zbyt wielu naszych przyjaciół w nich umarło.

– A informacja o Brianie nie polepszyła mu humoru?

Calder wyduł usta.

– Myślę, że na chwilę tak. – Wyjął z kieszeni notesik i długopis. – Idę się dowiedzieć, czego chcą się napić.

Rebus skinął głową.

– Pogadam z Williem i barmanem, zobaczymy, co oni o tym myślą.

– Dobrze. Lunch na koszt firmy.

Rebus pokręcił głową.

– Nie otrujemy pana, inspektorze.

– Nie o to chodzi. To te wszystkie kłamoty z Presleyem na ścianach.

Totalnie odbierają mi apetyt.

**PRAKTYKANT KUCHARSKI WILLIE** wyglądał na bardzo zadowolonego z nowej roli władcy kuchni, w której dotąd był tylko pomocnikiem. Choć zjadały go trochę nerwy, bo wszystko musiał robić sam, to jednak czuć było w jego zachowaniu, że chciałby, by już tak pozostało.

– Pamiętasz mnie, Willie?

Tymczasowy szef kuchni podniósł głowę.

– Więzienie Roquefort? – Poruszył patelniami na kuchence i zaczął siekać natkę pietruszki. Rebus podziwiał, z jaką szybkością kroi warzywa milimetry od swoich palców. – Co z Eddiem? To świrus, ale genialny szef.

– Fajnie tak samemu być szefuńciem?

– Pewnie, ale najpierw muszę zdobyć uznanie. Te leszcze na sali pewnie myślą, że ich cudowne dania przygotował wielki Eduardo. To jest

tak, jak mówi Pat: gdyby wiedzieli, że jego tu nie ma, poszliby na lunch do indyjskiej knajpy i zjedli coś za pół ceny.

Rebus się uśmiechnął.

– No tak, ale bycie szefem kuchni...

Willie przestał siekać natkę.

– Co? Myśli pan, że zamknąłem Eddiego w moim składziku na węgiel? Tylko po to, żebym przez jeden dzień mógł sobie tu poszaleć jak jakiś stuknięty pajac? – Wskazał nożem drzwi. – Pat mógłby mi pomóc, ale musi wazelinować klientów. Pat Wazeliniarz, to jego prawdziwe nazwisko. Jeśli już miałbym komuś zrobić krzywdę, to raczej temu tam za drzwiami.

– Niepotrzebnie bierzesz to do siebie, Willie. Eddie po prostu nie wrócił do domu na noc. Czy to możliwe, że zasnął gdzieś koło śmietnika?

– Pat uważa inaczej.

– A jak ty uważasz?

Willie spróbował coś łyżką z garnka.

– Myślę, że dodałem za dużo śmietany do zupy.

– Elvisowi właśnie taka by smakowała – skomentował Rebus.

**BARMAN, KTÓRY MIAŁ NA IMIĘ** Toni, nalał Rebusowi małą porcję ciemnego piwa z beczki.

– To piwo jest tak kiepskie jak moja dzisiejsza fryzura – powiedział inspektor.

– Mogę polecić panu dobrego fryzjera.

Rebus zignorował i tę radę, i piwo. Począł, aż Toni skończy obsługiwać dwóch studentów na drugim końcu baru.

– Jak wyglądał Eddie, gdy wczoraj wychodził?

– A jaki jest tytuł filmu Martina Scorsese?

– *Taksówkarz?*

Barman pokręcił głową.

– *Wściekły byk.* Tak właśnie wyglądał.

– Przez cały wieczór tak się zachowywał?

- Nie widywałem go za często. Gdy kończy pracę w kuchni, mnie zwykle już tu nie ma.

- Czy wczoraj wieczorem był na sali ktoś nietypowy?

- Tutaj przychodzą różni ludzie, do wyboru, do koloru. Ale w jakim sensie „nietypowy”?

- To bez znaczenia.

Najpewniej dla Toniego niewiele rzeczy miało znaczenie.

## Rozdział 16

WYGLĄDAŁO NA TO, ŻE KOŁO wydarzeń już się zamknęło. Eddie powiedział Holmesowi coś o zwłokach w hotelu Central. Holmes chciał się dowiedzieć czegoś więcej, idąc tropem braci Bru-Head. Potem Rebus dołączył do tego z własnymi pomysłami. I cała trójka została ostrzeżona w taki czy inny sposób. Rebus miał nadzieję, że Eddie też został tylko ostrzeżony i że nie było to coś bardziej drastycznego. Wszyscy wiedzieli, że po kielichu Eddie miał kłopoty z utrzymaniem języka za zębami, a rzadko kiedy nie był po kielichu. Rebus zaczął się obawiać dalszych napaści. Próbowano go przestraszyć, a przez to straszenie stał się jeszcze bardziej zdeterminowany. Czy znowu zaatakują? A może wykorzystają skuteczniejsze sposoby uciszania przeciwników?

Twarz Rebusa była ponura jak pochmurne niebo, gdy szedł pieszo z powrotem na St Leonard's. W drzwiach komendy natychmiast skierowano go do gabinetu Lauderdale'a. Szef dochodzeniówki nalał whisky do trzech szklanek.

– No, jesteś.

Rebus nie mógł się wykpić.

– Wezwany przez Wielki Dzwon! – rzucił.

Przyjął szklanekę, próbując nie patrzeć na rozpromienioną twarz Alistera Flowera. Usiedli.

– Zdrówko – wzniosł toast Lauderdale.

– Za tych, co na morzu – dodał Flower.

Rebus wypił bez toastu.

– Jakies kłopoty, John? – Lauderdale odłożył na wprost wypitą szklaneczkę na blat biurka.

Gdy zwracał się do Rebusa po imieniu, ten od razu wiedział, że będzie miał problemy.

– Żadnych kłopotów, szefie. Rano było małe nieporozumienie, ale daliśmy sobie z tym radę.

Lauderdale skinął głową, a jego twarz nadal wyrażała życzliwość. Flower założył nogę na nogę, jakby był całkowicie wyluzowany. Gdy Lauderdale znowu przemówił, zaczął na palcach liczyć kolejne przytaczane fakty.

– Dwoje dzieciaków wpada do punktu obserwacyjnego. Potem detektyw Petrie wdaje się w bójkę z jakimś obcym facetem. Zbita szyba i rozkwaszony nos Petriego. Detektyw Clarke na chodniku usuwa sprzątań resztki szkła, uspokajając ciekawskich przechodniów. – Skończywszy wyliczanie, oderwał wzrok od wyprostowanych palców dłoni i spojrzał na Rebusa. – Czy jest możliwe, John, że operacja Worki Pieniędzy została narażona na ryzyko niepowodzenia?

– Nie ma takiej możliwości, szefie. – Rebus podniósł jeden palec. – Facet nie będzie gadał, bo jeśli otworzy gębę, to oskarżymy go o napaść. – Drugi palec. – I chłopcy też nic nie powiedzą, bo dostaną od ojca odpowiednie ostrzeżenie. – Przytrzymał w powietrzu przez chwilę dwa palce, po czym opuścił dłonie.

– Z całym szacunkiem – wtrącił się Flower. – Mamy bijatykę i wybitą szybę w budynku, który niby jest opuszczony. Ludzie zaczną wciskać tam swoje trzy grosze, taką mają naturę. Jutro będą spoglądać do góry, czy znowu coś im nie spadnie na głowę. Każdy ruch za oknem zostanie zauważony.

Lauderdale zwrócił się do Rebusa:

– Co ty na to, John?

– Inspektor Flower ma rację. Ale trzeba pamiętać, że ludzie też szybko zapominają. Zobaczą jutro wstawioną szybę i po kłopotcie. Z biur firmy taksówkarskiej niczego nie dostrzeżono, a nawet gdyby usłyszeli trzask rozbijanej szyby, to nie jest to coś, co się nie zdarza przy Gorgie Street.

– Nawet jeśli, John...

– Nawet jeśli to był błąd, szefie, już to wyjaśniłem z detektyw Clarke.

Rebus mógł im powiedzieć, że przyczyną kłopotów była ta kobieta z Wydziału Standardów Handlowych, ale gdyby usprawiedliwił się w taki

sposób, pewnie odebrano by to jako przejaw słabości. Rebus mógł sobie pozwolić na cios w podbródek. Przyjąłby go nawet na kontuzjowany tył głowy, gdyby tylko mógł jak najszybciej opuścić ten pokój. Aromat whisky i męskie zapachy zaczęły przyprawiać go o mdłości.

– Alister, dodasz coś? – spytał Lauderdale.

– Zna pan mój punkt widzenia.

Lauderdale skinął głową.

– John – zaczął – operacja Worki Pieniędzy była długo i starannie planowana. Mamy za dużo do stracenia. Jeśli pozwalasz dwóm dzieciakom wpadać tak sobie do punktu obserwacyjnego, może nadszedł czas, żebyś zastanowił się nad swoimi priorytetami. Na przykład te teczki na twoim biurku. To było pięć lat temu. Wróć do tu i teraz, zrozumiano?

– Tak, szefie.

– Wiemy, że napaść na detektywa Holmesa tobą wstrząsnęła, dlatego powiedz mi szczerze, czy czujesz się na siłach, by dalej prowadzić tę operację?

A więc o to chodziło, pomyślał Rebus. Flower chciał przejąć całą obserwację. Zamarzył sobie, że to on wsadzi do pudła Dougary'ego.

– Dam sobie radę, szefie.

– Więc nic już więcej nie spieprzcie, dobra?

– Tak jest.

Powiedziałby wszystko, byle tylko skrócić to spotkanie... no, może prawie wszystko. Ale za nic by nie oddał Flowerowi czegokolwiek, a już szczególnie takiej sprawy, choć sam uważał, że jest to strata czasu. „Wróć do tu i teraz”, powiedział Lauderdale. Gdy jednak Rebus opuścił biuro, wiedział dokładnie, dokąd zmierzały jego myśli: z powrotem do tam i wtedy.

**PÓŹNYM POPOŁUDNIEM DOSZEDŁ** do wniosku, że w sprawie hotelu Central pozostały mu tylko dwie możliwości, czyli tylko dwoje ludzi, którzy mogli w czymś pomóc. Zadzwoił do jednej z tych osób. Posłużył się odrobiną perswazji, dzięki czemu udało mu się umówić spotkanie, i to już, zaraz.

– Mogą panom przerywać – ostrzegła sekretarka. – Mamy mnóstwo pracy.

– Dam sobie radę z tymi przerwami.

Dwadzieścia minut później został zaproszony do małego, obitego drewnianą boazerią biura w dobrze zachowanym starym budynku z kamienia. Okna wychodziły na brzydkie nowoczesne konstrukcje z lśniącej stali i blachy falistej. Z rur unosiła się para, ale zapach browaru jakimś cudem nie docierał do wnętrza pokoju.

Otworzyły się drzwi i do pomieszczenia wkroczył mężczyzna po trzydziestce.

– Inspektor Rebus?

Przywitali się uściskiem dłoni.

– Miło, że zgodził się pan tak szybko mnie przyjąć.

– Rozmowa z panem przez telefon była intrygująca. A ja nadal lubię intrygi.

Patrząc na niego z bliska, Rebus wysnuł wniosek, że Aengus Gibson wcale nie przekroczył trzydziestki. Biznesowy garnitur, okulary i starannie przyczesane krótkie włosy sprawiały, że mógł się wydawać starszy. Podszedł do biurka, zdjął marynarkę i pieczołowicie rozciągnął ją na oparciu wielkiego dyrektorskiego fotela. Usiadł i zaczął podwijać rękawy koszuli.

– Proszę siadać, inspektorze. Powiedział pan, że interesuje pana sprawa hotelu Central?

Na biurku leżały dokumenty i Gibson zaczął je przeglądać, Rebus jednak doskonale zdawał sobie sprawę, że uważnie wsłuchuje się w jego słowa.

– Jak pan wie, panie Gibson, hotel Central spalił się pięć lat temu. Przyczyny wybuchu pożaru nie udało się ustalić, ale najbardziej niepokojące jest to, że znaleziono włókni z sercem przesytytym kulą z pistoletu. Nie udało się też zidentyfikować tych włókni.

Gibson zdjął okulary i położył je na stosie dokumentów.



– Znałem Central całkiem nieźle, inspektorze. Jestem pewien, że to moja reputacja przyciągnęła pana tutaj.

– Przeszła i terazniejsza reputacja.

Gibson nawet nie mrugnął.

– W latach młodości trochę szalałem – przyznał. – A trudno było o bardziej zwariowane towarzystwo niż to, które zbierało się w tamtych czasach w hotelu Central.

– Miał pan ponad dwadzieścia lat. To nie tak bardzo młodzińcze lata.

– Niektórzy z nas dorastają później niż inni.

– Dlaczego umówił się pan na spotkanie z Matthew Vanderhyde’em właśnie tam?

Gibson rozparł się w fotelu.

– Teraz już widzę, po co pan tu przyszedł. Pomyślałem, że wujek Matthew chętnie powspomina dawną chwałę tego hotelu. Sam nieźle szalał w młodości.

– A może sądził pan, że to miejsce go zaszokuje?

– Nikt i nic nie zdoła zaszokować Matthew Vanderhyde’a, inspektorze.

– Uśmiechnął się. – Ale może ma pan rację. Tak. Coś w tym jest. Doskonale wiedziałem, że mój ojciec poprosił go, by się ze mną spotkał. Więc postanowiłem, że spotkanie odbędzie się w najgorszym miejscu, jakie mogłem sobie wtedy wyobrazić.

– Mógłbym panu znaleźć jeszcze gorsze miejsca niż hotel Central.

– Też nie miałbym z tym kłopotu. Central był po prostu... takim centralnym miejscem.

– I rozmawialiście?

– To on głównie mówił. Ja miałem tylko słuchać. Ale gdy rozmawia się z niewidomym człowiekiem, nie trzeba niczego udawać, inspektorze. On nie mógł zobaczyć zaszklonych oczu ani nic takiego. Chyba wtedy nawet czytałem gazetę, rozwiązywałem krzyżówkę, oglądałem telewizję. Wydawało się, że to nie ma dla niego znaczenia. Po prostu wyświadczył mojemu ojcu przysługę, i tyle.

– Jednak dosyć szybko odrzucił pan przeszłość i przestał być Czarnym Aengusem.

– To prawda, tak było. Może słowa wujka Matthew jednak odniosły jakiś skutek.

– A zaraz po spotkaniu?

– Zastanawialiśmy się, czy nie zjeść razem kolacji, oczywiście nie w hotelu Central. Ohydniejszej kuchni nie widziałem w życiu. Przypomniałem sobie jednak, że mam spotkanie z młodą kobietą. No, może nie taką młodą. Tak naprawdę była mężatka, jeśli dobrze pamiętam. Czasem mi się to wszystko myli. Prasa nazywa mnie człowiekiem o zresocjalizowanej osobowości. To wyświechtany termin, ale muszę przyznać, że cholernie trudno jest udowodniać taką duchową przemianę.

– Pana nazwisko nie pojawiło się na liście klientów hotelu Central tego wieczoru.

– Może to przeoczenie.

– Mógłby pan pomóc je naprawić, wyjaśniając coś więcej.

– Żeby gazety miały paliwo do obsmarowywania mnie?

– A gdyby teraz się dowiedziały, że pan tam jednak był?

– Panie inspektorze, to nie byłoby paliwo. – Oczy Aengusa Gibsona miały miły i czysty wyraz. – To byłaby tylko rozpałka.

– Czy jest coś, co mógłby pan mi opowiedzieć o tym wieczorze?

– Wydaje mi się, że pan wszystko już wie. Byłem w barze z Matthew Vanderhyde'em. Opuściliśmy hotel na wiele godzin przez wybuchem pożaru.

Rebus skinał głową.

– Czy był pan kiedyś na pierwszym piętrze hotelu?

– Dziwne pytanie. To było przecież pięć lat temu.

– To dużo czasu, wiem o tym.

– I teraz wznawiacie śledztwo?

– W pewnym sensie. Nie mogę wyjawić panu zbyt wielu szczegółów.

– W porządku. Poproszę ojca, żeby zapytał komendanta głównego policji. Pewnie pan wie, że są przyjaciółmi.

Rebus milczał. Przecież nie miał żadnych dowodów. Cokolwiek mógłby opowiedzieć swoim szefom, nie skłoniłoby ich to do wznowienia śledztwa. Tkwił w tym sam i nawet nie miał dobrego motywu. Nagle ktoś zastukał do drzwi i do środka wszedł starszy mężczyzna. Z rysów przypominał Aengusa, ale zarówno twarz, jak i cała sylwetka były o wiele szczuplejsze. Wręcz ascetyczne, pomyślał Rebus. Broderick Gibson nieczęsto poluzniał swój krawat z dzianiny lub odpinał najwyższy guzik koszuli. Pod marynarką miał wełniany sweter z wycięciem w kształcie litery V. Rebus uznał, że przypomina kościelnego. Ich twarze zawsze wyrażały winę podczas zbiórki pieniędzy.

– Przepraszam za najście, ale powinieneś jeszcze dziś rzucić okiem na te papiery – powiedział Broderick Gibson i położył teczkę z dokumentami na biurku.

– Tato, to jest inspektor Rebus. Inspektorze, to mój ojciec, Broderick Gibson.

To był ten sam człowiek, który rozpoczął warzenie piwa w swojej szopie jeszcze w latach pięćdziesiątych. Rebus uściśnął jego silną dłoń.

– Chyba nie mamy żadnych problemów, inspektorze?

– Żadnych, proszę pana – odparł Rebus.

Broderick Gibson zwrócił się do syna.

– Nie zapomniałeś o dzisiejszej imprezie dla SSPCC?

– Nie, ojczce. O ósmej?

– Za cholerę nie pamiętam.

– Myślę, że o ósmej.

– Ma pan rację, sir – powiedział Rebus.

– Tak? – zdziwił się Aengus Gibson. – Pan też tam będzie?

Rebus pokręcił głową.

– Czytałem o tym w gazecie.

Był tak nisko na drabinie społecznej w porównaniu z tymi ludźmi, że zastanawiał się, czy w ogóle go dostrzegają. Gdy uparcie wspinali się po niej wyżej i wyżej, przepiłowywali za sobą szczeble. Rebus mógł tylko gapić się na chmury; od czasu do czasu coś przez nie prześwitywało. Całe

szczęście, że zabiegali o sympatię policji. To pewnie dlatego starszy pan jeszcze raz uścisnął rękę Rebusa, nim opuścił gabinet.

Po wyjściu ojca Aengus Gibson wydawał się bardziej zrelaksowany.

– Przepraszam, że nie spytałem wcześniej. Napije się pan kawy czy herbaty? Wiem, że jest pan na służbie, więc nie pytam, czy napiłby się pan piwa.

– Mówiąc prawdę, to służbę skończyłem pięć minut temu.

Aengus Gibson uśmiechnął się i podszedł do dużej szafy. Po otwarciu drzwi okazało się, że w środku są trzy dystrybutory piwa i zestaw błyszczących małych i dużych szklanek.

– Ciemne jest dzisiaj doskonałe – oświadczył.

– Może być ciemne, ale małe.

– Proszę bardzo.

**REBUS JEDNAK SKUSIŁ SIĘ** na drugie piwo, tym razem jasne. Ale to smak ciemnego pozostał w jego ustach, gdy wyjeżdżał z browaru przez żelazną bramę z kutego żelaza. Piwo ciemne Gibson. Gibsonowie, ojciec i syn, podobnie jak ich piwo, też musieli mieć ciemne sprawki na sumieniu. Wystarczyło rozbić skorupę blichtru, by to wszystko zobaczyć. Dla zewnętrznego świata Aengus Gibson mógł być przemienionym człowiekiem, ale Rebus czuł, że ten facet ledwie się kontrolował. Zastanawiał się nawet, czy nie bierze leków psychotropowych. Wcześniej przez jakiś czas Aengus przebywał w prywatnym ośrodku rehabilitacyjnym, co było oczywistym eufemizmem, bo chodziło o szpital psychiatryczny. Przynajmniej tak Rebus od kogoś usłyszał. Rozważał, czy nie pogrzebać w przeszłości tego człowieka, choćby tylko po to, by zaspokoić ciekawość. Zainteresowała go jedna rzecz, którą powiedział Aengus Gibson. On nie tylko wiedział, że kuchnia hotelu Central była brudna – on ją widział.

Dla Johna Rebusa to właśnie wydało się szczególnie interesujące.

Wrócił na komendę przy St Leonard's i ucieszył się, że nie zastał tam ani Lauderdale'a, ani Flowera. Zapomniał odwiedzić Holmesa, więc tylko

zadzwoił do szpitala. Wiedział, że na oddziale urazowym przynoszą telefon do łóżka pacjenta.

– Brian?

– Witam. Właśnie odwiedziła mnie Nell.

W głosie Holmesa słychać było zadowolenie. Rebus miał nadzieję, że jego była partnerką kierowało coś więcej niż tylko zwykłe współczucie.

– Co u niej?

– W porządku. A u pana jakieś postępy?

Podsumował w myśli ostatnie dwadzieścia cztery godziny. Dużo pracy i nic.

– Nie – odpowiedział. – Żadnych.

Postanowił nie mówić mu, że Eddie Ringan zniknął, bo mogłoby to spowodować pogorszenie stanu zdrowia Holmesa.

– Nie zastanawiał się pan nad tym, żeby dać temu spokój?

– Brian, mam pełne ręce roboty, ale nie zamierzam porzucić tego tematu.

– Dzięki.

Rebus omal się nie wygadał, że nie chodzi mu już o Holmesa, ale o brata. Zamiast tego życzył zdrowia i obiecał, że wkrótce znów wpadnie.

– Lepiej niech pan się pospieszy, bo jutro albo pojutrze mogą mnie stąd wypuścić.

– To świetnie.

– No nie wiem... jest tu taka jedna pielęgniarka...

– Ach, spadaj! – Rebus przypomniał sobie pielęgniarkę, która opatrywała jego ranę na głowie, tę, z którą zaczął się zaprzyjaźniać. To był początek kłopotów z Patience. – Bądź ostrożny! – rzucił i odłożył słuchawkę.

Następnie zadzwonił do lokalnej gazety. Rozmawiał z kimś przez kilka minut, po czym próbował dodzwonić się do Siobhan Clarke. Niestety, przy Gorgie Road nikt nie podnosił słuchawki. Najprawdopodobniej Dougary skończył urzędowanie na dziś i zakończono obserwację. Dla niego też już przyszedł czas na fajrant. Wychodząc z biura, usłyszał w korytarzu

charakterystyczny głos Alistera Flowera. Rebus schronił się w jakimś pokoju i poczekał, aż Flower i jego podwładny przejdą. Przynajmniej nie rozmawiali o nim, a to już było coś. Trochę się zawstydził, że musiał się przed nimi kryć. Ale cóż, pomyślał, dobry żołnierz wie, kiedy należy się schować.

## Rozdział 17

**TEGO WIECZORU MICHAEL BYŁ** na nogach i nieźle się już czuł, odgrywając rolę telewizyjnego maniaka. Trzymał pilota jak rozrusznik serca i siedział ze wzrokiem wlepionym w szklany ekran. Rebus zaczął się zastanawiać, ile Michael wziął tabletek uspokajających, ale w butelce jeszcze sporo zostało.

Wyszedł do pobliskiej smażalni po dwie porcje ryby z frytkami. Nie było to nic specjalnego, ale nie chciało mu się jechać gdzieś dalej. Przypomniał bratu historyjkę o smażalni w ich rodzinnym miasteczku, gdzie kucharz pluł do frytkownicy, by sprawdzić, czy olej wystarczająco się podgrzał. Michael uśmieł się, ale wciąż wpatrywał się w telewizor. Wkładał frytki do ust i gryzł je powoli; ściągał z ryby panierkę, zjadał ją, a dopiero potem dobierał się do tłustawego białego mięsa.

– Wcałe nie takie złe te frytki – skomentował Rebus, nalewając irn-bru do dwóch szklanek. Czekał na wiadomość od Patience, która miała podać miejsce i czas spotkania. Ale za każdym razem, gdy dzwonił telefon, okazywało się, że chodziło o któregoś ze studentów.

Telefon zadzwonił piąty czy szósty raz. Rebus podniósł słuchawkę.

– Dział obsługi studentów Uniwersytetu Edynburskiego, słucham?

– To ja – powiedziała Siobhan Clarke.

– A, cześć.

– Nie słyszę entuzjazmu w pana głosie.

– Co mogę dla ciebie zrobić, Clarke?

– Chciałam przeprosić za tę poranną awanturę.

– To nie całkiem twoja wina.

– Powinnam była powiedzieć tym chłopcom, kim naprawdę jesteśmy.

Myślałam o tym i doszłam do wniosku, że właśnie tak należało postąpić.

– No dobrze. Na drugi raz będziesz już wiedzieć.

– Tak, panie inspektorze. Słyszałam, że był pan na dywaniku?

– U Lauderdale'a? – Rebus się uśmiechnął. – To był bardziej chodniczek niż porządny pers. A co z oknem?

– Na razie zabite dyktą, ale w nocy wstawią szybę.

– Coś ciekawego się dzisiaj działo?

– Tylko tyle, co pan sam widział rano. Po południu pojawił się Petrie.

– No i?

– Obandażowany jak mumia egipska.

Rebus zdawał sobie sprawę, że jeśli ktoś wypaplał o porannym wydarzeniu, to był to Petrie. Nie miał dla niego ani krzty współczucia.

– No dobra. Do zobaczenia rano.

– Do widzenia.

– O co chodziło? – zapytał Michael.

– Nic specjalnego.

– Wiedziałem, że tak odpowiesz. Jest jeszcze trochę irn-bru?

Rebus podał bratu butelkę.

Patience nie zadzwoniła do dziesiątej, więc zaczął oglądać telewizję. Przez moment chciał nawet zdjąć słuchawkę z widełek. Następny dzwonek telefonu rozległ się już po dziesięciu minutach. W słuchawce słyhać było jakiś zgiełk, jakby imprezy w pubie. Ktoś potwornie fałszował kiepską piosenkę.

– Ścisz telewizor na chwilę, Michael.

Brat posłusznie spełnił prośbę, odbierając głos jakiegoś politykowi w wiadomościach.

– Halo?

– Czy to pan Rebus?

– Tak.

– Mówi Chick Muir.

Chick był jednym z informatorów.

– O co chodzi, Chick?



Ktoś skończył śpiewać piosenkę, Rebus usłyszał oklaski, śmiech i gwizdy.

– Ten facet, z którym chciał pan pogadać, jest jakieś pięć metrów ode mnie i młóci jedną whisky za drugą.

– Dzięki, Chick. Już tam jadę.

– Chwileczkę, nie chce pan nawet wiedzieć, gdzie jestem?

– Nie zgrywaj głupka, Chick. Doskonale wiem, gdzie jesteś.

Rebus odłożył słuchawkę i spojrzął na Michaela, który pochrapywał cicho. Wyłączył telewizor i zarzucił na siebie marynarkę.

**TO BYŁO OCZYWISTE, ŻE** Chick Muir dzwonił z Bowery, otwartej do późna knajpy na końcu Easter Road. Kiedyś na szyldzie widniał napis *Finnegan's*, ale nowy właściciel zmienił nazwę pod wpływem dziwnej inspiracji, jakby chciał zobaczyć zastępy próżniaków i włóczęgów na eleganckich fotelach.

I rzeczywiście, w pubie nie brakowało nocnych marków, choć niektórzy z nich nie odstawaliby za bardzo od klienteli eleganckiej restauracji i pubu Bowery. Oprócz nich bywalcami knajpy byli studenci i nałogowi pijacy, po części ze względu na lokalizację pubu, ale głównie dzięki licencji na późny wyszynk. Nigdy nie dochodziło tu do żadnych awantur albo przynajmniej nie było o nich słyszeć. Połowa pijaczków w Bowery bała się tej drugiej połowy, a ta druga połowa była zajęta opanowywaniem strachu przed tą pierwszą. Poza tym plotka głosiła, że Duży Ger otaczał pub całodobową ochroną – oczywiście za odpowiednią opłatą.

Chick Muir często tam popijał, choć nigdy nie brał udziału w czymś, co określano jako najbardziej fałszujące karaoke w całym Edynburgu. Eddie Ringan padłby na atak serca, gdyby usłyszał tutejsze wersje piosenek Presleya *Hound Dog* i *Wooden Heart*. Zachrypnięte, wrzeszczące i totalnie niemuzyczne głosy domorosłych piosenkarzy zniekształcały każde słowo i każdą melodię. W drzwiach pubu powitało Rebusa radosne wycie do mikrofonu i taka ilość dymu papierosowego, że można byłoby spokojnie powiesić na nim siekiere.

Gdy kończyła się piosenka, poczuł, że ktoś ściska go za ramię.

– Szybko pan się pojawił.

– Jak tam, Chick? Czego się napijesz?

– Podwójna whisky Grouse nie byłaby zła, choć nie wierzę, że w tych butelkach mają oryginalną. – Chick Muir uśmiechnął się, pokazując dwa rzędy złotych zębów. Był o ponad głowę niższy od Rebusa i w tym tłumie wyglądał jak szczeniak zagubiony w lesie. – No, może to nie jest oryginalna grouse, ale i tak nieźle grzeje.

Tak, to była całkiem niezła logika. Rebus przepchnął się do baru i złożył zamówienie, wrzeszcząc na całe gardło. Miłośnicy pijackiego karaoke głośnym aplauzem przywitani pojawienie się ulubionego wyjca na scenie. Rebus rozejrzał się dookoła i dostrzegł Deeka Torrance'a, który wcale nie wyglądał na bardziej trzeźwego niż wtedy, gdy spotkali się ostatnio. Kiedy Rebus płacił za drinki (nie musiał długo czekać, bo był tu znany), Torrance go zobaczył, kiwnął głową i pomachał ręką. Rebus dał mu znać, że zaraz do niego podejdzie.

Znowu rozległa się muzyka. Proszę, modlił się w myślach Rebus, tylko nie *Little Red Rooster*. Na monitorach wideo pojawił się młody kogucik wyrażający zainteresowanie blond farmerką, która rano przyszła do kurnika zebrać jajka.

– To dla ciebie, Chick. Zdrówko.

– Zdrówko. – Chick upił łyczek, posmakował i pokręcił głową. – Jestem pewien, że to nie grouse. Widział go pan?

– Widziałem.

– To o niego chodziło?

Rebus wcisnął mu do ręki zwinięty dziesięciofuntowy banknot i Chick zaraz schował go do kieszeni.

– Tak, to on.

Torrance przeciskał się przez tłum w ich kierunku, po chwili zatrzymał się i klepnął Rebusa w ramię nad plecami innego pijaczka.

– John, muszę... – Ruchem głowy wskazał toalety znajdujące się z boku sceny. – Za momencik będę.

Rebus kiwnął głową ze zrozumieniem, a Torrance zaczął znowu walczyć z tłumem. Chick Muir dopił whisky.

– To ja spadam – oznajmił.

– W porządku. Na razie.

Chick skinął głową, odłożył szklanekę na blat baru i skierował się do wyjścia. Rebus próbował krzyknąć *Little Red Rooster*, ale nie bardzo mu się to udało, więc skierował się w stronę toalet. Zobaczył, że Torrance zamienił słówko z didżejem i wszedł do toalety. Przechodząc obok sceny, Rebus przyjrzał się śpiewakowi, którego tłum zachęcał, by dał z siebie wszystko.

Deek stał przy pisuarach, śmiejąc się z malunku na ścianie. Rysunek przedstawiał dwóch piłkarzy w pasiastych koszulkach drużyny Hearts w czasie stosunku, a niżej był podpis: *Jam Tarts – Dobrze Wyposażony!* To ten rodzaj humoru, który niepodzielnie panował w przybytkach przy Easter Street. W pubie przy Gorgie można by się spodziewać podobnego rysunku z dwoma piłkarzami z drużyny Hibsów. Rebus upewnił się, że w toalecie nie ma obcych. Torrance, spoglądając przez ramię, dostrzegł go.

– John, przez chwilę myślałem, że jesteś podglądaczem.

Rebus nie był w nastroju do żartów.

– Deek, musisz mi coś załatwić.

Torrance odchrząknął.

– Pamiętasz, jak kiedyś powiedziałaś, że możesz zdobyć wszystko?

– Wszystko od dywanu po kławkę – przyznał Torrance.

– Chodzi o to drugie – oznajmił otwarcie Rebus.

Deek Torrance wyraźnie chciał coś powiedzieć, ale tylko zapiął rozpiorek i podszedł do umywalki.

– Możesz napisać sobie kłopotów.

– Wiem.

Torrance wytarł ręce w nieświeży rolowany ręcznik.

– Na kiedy to potrzebujesz?

– Na już.

– Jakiś szczególny model?

– Cokolwiek mi dostarczysz, będzie w porządku. Ile forsy mam przygotować?

– Kilka setek. Jesteś pewien, że musisz to mieć?

– Jestem pewien.

– Mógłbyś przecież postarać się o pozwolenie i kupić broń legalnie.

– Mógłbym.

– Ale nie chcesz.

– Nie musisz o niczym wiedzieć, Deek.

Torrance znowu odchrząknął. Otworzyły się drzwi i pojawił się w nich totalnie zawiany młody mężczyzna z papierosem w ustach. Zignorował ich i podszedł do pisuarów.

– Daj mi swój numer telefonu – rzucił Torrance.

Młodzieniec rzucił im spojrzenie.

– Oczy patrzą do przodu, synu! – powiedział ostro Torrance. – Pies przewodnik to poważna inwestycja.

Rebus wyrwał karteczkę z notatnika.

– Masz dwa numery: do domu i do pracy.

– Będę w kontakcie.

Rebus otworzył drzwi.

– Napijemy się? Ja stawiam.

Torrance pokręcił głową.

– Muszę lecieć. A ty jesteś pewien, że tego chcesz?

Inspektor skinął głową.

Gdy Torrance wyszedł z baru, Rebus wypił jeszcze jednego drinka. Miał dreszcze ze zdenerwowania, a serce waliło mu w piersiach. Ładna kobieta śpiewała *Band of Gold*, i to nawet dość czysto. Tego wieczoru to ona dostała największe oklaski. Didżej powtórzył jej nazwisko publiczności. Dostała jeszcze więcej braw, gdy chłopak pomagał jej zejść ze sceny. Na palcach miał pełno złotych obrączek. Po chwili didżej zaczął przedstawiać kolejnego zapiewajkę.

– Chce dla nas zaśpiewać stary dobry kawałek *King of the Road*. Panie i panowie, brawa dla Johna Rebusa!

Dostał trochę zachęcających oklasków, a ludzie, którzy go znali, opuścili ręce z drinkami i spoglądali na niego wielce zaciekawieni.

– Deek, ty gnojku! – syknął po cichu Rebus.

Didżej rozglądał się po sali.

– John, jesteś tu jeszcze z nami?

Publiczność też się rozglądała. Ktoś, jak domyślił się później Rebus, musiał na niego wskazać palcem, bo nagle didżej zaczął wyjaśniać wszystkim przez mikrofon, że pewnie John jest nieśmiały i stoi w ciemnej marynarce, chowając się za szklanką z drinkiem.

– Więc zaproszę go na scenę jeszcze raz gromkimi brawami.

Tak więc gromkie brawa przywitały go na scenie. Całe szczęście, pomyślał Rebus, że Torrance nie dał mu pistoletu już w knajpie, bo jednym strzałem załatwiłby całe to zamieszanie.

**DEEK TORRANCE NIENAWIDZIŁ SIĘ** za to, ale i tak zadzwonił w jedno miejsce. Skorzystał z budki telefonicznej stojącej koło pustego placyku. Mimo późnej godziny jakieś dzieciaki hałaśliwie jeździły rowerami po rozsypanym żwirze. Zbudowały pochylnię z dwóch desek opartych na skrzynce po butelkach mleka, wyskakiwały w powietrze i lądowały z łoskotem kawałek dalej.

– Mówi Deek Torrance – przedstawił się, gdy z drugiej strony odebrano telefon. Wiedział, że musi chwilę poczekać, zanim jego nazwisko zostanie podane dalej. Oparł czoło o plastikową osłonę aparatu telefonicznego. Była chłodna. Wszyscy w końcu dorastamy, powiedział do siebie. Może to nie jest przyjemne, ale niestety, tak się dzieje. Nie ma już wokół nas Piotrusiów Panów. Ktoś wreszcie podszedł do telefonu z drugiej strony. – Mówi Deek Torrance – niepotrzebnie powtórzył nazwisko. – Mam pewne informacje...

## Rozdział 18

**REBUS WYJĄTKOWO WCZEŚNIE** dotarł w środę do pracy. Nigdy nie był rannym ptaszkiem, a jego obecność w sali dochodzeniówki sprawiła, że punktualni koledzy zaczęli mu się przyglądać ze zdziwieniem, jakby chcieli sprawdzić, czy nadal nie leżą w ciepłych łóżkach i coś im się po prostu nie śni.

Nie zadawali mu zbędnych pytań, bo wiedzieli, że poranny Rebus nie zawsze jest w najlepszym humorze. Tym razem chciał coś załatwić, zanim zacznie się codzienny rozgardiasz. Musiał sprawdzić coś w komputerze i wcale nie palił się do tego, by dzielić się zdobytymi informacjami z pozostałymi.

Zresztą o Aengusie Grahamie Fairmile'u Gibsonie nie było zbyt wiele do czytania. Głównie pijaństwa w miejscach publicznych, zwykle z towarzyszącymi temu wybrykami. Ściąganie policjantom z głowy hełmów należało do ulubionych zabaw młodego Gibsona i jego kumpli. Inne notowane zachowania dotyczyły częstych wizyt w dzielnicy miasta znanej z ulicznej prostytucji oraz usiłowania wtargnięcia do mieszkania kolegi przez okno (bo zgubił klucz), czego efektem było wylądowanie w mieszkaniu kogoś zupełnie innego.

Historia jego dokonań zakończyła się pięć lat temu. Od tego czasu zaliczył najwyżej mandat za złe parkowanie albo grzywnę za jazdę z nadmierną prędkością. Tyle było na jego temat w policyjnych kartotekach. Rebus wprowadził hasło *Broderick Gibson*, ale nie oczekiwał zbyt wielkich rezultatów. I nie zawiódł się na swojej intuicji. Zapiski o młodzieżowych wybrykach starszego Gibsona zostały upakowane gdzieś w archiwalnych załącznikach, o ile w ogóle istniały. Rebus sądził, że ktoś, kto był kojarzony ze szkocką organizacją nacjonalistyczną Miecz i Tarcza, powinien przynajmniej raz w życiu być zatrzymany do wyjaśnienia

w związku z zakłócaniem porządku publicznego. No, może z wyjątkiem Matthew Vanderhyde'a.

Zadzwoił w jedno miejsce, by upewnić się, że spotkanie, które umówił poprzedniego dnia, odbędzie się zgodnie z planem. Wyłączył komputer i idąc do wyjścia, minął w holu komendanta Watsona.

**REBUS CZEKAŁ NA SPOTKANIE** W poczekalni redakcji gazety, przeglądając wydania z poprzedniego tygodnia. Zainteresował się kuponami na zakłady sportowe i miał nadzieję, że podczas zwiedzania redakcji kolejne kupony wpadną mu w ręce w dziale ogłoszeń reklamowych.

– Inspektor Rebus? – zapytała kobieta, która wyszła zza lady recepcyjnej, gdzie siedział smutny ochroniarz, bacznie przyglądający się Rebusowi. Miała już na sobie prochowiec, więc nie było szansy na wycieczkę po redakcji, mimo że obiecywano mu ją od wielu tygodni.

Kobieta nazywała się Mairie Henderson i miała dwadzieścia kilka lat. Rebus poznał ją, gdy opracowywała materiał prasowy po śmierci Gregora Jacka. Chciał ją czymś zbyć, ale okazała się wyjątkowo uparta i... przekonująca. Dopiero co ukończyła uniwersytet, gdzie zdobyła uznanie jako redaktorka studenckiej gazetki oraz autorka artykułów do prasy codziennej i tygodników. Nie zapomniała jeszcze o charakterystycznym dla młodych dziennikarzy zapale do działania; Rebusowi bardzo się to podobało.

– Chodźmy – powiedziała. – Umieram z głodu. Stawiam śniadanie.

Poszli do małej kafejki przy piekarni South Bridge, gdzie był spory wybór dań. Czy nie było za wcześnie na tradycyjną szkocką zapiekankę albo wołowinę zapiekaną w cieście? Za wcześnie na placek z owocami? No dobrze, zamówią to co wszyscy: smażone kielbaski, czarny pudding i jajecznicę.

– A są może zapiekane podroby jagnięce albo paszteciki z mięsem? – Mairie była bardzo dociekliwa. Sprzedawczyni za ladą musiała sprawdzić w kuchni, czy kucharz może to przyrządzić. Przez skojarzenie z kuchnią Rebus zakonotował sobie, że musi dziś zadzwonić do Pata Caldera i o coś

go spytać. Niestety, tutaj nie podawano takich specjałów szkockiej kuchni nawet za brzęczącą gotówkę. Wzięli tace ze śniadaniem do kasy, a Mairie nalegała, że zapłaci za posiłek. – W końcu to ja dostanę historię na superartykuł.

– Nic o tym nie wiem.

– Pewnego dnia sam pan mi ją da, proszę mi wierzyć. – Gdy usiedli przy stoliku, Mairie sięgnęła najpierw po brązowy sos, a potem po ketchup. – Nigdy nie mogę się zdecydować, więc zawsze biorę oba. Szkoda, że nie mieli pasztecików z mięsem. Uwielbiam je.

Miała sto sześćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu i tyle zbędnego tłuszczu co odarty ze skóry królik na wystawie u rzeźnika. Rebus spojrzął na smażone potrawy i nagle przeszła mu ochota na jedzenie. Popijał lurowatą kawę.

– Więc o co w tym wszystkich chodzi? – zapytała Mairie po zaspokojeniu pierwszego głodu.

– To właśnie chcę usłyszeć od pani.

Zamiast pokręcić głową, pomachała nożem.

– Nie powiem, dopóki pan mi nie zdradzi, po co chce pan to wiedzieć.

– Tak się nie gra.

– Więc musimy zmienić zasady gry.

Nabrała jajecznicy na widelec. Siedziała w zapiętym płaszczu, mimo że w kafejce było dość ciepło. Nogi też ma chyba niezłe, pomyślał Rebus. Szkoda, że płaszcz je zasłaniał. Podmuchał na kawę i upił trochę z filiżanki. Pewnie Mairie będzie tak siedzieć przez cały dzień w oczekiwaniu, że on wreszcie coś powie.

– Pamięta pani pożar hotelu Central? – zapytał w końcu.

– Chodziłam wtedy jeszcze do szkoły.

– W zgłiszczach znaleźliśmy zwłoki. – Mairie kiwnęła zachęcająco głową, mówił więc dalej: – Chyba mamy nowe dowody... nie, nie nowe dowody. Po prostu wydarzyło się parę rzeczy i myślę, że mają one coś wspólnego z tym pożarem i użyciem broni palnej.

– Więc to nie jest oficjalne śledztwo?



– Jeszcze nie.

– I nie ma dla mnie żadnej ciekawej historyjki?

– Jedynie drobiazgi, które mogłyby zakończyć się dla pani pozwaniem do sądu o zniesławienie.

– Dałabym sobie z tym radę, byleby historia była niezła.

– Nie jest. Jeszcze nie teraz.

Zaczęła czyścić powierzchnię talerza z resztek jajecznicy kawałkiem bułki posmarowanej masłem.

– Niech pomyślę... Prowadzi pan prywatne śledztwo w sprawie pożaru sprzed pięciu lat?

Mógł odpowiedzieć, że przez ten pożar jeden człowiek zmienił się w alkoholika, a inny wszedł na uczciwą drogę, ale jedynie skinął głową.

– A co wspólnego ma z tym Gibson? – dociekała Mairie.

– Tylko między nami... był tam wtedy, lecz pominięto jego nazwisko, gdy tworzone listę klientów hotelu z tej nocy.

– Jego ojciec pociągnął za odpowiednie sznurki?

– Całkiem możliwe.

– No to już mamy historię.

– I nic, co mogłoby ją poprzeć – skłamał, bo był oczywiście Vanderhyde, ale Rebus nie miał zamiaru o tym mówić. Nie chciał, żeby Mairie zaczęła się czegoś domyślać, choć sposób, w jaki mu się przyglądała, świadczył, że już snuła różne teorie.

– Nic?

– Nic – powtórzył.

– No dobrze. Nie wiem, czy to pomoże. – Rozpięła płaszcz i wyciągnęła teczkę, którą upchnęła za modnymi džinsami.

Rebus wziął ją do ręki, jednocześnie rozglądając się po sali. Na szczęście nikt się nimi nie interesował.

– To trochę jak historia z tajnymi agentami i szpiegami – powiedział, na co Mairie wzruszyła ramionami. – A może po prostu oglądam za dużo filmów. – Otworzył teczkę. Nie była podpisana; zawierała wycinki i notatki dotyczące Aengusa Gibsona.

- To są tylko wycinki z ostatnich pięciu lat. Niewiele tego, głównie działalność charytatywna, darowizny na zbożne cele. Trochę o polepszającym się wizerunku browaru i jego rozwoju.

Rebus przejrzał wycinki. Były dla niego bezwartościowe.

- Miałem nadzieję, że znajdę tu coś o nim z okresu tuż po pożarze.

- Tak pan mówił przez telefon. Dlatego porozmawiałam z kilkoma ludźmi, nawet z szefem naszego oddziału. Powiedział, że Gibson znalazł się w szpitalu psychiatrycznym. Określił to słowem: „załamanie nerwowe”.

- Raczej słowami – poprawił ją Rebus.

- To zależy – odparła tajemniczo. - Dalej powiedział: „Przebywał tam przez prawie trzy miesiące. W gazetach nie było o tym śladu. Jego ojciec się o to postarał. Gdy Aengus powrócił, zajął się rodzinnym biznesem i wtedy właśnie zaczął dobrze czynić”.

- Raczej „czynić dobro” – poprawił ją znowu Rebus.

Uśmiechnęła się.

- To zależy. - Spojrzała na teczkę i rzuciła samokrytycznie: - Niezbyt tego dużo, co?

- Niestety.

- Sama wiem, że niewiele. Ale to wszystko, co mieliśmy na jego temat.

- A pani szef? Czy pamięta dokładnie, kiedy Gibson poszedł do szpitala?

- Nie wiem, ale co szkodzi zapytać. Chce pan, żebym się tego dowiedziała?

- Tak, proszę.

- W porządku, załatwione. Ale mam jedno pytanie.

- Słucham.

- Nie ma pan zamiaru nic zjeść?

Rebus przesunął talerz w jej kierunku i obserwował, jak Mairie pochłania jego porcję.

**PO POWROCIE NA ST** Leonard's odebrał telefon z biura komendanta. Watson chciał go natychmiast widzieć u siebie. Dzwoniono po niego już od

dziesięciu minut. Rebus sprawdził tylko, czy są dla niego jakieś informacje, i zatelefonował do Siobhan Clarke, by upewnić się, czy wstawiono szybę.

– Jest doskonała – odparła. – Pokryta warstwą ochronną. Nawet nie próbowaliśmy jej ścierać. Nie przeszkadza nam w robieniu zdjęć, a z zewnątrz wygląda jak szyba, która czeka na wymycie.

– Świetnie – odpowiedział Rebus.

Chciał być na bieżąco ze wszystkim, co dotyczyło obserwacji. Jeśli rozmowa u Watsona będzie dotyczyła wczorajszej sprawy, to jego dywan okaże się o wiele większy niż skromny chodniczek u Lauderdale'a.

Ale Rebus całkowicie się mylił.

– Co ci chodzi po głowie? – zaczęła Watson.

Wyglądał, jakby pokonał pół maratonu i zajadał się papryczkami chilli przez cały bieg. Miał charczący oddech, a policzki w kolorze głębokiej wiśni. Gdyby teraz pojawił się w jakimkolwiek szpitalu, od razu zaciągnęliby go na noszach do izby przyjęć.

– Nie jestem pewien, o co panu chodzi, panie komendancie.

Watson uderzył ręką w biurko, aż spadł ołówek.

– Nie jesteś pewien, o co mi chodzi?!

Rebus rzucił się, żeby podnieść ołówek.

– Zostaw go! Siadaj.

Usiadł.

– Nie, lepiej stój.

Rebus wstał.

– Powiedz mi dlaczego.

Przypomniał sobie nauczyciela matematyki ze szkoły średniej, człowieka o podłym charakterze, który zwracał się do niego właśnie w taki sam sposób: „Powiedz mi dlaczego”.

– Tak, panie komendancie.

– Więc mów.

– Z całym szacunkiem, panie komendancie. Dlaczego co?

– Dlaczego nachodzisz Brodericka Gibsona? – zapytał, zgrzytając zębami.

– Z całym szacunkiem...

– Przestań powtarzać „z całym szacunkiem”, do cholery! Daj mi odpowiedź, i tyle.

– Nie nachodzę Brodericka Gibsona.

– Więc co robisz? Zalecasz się do niego? Zadzwoił do mnie dziś rano komendant główny i był maksymalnie wkurwiony! – Watson, jako chrześcijanin, nie przeklinał zbyt często. Takie słowo w jego ustach nie wróżyło nic dobrego. Rebus już wszystko zrozumiał. Dał ciała, wtrącając się z tym tekstem o SSPCC. Tak, Broderick Gibson poskarżył się swojemu kumpłowi, komendantowi głównemu. – „Jeden z twoich pupilów mi się narzuca, o co tu chodzi?”. A komendant główny, nie wiedząc, o co chodzi... jak mi to mówił, to aż się zaczął jąkać i bulgotać... że chce wiedzieć. I żąda nazwiska tego gliny...

– Mnie interesuje tylko jego syn.

– Ale obydwu sprawdzałeś rano w komputerze.

O, jednak ktoś zauważył, że Rebus tak wcześnie rozpoczął dziś pracę.

– Tak, sprawdzałem, ale chodziło mi tylko o Aengusa.

– Nadal nie wyjaśniłeś dlaczego.

– Tak, panie komendancie. Bo to jest... mgliste jak... mgławica.

Watson zmarszczył czoło.

– Mgławica? Kiedy odbierasz dyplom? – Rebus nie załapał ironii. – Bo właśnie – Watson cieszył się, że może wyjaśnić do końca – otrzymałeś dyplom z astronomii!

Nalał sobie kawy do kubka z ekspresu na podłodze, nie częstując Rebusa, który też chętnie by się napił.

– To słowo pierwsze pojawiło mi się w głowie, panie komendancie – odpowiedział.

– Ja też mam dla ciebie kilka słów, Rebus, których twoja matka z pewnością nie chciałaby usłyszeć.

Nie, pomyślał Rebus, za to twoja wymyłały ci usta szarym mydłem.

Komendant siorbał kawę. Podwładni przezywali go Farmerem nie bez powodu. Miał kilka zwyczajów i zachowań, które spokojnie można by określić terminologią rolniczą.

– Zanim wypowiem którekolwiek z nich – ciągnął – będę na tyle wspaniałomyślny, by wysłuchać twojego wyjaśnienia. I lepiej, żeby było cholernie przekonujące.

– Tak jest, panie komendancie – odparł Rebus. Jak mógł sprawić, by zebrane informacje brzmiały przekonująco? No cóż, będzie musiał spróbować.

I spróbował. Gdzieś tak w połowie opowieści Watson nawet zaproponował mu, by usiadł, jeśli ma ochotę. Po piętnastu minutach Rebus ułożył dłonie wewnętrzną stroną do góry, jakby chciał powiedzieć: „To już wszystko, moi drodzy”.

Watson nalał kawy do filiżanki i postawił ją przed nim.

– Dziękuję, panie komendancie.

– John, rozważałeś kiedyś taką możliwość, że może jesteś paranoikiem?

– Cały czas, panie komendancie. Proszę tylko wskazać mi dwóch facetów ściskających sobie dłonie, a udowodnię, że tkwią w masońskim spisku.

Watson prawie się uśmiechnął, zanim przypomniał sobie, że wcale nie ma się z czego śmiać.

– Słuchaj, powiem tak. To, co do tej pory ustaliłeś... eee... jest...

– Mgliste jak mgławica, panie komendancie?

– Jest jak szczenie pod wiatr – poprawił go Watson. – Ktoś zginął pięć lat temu. Czy to był ktoś ważny? Jasne, że nie, bo do tej pory byśmy już wiedzieli, kim był. Więc przyjmujemy, że był to ktoś, kogo świat słabo znał i chętnie o nim zapomniał. Żadnych łkających wdów i płaczek, żadnej rodziny zadającej mnóstwo pytań.

– Więc uważa pan, że należy dać sprawie umrzeć, panie komendancie? I pozwolić, żeby ktoś nie odpowiedział za morderstwo?

Watson wyglądał na wkurzonego.

– Uważam, że to wszystko jest naciągane.

– Brian Holmes tylko zadał kilka pytań, a ktoś chciał mu rozłupać czaszkę. Przejąłem sprawę i z mojego mieszkania uprowadzono brata, który omal nie umarł ze strachu.

– Właśnie o to mi chodzi. Ta sprawa stała się po prostu osobista. Nie można sobie na to pozwolić. Masz przecież inne rzeczy do roboty. A operacja Worki Pieniędzy? Na pewno coś z niej wypłynie.

– Więc nakazuje mi pan zaprzestać śledztwa, panie komendancie? Czy mogę zapytać, czy pan jest pod wpływem osobistej presji?

Osobista presja objawiła się, gdy Watsonowi krew uderzyła do głowy, a twarz stała się niemal fioletowa.

– Co ty sobie myślisz? Nie oczekuję takich komentarzy i nie będę ich tolerował!

– Oczywiście, że nie, panie komendancie. Przepraszam. – Ale powiedział to, co chciał. Bystry żołnierz wie, kiedy się uchylić. Rebus wystrzelał amunicję, a teraz się przyczaił.

– No właśnie – odparł Watson, wierząc się w fotelu, jakby jego spodnie były podszyte ostrymi ściereczkami do szorowania garnków. – Zrobimy tak: jeśli w ciągu dwudziestu czterech godzin przyniesiesz coś konkretnego, na przykład nazwisko zabitego faceta, to wznowimy śledztwo. W przeciwnym razie masz spasować, dopóki nie wypłyną jakieś nowe dowody.

– To uczciwe rozwiązanie, panie komendancie – przyznał Rebus. Nie było sensu dalej dyskutować. Może dwadzieścia cztery godziny wystarczą. A może Charlie Chan nosi spódnicę w kratę. – Dziękuję za kawę, panie komendancie.

Gdy Watson zaczął swój żart o „grochu z kapustą”, Rebus przeprosił uprzejmie, pożegnał się i wyszedł z gabinetu.

## Rozdział 19

**SIEDZIAŁ ZA BIURKIEM, PONURO** rozmyślając o ślepych uliczkach, w które brnęło jego śledztwo, gdy nagle przypomniał sobie słowo „scysja”, które usłyszał w domu w Broughton. Skojarzył adres, ale dopiero po chwili połączył ze sobą fakty. Kilka minut później jechał już na wschodni kraniec miasta. Spory ruch jak zwykle dawał się we znaki; przy głównych skrzyżowaniach tworzyły się korki. Rebus obwiniał za nie sygnalizację uliczną. Po co te światła? Lepiej je zlikwidować i niech piesi sami się martwią, jak przedostać się na drugą stronę ulicy. Po namyśle stwierdził, że chyba nie jest to dobry pomysł, bo zrobiłoby się jeszcze gorzej, gdyby karetki pogotowia zaczęły tarasować ulice, by wywozić rannych i zabitych.

Zresztą po co w ogóle się spieszył? I tak wiedział, co znajdzie na miejscu. Mylił się jednak. Przed piętrowym domem pani MacKenzie stały radiowóz i karetka. Wokół zebrał się umierający z ciekawości tłumek sąsiadów. Nawet dzieciaki z podstawówki po drugiej stronie ulicy były zaciekawione wydarzeniem. Pewnie miały przerwę, a niektóre powpychały głowy pomiędzy pionowe żeliwne pręty ogrodzenia, by z bliska przyjrzeć się jaskrawo oznakowanym pojazdom.

Rebus zastanawiał się nad konstrukcją ogrodzenia. Było zaprojektowane tak, by zatrzymać dzieciaki w środku, ale czy mogło powstrzymać kogoś, kto chciałby przedostać się na teren szkoły z ulicy?

Pokazał legitymację służbową funkcjonariuszowi stojącemu w drzwiach i wszedł do domu pani MacKenzie. Lamentowała tak rozpaczliwie, że Rebus pomyślał o morderstwie. Policjantka, która starała się ją pocieszyć, jednocześnie rozmawiała przez krótkofalówkę z włączonym głośnikiem, przyczepioną do ramienia. Zobaczyła Rebusa.

– Proszę zrobić jej herbaty, dobrze? – poprosiła.

– Wybacz, mała. Ja jestem tylko z dochodzeniówki. Potrzebujesz kogoś wyższego stopniem, żeby poradził sobie z parzeniem herbaty. – Rebus trzymał ręce w kieszeni, jakby był tylko dobrze poinformowanym przypadkowym obserwatorem, całkowicie niezwiązanym z chaosem, w który wdepnął. Podszedł do klatki i zaczął się jej przyglądać. Na spodzie, wśród piasku, piór, łusek po ziarnach i ptasich odchodów, leżały zmumifikowane zwłoki papużki falistej. – No i po ptaszku – wymamrotał i wyszedł z salonu. Przez drzwi do kuchni zobaczył sanitariuszy i ruszył w ich kierunku. W kuchni na podłodze leżał człowiek z całkowicie zabandażowanymi dłońmi i głową. Nie było jednak krwi. Poślizgnął się na mokrej podłodze, ale uratował się przed upadkiem, chwytając za narożnik przedpotopowej kuchenki gazowej. Nadal była ciepła. Przy otwartych drzwiach do ogródka stał posterunkowy i rozglądał się na prawo i lewo. Rebus przecisnął się między sanitariuszami i ich pacjentem i stanął przy mundurowym. – Ładny dzionek?

– Co?

– Widzę, że podziwiasz pogodę. – Rebus po raz drugi pokazał legitymację.

– Wcale nie. Patrzę tylko, którądy uciekł.

– Jak to którądy?

– Sąsiedzi powiedzieli, że przeszedł przez trzy ogrodzenia, przebiegł przez zaulek i dalej tędy. – Posterunkowy wskazał ręką. – O, przez tamten zaulek i dalej pomiędzy rozwieszonym praniem.

– Za te słupki na linki do suszenia prania?

– Tak, właśnie tamtędy. Trzy płoty... jeden, drugi, trzeci. To musi być tamten zaulek.

– Brawo, synu, naprawdę sporo ustaliłeś.

Funkcjonariusz spojrział na niego.

– Mój szef jest bardzo skrupulatny. A pan jest z St Leonard's? To chyba nie pana rewir?

– Wszędzie jest mój rewir, synu, i każdy jest moim posterunkowym. Lepiej opowiedz mi, co się tutaj stało.



– Ten mężczyzna na podłodze został napadnięty. Napastnik uciekł.

Rebus skinał głową.

– A ja mogę ci powiedzieć, dlaczego i kto to zrobił.

Posterunkowy popatrzył na niego z powątpiewaniem.

– Napastnikiem był Alex Maclean i jestem prawie pewien, że przywalił temu tu panu McPhailowi lub go skopał.

Policjant zamrugał i pokręcił głową.

– Ten tutaj nazywa się właśnie Maclean. – Rebus spojrział w dół i po raz pierwszy zdał sobie sprawę z tego, jak potężny jest człowiek leżący na podłodze. Co najmniej dwadzieścia kilogramów cięższy od McPhaila. – I wcale nikt mu nie przywalił ani go nie skopał, tylko wylano na niego garnek wrzącej wody – dodał posterunkowy.

**NIECO SPESZONY REBUS** wysłuchał już bez własnych komentarzy reszty relacji posterunkowego. McPhail, który trzymał się z daleka od domu, zadzwonił w końcu do pani MacKenzie, by powiedzieć, że niedługo wpadnie po ubrania i inne rzeczy osobiste. Sprzedał jej jakąś bajeczkę, że pracuje na długie zmiany w supermarkecie. Przyjechał i plotkował z nią w kuchni, gdy wstawiła wodę na gotowane jajka („gotowane jajka w środe na lunch, a sadzone w czwartek” – to była część zeznania pani MacKenzie, na którą położyła szczególny nacisk, żeby wszystko było jasne). Maclean obserwował dom i widział, jak McPhail wchodzi do środka. Otworzył niezamknięte na klucz frontowe drzwi i wbiegł do kuchni.

„Okropny widok – zeznała pani MacKenzie. – Nie zapomnę go, nawet jak dożyję setki”.

Właśnie wtedy McPhail podniósł garnek i chlusnął na Macleana wrzącą wodą. Potem otworzył tylne drzwi i uciekł. Przez trzy płoty i zaułek. Koniec melodramatu.

Rebus przyglądał się, jak zabierają Macleana i pakują do karetki. Zawiozą go do szpitala. Jak tak dalej pójdzie, pomyślał, to wszyscy, których znam, będą leżeć w szpitalu na urazówce. McPhail miał tym razem

szczęście. Jeśli dobrze sobie życzył, to powinien posłuchać rady Rebusa i wyjechać z miasta, unikając policji, która będzie chciała go dorwać.

Zastanawiał się, czy McPhail wie, co jest dla niego dobre. W końcu to przecież facet, który uważał, że dobre dla niego są dziewczynki w wieku szkolnym. Rebus zastanawiał się nad tym, tkwiąc w korkach w porze lunchu i powoli przeciskając się w kierunku St Leonard's. Jazda trasą, którą obrał do Broughton, była tak wolna, że nie widział tym razem żadnego ryzyka w przebijaniu się przez miasto głównymi drogami. Jechał Leith Street, The Bridges i dalej Nicolson Street. Jakiś impuls sprawił, że trzymał się tej ulicy, aż dojechał do sklepu rzeźnickiego, do którego dotarł Rory Kintoul i w którym wykrwawiał się przy ladzie chłodniczej.

Rebus zauważył z lekkim zdziwieniem, że witryna sklepowa została zabita płytą paździerzową, na której przyczepiono dużą planszę białego papieru z napisem wykonanym odręcznie grubym flamastrem: *Otwarte*. Ciekawe, pomyślał, parkując samochód. Spostrzegł też, że deszcz rozmył, a buty przechodniów rozniosły ślady krwi pozostawione na chodniku przed sklepem.

Jim Bone kroił właśnie peklowaną wołowinę za pomocą ręcznej krajalnicy, której tarcza zagłębiała się w mięsie z charakterystycznym świstem. Rzeźnik był raczej niski, ale nie tak gruby jak inni rzeźnicy, których Rebus widywał w takich sklepach; miał wydatne kości policzkowe, zmarszczone niepokojem czoło oraz rzadkie i siwiejące włosy. W sklepie nie było nikogo poza nim, choć Rebus słyszał, jak ktoś gwizdże na zapleczu. Jim Bone wreszcie zauważył, że ma klienta.

– Co dzisiaj dla pana?

Rebus spostrzegł, że tace zwykle wystawiane pod witryną są puste. Bez wątpienia czekały na sprawdzenie, czy nie ma w nich odłamków szkła. Skinął głową w stronę okna.

– Kiedy to się stało?

– Tej nocy. – Jim Bone ułożył plastry wołowiny na czystej tacy w ladzie chłodniczej i wcisnął w nie tabliczkę z ceną. Wytarł ręce w biały fartuch. – Pewnie dzieciaki albo pijacy.

– Co to było, cegła?

– A żebym to ja wiedział.

– No dobrze, jeśli w sklepie nic nie leżało, był to pewnie łom. Tak dużej szkody raczej nie mogły zrobić buty z okutym czubkiem.

Wreszcie rzeźnik przyjrzał mu się dokładnie i rozpoznał go.

– Pan był tutaj, gdy Rory...

– Tak, panie Bone. Ale jego nie walnięto łomem, prawda?

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– Poproszę pół kilo kielbasek wołowych.

Bone się zawahał, potem sięgnął po pęta kielbasy i odciął odpowiednią ilość.

– Oczywiście może pan mieć rację – ciągnął Rebus. – To mogły być dzieciaki albo pijacy. Nikt niczego nie widział?

– Nie wiem.

– Nie zgłosił pan tego na policję?

– Nie musiałem. Dzwoniono do mnie z komisariatu o drugiej nad ranem, by mnie o tym poinformować – odpowiedział rzeźnik skwaszonym tonem.

– To należy do naszych obowiązków, panie Bone.

– Będzie trochę więcej niż pół kilo – rzucił rzeźnik, patrząc na wagę. Zapakował kielbaski w biały papier, potem w brązowy i napisał na nim cenę ołówkiem.

Rebus wręczył mu banknot pięćofuntowy.

– Przypuszczam, że ubezpieczenie pokryje koszty?

– Mam nadzieję, że pokryje, bo składki są cholernie wysokie.

Rebus odebrał resztę i wyczekał moment, żeby spojrzeć rzeźnikowi prosto w oczy.

– Miałem na myśli „prawdziwych” ubezpieczycieli, panie Bone.

Do sklepu weszła starsza para.

– Co tu się stało, panie Bone? – zapytała kobieta. Jej mąż stanął tuż przy niej.

– Chyba dzieciaki, pani Dowie – odpowiedział Bone głosem, jakim posługiwał się wobec klientów, ale nie Rebusa. Popatrzył na inspektora,

a ten puścił do niego oko, zabrał zawiniątko i wyszedł.

Na zewnątrz spojrzął na brązową paczuszkę i poczuł chłód przez papier. Już taki jego rzeźnicki fach, że do kielbasek pakuje mniej mięsa, niż powinien, pomyślał Rebus. Kolejny klient zatrzymał się przed sklepem i przez chwilę przypatrywał się witrynie zabitej płytą paździerzową, po czym wszedł do środka. Jim Bone sporo dzisiaj utarguje. Każdy będzie chciał wiedzieć, co się stało. Rebus nie musiał się domyślać, bo wiedział, co się stało, choć udowodnienie tego nie byłoby łatwe. Siobhan Clarke nie udało się jeszcze porozmawiać z dźgniętą nożem ofiarą napadu. Może Rebus powinien bardziej zmotywować swoją podwładną, zwłaszcza że teraz mogła jeszcze powiedzieć Rory'emu Kintoulowi o wybitej szybie w sklepie jego kuzyna.

Obok samochodu Rebusa zaparkowała wielka terenówka podobna do land-rovera. W środku miotał się wielki czarny pies, jakby chciał wyjść. Przechodnie omijali auto lekkim łukiem, co wcale nie było takie głupie, bo samochód aż się trząsał, gdy pies rzucał się na szybę. Rebus zauważył, że właściciel land-rovera zostawił szybę uchyloną na parę centymetrów. Może była to pułapka przeznaczona dla wyjątkowo głupiego złodzieja samochodów.

Rebus zatrzymał się przed uchyloną szybą, rozpakował kielbaski i wrzucił je na siedzenie samochodu przez szczelinę w oknie. Pies wachał je przez jakąś nanosekundę, po czym rozpoczął ucztę.

Ulica znowu była cicha, gdy Rebus otwierał kluczykiem drzwi swojego wozu.

- To należy do naszych obowiązków - powiedział do siebie.

**Z KOMENDY ZADZWONIŁ DO Heartbreak Cafe.** Odpowiedziało mu coś, co brzmiało jak automatyczna sekretarka z pospiesznie nagraną wiadomością, że restauracja i pub będą „nieczynne z powodu choroby”. W szufladzie biurka Briana Holmesa znalazł wydruk z najczęściej używanymi przez niego numerami telefonów. Kilka numerów dodano na spodzie listy odręcznym pismem. Tam też znalazł numer do Eddiego Ringana, oznaczony jako „h”.

John wrócił do swojego biurka i wykręcił numer. Po trzecim dzwonku telefon odebrał Pat Calder.

– Pan Calder? Tu inspektor Rebus.

– Aha. – Nadzieja zniknęła z głosu Caldera.

– Nie pojawił się jeszcze?

– Nie.

– W takim razie przyjmiemy zgłoszenie o zaginięciu osoby. Wyślę kogoś do pana...

– A pan nie może przyjechać?

Rebus zastanawiał się przez chwilę i w końcu odpowiedział:

– W sumie mogę wpaść.

– Jestem do dyspozycji o każdej porze. Dziś restauracja jest zamknięta.

– A co się stało z superkucharzem Williem?

– Wczoraj mieliśmy bardzo duży ruch, więcej klientów niż zwykle.

– Wymiękł?

– Wyleciał jak wariat z kuchni, wrzeszcząc: „Teraz ja jestem szefem kuchni! To ja jestem szefem!”. Wyrwał jakiejś kobiecie miskę z sałatą i zaczął ją jeść jak pies. Chyba był na prochach.

– Wygląda na to, że dobrze wczuł się w późnego Elvisa. Przyjadę za pół godziny, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

**OSIEDLE STOCKBRIDGE COLONIES** zostało wybudowane dla pracującej biedoty, ale obecnie mieszkanie w tej dzielnicy było bardzo modne wśród yuppies. Budynki zostały zaprojektowane jako dwupoziomowe szeregowce ze schodami prowadzącymi wprost z ulicy do mieszkania na piętrze. Te domy wydały się Rebusowi skrojone na skromną miarę w porównaniu z zabudową na Marchmont. Nie miały wysokich sufitów ani wielkich pokoi ze wspaniałymi oknami i oryginalnymi drewnianymi żaluzjami.

Ale potrafił sobie wyobrazić górnicze rodziny, które żyły tu sobie całkiem wygodnie w przytulnych domkach jakieś sto lat temu. Jego ojciec urodził się na podobnym osiedlu górniczym w Fife. Rebus pomyślał, że tak właśnie musiał wyglądać jego dom... przynajmniej z zewnątrz.

W środku Pat Calder dokonał prawdziwego cudu. Rebus nie wiedział, że z zawodu był projektantem i dekoratorem wnętrz. Wnętrze zdobiły drewniane belki ze starych jachtów z fragmentami okuć z brązu, czarne reflektorki skupiające światło na różnych przedmiotach, japońskie grafiki w zdobnych ramkach, wielki stół z olbrzymim kandelabrem przypominającym żydowską menorę, ogromny telewizor i wieża stereo o potężnej mocy. Po pamiątkach po Elvisie nie było tu ani śladu. Rebus rozsiadł się na czarnej skórzanej sofie i wskazał jedną z kolumn głośnikowych wielkości trumny.

– Sąsiedzi nigdy nie narzekają?

– Cały czas – przyznał Calder. – Eddie był bardzo dumny, gdy zadzwonił facet z czwartego domku od nas z pretensjami, że nie słyszy własnego telewizora.

– Jakiś wrażliwiec, co?

Calder się uśmiechnął.

– Eddie nigdy nie przejmował się zbytnio drobiazgami.

– Długo się znacie?

Calder, który leżał wyciągnięty na podłodze, wypuścił nerwowo dym z papierosa.

– Mniej więcej od dwóch lat. Zamieszkaliśmy razem, gdy wpadł nam do głowy pomysł na Heartbreak Cafe.

– Jaki on jest? To znaczy... jak zachowuje się poza restauracją.

– W jednej chwili błyska niebywałą inteligencją, a po minucie zachowuje się jak zepsuty szczeniak.

– To ty go psujesz?

– Ja jestem dla niego buforem przed zewnętrznym światem. Przynajmniej byłem.

– Więc jaki był, gdy się spotkaliście?

– Pił więcej niż teraz, jeśli można w to w ogóle uwierzyć.

– Powiedział ci, dlaczego zaczął tak pić? – Rebus odmówił papierosa, ale dym zaczął go ęcić. Może jednak będzie musiał zmienić decyzję.

– Mówił, że pije, by zapomnieć. Teraz pan zapyta, co chciał zapomnieć. A ja odpowiem, że mi tego nie powiedział.

– Nigdy nie uchylił choćby rąbka tajemnicy, co to mogło być?

– Podejrzewam, że więcej powiedział Brianowi Holmesowi niż mnie.

Jezu, pomyślał Rebus, czy wyczułem ślad zazdrości? Ujrzał w wyobraźni, jak Calder wali Holmesa w łepetynę czymś twardym... a może załatwił również Eddiego...?

Calder się zaśmiał.

– Wiem, o czym pan myśli, inspektorze. Nie potrafiłbym zrobić mu krzywdy.

– Czy to nie jest frustrujące? Taki geniusz, jak go określiłeś, a marnuje się, chlejąc gorzałę. Ludzie tacy jak on potrzebują wiele opieki.

– Ma pan rację. To jest frustrujące.

– Zwłaszcza że ciągle są na gazie.

Calder zmarszczył czoło, wydychając dym przez nos.

– Dlaczego powiedział pan „na gazie”?

– Miałem na myśli „pijani”.

– Wiem, co to znaczy. Te i podobne określenia. Chodzi o to, że Eddie miał straszne koszmary. O tym, jak ginął w komorze gazowej albo sam zagazowywał innych. No wie pan... prawdziwym gazem, jak w obozach koncentracyjnych.

– Opowiadał ci o tych snach?

– Nie, ale krzyczał przez sen. Wielu gejów zagazowano w komorach gazowych, inspektorze.

– I myślisz, że o to właśnie chodziło w tych snach?

Calder zgasił niedopałek w porcelanowym nocniku stojącym koło kominka. Pokracznie wstał z podłogi.

– Zapraszam. Coś panu pokażę.

Rebus widział już kuchnię i łazienkę, więc domyślił się, że drzwi, do których prowadził go Calder, wiodły do jedynej w tym mieszkaniu sypialni. Nawet nie próbował zgadywać, co tam zastanie.

– Wiem, o czym pan pomyślał – powiedział Calder, otwierając szeroko drzwi. – To wszystko dzieło Eddiego.

I jakie wspaniałe. Wielkie podwójne łóżko było pokryte czymś, co przypominało kilka narzuconych na nie skór zebr. Na ścianach wisiały olbrzymie malowidła przedstawiające śpiewającego Elvisa ubranego w strój przybrany tysiącami sztucznych diamentów. Twarz gwiazdora była ostentacyjnie przeróżowiona i błyszcząca. Rebus spojrział do góry. Na suficie przymocowano ogromne lustro. Domyślił się, że bez względu na pozycję na łóżku, w lustrze zawsze widać postać w białym, błyszczącym jednocześnie kostiumie, z mikrofonem w ręce.

– Jeśli to was rajcuje... – skomentował.

**WPADE NA KILKA GODZIN DO** Clarke i Petriego, by wykazać się ochotą do obserwacji. Nie zdziwiło go, że Jardine zastąpiono młodym mężczyzną, nijakim Maddenem, który jak z rękawa sypał kalamburami i grami słownymi niczym spikerzy radiowi z czasów odbiorników lampowych.

– Może mam zwariowane nazwisko, ale na co dzień jestem raczej spokojny – przedstawił się funkcjonariusz Wydziału Standardów Handlowych.

Może to jednak tylko radio na parę. Rebus zaczął się zastanawiać, czy telefon do szefa Jardine i objaśnianie mu przez dwadzieścia minut prawdy z użyciem wymyślnych przekleństw to rzeczywiście taki dobry pomysł.

– To ja opowiadam dowcipy w tej okolicy, synu – ostrzegł młodego.

Rebus spędzał już w swoim życiu równie fascynujące popołudnia. Pamiętał, jak ojciec zabrał go pewnego razu do rezerwatu Cowdenbeath w celu obserwowania przyrody. Tym razem monotonię obserwacji przerwał wypad po drożdżówki, choć opuszczanie punktu obserwacyjnego z takiego powodu było niby zabronione. Drożdżówkę z kremem śmietankowym zatrzymał dla siebie, ale zdjął nadmiar lukru, który, po otrzymaniu zgody, z ochotą zjadł Madden.



Siobhan Clarke wyglądała, jakby ktoś wylał na nią kubeł nieczystości z okna edynburskiej starówki. Próbowwała to ukryć, uśmiechając się do Rebusa, gdy kierował na nią wzrok, ale zdecydowanie coś z nią było nie tak. Rebus nie zamierzał fatygować się zadawaniem pytań, o co chodzi. Domyślił się, że miało to coś wspólnego z Brianem... a może z Brianem i Nell. Opowiedział jej natomiast o oknie rzeźnika Bone'a.

– Poświęć na to trochę czasu – poprosił ją. – Znajdź Kintoula, jeśli nie w domu, to w laboratorium szpitalnym, gdzie pracuje. Dobrze?

– Dobrze. – Ton jej głosu zdecydowanie zdradzał, że miała jakiś problem.

Wykorzystując przywilej swojego stanowiska, pożegnał się i wyszedł. Na komendzie przy St Leonard's czekała na niego kartka z prośbą, żeby zadzwonił do Mairie Henderson.

– Mairie?

– O, nie musiałam wcale tak długo czekać na pański telefon, inspektorze.

– Jest pani jedynym tropem, jaki teraz mam.

– To miłe czuć się tak pożądaną. – Sposób, w jaki się wyrażała, można by uznać za sarkastyczny, lecz akurat w jej przypadku brzmiało to całkiem naturalnie. – Ale niech pan sobie za dużo nie obiecuje.

– Pani szef już niczego sobie nie przypomniał?

– Tylko tyle, że działo się to w okolicach sierpnia, czyli jakieś trzy miesiące po spaleniu hotelu Central.

– Co może znaczyć wszystko i nic.

– Naprawdę się starałam.

– No dobra, dzięki, Mairie.

– Chwileczkę, niech pan poczeka! – zawołała, choć Rebus i tak nie miał ochoty odkładać słuchawki. – Coś mi jednak powiedział. Taki strzęp wygrzebany z pamięci.

– Więc się skup i mi powiedz, Mairie.

– Postaram się, inspektorze.

– Puszczasz dymka?

- No i co z tego?
- Od kiedy palisz?
- To lepsze niż obgryzanie ołówków.
- Przez palenie już więcej nie urośniesz.
- Jakbym słyszała mojego ojca.

Te słowa sprowadziły go z powrotem na ziemię. Przez moment myślał, że... co? Flirtują sobie przez telefon? Podrywają się? Możesz sobie pomarzyć, Johnie Rebus. W tym momencie przypomniała mu o oczywiście nic nieznaczącej różnicy wieku między nimi.

- Jest pan tam jeszcze, inspektorze?

- Przepraszam, aparat słuchowy wypadł mi z ucha. To co w końcu powiedział pani szef?

- Pamięta pan tę historię, gdy Aengus Gibson wszedł do niewłaściwego mieszkania?

- Pamiętam.

- To dobrze. Kobieta, do której mieszkania się włamał, nazywa się Mo Johnson.

Rebus się uśmiechnął, lecz jego uśmiech szybko zgasł.

- Coś mi świta...

- To piłkarz.

- Wiem, ale kobieta... ta Mo Johnson... coś mi świta. - Lecz za słabo, zdecydowanie za słabo.

- Proszę dać mi znać, jak odkryje pan coś ciekawego.

- Jasne... Mairie?

- Słucham.

- Chodź wcześniej spać. - Rebus odłożył słuchawkę.

Mo Johnson. Domyślał się, że to zdrobnienie od Maureen. Gdzie spotkał się już z tym imieniem? Już wiedział, jak to sprawdzić. Jeśli Watson też to odkrył, to mogło oznaczać kolejne kłopoty. Ale pieprzyć Watsona. Ten facet jest tyle wart, co jego uzależnienie od kawy. Rebus podszedł do komputera, wprowadził dane i dostał się do kartoteki Aengusa Gibsona. Wydarzenie zostało tam odnotowane, ale nie wniesiono

żadnych skarg. Nazwiska kobiety nie podano, brakowało też jej adresu. Ale skoro Gibson był w to zamieszany, to wydział śledczy też musiał się tym zainteresować. A w tym przypadku trudno było polegać na funkcjonariuszach niższych rangą, że potrafią tak ładnie zacierać ślady.

Warto by jeszcze sprawdzić, kto prowadził śledztwo. No proszę – detektyw Jack Morton. Rebus zamknął kartotekę i podniósł słuchawkę.

– Ma pan szczęście, właśnie pięć minut temu wrócił z pubu.

– Spadaj, gówniarzu – usłyszał Rebus po drugiej stronie linii, gdy Morton chwycił za słuchawkę. – Halo?

Dwie minuty później dzięki temu, co pozostało jeszcze z pamięci Jacka Mortona, Rebus poznał adres Mo Johnson.

**DZIEŃ PEŁEN KONTRASTÓW.** Od piekarni do rzeźnika, od osiedla górniczego do Gorgie Road. A teraz jazda na skraj Dean Village. Rebus nie był tam od czasu śledztwa w sprawie utonięcia w rzece Leith. I już zapomniał, jak tam jest pięknie. Usadowiona na wzgórzu o stromych zboczach za mostem Dean wioska roztaczała wokół aurę sielskiego spokoju. A przecież była oddalona zaledwie o pięć minut spacerkiem od West Endu i Princes Street.

Oczywiście, że i tę sielankę psuli deweloperzy, którzy wykupywali zrujnowane domy i puste działki. Budowano na nich apartamentowce, w których mieszkania osiągały ceny porównywalne do tych przy Bell's Brae. Mo Johnson nie mieszkała w takim bloku, lecz w starym domu u podnóża wzgórza. Roztaczał się z niego widok na rzekę Leith i most Dean. Niestety, jak się okazało, Mo Johnson wyprowadziła się stamtąd, a nowi lokatorzy nie bardzo chcieli wpuścić Rebusa. Nawet nie znali jej aktualnego adresu. Zresztą przed nimi mieszkał tutaj jeszcze ktoś inny. Może poszukają jego adresu, ale minęło już kilka lat.

Rebus zapytał, czy pamiętają, kiedy wyprowadziła się pani Johnson. Dowiedział się, że było to jakieś cztery, może pięć lat temu.

A to znowu sprowadziło jego myśli do pożaru hotelu Central. Wszystko, czego dotknął w tej sprawie, wracało jak bumerang do

wydarzeń sprzed pięciu lat, gdy stało się coś, co zmieniło losy wielu ludzi i odebrało życie przynajmniej jednemu człowiekowi. Siedział w samochodzie, zastanawiając się nad dalszymi krokami. W zasadzie wiedział, co powinien zrobić, ale ciągle odkładał to na później. Jeśli przez to, że plątał się wokół Gibsonów, naraził się komendantowi, to z przerażeniem myślał o tym, co może dostać za rozmowę z jedyną osobą, o której wiedział, że mogłaby pomóc w śledztwie.

Pomóc? Śmiechu warte. Ale Rebus i tak chciał się z nim spotkać. O rany. Flower wziąłby dzień urlopu na piknik, gdyby się dowiedział. Wynająłby namioty, zamówił catering i alkohol i zaprosiłby wszystkich na największe party w mieście, począwszy od Lauderdale'a, po komendanta głównego. Z wściekłości tak bardzo darliby pyski, że wystarczyłoby na napęd dla elektrowni wiatrowej.

Tak, im dłużej się nad tym zastanawiał, tym bardziej był pewien, że to właściwy ruch. Właściwy ruch? Praktycznie wyczerpał już wszystkie możliwości i była to jedyna rzecz, którą jeszcze mógł zrobić. A rozważając pozytywną stronę sytuacji – gdyby się o tym dowiedziano, taka impreza doprowadziłaby Flowera do bankructwa.

## Rozdział 20

**NAJPIERW ZADZWONIŁ, BO** Morris Cafferty nie był takim zwykłym człowiekiem, do którego po prostu wpadało się bez zapowiedzenia.

– A będzie mi potrzebny adwokat? – zapytał Cafferty zrzędliwym tonem, przez który przebiegał śmiech. – Sam sobie odpowiem: nie, kurczę, nie będzie żadnego adwokata. Bo mam tu coś lepszego niż prawnik, lepszego niż pieprzony sędzia w kieszeni. Mam psa, który wyrwie ci krtań, jeśli tylko mu powiem, żeby polizał cię po policzku. Bądź o szóstej.

Telefon zamilkł. Rebusowi zaschło w ustach, choć uparcie wmawiał sobie, że to bufonowate chamidło wcale go nie przstraszyło.

Przestraszył się za to jeszcze bardziej, gdy zdał sobie sprawę z tego, że ktoś z policji Lothian i Borders prawdopodobnie podsłuchiwał rozmowy telefoniczne Cafferty’ego. Rebus poczuł się, jakby szedł korytarzem, a za nim zatrzasnęły się drzwi. W wyobraźni zobaczył komorę gazową i zadrżał. Wymazał ten obraz.

Szósta już się zbliżała, a w poczekalniach do dentystów przynajmniej wystawiali czasopisma, żeby jakoś zabić czas.

Morris Gerald Cafferty mieszkał w pięknej willi na drogim przedmieściu Duddingston. Nazywano je „przedmieściem”, ponieważ pomiędzy tym osiedlem a centrum Edynburga leżały jeszcze Arthur’s Seat i Salisbury Crags. Cafferty zamieszkał tu z radością, bo wkurzało to jego sąsiadów, w większości prawników, lekarzy i bankierów, ale także z tego powodu, że było stąd blisko do jego rzeczywistego, jak i duchowego miejsca urodzenia – Craigmillar, jednej z najgorszych dzielnic mieszkaniowych Edynburga. Tu się wychował, tu i w sąsiednim Niddrie popadał w kłopoty z prawem. Poprowadził młodzieżowy gang na rajd z Craigmillar do Niddrie, żeby „wyprostować” swoich rywali. Ktoś kogoś dźgnął kawałkiem pręta. Policja dowiedziała się, że Cafferty miał już

zatargi z prawem w szkole za „przypadkowe” wbicie długopisu koledze w oko.

To był taki cichy początek jego burzliwej kariery.

Brama z kutyh prętów żeliwnych zaczęła się automatycznie otwierać, gdy tylko Rebus do niej podjechał. Ruszył dalej aleją dojazdową wysypaną kamiennym żwirem i obsadzoną po obu stronach drzewami. Z drogi publicznej można było dostrzec tylko zarysy domu, ale nic więcej. Rebus już tu kiedyś był – za pierwszym razem, by zadać kilka pytań, a za drugim, by dokonać aresztowania. Wiedział, że za willą jest jeszcze jeden mniejszy dom połączony z głównym zadaszonym chodnikiem. W dawnych czasach mieszkała w nim służba. Droga dojazdowa rozwidlała się, prowadząc do głównego wejścia i na tyły domu. Jakiś mężczyzna skierował Rebusa właśnie na tyły – do wejścia dla służby. Facet był zwalisty i miał włosy przycięte na pazia, opadające nad uszami. Skąd Cafferty bierze takich troglodytów?

Ochroniarz poszedł za nim. Rebus wiedział, gdzie zaparkować. Zobaczył trzy miejsca – dwa były wolne, trzecie zajęte przez volvo kombi. Wydawało mu się, że rozpoznaje ten samochód, choć wiedział, że nie jest to volvo Cafferty’ego. Jego kolekcja aut stała w przepastnym garażu. Miał bentleya i wiśniowego forda thunderbirda z 1963 roku, ale nigdy nimi nie jeździł. Na co dzień używał „dżaga” – jaguara model XJS-HE. Na weekendowe przejażdżki wybierał się niezawodnym range roverem, którego miał przynajmniej od piętnastu lat.

Towarzyszący Rebusowi mężczyzna otworzył drzwi samochodu i ruchem głowy wskazał na mały domek. Inspektor wysiadł.

– W salonie Vidal Sassoon wszystkie terminy były zajęte? – zapytał.

– Słucham? – Mężczyzna odwrócił się do niego prawą stroną głowy.

– Nieważne. – Rebus już miał odejść, ale zatrzymał się w pół kroku. – Nigdy nie biłeś się z człowiekiem o nazwisku Dougary?

– Nie pański interes.

Rebus wzruszył ramionami. Potężny ochroniarz zatrzasnął drzwi samochodu i obserwował, jak gość odchodzi. Nie było szans, by sprawdzić

na volvo nalepki opłaconego podatku drogowego ani niczego innego, oprócz zapamiętania numerów rejestracyjnych.

Gdy Rebus otworzył drzwi domku, uderzyła go fala gorąca i pary. Cały budynek został pozbawiony ścian działowych, by można było wybudować basen i zainstalować siłownię. Basen miał kształt nerki, do której dolepiony był mniejszy, okrągły basenik, najprawdopodobniej jacuzzi. Rebus nigdy nie lubił basenów w kształcie nerek – nie można w nich było wykonywać nawrotów, a zresztą i tak nie lubił pływać.

– Strach na Wróble! Wreszcie, do cholery!

W pierwszej chwili nie dostrzegł Cafferty'ego, choć nie miał problemów z rozpoznaniem osoby, która nad nim stała. Duży Ger leżał na stole do masażu, z głową na złożonym ręczniku. Jego plecy były ugniatane przez samego Organa Grindera, który był właścicielem zaparkowanego volvo. Organ Grinder zachował się rozsądnie i udał, że nie zna przybysza, a gdy Cafferty akurat na nich nie patrzył, Rebus niemal niewidocznym ruchem kiwnął mu głową na znak, że zgadza się na taki układ.

Cafferty odwrócił się na plecy i powoli wstał. Przeciągnął się i skontrolował mięśnie barków.

– To prawdziwe czary. – Zrzucił z bioder ręcznik i bosy podreptał do Rebusa. – Widzisz, Strachu na Wróble? Żadnej ukrytej broni. – Jego śmiech przypominał rzenie konia.

Rebus rozejrzał się dookoła.

– Nie widzę tu...

Teraz dopiero go dostrzegł. Coś masywnego wynurzyło się z wody i wydostało na brzeg basenu. Rebus nie zauważył go wcześniej, nie widział, jak próbuje dopłynąć do kości. A nie była to plastikowa kość. Czarny zwierz upuścił ją przed stopami Cafferty'ego, powąchał nogi Rebusa i zaczął wytrząsać wodę z sierści na nogawki jego spodni.

– Dobry pies, Kaiser – pochwalił go Cafferty.

Do pełnego pary domku wszedł ochroniarz z parkingu. Rebus kiwnął głową w niesprecyzowanym kierunku.

– Chyba masz na to wszystko pozwolenie budowlane?

– Co do joty zgodnie z przepisami. No, chodź, musimy się przebrać.

– Po co przebrać?

Znowu śmiech.

– Nie bój się, nie zapraszam cię na kolację. Ja idę pobiegać, a ty też, jeśli chcesz ze mną pogadać.

Tylko nie jogging! Matko Boska! Cafferty odwrócił się i poszedł do wydzielonego lekkimi ściankami pomieszczenia, które służyło za przebieralnię. Klepnął w plecy Organa Grindera, gdy koło niego przechodził.

– Prawdziwe czary. W przyszłym tygodniu o tej samej porze, dobra?

Cafferty był niezłe umięśniony, a tak szerokiej klatki piersiowej nie powstydziliby się żaden farmer. Miał na sobie trochę tłuszczu, lecz znacznie mniej, niż Rebus podejrzewał. Duży Ger zdecydowanie zaczął o siebie dbać i był w niezłej formie. Skórę na plecach i udach miał ospowatą, ale mięśnie całkiem niezłe zarysowane. Rebus próbował sobie przypomnieć, kiedy ostatnio się z nim widział. Pewnie w sądzie...

Chętnie po cichu zamieniłby kilka słów z Organem Grinderelem, ale partyzant z parkingu pewnie szpiegował z dala. Nie było na to szansy. Nigdy nie wiadomo, co mógł usłyszeć na to zdrowe ucho.

– Tu są jakieś ciuchy, powinny pasować.

Te „ciuchy” to bluza dresowa, szorty do biegania, skarpety, adidas i... opaska na głowie. Nie ma mowy, żebym coś takiego włożył, pomyślał Rebus. Gdy Cafferty wyszedł z przebieralni, miał na głowie identyczną opaskę, pulower bez rękawów i śnieżnobiałe szorty. Zaczął się rozgrzewać, gdy przyszła kolej na Rebusa na skorzystanie z przebieralni.

Co ja tu, do licha ciężkiego, robię? – zadawał sobie pytanie Rebus. Z dystansem traktował życiowe przypadłości, ale jogging? Niektóre czynności łączą się z cierpieniem, a już to bieganie będzie prawdziwą torturą.

– W którą stronę? – zapytał, gdy wyszli z przegrzanego domku na chłodny zachód słońca. Nie miał na głowie opaski, a bluzę włożył na lewą



stronę ze względu na napis, który brzmiał: *Kopnij mnie w tyłek, gdy stanę*. Dowcipniś z tego Cafferty'ego.

– Czasem biegnę do Duddingston Loch, a czasem na szczyt wzgórza Seat. Ty wybieraj. – Duży Ger truchtał w miejscu.

– Duddingston.

– Dobra – odparł gangster i pobiegli.

Przez pierwsze kilka minut Rebus sprawdzał swoje ciało, czy zdoła znieść takie męczarnie, dlatego dopiero po dłuższej chwili dostrzegł, że za nimi jedzie samochód ze stałą prędkością siedmiu, ośmiu kilometrów na godzinę. Był to dżag kierowany przez ochroniarza z parkingu.

– Pamiętasz ostatni raz, gdy przedstawiałeś dowody przeciwko mnie? – zapytał Cafferty.

Nieźle otwarcie rozmowy, ale ma też swoje zalety, pomyślał Rebus i skinął głową. Biegli teraz obok siebie, bo na ulicy nie było ruchu. Zastanawiał się, czy jacyś tajniacy właśnie nie robią im zdjęć.

– To było w Glasgow – rzucił Cafferty.

– Tak, pamiętam.

– Oczywiście byłem niewinny. – Duży Ger zaśmiał się złośliwie. Wyglądało na to, że zęby też doprowadził do porządku. Rebus pamiętał, że kiedyś były zupełnie szarozielone, ale zostały pokryte lśniącymi, białymi licówkami. A włosy... też mu zgęstniały? Może zrobił przeszczep? – No dobrze. Słyszałem, że potem pojechałeś do Londynu i trochę poszalałeś.

– Można tak powiedzieć.

Przez następną minutę biegli w milczeniu. Tempo nie było zbyt wyczerpujące, ale przecież Rebus nie miał zupełnie kondycji. Jego płuca zaczęły już wysyłać ostrzeżenia do mózgu, zapalając w nim mnóstwo czerwonych lampek oznaczających przegrzanie.

– Łysiejesz z tyłu głowy – zauważył Cafferty. – Może przeszczep włosów by na to pomógł?

Tym razem Rebus zaśmiał się złośliwie.

– Dobrze wiesz, że byłem w tym miejscu poparzony.

– Tak. I nawet wiem, kto to zrobił.

Pytanie Cafferty'ego potwierdziło domysły Rebusa co do świętego stanu jego włosów.

– Tak naprawdę to chciałbym porozmawiać o innym pożarze.

– Tak? O jakim?

– O tym w hotelu Central.

– W hotelu Central? – Rebus ucieszył się, słysząc, że te słowa Duży Ger powtórzył z niemałą trudnością. – Przecież to już prehistoria.

– Dla mnie to żadna prehistoria.

– Ale co to ma wspólnego ze mną?

– Dwóch twoich ludzi było tam tego wieczoru i grało w pokera.

Cafferty pokręcił głową.

– To niemożliwe. Nie przyjmuję do pracy hazardzistów. To niezgodne z Biblią.

– Wszystko, co robisz od momentu przebudzenia do położenia się wieczorem do łóżka, jest niezgodne z czyjąś Biblią, Cafferty.

– Proszę cię, Strachu na Wróble, zwracaj się do mnie per panie Cafferty.

– Będę się zwracał, jak mi się podoba.

– To ja będę na ciebie mówił Strach na Wróble.

To przezwisko drażniło Rebusa. Podczas procesu w Glasgow prokurator błędnie odczytał nazwisko z listy świadków, myląc Rebusa ze świadkiem – właścicielem pubu, który nazywał się Stan Trouble. „Teraz proszę inspektora Stana Trouble'a...”. Ha, ha... ale Cafferty się z tego uśmieł. Rechotał z ławki dla oskarżonych tak głośno, że o mały włos nie został oskarżony o obrazę sądu. Jego oczy świdrowały Rebusa jak tuste larwy kornika drewno, a Cafferty powtórzył to nazwisko tak, jak je usłyszał: „Strach na Wróble”.

– Jak powiedziałem – kontynuował Rebus – byli tam dwaj twoi cwaniacy, Eck i Tam Robertsonowie.

Właśnie przebiegli koło pubu Sheep's Heid. Rebus popatrzył w jego kierunku z wielką żałością, co zauważył Cafferty.

– Jak wrócimy, będzie na nas czekała herbatka ziołowa. Uważaj! – Jego ostrzeżenie uratowało Rebusa przed wdepnięciem w psią kupę na środku chodnika.

– Dzięki – odparł Rebus bez entuzjazmu.

– Chodziło mi o buty – odparł Cafferty. – Wiesz, co to są „kwiaty Edynburga”?

– Zespół rockowy?

– Odchody. W dawnych czasach wyrzucano odchody przez okna wprost na ulice. Tyle tego leżało, że mieszkańcy zaczęli je nazywać „kwiatami Edynburga”. Czytałem o tym.

Rebus pomyślał o Alisterze Flowerze i uśmiechnął się.

– Cieszymy się więc, że żyjemy w cywilizowanym społeczeństwie.

– No właśnie – odpowiedział Cafferty bez śladu ironii w głosie. – Eck i Tam Robertsonowie, powiadasz? Bracia Bru-Head. Nie chcę cię okłamywać. Tak, pracowali dla mnie. Tam przez kilka tygodni. Eck dłużej.

– Nie pytam, czym się zajmowali.

Cafferty wzruszył ramionami.

– Ogólnymi sprawami.

– Taki opis stanowiska pracy może oznaczać, że mieli mnóstwo grzechów na sumieniu.

– Słuchaj, ja cię tu nie zapraszałem. Ale skoro jesteś, to odpowiadam na twoje pytania, okej?

– Doceniam to. Więc, jak twierdzisz, nie wiedziałeś, że byli w hotelu Central tamtej nocy?

– Nie.

– A wiesz, co się z nimi później działo?

– Przestali dla mnie pracować. Najpierw Tam, jeśli dobrze pamiętam. A potem Eck. Tam był tępakiem, Strachu na Wróble, prawdziwym nieudacznikiem. Nie cierpię nieudaczników. Zatrudniłem go tylko dlatego, że Eck mnie poprosił. Eck był dobrym pracownikiem. – Zamyślił się na moment. – A co, szukasz ich?

– No właśnie.

– Przykro mi, nie mogę ci w tym pomóc.

Rebus zastanawiał się, czy policzki Cafferty'ego były choć w połowie tak czerwone jak jego, które z pewnością pałały purpurą. Zaczął odczuwać kłującą kolkę w boku i nawet nie chciał myśleć o tym, jak poradzi sobie z powrotną drogą.

– Myślisz, że mieli coś wspólnego z tamtym trupem?

Rebus zaledwie skinął głową.

– A skąd ta pewność? – dopytywał się Cafferty.

– Nie jestem pewien. Ale jeśli oni mieli coś z tym wspólnego, to założę się, że ty nie byłeś oddalony od tej sprawy o tysiące kilometrów.

– Ja? – Duży Ger zaśmiał się sztucznie. – Jeśli dobrze pamiętam, to byłem wtedy na wakacjach na Malcie z przyjaciółmi.

– Ty zawsze jesteś z przyjaciółmi, gdy coś się przydarza innym.

– Jestem towarzyskim człowiekiem. Nic na to nie poradzę, że ludzie mnie lubią. A wiesz, co jeszcze przeczytałem o Szkocji? Papież nazywał ją „dupą Europy”. – Cafferty się zatrzymał. Dobięgli do szczytu Duddingston Loch, skąd było widać miasto w dole jak na dłoni. – Trudno w to uwierzyć, nie? Dupa Europy. Dla mnie wcale tak nie wygląda.

– No nie wiem. – Rebus pochylił się, opierając łokcie na kolanach. – Jeśli to jest ta dupa... – spojrzał do góry – to wiedziałbym, gdzie wsadzić wlew do lewatywy.

Śmiech Cafferty'ego rozległ się głośnym echem. Oddychał głęboko, zwalczając zadyszkę. Gdy wreszcie odpowiedział, prawie szeptał, choć nie było nikogo w pobliżu.

– Jesteśmy okrutnymi ludźmi, Strachu. Wszyscy, ja i ty też. Jesteśmy upiorami. – Jego twarz była teraz blisko twarzy Rebusa, obydwaj stali pochyleni. Rebus skupiał wzrok na trawie. – Gdy pojmano i zabito cmentarnego złodzieja Burke'a, z jego skóry robiono pamiętki. Mam taką jedną w domu. Pokażę ci. – Ten głos wibrował w głowie Rebusa. – My po prostu lubimy obserwować, i to jest cała prawda. Założę się, że i ty lubisz ból, Strachu. Cały jesteś w bólu, ale pobiegłeś ze mną, nie poddałeś się. Dlaczego? Bo lubisz ból. I to czyni z ciebie kalwinistę.

- To jest to, co sprawia, że jesteś zagrożeniem dla porządku publicznego.

- Ja? Ja jestem zwykłym biznesmenem, któremu udało się przeżyć chorobę zwaną recesją.

- Nie. Ty jesteś kimś więcej. - Rebus wyprostował się. - To ty jesteś tą chorobą.

Cafferty wyglądał, jakby chciał go walnąć, ale zamiast tego poklepał Rebusa po plecach.

- Chodź już, pora wracać.

Rebus miał zamiar prosić jeszcze o minutkę przerwy, ale Cafferty skierował się do jaguara.

- Co? - rzucił do Rebusa. - Myślałeś, że dałbym radę biec w obie strony? Dalej, pakuj się. Herbatka ziołowa czeka.

**HERBATKA ZIOŁOWA RZECZYWIŚCIE** czekała na stoliku przy basenie, gdy Rebus wyszedł spod z prysznicą i przebrał się we własne ubranie. Miał wrażenie, że ktoś przeglądał jego portfel i notatnik w czasie, gdy go nie było, ale był spokojny, bo wiedział, że ten ktoś nie znalazł tam nic ciekawego. Po pierwsze, odznakę i karty kredytowe wcisnął do kieszonki w szortach, po drugie, w portfelu miał tyle pieniędzy, że wystarczyłoby najwyżej na kupno popołudniowej gazety i miętusów.

- Przykro mi, że nic więcej nie mogę dla ciebie zrobić - zaczął Cafferty, gdy inspektor usiadł przy stoliku.

- Mógłbyś, gdybyś się trochę postarał. - Rebus próbował powstrzymać drżenie nóg. Nie dostały takiego wycisku od czasu, gdy ostatni raz się przeprowadzał.

Cafferty tylko wzruszył ramionami. Miał teraz na sobie obszerne, kolorowe spodenki kąpielowe, bo przed chwilą kąpał się w basenie. Gdy wycierał się ręcznikiem, odsłonił na moment przedziałek między pośladkami, którego nie powstydziliby się żaden robotnik budowlany.

Jego diabelski pies siedział przy krawędzi basenu i lizał swoje genitalia. Nie było już najmniejszego śladu po kości, którą się wcześniej

bawił. Rebus wreszcie skojarzył, gdzie widział już tego psa.

– Masz terenówkę?

Cafferty skinął głową.

– Widziałem ją zaparkowaną przed sklepem rzeźnika Bone'a przy South Clerk Street. Ten potwór był na tylnym siedzeniu.

Duży Ger wzruszył ramionami.

– To samochód mojej żony.

– Często zabiera psa na przejażdżki do miasta?

– Kupuje kości dla Keisera. Poza tym to tańsze niż instalowanie alarmu samochodowego. – Cafferty uśmiechnął się czule do psa. – Nie znam nikogo, kto umiałby pokonać takie zabezpieczenie przed kradzieżą.

– Może kiełbaski by wystarczyły – rzucił niedbale Rebus, ale Duży Ger nie zareagował. Inspektor poczuł, że ta rozmowa nic więcej już mu nie da, więc postawił wszystko na jedną kartę i zdecydował się na jedyne taktyczne posunięcie, jakie mu pozostało. Dokończył herbatkę. Smakowała jak miętowa guma do żucia. – Jeden z moich kolegów próbował się dowiedzieć, co się stało z braćmi Robertsonami. Ktoś go tak załatwił, że wylądował w szpitalu.

– Naprawdę? – Cafferty wyglądał na szczerze zdziwionego. – Co się stało?

– Napadnięto na niego na tyłach restauracji Heartbreak Cafe.

– O matko. A chociaż ich znalazł? Tama i Ecka?

– Gdyby ich znalazł, nie byłoby mnie tutaj.

– A ja myślałem, że to tylko taki pretekst, żeby pogadać o starych, dobrych czasach.

– Jakich starych, dobrych czasach?

– Masz rację, ty wyglądasz tak kiepsko jak zawsze. A ja się zmieniłem. Moje dawne wybrki to historia. – Duży Ger wypił łyk herbatki. – Jestem już innym człowiekiem.

Rebus omal się nie roześmiał.

– Tak często to powtarzasz w sądzie, że już sam zacząłeś w to wierzyć.

– Nie, to nie tak.

– Więc to nie ty wysłałeś facetów, żeby mnie nastraszyli?

Cafferty pokręcił głową. Kucnął przy psie, czochrając go za uszami.

– Co to, to nie, Strachu na Wróble. Czasy, w których wziąłbym garść dziesięciocentymetrowych gwoździ i przybił cię do drewnianej podłogi w jakimś opuszczonym domu, dawno minęły. Albo mógłbym nawet podłączyć twoje migdałki przewodami do akumulatora. – Tak się rozpędził, że wyglądało, jakby miał za chwilę zrobić coś psu.

Rebus zachował typową dla siebie nonszalancję. Ale nie powstrzymał się, żeby dodać coś do tej wyliczanki:

– Albo powiesić mnie na belkach mostu Forth Rail?

Zrobiło się cicho i było słychać tylko szum jacuzzi i sapanie psa. Otworzyły się drzwi i pojawiła się w nich nieświadoma niczego kobieta.

– Morris, kolacja za dziesięć minut.

– Dzięki, Mo.

Drzwi się zamknęły i Cafferty wstał. Pies też się poderwał.

– No dobra, Strachu. Fajnie się z tobą gada, ale muszę wziąć prysznic, zanim usiądę do stołu. Mo ciągle narzeka, że śmierdzą chlorem. Staram się jej wytłumaczyć, że nie wsypywałbym chloru do basenu, gdyby goście do niego nie sikali, a ona zwała wszystko na Kaisera!

– To twoja... eee...?

– Moja żona. Już od czterech lat i trzech miesięcy.

Rebus wiedział, że Cafferty jest żonaty, ale nie pamiętał nazwiska jego szczęśliwej wybranki.

– Jeśli ktokolwiek albo cokolwiek zmieniło moje życie, to właśnie ona – powiedział Duży Ger. – I zmusza mnie do czytania książek.

Rebus pamiętał z historii, że naziści też czytali książki.

– Jeszcze jedno, Cafferty.

– Panie Cafferty. No dalej, zaspokój swoją ciekawość.

Inspektor przełknął ślinę.

– Panie Cafferty. Jak brzmi panieńskie nazwisko pana żony?

– Johnson – odpowiedział zaskoczony Duży Ger. – Morag Johnson.

Ruszył w stronę prysznicza. Przechodząc koło Rebusa, zrzucił spodni i zawył głośno jak wilk do księżycy.

Morag Johnson. No właśnie. Rebus był gotów się założyć, że niewielu ludzi odważyłoby się powiedzieć „Mo Johnson” w odniesieniu do partnerki Dużego Gera, a właśnie w takiej formie Rebus usłyszał wcześniej to nazwisko. Kobieta, do której włamał się Aengus Gibson, poślubiła Dużego Gera Cafferty’ego. Ślub odbył się niedługo po wtargnięciu do jej mieszkania, co oznacza, że musieli już wcześniej być w związku.

Rebus wreszcie miał swoje brakujące ogniwa pomiędzy Aengusem Gibsonem, braćmi Bru-Head i Dużym Gerem.

Teraz wystarczyło tylko wykombinować, co, do licha, to wszystko znaczyło.

Wstał z fotela, wywołując nieprzyjemne warczenie psa. Powoli skierował się w stronę drzwi, wiedząc, że gdyby tylko Duży Ger wydał psu komendę spod prysznicza, Kaiser skoczyłby na niego szybciej, niż psie siki spływają po lampie ulicznej. Gdy wychodził, przypomniał sobie wszystkie scenariusze bolesnych sposobów na swoją śmierć, tak czule opisywane przez Dużego Gera.

John Rebus był wdzięczny losowi, że wciąż nie miał przy sobie broni.

Ale w tym wszystkim było coś jeszcze, co go zafrapowało. A mianowicie zdziwienie, jakie wyraził Duży Ger, gdy usłyszał o napaści na Holmesa. I do tego był jeszcze ciekawy, czy Holmesowi udało się trafić na trop Tama i Ecka Robertsonów.

Opuścił rezydencję Cafferty’ego z jeszcze większą liczbą zagadek, niż miał wcześniej. Ale otrzymał przynajmniej jedną pewną odpowiedź – Cafferty stał za porwaniem Michaela. Co do tego nie było żadnych wątpliwości.



## Rozdział 21

- **TO NIEMOŻLIWE** – oznajmiła Siobhan Clarke.

- A jednak. – Peter Petrie w czwartkowy poranek spostrzegł, że skończyły mu się klisze do aparatu fotograficznego. Miał za to pełno baterii, ale co z tego, skoro nie było już ani jednej rolki filmu? Wydawało się, że to ostatnia rzecz, którą mogła sobie wyobrazić Clarke. – Więc lepiej skocz po filmy, tak na jednej nodze – zakomenderował.

- A dlaczego ja?

- Bo mnie boli twarz.

To prawda. Petrie brał leki uśmierzające ból rozkwaszonego nosa. Bolało go tak bardzo, że cały poprzedni dzień bez przerwy na to narzekał. Był męczący do tego stopnia, że zwykle wesołkowaty Madden stracił całe poczucie humoru i chęć wycinania kawałków i rzucił ostro:

- Zamknij się już, kurwa mać!

No i kontakt się między nimi urwał. Clarke przez moment zastanawiała się, czy zostawienie ich samych było dobrym pomysłem.

- Potrzebny jest specjalny rodzaj klisz fotograficznych. – Petrie wyciągnął z torby puste pudełko po filmie. Oderwał ściankę kartonika i wręczył ją Clarke. – To ma być właśnie taki film.

- To jest zwykle zawracanie dupy – skomentowała, biorąc od niego kartonik.

- Zajdź do Pyle'a – powiedział Madden.

- Znowu sobie żartujesz? – Odwróciła się do niego.

- To nazwa sklepu z aparatami fotograficznymi przy Morrison Street.

- To przecież kilometry stąd!

- Pojedź samochodem – poradził Petrie.

Clarke chwyciła torebkę.

– Wsadź sobie takie rady w tyłek. Znajdę coś bliżej niż przy Morrison Street.

Po dziesięciu minutach bezskutecznego szukania odpowiedniego filmu musiała jednak przyznać, że na Gorgie Road jest zerowe zapotrzebowanie społeczeństwa na klisze o dużej czułości. A przecież taki film można wykorzystać do fotografowania drużyny Hearts podczas meczu. Pokrzepiając się taką myślą, ruszyła pieszo w stronę Morrison Street. Może w drodze powrotnej uda mi się złapać autobus, pomyślała.

Nagle zdała sobie sprawę, że właśnie mijają Heartbreak Cafe. Przeszła na drugą stronę ulicy, by rzucić okiem na restaurację. Gdy przejeżdżała tędy wczoraj, knajpa wyglądała na zamkniętą, a w oknie wywieszono tabliczkę z jakąś informacją. Teraz dopiero przeczytała: *Nieczynna z powodu choroby*. Dziwne, pomyślała, widząc, że drzwi są uchylone na kilka centymetrów, a ze środka wydobywa się jakiś dziwny zapach. Czyżby to był gaz? Pchnęła drzwi i zajrzała tam.

– Halo?

Tak, na pewno gaz, a wewnątrz było pusto.

Jakaś kobieta przystanęła na ulicy i zaczęła się przypatrywać.

– Okropnie tu śmierdzi gazem, dziewczyno! – stwierdziła.

Clarke skinęła głową i weszła do środka.

Przy zgaszonych lampach i niewielkiej ilości dochodzącego z zewnątrz światła lokal był pogrążony w mroku i pełen dziwnych cieni. Ostatnia rzecz, jaką zamierzała zrobić, to włączenie światła i wywołanie iskry. Skierowała się w stronę kuchni, gdzie było jaśniej. Tak, w kuchni były okna, ale i większe stężenie gazu. Usłyszała charakterystyczne syczenie. Zasłoniła nos chusteczką, podbiegła do wyjścia ewakuacyjnego i nacisnęła na poręcz otwierającą drzwi. Bez efektu. Drzwi były zablokowane. Napała mocniej ramieniem i udało się jej otworzyć je na kilka centymetrów. Pojemniki na śmieci blokowały drzwi z drugiej strony. Przez szczelinę do środka zaczęło przenikać świeże powietrze przepełnione zapachem spalin i chmielu.

Teraz wystarczyło znaleźć kuchenkę, z której palników wydobywał się gaz. Gdy się odwróciła, zobaczyła nogi, a potem całego człowieka, który

leżał na podłodze z głową wetkniętą do wielkiego piekarnika. Podeszła, zakręciła gaz i spojrzała w dół. Mężczyzna leżał na boku. Ubrany w spodnie w czarno-białą kratkę i białą kucharską bluzę. Nie rozpoznała twarzy, ale elegancko wyhaftowane nazwisko na kieszonce na piersi nie pozostawiało wątpliwości, kim był kucharz.

Eddie Ringan.

W powietrzu nadal było dużo gazu, więc Clarke skierowała się w stronę wyjścia ewakuacyjnego, by jeszcze raz spróbować otworzyć je szerzej. Tym razem udało jej się odepchnąć pojemniki na śmieci, tak że z łoskotem wypadły na uliczkę. Otworzyła drzwi prawie na oścież. Właśnie wtedy jakiś ciekawski przechodzień pojawił się w drzwiach między restauracją a kuchnią. Jego ręka oczywiście powędrowała w stronę włącznika światła.

– Zostaw to!

Potężny wybuch i kula ognia wyrzuciły Siobhan Clarke przez otwarte drzwi ewakuacyjne wprost na parking na tyłach restauracji. Lądowanie było na szczęście złagodzone przez cynkowane pojemniki na śmieci, które chwilę wcześniej zepchnęła. Dzięki temu nie doznała nawet nieznacznych oparzeń, które przytrafiły się nieostrożnemu przechodniowi wyrzuconemu do sali restauracyjnej przez niebieską kulę ognia. Niestety, Eddie Ringan wyglądał jak przysmażony stek wystający z pieca.

**GDY REBUS, Z ZAKWASZONYMI** mięśniami po wyczynach poprzedniego wieczoru, dotarł na miejsce zdarzenia, wewnątrz kuchni wyglądało jak po przejściu kataklizmu. Pat Calder przyjechał do restauracji, dopiero gdy ciało jego kochanka wynoszono na noszach w niebieskim worku foliowym. Worek był niezbędny, by zapobiec zabrudzeniu podłogi odrywającymi się płatami spalonej skóry z twarzy kucharza. Pakowanie w worek odbyło się pod nadzorem lekarza policyjnego, ale Rebus doskonale wiedział, gdzie skończy się wędrówka – na stole do sekcji zwłok pod wszędobylskim skalpelem doktora Curta.

– Wszystko z tobą w porządku, Clarke?

Rebus znowu wykazał się nonszalancją godną doświadczonego śledczego. Ręce trzymał w kieszeni, a wyrazem twarzy dawał do zrozumienia, że wszystko to już kiedyś widział.

– W porządku, oprócz mojej kości ogonowej, panie inspektorze. – Zaczęła rozcierać bolące miejsce.

– Co tu się stało?

Opowiedziała mu wszystko z najdrobniejszymi szczegółami, począwszy od braku filmu (a właściwie to czemu Petrie tu nie wpadł?), a skończywszy na przechodniu, który omal jej nie zabił. Nim zajmował się już lekarz: obejrzał przypalone brwi i rzęsy i opatrzył zatarcia skóry powstałe w wyniku upadku. Rebusa zaczęła swędzić skóra z tyłu głowy, gdy się nad tym wszystkim zastanawiał. W kuchni nie było już zapachu gazu, ale za to unosiła się woń przysmażonego mięsa, która niemal zapraszała na ucztę. Dopiero uświadomienie sobie źródła pochodzenia zapachu powstrzymywało potencjalnych smakoszy.

Calder siedział przy barze, patrząc, jak świat wiruje wokół niego, a dzieło jego życia stworzone wspólnie z Eddiem Ringanem przestało istnieć. Rebus usiadł obok niego, z ulgą odciążając zmęczone nogi.

– Te koszmary senne... – zaczął od razu Calder. – Wygląda na to, że się spełniły.

– Tak to właśnie wygląda. Nie masz pojęcia, dlaczego się zabił?

Calder pokręcił głową. Ostatnim wysiłkiem woli starał się nie tracić ducha.

– Myślę, że nie potrafił sobie z tym wszystkim poradzić.

– „Wszystkim”? To znaczy z czym?

Calder cały czas kręcił głową.

– Może nigdy się tego nie dowiemy.

– O to się nie bój – odparł Rebus, starając się, by nie zabrzmiało to jak groźba.

Ale chyba niezbyt mu się udało, bo Calder nagle odwrócił się w jego stronę.

– Czy może pan już dać temu spokój? – Jego jasne oczy skrzyły się od łez.

– Nie będzie spokoju dla bandziorów, panie Calder – odpowiedział Rebus.

Zeslizgnął się ze stołka barowego i wrócił do kuchni. Clarke stała przy półce z książkami kucharskimi.

– Większość szefów kuchni wolałaby raczej umrzeć, niż trzymać takie książki na widoku – stwierdziła.

– On nie był takim zwykłym szefem.

– Niech pan spojrzy na tę.

To był zwykły brulion szkolny w czerwone szerokie linie, z marginesami na dwa i pół centymetra. Marginesy były wypełnione bazgrołami i rysunczkami, głównie potraw i ludzi z wielkimi grzywkami na czole. Zeszyt zawierał starannie wykaligrafowane oryginalne przepisy Ringana.

– Jego twórczość. – Clarke przewertowała zeszyt aż do okładki. – O, mamy nawet Więzienie Roquefort – zauważyła i zaczęła czytać przepis: – Dzięki pomysłowi inspektora Rebusa. No proszę.

Już miała odłożyć brulion, gdy Rebus wziął go z jej rąk. Odchylił okładkę i zaczął studiować zagmatwaną bazgraninę na wewnętrznej stronie. Między gryzmołami było coś napisane (część z wulgarnymi gejowskimi wyrażeniami), ale później zamazane ciemniejszym tuszem.

– Da się to odczytać?

Zabrali zeszyt i wyszli na parking, by spróbować odczytać napisy przy świetle dziennym. Na tym właśnie parkingu z tyłu restauracji ktoś niedawno napadł na Briana Holmesa.

– Pierwsze słowo to chyba *wszystko* – zaczęła Clarke.

– A tu jest *odkręciłem* albo *zakręciło*.

Reszty, niestety, nie potrafili odcyfrować. Rebus schował zeszyt do kieszeni.

– Myśli pan o karierze w nowym zawodzie, inspektorze? – zapytała Clarke.

Zastanawiał się przez chwilę nad stosownie zgryźliwą odpowiedzią.

– Zamknij się, Clarke.

**REBUS ZOSTAWIŁ BRULION** W siedzibie laboratorium kryminalistyki przy komendzie Fettes, gdzie pracowali specjaliści, których zajęciem było odzyskiwanie czytelności zniszczonych dokumentów. Nazywano ich pisarczykami. Chyba lubili te swoje łamigłówki i krzyżówki.

– To nie powinno zabrać nam zbyt dużo czasu – zawyrokował jeden z nich po chwili namysłu. – Wrzucimy do skanera i po krzyku.

– To świetnie – ucieszył się Rebus. – Będę za kwadrans.

– Lepiej za dwadzieścia minut.

Nie zmartwił się dodatkowymi pięcioma minutami czekania. Skoro już tu był i miał wolną chwilę, pomyślał o złożeniu wizyty inspektor Gill Templer.

– Cześć, Gill.

Jej biuro pachniało drogimi perfumami. Rebus zapomniał już, jakiej były marki. Może Chanel? Zobaczywszy go, Gill Templer zsunęła okulary i mrugnęła na powitanie.

– John. Dużo wody upłynęło od naszego ostatniego spotkania. Siadaj.

Pokręcił głową.

– Nie mogę zostać zbyt długo. Czekam na wyniki z laboratorium. Powinny być za kilka minut. Pomyślałem, że wpadnę na moment zobaczyć, jak ci leci.

– Świetnie. A co u ciebie?

– Nie najgorzej. Zresztą wiesz, jak to jest w życiu.

– A jak tam twoja doktorka?

– W porządku. – Zaszurał butami po podłodze. Nie spodziewał się, że rozmowa będzie tak sztywne.

– Więc to nieprawda, że cię wyrzuciła?

– A ty skąd, do licha, o tym wiesz?

Gill uśmiechnęła się ironicznie, ściskając pomalowane szminką usta.

- John, wyluzuj. Przecież mieszkasz w Edynburgu. Jeśli chcesz zatrzymać dla siebie takie tajemnice, to musisz przenieść się do czegoś większego od tej wioski.

- No dobra, ale kto tobie o tym powiedział? Ilu ludzi o tym wie?

- Skoro wiemy o tym w Fettes, to wiedzą o tym z pewnością na St Leonard's.

Jezu. Przecież to oznaczało, że wiedzą o tym Watson, Lauderdale i Flower. A nikt z nich nie pisnął ani słowa.

- To chwilowa sprawa - mruknął. - Patience odwiedziły siostrzenice, więc na jakiś czas wróciłem do siebie. No i Michael u mnie mieszka.

- Od kiedy? - zapytała zdziwiona Gill Templer.

- Od jakichś dziesięciu dni.

- Zostanie tu na stałe?

Rebus wzruszył ramionami.

- To zależy. Od różnych rzeczy. Gill, nie chciałbym, żeby za dużo gadano na ten temat.

- Oczywiście! Wiesz, że potrafię dochować tajemnicy. - Znowu się uśmiechnęła. - Pamiętaj o tym, że nie pochodzę z Edynburga.

- Ja też nie - rzucił Rebus. - Mnie tu tylko wszyscy robią w konia. - Spojrzał na zegarek.

- Czy moich pięć minut już minęło?

- Przepraszam.

- Nie musisz. Mam mnóstwo roboty.

Odwrócił się, by wyjść.

- John? Wpadnij kiedyś do mnie.

Skinął głową.

- Na Mae West, tak?

- Tak.

- Cześć, Gill.

W połowie korytarza przypomniał sobie, że Mae West to także nazwa kamizelki ratunkowej. Rozwahał przez chwilę to zaproszenie, ale pokręcił głową. Moje życie jest już wystarczająco skomplikowane, pomyślał.

Poszedł do laboratorium.

– Jesteś niecierpliwy, Rebus.

– Raczej ciekawski. Tego słowa szukałeś, ale obawiałeś się go użyć.

– Ha, ha. Mówiąc o słowach, to podejź tu i rzuć na to okiem.

Zbliżył się do aparatury. Bazgranina została zeskanowana i wczytana do komputera, dzięki czemu można było ją wyświetlić na dużym kolorowym monitorze. Sporo bazgrołów wymazano „komputerową gumką”, pozostawiając wcześniejsze zapiski. Pisarczyk wziął do ręki kartkę.

– Spójrz. To moje domysły. – Gdy je odczytywał, Rebus śledził zamazane pismo na ekranie komputera. – *Wypiłem wszystko i zakręciło mi się dookoła... Wszystko, co zrobiłem, stary, to pichcenie na gazie...* – Rebus podniósł głowę, a pisarczyk skrzywił się w uśmiechu. – A może to: *Wszystko, co zrobiłem, to tylko odkręciłem gaz.*

– Co?

– *Wszystko, co zrobiłem, to tylko odkręciłem gaz.*

Rebus spoglądał na gryzmoły na ekranie. Tak – teraz widział to dokładnie... albo przynajmniej znaczną część tego zdania. Pisarczyk znowu zaczął coś wyjaśniać.

– Pomogła mi trochę informacja o tym, że popełnił samobójstwo, odkręcając gaz. Cały czas plątało mi się to po głowie i niemal od razu dostrzegłem słowo *gaz*. Czy to może jego list pożegnalny?

Inspektor spojrział na niego z niedowierzaniem.

– Co? Ta zamazana bazgranina na wewnętrznej stronie okładki zeszytu z przepisami, wciśniętego na półkę między książki kucharskie, ma być listem od samobójcy? Lepiej trzymaj się swojego fachu, a dasz sobie jakoś radę w życiu.

Przypomniał sobie, że Eddie Ringan miał koszmary senne, podczas których wykrzykiwał słowo „gaz”. Czyżby zapiski na okładce były wspomnieniem tych koszmarów? Ale dlaczego tak starannie je zamazał? Rebus zdjął zeszyt ze skanera. Okładka wyglądała na dość starą, pismo mogło mieć rok albo więcej. Niektóre z gryzmołów wyglądały na nowsze



niż zamazane wyrazy. Eddie z pewnością nie napisał tego ubiegłej nocy. Więc można było założyć, że nie miało to żadnego związku z samobójstwem przez odkręcenie gazu. Czyli... zbieg okoliczności? Nie wierzył w zbiegi okoliczności, ale wierzył w dochodzenie do prawdy dzięki zbiegom okoliczności. Odwrócił się do laboranta, który niezbyt ucieszył się z braku uznania dla swojej pracy.

– Dzięki – rzucił Rebus.

– Proszę bardzo.

Obydwaj wiedzieli, że ich słowa nie są szczere.

NA ST LEONARD'S BRIAN HOLMES wypatrywał Rebusa. Czekał na tę chwilę, gdy znów zostanie przyjęty do świata żywych.

– Co ty tu robisz, do licha ciężkiego?

– Bez obaw – odpowiedział Holmes. – Wpadłem tylko w odwiedzin. Jeszcze przez tydzień będę na zwolnieniu lekarskim.

– Jak się czujesz? – Rebus rozglądał się nerwowo, by się upewnić, czy ktoś nie powiedział Holmesowi o Eddiem. Uznał, że nikt się nie odważył tego zrobić. Bo w przeciwnym wypadku Brian nie byłby taki radosny.

– Wciąż mam powalające bóle głowy, ale oprócz tego czuję się, jakbym wrócił z wakacji. – Postukał się po kieszeni. – A inspektor Flower zorganizował na mnie zrzutkę. Prawie pięćdziesiąt funciaków.

– Ten człowiek to prawdziwy święty – skomentował Rebus. – A ja mam dla ciebie prezent, tylko nie przy sobie.

– Co takiego?

– Taśmę z albumem Stonesów *Let It Bleed*.

– Wielkie dzięki.

– Coś, co może cię rozrusza po słuchaniu Patsy De-Cline.

– Ale przynajmniej ona ładnie śpiewa.

Rebus się uśmiechnął.

– Za takie teksty muszę cię zwolnić z pracy. Mieszkasz u ciotki?

To wyraźnie ostudziło entuzjazm Holmesa, tak jak Rebus przewidział. Powoli sprowadzał go na ziemię, by przekazać mu prawdziwą wiadomość

dnia.

– Tak tylko na chwilę. Nell... mówi, że... nie jest jeszcze gotowa.

Rebus znał to uczucie. Zastanawiał się, kiedy Patience wreszcie znajdzie czas, by umówić się z nim na drinka.

– Ale teraz chyba trochę lepiej to wszystko wygląda między wami?

– Tak, tylko że... – Holmes usiadł naprzeciwko szefa – ona chce, żebym odszedł z policji.

– Hm... drastyczne żądanie.

– Tak drastyczne jak rozejście się.

Rebus odetchnął głęboko.

– Pewnie tak, no ale... I co masz zamiar zrobić?

– Muszę to wszystko jeszcze raz przemyśleć. – Holmes poderwał się na nogi. – To lecę. Wpadłem tylko, żeby...

– Siadaj, Brian. – Holmes wyczuł powagę w głosie Rebusa i usiadł. – Mam złe wiadomości o Eddiem.

– O Eddiem? O kucharzu Eddiem? Co z nim?

– Wydarzył się wypadek. No... coś w tym stylu. I Eddie...

Nie było możliwości, by źle zrozumieć słowa Rebusa. Stał się ekspertem od takich przemówień po tym, jak powtarzał je przez wiele lat rodzinom ofiar wypadków drogowych, wypadków w pracy czy ofiar morderstw.

– Nie żyje? – zapytał cichym głosem Holmes. Rebus zacisnął usta i skinął głową. – Chryste. Właśnie miałem wpaść go odwiedzić. Co się stało?

– Nie jesteśmy do końca pewni. Dziś po południu będzie sekcja zwłok.

Holmes nie dał się zwieść. Znowu wyczuł wykręt przełożonego.

– Wypadek, samobójstwo czy morderstwo?

– Jedno z tych dwóch ostatnich.

– A pan na co postawiłby kasę?

– Moje pieniądze zostają w kieszeni, dopóki nie dostanę odpowiedniego cynku.

– Od doktora Curta?

Rebus skinał głową.

- Do chwili otrzymania jego raportu niewiele możemy zrobić. Posłuchaj, załatwię, by podwieziono cię do domu...

- Nie, dziękuję. Dam sobie radę. - Holmes powoli wstał, jakby sprawdzał, czy jego stopy utrzymają ciężar ciała. - Naprawdę dam sobie radę. Eddie... tak mi go żal. Był moim przyjacielem, wiedział pan o tym?

- Tak.

Po wyjściu Holmesa Rebus zadumał się nad tym, że tak łatwo mu poszło z tą ponurą informacją. Brian nadal nie działał na pełnych obrotach, po części ze względu na rekonwalescencję, po części za sprawą szoku, więc nie zdołał zadać żadnych trudnych pytań, takich jak na przykład: „Czy śmierć Eddiego ma coś wspólnego z osobą, która omal mnie nie zabiła?”. To było coś, nad czym Rebus cały czas sam się zastanawiał. Wczoraj Eddie zaginął, a on poszedł odwiedzić Cafferty'ego. Dziś rano Eddie nie żyje. A to znaczy, że jest mniej o jedną osobę, która mogła powiedzieć coś o nocy, gdy spalił się hotel Central; mniej o jedną osobę, która tam wtedy była. Lecz Rebus miał przeczucie, że jednak Cafferty był zdziwiony, gdy dowiedział się o napadzie na Holmesa. Więc o co w tym wszystkim chodziło?

- Ja pierdolę, po prostu nie mam najmniejszego pojęcia - powiedział cicho do siebie. Zadzwoił telefon. Podniósł słuchawkę i usłyszał odgłosy pubu, a po chwili głos Flowera:

- Masz niezły zespół, inspektorze. Jeden dostaje po gębie, a teraz słyszę, że druga obserwatorka łąduje ostro na dupie. - Rebus rzucił słuchawkę.

- Sam się pierdol w dupę, Flower - rzucił dobitnie, wiedząc doskonale, że nikt tego nie słyszy.

## Rozdział 22

**KOSTNICA MIEJSKA EDYNBURGA** mieściła się przy Cowgate, nazwanej tak ze względu na przebiegający tędy dawniej trakt, którym pędzono krowy na targ miejski. W tym miejscu ulica nie była atrakcyjnym bulwarem, przy którym mieściłoby się mnóstwo firm, ale zwykłą wylotówką. Dopiero dalej przecinała o wiele bardziej ruchliwe i ciekawsze ulice śródmiejskie. Znajdowali się daleko od urokliwej South Bridge, z którą Cowgate krzyżowała się w centrum.

Rebus nie był pewien, czy ta okolica kiedykolwiek była czymś innym niż tylko miejscem spotkań najbiedniejszych przybyszów do Edynburga, którzy sami wyglądali niemal jak bydło. Mieli blade twarze z braku słońca i żyli z tego, co wyżebrali od przechodniów. Na szczęście Cowgate się zmieniała. Wokół widać było wiele powstających budynków mieszkalnych i biurowych.

Doskonale miejsce na kostnicę, w której, gdy nie wykładał na uniwersytecie, wykonywał swój medyczny fach doktor Curt.

– Proszę spojrzeć na to z jaśniejszej strony – zwrócił się do Rebusa. – Przy Cowgate jest kilka niezłych pubów.

– Gdyby było o kilka więcej, miałby pan pełne ręce roboty.

Doktor Curt zachichotał.

– Ma pan bogatą wyobraźnię.

– A ja chylę głowę przed pana olbrzymią wiedzą. Co wiemy w takim razie o panu Ringanie?

– Moja biedna sierotka Eddie. – Doktor Curt uwielbiał doczepiać swoim truposzom przydomki. Rebus miał wrażenie, że akurat słówko „sierotka” wielokrotnie pojawiło się już w ustach doktora Curta w odniesieniu do zwłok. Do Eddiego Ringana określenie to doskonale pasowało. Nie miał żadnej bliskiej rodziny, o której ktoś coś by wiedział.

A identyfikację zwłok przeprowadzili Patrick Calder i Siobhan Clarke, która znalazła ciało.

„Tak, to człowiek, którego znalazłam”, powiedziała.

„Tak, to jest Edward Ringan”, stwierdził Pat Calder, zanim barman Toni wyprowadził go z prosektorium.

Rebus i doktor Curt stali przy kamiennym stole, na którym leżało to, co pozostało z Eddiego Ringana. Pogwizdując melodię *Heartbreak Hotel*, asystent doktora oczyszczał ciało ze spalonych resztek skóry. Rebus studiował listę znalezionych przy zwłokach rzeczy. Przeczytał ją już ze trzy razy, ale próbował odwrócić swoją uwagę od tego, co działo się na stole. Doktor Curt palił papierosa. W wieku pięćdziesięciu pięciu lat uznał, że skoro do tej pory nic go nie zabiło, to co mu może zrobić nikotyna, i zaczął palić. Rebus chętnie by się poczęstował papierosem, ale to były player'sy bez filtra, które kojarzyły mu się z papierem ściernym, a nie przyjemnym dymkiem owiewającym płuca.

Może dlatego, że tyle razy przeczytał opis zwłok, w końcu coś kliknęło w jego głowie.

– Wie pan co? – rzucił. – Nie znaleźliśmy przy nim listu pożegnalnego.

– Samobójcy nie zawsze w taki sposób żegnają się ze światem – odpowiedział doktor.

– Ale Eddie by to zrobił. I na pewno włączyłby kasetę z piosenką Elvisa *Heartbreak Hotel* dla dopełnienia ceremonii.

– To się nazywa mieć styl – skomentował sarkastycznie doktor Curt.

– No i... – ciągnął Rebus – z listy zawartości jego kieszeni wynika, że nie miał przy sobie żadnych kluczy.

– Żadnych kluczy? – Doktor Curt rozkoszował się chwilą przerwy i papierosem tak bardzo, że nie zamierzał włączać się w rozwiązywanie zagadki. Wiedział, że inspektor i tak wszystko mu powie.

– No to – ciągnął Rebus – jak wszedł do restauracji? A jeśli użył kluczy, to gdzie one są?

– Trudna sprawa – odparł doktor.

Jego asystent zmarszczył czoło, widząc, jak pryncypał przydeptyje niedopałek na podłodze kostnicy.

Rebus dobrze wiedział, kiedy traci publiczność, więc odłożył listę na bok.

– To co pan dla mnie tu ma?

– Musimy przeprowadzić standardowe badania. To oczywiste.

– Jasne. Ale tak na teraz?

– Tak na teraz to... mamy tu kilka ciekawostek. – Patolog zaczął oglądać zwłoki i chcąc nie chcąc, Rebus też musiał skupić na nich wzrok. Spalona twarz była przykryta ściereczką. Asystent byle jak zaszył pozbawioną głównych organów wewnętrznych klatkę piersiową i brzuch. Skóra twarzy była okropnie zwęglona, ale reszta dobrze się zachowała. Tłustawe ciało było blade i lśniące. – No dobrze – zaczął doktor. – Choć wygląda to nie najlepiej, oparzenia były powierzchowne, a wybuch nie uszkodził organów wewnętrznych. To ułatwiło nam sprawę. Rzekłbym, że umarł otruty gazem z Morza Północnego. – Odwrócił się do Rebusa. – Morze Północne to oczywiście żarcik. – Zachichotał. – Mamy ślady spożycia alkoholu. Będziemy musieli poczekać na wyniki badań, by stwierdzić, ile wypił. Podejrzewam, że sporo.

– Założę się, że jego wątroba jest kompletnym wrakiem. On upijał się codziennie od wielu lat.

Doktor Curt nie chciał w to uwierzyć. Podeszedł do drugiego stołu i wrócił do Rebusa, trzymając w ręce wątrobę, na której dokonano już sekcji.

– Jest w całkiem dobrym stanie. Mówi pan, że pił mocne alkohole?

Rebus potrafił nie skupiać wzroku na wnętrznościach Ringana. Taka profesjonalna umiejętność.

– Butelkę dziennie bez problemu.

– Nie widać tego po wątrobie. – Doktor Curt podrzucił ją i zęcznie złapał. Rebusowi skojarzyło się to z prezentacją kawałków mięsa w sklepie rzeźnickim. – Na głowie znalazłem guza, a na ramionach kilka siniaków i drobne oparzenia.

- Tak?

- Sądzę, że takie obrażenia są typowe dla kucharza. Pyskający rozgrzany tłuszcz, wszędzie pełno patelni rondli i garnków...

- Może tak, a może nie.

- A teraz czas na ten punkt programu, na który czekał Hamish. - Patolog wskazał ruchem głowy asystenta i ten wyprostował się zwarty i gotowy. - Nazywam go Hamish - wyznał doktor Curt - bo pochodzi z Hebrydów. Hamish zauważył coś, co umknęło mojej uwadze. Nie wspominałem o tym, bo czekałem, aż zagotuje się z niecierpliwości i dostanie zapalenia opon mózgowych. - Spojrzał na Rebusa. - To taki niewinny żarcik patologów.

- Może nie taki niewinny.

- Powinien pan wiedzieć, inspektorze, że Hamish fascynuje się uzębieniem. Przypuszczalnie dlatego, że jego zęby w dzieciństwie strasznie się psuły i wiele godzin spędził na fotelu dentystycznym, przez to do dzisiaj dręczą go złe wspomnienia.

Hamish wyglądał, jakby rzeczywiście słowa doktora mogły być prawdą.

- Efektem tych wspomnień jest to, że Hamish zawsze zagląda ludziom w usta. Tym razem odważył się wspomnieć mi, że w jamie ustnej są pewne uszkodzenia.

- Jakie uszkodzenia?

- Rozdarcie tkanki wyściełającej gardło. I do tego całkiem niedawne.

- Czyli mógł zbyt głośno śpiewać?

- Raczej wrzeszczeć. Ale bardziej prawdopodobne jest to, że ktoś mu coś wpychał do gardła.

Rebusa wprost poraziło. Chyba tylko doktor Curt był zdolny doprowadzić go do takiego stanu swoimi wypowiedziami. Zaczął przełykać ślinę, czując suchość w gardle.

- Co to mogło być to „coś”?

Patolog wzruszył ramionami.

– Hamish zasugerował, że... rozumie pan, że to tylko domysły, czyli raczej pańska domena. Więc Hamish zasugerował, że wciskano mu do gardła jakąś rurę, coś twardego. Pomyślałem o rurze z plastiku lub gumy.

Rebus zakasłał.

– Czyli raczej nic organicznego?

– Ma pan na myśli cukinię albo banana?

– Dobrze pan wie, do licha, co mam na myśli.

Doktor Curt się uśmiechnął.

– Oczywiście, że wiem. Przepraszam. – Znowu wzruszył ramionami. – Nie pomijam żadnej możliwości, ale jeśli sugeruje pan, że wciskano mu w usta penisa, to musiałyby być owinięty papierem ściernym.

Rebus usłyszał, jak za jego plecami Hamish tłumi śmiech.

**ZADZWONIŁ DO PATA CALDERA** i poprosił o spotkanie. Calder zastanawiał się przez moment, zanim udzielił odpowiedzi.

– W Colonies? – zaproponował Rebus.

– Niech będzie w Heartbreak Cafe. I tak się tam wybieram.

Gdy inspektor przyjechał do pubu, w miejsce kartki z napisem *Nieczynna z powodu choroby* pojawiła się kartka *Ze względu na żałobę restauracja ulega likwidacji*. Pod spodem podpisał się Pat Calder.

Wchodząc do środka, Rebus usłyszał, jak Calder do kogoś wrzeszczy:

– Odpierdol się!

Nie były to jednak słowa skierowane do Rebusa, tylko do młodej kobiety w prochowcu.

– Jakież kłopoty? – spytał Rebus.

Calder zdejmował pamiątki związane z Presleyem ze ścian i owijał je gazetami. Rebus dostrzegł na podłodze trzy skrzynie służące do przeprowadzki.

– Ta pieprzona reporterka chce krwi i bólu na artykuł dla swojej gazety.

– Czy to prawda, proszę pani? – Rebus spojrzał na Mairie Henderson wzrokiem pełnym ojcowskiej dezaprobaty. Takim, który wyraźnie



sugerował, że powinna się wstydzić.

– Pan Ringan był znaną osobą w mieście – zwróciła się do Rebusa. – Jestem pewna, że chciałby, żeby nasi czytelnicy wiedzieli...

Calder nie pozwolił jej dokończyć.

– Tak. Chciałby, żeby się tu porządnie naźarli, zostawili kupę gotówki i wypierdalali. To może pani napisać!

– Niezłe epitafium – skomentowała Mairie.

Spojrzał na nią, jakby chciał przywalić jej w głowę zegarem ściennym z wizerunkiem Elvisa, na którego cyferblacie wskazówkami były ramiona gwiazdora. Udało mu się jednak powstrzymać; zdjął ze ściany jedno z wielu lusterek z podobizną Elvisa po siedmiu latach opychania się hamburgerami i frytkami – ale takiego cuda z pewnością by nie rozbił.

– Lepiej, żeby pani sobie już poszła – zaproponował spokojnym głosem Rebus.

– Dobrze. Pójdę. – Zarzuciła torebkę na ramię i przeszła koło inspektora.

Miała na sobie spódnicę, do tego dość krótką. Ale dobry żołnierz wie, kiedy patrzeć wprost przed siebie. Uśmiechnął się do Pata Caldera, którego cierpienie było aż nazbyt widoczne.

– Nie za wcześnie na to wszystko?

– A pan umie gotować, inspektorze? Bez Eddiego to miejsce jest... niczym.

– Czyli wygląda na to, że właściciele okolicznych restauracji będą mogli spać spokojnie?

– Co pan ma na myśli?

– Eddie sądził, że atak na Briana mógł być ostrzeżeniem.

– No tak, ale co to... – Calder zamarł. – Myśli pan, że ktoś...? Przecież to było samobójstwo...

– Tak to właśnie wygląda.

– To znaczy, że wcale nie jest pan pewien?

– Czy on wyglądał na faceta, który chciałby się zabić?

– Zabijał się codziennie, pijąc tak dużo – odparł z dziwnym chłodem Calder. – Może za daleko w tym wszystkim zaszedł. Jak już powiedziałem, inspektorze, napaść na Briana miała na Eddiego duży wpływ. Może nawet większy, niż nam się wydaje. – Przerwał na moment, nadal trzymając lustro. – Sądzi pan, że to było morderstwo?

– Tego nie powiedziałem.

– Kto mógłby to zrobić?

– Może spóźnił się pan z płatnościami?

– Jakimi płatnościami?

– Za ochronę. Tylko proszę mi nie mówić, że oni nie każą sobie płacić.

Calder nawet okiem nie mrugnął.

– Zapomina pan, że to ja zajmowałem się finansami i zawsze płaciliśmy rachunki na czas. Wszystkie rachunki.

Rebus zaczął się zastanawiać, co ta informacja tak naprawdę oznacza.

– Jeśli sądzisz, że wiesz, kto mógłby chcieć zabić Eddiego, lepiej powiedz mi od razu, dobrze? Nie zrób nic głupiego.

– A co niby miałbym zrobić?

Kupić pistolet, pomyślał Rebus, ale nie powiedział tego głośno. Calder zaczął pakować lustro.

– To wszystko jest teraz tyle warte co artykuł w brukowcu.

– To jej praca. Nie odmówiłbyś przecież wywiadu, w którym mógłbyś promować swoją restaurację?

Calder się uśmiechnął.

– Mieliśmy takich mnóstwo.

– Co teraz będziesz robił?

– Jeszcze o tym nie myślałem. Pewnie wyjadę.

Rebus wskazał głową skrzynię.

– A co z tym wszystkim zrobisz?

– Przechowam. Nie potrafiłbym tego wyrzucić, inspektorze. To wszystko, co mam.

Masz przecież jeszcze sypialnię, pomyślał Rebus. Ale nie odezwał się ani słowem, tylko patrzył, jak Calder pakuje resztę rzeczy.

**HAMISH TAK NAPRAWDĘ NAZYWAŁ** się Alasdair McDougall i został w zasadzie wypędzony z rodzinnej wyspy Barra przez swoich rówieśników. Jeden z nich próbował go nawet utopić podczas nocnej przeprawy łodzią z wyspy South Uist po zakończeniu imprezy. Dwie minuty w lodowatej wodzie cieśniny Barra wystarczyłyby, żeby każdego zamienić w pokarm dla rybek, ale kolesie wciągnęli go z powrotem na pokład i wyjaśnili mu, że był to tylko wypadek. I rzeczywiście, gdyby utonął, uznano by to za wypadek.

Opuścił wyspę i zamieszkał w miasteczku Oban, a później przeniósł się na południe, do Glasgow, by wreszcie osiąść na wschodnim wybrzeżu Szkocji. Glasgow odpowiadało mu pod pewnymi względami, ale nie do końca. Edynburg bardziej mu się podobał. Jego rodzice zawsze odrzucali myśl, że ich syn jest homoseksualistą, nawet wtedy, gdy stanął przed nimi i otwarcie się do tego przyznał. Ojciec zaczął cytować Biblię w taki sam sposób, jak robił to przez siedemnaście lat, czyli z drzeniem głosu wiernego wyznawcy. Może kiedyś robiło to potężne wrażenie na Hamishu, ale w tej sytuacji wydało mu się po prostu śmieszne.

„Tylko dlatego, że tak napisano w Biblii, nie oznacza to, że musisz traktować te słowa jako świętość”, odpowiedział ojcu.

Ojciec jednak zawsze traktował Biblię dosłownie. Nawet trzymał ją w rękach, gdy wykopywał swojego najmłodszego syna za próg domu. „Nie będziesz kalał naszego nazwiska!”, krzyknął na pożegnanie. Alasdair postąpił według jego woli i zaczął przedstawiać się jako Dougall, a pełne nazwisko ujawniał tylko w wyjątkowych sytuacjach. W środowisku gejów w Glasgow znany był jako Dougall i Dougallem był też w Edynburgu. Lubił życie, jakie sobie stworzył (nigdy nie nudził się w nocy), i tylko dwa razy dostał po głowie. Miał swoje ulubione kluby i puby, swój krąg przyjaciół i szersze grono znajomych. Zastanawiał się nawet nad napisaniem listu do rodziców. Powiedziałyby im, że gdy jego szef kończy robotę z denatem, to niewiele już z tego ciała zostaje dla Niebios.

Jeszcze raz zastanowił się nad tłustawym młodym facetem, który został zagazowany. Roześmiał się. Powinien był im powiedzieć, ale nie zrobił tego. Dlaczego? Może dlatego, że jeszcze nie do końca czuł się

pewnie? Bo już raz go prześladowano za odmienność, gdy odmówił noszenia różowego trójkąta na piersiach. Nie był pewien, czy chce, by ten gliniarz wiedział, że on jest gejem. A jak zareagowałby doktor Curt? Tyle było wokół homofobii i ten ciągły, niemal średniowieczny strach przed AIDS. Nie chodziło nawet o to, że nie poradziłby sobie bez tej pracy, ale bardziej o to, że ją lubił. Napatrzył się na ubój i ćwiartowanie owiec i bydła, gdy mieszkał na rodzinnej wyspie. A tutaj było prawie tak samo.

Zdecydował, że zatrzyma swój sekret dla siebie. Nie przyzna się, że znał Eddiego Ringana. Pamiętał dobrze ich spotkanie jakiś tydzień temu. Poszli razem do mieszkania Dougalla i Eddie ugotował chilli z tego, co znalazł w szafkach kuchennych. Było ostre jak cholera. Można się było nieźle spocić podczas jedzenia. Ale Eddie nie chciał zostać na noc, to nie było w jego stylu. Pocałowali się czule przed rozstaniem i obiecali sobie, że jeszcze się spotkają.

Tak, Dougall dobrze znał Eddiego i był pewien jednej rzeczy.

Kimkolwiek była osoba leżąca na kamiennym stole prosektorium, nie był to facet, z którym Dougall jadł chilli w swoim łóżku.

**SIOBHAN CLARKE NADZWYCZAJ** szybko odzyskała spokój i dobrze się trzymała przez całą resztę dnia. Dostała dzień wolnego ze względu na przeżyty szok w Heartbreak Cafe i nie musiała się martwić o operację Worki Pieniędzy, ale późnym popołudniem zaczęło ją nosić, by gdzieś się ruszyć i coś zdziałać. Pojechała więc do domu Rory'ego Kintoula, licząc na szczęśliwy traf. Kintoul mieszkał w połowie zadbanego komunalnego bliźniaka z końca ubiegłego wieku. Ogródek frontowy był wielkości szmatki do ścierania piwa z lady barowej, ale dzięki temu bardziej higieniczny. Clarke pomyślała, że nie miałyby obaw o zatrucie pokarmowe, zjadając obiad wprost z zadbanego i równo przystrzyżonego trawniczka. Niestety, nie mogła powiedzieć tego samego o czystości talerzy w policyjnych kantynach. Brama prowadziła do ogrodu, a furtka wprost do frontowych drzwi domu, które były pomalowane na granatowo. Co czwarte drzwi na tej ulicy były pomalowane na granatowo. Pozostałe na bordowo, oliwkowo lub srebrnoszaro. Z pewnością nie była to najszersza paleta barw na

świecie, ale nieźle harmonizowała z chropowatym tynkiem na ścianach i asfaltowymi chodnikami. Dzieciaki narysowały kredą chłopka na jezdni i skakały, krzycząc głośno. Uśmiechnęła się do nich, ale zajęte zabawą, nawet na nią nie spojrzwały. Kilka domów dalej zaszczekał pies, ale poza tym ulica była cicha.

Nacisnęła dzwonek przy drzwiach i czekała. Wydawało się, że nikogo nie ma. Pomyślała o wyrażeniu „bezczelna dziwka”, gdy przechyliła się w stronę okna i zaczęła lustrować wnętrze domu. Salon ciągnął się aż do tylnej ściany budynku. Pies z sąsiedztwa szczekał coraz głośniej. Przez odległe okno salonu Clarke dostrzegła jakąś postać. Otworzyła ogrodową furtkę i pobiegła podjazdem oddzielającym dom Kintoulów od sąsiadów. Kintoul zostawił otwarte drzwi kuchenne prowadzące do ogrodu, by nie robić hałasu, jedną nogę miał już przełożoną nad ogrodzeniem oddzielającym jego posesję od sąsiada i próbował uciszyć uwięzowanego kundla.

– Panie Kintoul! – krzyknęła. Gdy na nią spojrzął, pomachała ręką. – Widzę, że lubi pan posiedzieć sobie na płocie. A może jednak wejdziemy razem do środka na parę słów?

Nie miała zamiaru się czerwienić i za nic przeproszać. Gdy zbliżał się do niej, idąc po trawniku, uśmiechnęła się do niego kwaśno.

– Zawsze ucieka pan przed policją? Co takiego ma pan do ukrycia?

– Nic.

– Powinien pan uważać na siebie – poradziła. – Takie kaskaderskie wyczyny mogą zerwać szwy na pańskim boku.

– Czy wszyscy muszą to słyszeć? Niech pani wchodzi do środka. – Prawie pchnął ją przez kuchenne drzwi.

Takiego właśnie zaproszenia oczekiwała.

**REBUS ODEBRAŁ TELEFON** O szóstej piętnaście po południu i umówił się na spotkanie na dziesiątą wieczorem. O ósmej zadzwoniła Patience. Zdawał sobie sprawę, że jego głos raczej nie brzmiał zbyt szczerze, bo intensywnie myślał o czymś innym, więc starał się tak prowadzić rozmowę, by to

Patience mówiła. Chciał wypełnić czymś czas do dziesiątej, żeby nie odczuwać niepotrzebnej pustki, która mogłaby skłonić go do zmiany decyzji dotyczącej wieczornych planów.

W końcu, żeby zmienić temat, opowiedział Patience wszystko o Michaelu (który spał w pakamerze). Patience zaproponowała, by Michael udał się do psychologa, i wyraziła zdziwienie, że nikt w szpitalu o tym wcześniej nie pomyślał. Obiecała, że sprawdzi, czy istnieje taka możliwość, i że oddzwoni. Poradziła także Rebusowi, by pilnował, żeby Michael nie wpadł w ciężką depresję. Jak wiadomo, problem z lekarswami antydepresyjnymi polega na tym, że nie tylko eliminują strach i fobie, ale też potrafią zabić w człowieku wszelkie emocje.

– Był taki pełen życia, gdy się do mnie wprowadził – przyznał Rebus. – Studenci zaczęli się zastanawiać, co też, do licha, się z nim stało. Boją się o niego, tak jak ja.

Samozwańcza dziewczyna Michaela sporo z nim rozmawiała; próbowała go wyciągnąć do pubu albo jakiegoś klubu, ale oponował. Od paru dni już się nie pojawiła. Jeden ze studentów zaczepił Rebusa w kuchni i głosem pełnym współczucia zapytał, czy może odrobina haju nie poprawiłaby samopoczucia Mickeyowi. Rebus pokręcił głową. Ale, do licha, przecież mogłoby mu to pomóc, pomyślał później.

Patience miała jednak inne zdanie.

– Pomieszaj te prochy, które przyjmuje, z ich ziołem, i Bóg jeden wie, jaka będzie reakcja organizmu. Ja stawiałabym na paranoję lub całkowite ośpienie.

Zawsze była przeciwko prochom. I to nie tylko tym przepisywanym. Zdawała sobie sprawę, że dla lekarza najłatwiejszym rozwiązaniem jest wypisanie recepty na diazepam albo prozac. Ludzie w całej Szkocji, a szczególnie ci, którzy potrzebowali prawdziwej pomocy, łykali antydepresanty, jakby to były zwykłe witaminy. A lekarze tłumaczyli się, że mają mnóstwo pracy, więc nie mogą w takiej sytuacji zaproponować innego leczenia.

– Chcesz wpaść do mnie? – zapytała Patience.

To był wielki krok. Tak, Rebus chciał się z nią spotkać, ale była już prawie dziewiąta.

– Nie, ale dzięki za zaproszenie.

– No dobrze. Staraj się, by Michael zbyt długo nie przebywał sam. On przesypia coś, z czym powinien się zmierzyć.

– Dzięki, Patience. – Rebus odłożył słuchawkę i ubrał się do wyjścia.

**DLACZEGO NA TO SPOTKANIE** wybrał brzeg zatoki przy North Queensferry? Czy to nie było oczywiste? Stał koło tej samej budki, do której wzięli Michaela. Przyjechał wcześniej, a Deek Torrance, co było do przewidzenia, spóźnił się już parę minut. Rebus miał to gdzieś. Przynajmniej zyskał chwilę dla siebie, by pogapić się na most kolejowy, zastanawiając się, jak czuje się ktoś, kogo nocą opuszczono z niego na linie? Krzyczy bezgłośnie w knebel? Patrzy w dół?

– Ale zimno, co? – Torrance potarł dłonie.

– Dzięki za zrobienie mnie na szaro w pubie.

– Co?

– *Sailor for trade or rent*. Nie pamiętasz?

– Ach, to. – Torrance uśmiechnął się. – Nie, to było *Trailers for sale or rent*, z piosenki *King of the Road*.

– Masz to, co chciałem?

Torrance postukał dłonią w kieszeń. Był trochę podejrzliwy; przecież nie każdego dnia sprzedawał nielegalną broń policjantowi.

– To pokaż.

– Co? Tutaj?

Rebus rozejrzał się dookoła.

– Przecież tu nikogo nie ma.

Torrance zagryzł wargę, wyciągnął pistolet z kieszeni i podał Rebusowi.

Broń była lekka i wygodna. Rebus włożył ją do przepastnej kieszeni.

– A amunicja?

Naboje zagruchały w kartonowym opakowaniu, jakby to była dziecięca zabawka. Rebus schował je do kieszeni, po czym sięgnął po portfel.

– Nie przeliczysz?

Torrance pokręcił głową i wskazał na bar po przeciwnej stronie ulicy.

– Chodź. Postawię ci drinka.

Ten pomysł spodobał się Rebusowi.

– Dobra, tylko najpierw pozbędę się tego. – Otworzył samochód i schował broń oraz pudełko z amunicją pod siedzenie kierowcy. Był podenerwowany, robiło mu się niedobrze. Drink na pewno mnie wzmocni, pomyślał. Poczul się też głodny, ale myśl o jedzeniu przyprawiła go o jeszcze większe mdłości. Ponownie spojrzął na most. – No to chodźmy – zwrócił się do Deeka Torrance’a.

Bez pistoletu, ale za to z gotówką w kieszeni, Torrance poczuł się odprężony i stał się bardziej gadatliwy. Weszli do Hawes Inn i zamówili drinki. Torrance opowiadał, w jaki sposób broń przedostaje się do kraju.

– Widzisz, we Francji łatwo jest o broń. Są nawet tacy, którzy jeżdżą po kraju furgonetkami i sprzedają prosto z otwartych tylnych drzwi. Drukują katalogi z ofertą i podrzucają je na wycieraczki. Spotkałem raz takiego jednego Francuza. Ciągle przepływa przez kanał La Manche. Ma to coś wspólnego z jego legalną pracą. Przywozi ze sobą broń, a ja ją od niego kupuję. Może nawet przywieźć bazookę, jeśli byłbyś zainteresowany.

– Czemu nie powiedziałeś od razu? – zamruczał Rebus. – Nie musiałbym kupować pistoletu.

– Co? – Torrance się roześmiał.

– A co ja dostałem? – zapytał Rebus. – Tam było trochę za ciemno.

– Mam tylko repliki dobrego sprzętu. Ale nie masz się o co martwić. Sam usuwam pilnikiem wszystkie numery identyfikacyjne. Twój to kopia colta czterdziestkopiątki. Ma magazynek na dziesięć nabojów.

– Kaliber osiem milimetrów?

– Tak. W pudełku masz dwadzieścia nabojów. Nie jest to najbardziej śmiercionośny pistolet, jaki wynaleziono, ale mogę zdobyć też replikę uzi.



- Jezu - westchnął Rebus i dokończył piwo. Nagle zapragnął stąd wyjść.

- Z czegoś trzeba żyć - odezwał się Deek Torrance.

- Tak, masz rację. Z czegoś trzeba żyć - potwierdził Rebus i wstał z krzesła.

## Rozdział 23

NASTĘPNEGO RANKA REBUS ZMUSIŁ się do wykonania rutynowych czynności. Sprawdził, czy był jakiś raport o Andrew McPhailu. Nie było żadnego. Okazało się, że Maclean nie odniósł poważniejszych obrażeń, bo zdążył zasłonić się przed wrzątkiem. Nikt nie traktował jeszcze McPhaila jako niebezpiecznego przestępcy, ale i tak jego opis rozesłano po dworcach kolejowych i autobusowych, stacjach obsługi samochodów i tym podobnych. Gdyby Rebus miał do dyspozycji odpowiednią liczbę ludzi, szybko by go złapał, bo wiedział, gdzie należy szukać.

Nad jego biurkiem pojawił się jakiś cień. To Flower.

– No i co? – zapytał. – Straciłeś jednego detektywa, bo dostał w papę, a drugiego, bo dał się wysadzić przez wybuch gazu. A co przygotowałeś na bis?

Rebus spostrzegł, że mają całkiem sporą widownię. Okazało się, że niemal połowa komendy czekała na starcie między dwoma inspektorami. I nagle wszyscy mieli coś do wyszukania w szafach i kartotekach w pobliżu biurka Rebusa.

– Będzie ci łatwiej, jak staniesz na rękach – skomentował jego wypowiedź Rebus.

– O co ci chodzi?

– Będziesz mógł gadać dupą. – Rozległo się kilka zdławionych śmiechów. – Mam kilka tabletek na ból gardła, jeśli miałyby ci pomóc.

Szuflady z aktami zamknęły się i widownia odsunęła się nieco.

– Może myślisz, że jesteś darem Bożym, co? – odezwał się znowu Flower. – Myślisz, że jesteś jakimś guru?

– Taaa, jestem lepszy od niektórych.

– I o wiele gorszy od pozostałych.

Rebus wziął do ręki kartę z informacjami o aresztowaniach z poprzedniego dnia i zaczął ją czytać.

– Skończyłeś już?

Flower się uśmiechnął.

– Rebus, myślałem, że twój gatunek wyginał razem z dinozaurami.

– Tak, ale ty zostałeś, bo ci odmówiły, kiedy je poprosiłeś, żeby cię zjadły.

A więc dwa do zera – i Alister Flower opuścił pole walki. Rebus wiedział jednak, że będzie jeszcze druga runda, a może i trzecia.

Spojrzał ponownie na listę aresztowanych, by sprawdzić, czy za pierwszym razem dobrze odczytał pewne nazwisko. Podpisał listę i szedł na dół. Grupka młodych posterunkowych stała na korytarzu przed całą numer jeden, spoglądając na zmianę przez wizjer.

– To ten facet z tatuażami – wyjaśnił jeden z nich inspektorowi.

– Dziara?

Posterunkowy skinął głową. Dziara był wytatuowany od stóp do głów, bez kawałka wolnego ciała.

– Został zatrzymany w celu przesłuchania.

Rebus skinął głową. Bez względu na to, z jakiego powodu ściągnięto tego czubka na komendę, i tak na końcu facet zostawał bez ciuchów.

– Całkiem niezłe pseudo dla kogoś takiego, prawda, panie inspektorze?

– Co? Dziara? I tak lepsze niż ksywka, którą ja bym mu nadał.

– Można wiedzieć, jak pan inspektor by go nazwał?

– Jeszcze Jeden Kutas – odpowiedział Rebus, otwierając celę numer dwa. Zamknął za sobą drzwi. Przed nim stał młody człowiek, nieogolony, o niepewnym spojrzeniu. – A co tobie się przytrafiło?

Andy Steele zerknął na niego spod brwi i odwrócił głowę. Edynburg nie okazał się dla niego gościnnym miastem. Przeczesał palcami rozczochrane włosy.

– Czy spotkał się pan z ciocią Eną? – zapytał.

– Tak, ale nie spotkałem się z twoimi rodzicami.

- Przynajmniej udało mi się pana odnaleźć i sprawić, że pan ją odwiedził.

- A co porabiałeś w tym czasie?

Gdy chłopak drapał się po głowie, z włosów sypał mu się na spodnie łupież.

- Trochę zwiedzałem miasto.

- Za to akurat nie aresztują.

Steele westchnął i przestał drapać się po głowie.

- Zależy od tego, jakie widoki chce się oglądać. Powiedziałem jednemu facetowi w pubie, że jestem prywatnym detektywem. A on na to, że ma dla mnie robotę.

- Czyżby? - Uwagę Rebusa przyciągnęły gryzmoły na ścianie, które okazały się zwykłą grą w kółko i krzyżyk.

- Żona go zdradzała. Powiedział, że wie, gdzie ją mogę znaleźć, i podał jej opis. Dał mi dziesięć funciaków zaliczki z obietnicą, że dostanę więcej, jak tylko czegoś się dowiem.

- Mów dalej.

Andy Steele spojrział na sufit. Wiedział, że nie stawia się w dobrym świetle, ale i tak na wszystko inne było już za późno.

- To było mieszkanie na parterze. Obserwowałem je przez cały wieczór. Widziałem tę kobietę, ale nie było z nią żadnego mężczyzny. Więc podszedłem na tył budynku, żeby się lepiej przyjrzeć. Ktoś musiał mnie zobaczyć i zadzwonił na policję.

- Opowiedziałeś im swoją historię?

Steele skinął głową.

- Pojechaliśmy nawet do baru, ale nie było tam tego faceta i oczywiście nikt go nie znał. A on nie podał nawet swojego imienia.

- A czy opis tej kobiety był prawdziwy?

- Tak.

- Pewnie to była jego ekszona albo dawna kochanka. Może chciał ją przestraszyć i było to dla niego warte dziesięć funtów.

– Tylko że ta kobieta złożyła skargę. To chyba niezbyt dobry początek mojej kariery, panie inspektorze?

– To zależy – odpowiedział Rebus. – Twoja kariera prywatnego detektywa może nie być zbyt udana, ale jako zwykły podglądacz jesteś wschodzącą gwiazdą. – Widząc smutek Steele’a, Rebus postanowił trochę go pocieszyć. – Głowa do góry. Zobaczą, co się da zrobić.

Zanim jednak spróbował cokolwiek zrobić, Siobhan Clarke zadzwoniła do niego z Gorgie Street, by opowiedzieć o swoim spotkaniu z Rorym Kintoulem.

– Spytałam go, czy wiedział, że jego kuzyn uwielbia hazard. Nie chciał nic powiedzieć, ale mam wrażenie, że to rodzina o silnych więzach. W salonie było mnóstwo zdjęć różnych ciotek, wujków, braci i sióstr, bratanków, kuzynów, babć i dziadków...

– Rozumiem. Wspomniałaś o zbitej szybie?

– Tak się tym zainteresowałam, że aż musiał przytrzymać się brzegów fotela, by z niego nie wyskoczyć. Nie jest przesadnym gadułą, niestety. Sugerował, że pewnie zrobił to jakiś pijak.

– Może to ten sam pijak, który wsadził mu nóż w bok?

– Inaczej sformułowałam to pytanie, ale i tak nie odpowiedział. Nie wiem, czy to ważne, czy nie, zeznał jednak, że woził towar furgonetką kuzyna jako jego pracownik.

– Co? Oficjalnie zatrudniony?

– Tak. Skończył pracować u niego mniej więcej rok temu.

– Nie wiedziałem, że Bone ma furgonetkę. To będzie następny cel.

– Słucham?

– Furgonetka. Najpierw zbili mu szybę wystawową, a jeśli to nie zadziała, to teraz podpalą furgonetkę.

– Mówi pan, że chodzi o długi za ochronę?

– Może za ochronę, a może jest winien komuś kasę za przegrane zakłady. A co ty o tym myślisz?

– Próbowałam to wyciągnąć od Kintoula.

– I co?

- Zaśmiał się.
- Całkiem niezła odpowiedź.
- Tak, facet nie jest zbyt kontaktowy.
- Więc nie chodzi o zakłady pieniężne. Muszę to przemyśleć.
- Gdy rozmawialiśmy, pojawił się jego syn.
- Opowiedz o nim.
- Siedemnastolatek, bez pracy. Ma na imię Jason. Gdy Kintoul powiedział mu, że jestem z dochodzeniówki, wyraźnie się przestraszył.
- To naturalna reakcja nastolatka na zasiłku. Pewnie myśli, że się do nich dobieramy.
- Ale chodziło jeszcze o coś.
- O co?
- Nie wiem. Może to co zwykle: narkotyki i gangi uliczne.
- Sprawdzimy, czy mamy go w kartotece. A jak tam operacja Worki Pieniędzy?
- Szczerze? Woląabym zszywać worki z pocztą.
- Rebus się uśmiechnął.
- Przynajmniej zdobywasz nowe doświadczenia, Clarke. - Odłożył słuchawkę.

**Z NIEPOJĘTYCH PRZYCZYŃ** Rebus zapomniał wczoraj zapytać Pata Caldera o notatkę na wewnętrznej stronie okładki zeszytu z przepisami Ringana. Nie chciał dopuścić do siebie myśli, że od zadania tego pytania odwiodły go zgrabne nogi Mairie albo widok tyłu Elvisów. Przed wyjściem z komendy sprawdził w kartotece, czy Jason Kintoul jest notowany. W jakiś dziwny sposób pistolet pod siedzeniem kierowcy sprawiał, że jego umysł się wyostrzył. Jazda do Colonies nie trwała zbyt długo.

Pat Calder był zaskoczony, gdy zobaczył inspektora.

- Dzień dobry - powitał go Rebus. - Tak właśnie myślałem, że zastanę cię w domu.

- Zapraszam, inspektorze.

Rebus wszedł do mieszkania. Salon był bardziej zabałaganiony niż podczas poprzedniej wizyty i inspektor zaczął się zastanawiać, kto z tej pary dbał o porządek. Eddie Ringan wyglądał na flejtucha i nawet się tak zachowywał, ale trudno było z tego wyciągać jakieś ostateczne wnioski.

– Przepraszam za bałagan.

– Nie szkodzi. Przecież masz tyle spraw na głowie.

Powietrze było stęchłe jak w niewietrzonym pokoju, w którym spało kilka osób, albo jak w szatni sportowej. Jedna osoba nie mogła wytworzyć takiego zaduchu. Rebus natychmiast pomyślał o szczupłym młodym barmanie, który towarzyszył Calderowi w kostnicy...

– Właśnie załatwiam formalności pogrzebowe – oznajmił Pat Calder. – Ceremonia ma się odbyć w poniedziałek. Pytali, czy będą rodzina i przyjaciele. Odpowiedziałem, że Eddie nie miał żadnej rodziny.

– Ale miał za to dobrych przyjaciół.

Calder się uśmiechnął.

– Dziękuję, panie inspektorze. Czy jest coś szczególnego, w czym mógłbym pomóc?

– Jest coś takiego, co znalazłem w restauracji po wybuchu gazu.

– Tak?

– Pewna wiadomość, która brzmi: *Ja tylko odkręciłem gaz...*

Calder zamarł.

– Jezu. To jednak było samobójstwo?

Rebus wzruszył ramionami.

– Z tej notki to nie wynika. Znaleźliśmy ją na wewnętrznej stronie okładki brulionu z notatkami.

– Chodzi o zeszyt z przepisami Eddiego?

– Tak.

– Właśnie zastanawiałem się, co się z nim stało.

– To zdanie zabazgrano długopisem. Wziąłem zeszyt do analizy.

– Może miało to coś wspólnego z jego koszmarami sennymi?

– Właśnie tak myślałem. Tylko wszystko zależy od tego, co mu się śniło, prawda? Koszmary zwykle dotyczą tego, czego się człowiek boi albo

tego, co zrobił.

– Nie jestem psychologiem.

– Ja też nie – odparł Rebus. – Rozumiem, że Eddie miał klucze do restauracji?

– Tak.

– Przy ciebie nie było żadnych kluczy. Czy znalazłeś je może podczas pakowania pamiątek po Elvisie?

– Nie. Więc jak on się dostał do środka bez kluczy?

– Powinien pan pracować w wydziale śledczym, panie Calder. Nad tym właśnie się zastanawiałem. – Rebus wstał z sofy. – Przepraszam za najście.

– Nie ma sprawy. Czy może pan powiedzieć Brianowi o pogrzebie? Odbędzie się na cmentarzu Warriston o drugiej.

– W poniedziałek o drugiej. Powiem mu. A, i coś jeszcze. Czy prowadził pan notatki z rezerwacji stolików?

Calder zdziwił się tym pytaniem.

– Oczywiście.

– To świetnie. Czy mógłbym rzucić na nie okiem? Może są tam jakieś nazwiska, które tobie nic nie powiedzą, ale dla policji mogą okazać się ważne.

Calder skinął głową.

– Rozumiem, do czego pan zmierza. Wybieram się do Heartbreak Cafe w porze lunchu. Znajdę te zapiski.

– Ciągle tam sprzątasz?

– Nie. Spotykam się z potencjalnym kupcem. Jedna z pizzerii rozwija swoją sieć.

**COKOLWIEK PAT CALDER** ukrywał, to efekt jego starań był zaledwie średni, Rebusowi jednak nie chciało się odgrzebywać jego tajemnic. Miał dosyć swoich zmartwień. Po pierwsze, nowy pistolet. Poprzedniego wieczoru obejrzał go dokładnie w samochodzie. Trzymał palec na spuście. Dokładnie tak, jak uczył go instruktor w wojsku – mocno, ale bez zbędnego napięcia. Jakby to była erekcja, którą chce się przedłużyć.



Myślał o odwiecznym problemie dobra i zła. Jeśli człowiek miał złe myśli – fantazje o okrucieństwie i pożądaniu – to wcale nie znaczyło, że jest zły. Ale jeśli umysł był pełen cywilizowanych myśli, a człowiek pracował jako oprawca... Wszystko sprowadzało się do tego, że ludzie są osądzeni wedle swoich czynów i po tym, jak funkcjonują w społeczeństwie, a nie po tym, co mają w głowie. Więc nie miał powodu, by czuć się źle z tym, że ma ponure i pełne nienawiści myśli. Oczywiście dopóki nie zamieni ich w czyny. Wyjście poza same myśli przyniosłoby jednak ukojenie. A nawet więcej, dałoby poczucie sprawiedliwości.

Zatrzymał samochód przy pierwszym kościele, obok którego przejeżdżał. Przez wiele ostatnich miesięcy nie miał ochoty na modlitwę; zawsze coś sobie tłumaczył i obiecywał, że będzie bardziej się starał. Dzięki Patience niedzielne poranki były takie wspaniałe.

Ktoś grubym pisakiem poprawił napis na drewnianej tablicy ogłoszeniowej przed kościołem, zmieniając słowa *Matki Boskiej Wiecznej Pomocy* na *Matki Boskiej Wiecznego Piekła*. To nie najlepsza prognoza, pomyślał Rebus, ale i tak wszedł do środka. Usiadł na chwilę w ławce. Oprócz niego w kościele nie było zbyt wielu duszyczek. Wziął do ręki modlitewnik i wpatrywał się w czarną okładkę, zastanawiając się, dlaczego ma poczucie winy. W końcu jakaś kobieta wyszła z konfesjonału i założyła chustę na głowę. Rebus wstał i podszedł tam. Siedział przez minutę w ciszy, myśląc o tym, jak zacząć.

– Wybacz mi, ojcze, bo zamierzam zgrzeszyć.

– To jeszcze nie jest pewne, synu. – Zza kratki usłyszał głos z irlandzkim akcentem. Było w nim tyle mocy, że Rebus już czuł się pokrzepiony i prawie się uśmiechnął.

– Nie jestem nawet katolikiem – wyznał.

– To z pewnością prawda, co mówisz, ale jesteś chrześcijaninem?

– Chyba tak. Chodziłem do kościoła.

– A wierzysz?

– Nie potrafię nie wierzyć, ale... – Nie dodał, jak słabo się starał.

– Więc opowiedz mi o swoim problemie.

– Ktoś grozi mnie, moim przyjaciółom i rodzinie.

– Poszedłeś z tym na policję?

– Ja jestem z policji.

– Więc masz zamiar wziąć sprawiedliwość w swoje ręce, jak to mówią w filmach?

– Skąd ojciec wie?

– Nie jesteś pierwszym, który wyznaje coś takiego w konfesjonale. W policji jest jeszcze kilku katolików. – Tym razem Rebus się uśmiechnął.

– Więc co zamierzasz zrobić?

– Mam broń.

Z drugiej strony usłyszał głębokie westchnienie.

– To poważna sprawa. Tak. Poważna. Ale jeśli użyjesz broni, to zmienisz się w jednego z tych, których tak bardzo nienawidzisz. Zmienisz się w nich. – Ksiądz wręcz wysyczał ostatnie słowo.

– No i co z tego?

– Więc musisz sam siebie zapytać, czy potrafisz żyć przez resztę życia z pamięcią i winą. – Przerwał na moment. – Wiem, jak wy, kalwiniści, myślicie. Wydaje się wam, że żyjecie według przeznaczenia od samego początku, więc dlaczego by nie wzniecić piekła już teraz, zanim tam dotrzecie? Ale ja mówię o tym życiu, a nie o następnym. Czy chcesz żyć w czystości, zanim umrzesz?

– Nie.

– Byłbyś cholernym idiotą, gdybyś powiedział coś innego. Przywiąż ten pistolet do kamienia i wrzuc go do zatoki, czyli tam, gdzie jego miejsce.

– Dziękuję ci, ojczu.

– Cała radość po mojej stronie. Synu?

– Tak, ojczu?

– Przyjdź jeszcze raz pogadać ze mną. Chciałbym więcej dowiedzieć się o szaleństwach, jakie wy, protestanci, wymyślacie. Da mi to trochę pożytki do myślenia, gdy nie będzie nic dobrego w telewizji.

REBUS NIE SPĘDZIŁ ZBYT DUŻO CZASU na Gorgie Road. To śledztwo do niczego nie prowadziło. Wywołano zdjęcia, zidentyfikowano kilka osób. Namierzeni byli drobnymi rzeźmieszkami, starymi skazańcami i przypadkowymi ludźmi. Drobne płatki – znaczyli nie więcej niż kaczką krzyżówką na brzegu bajorka. Flowerowi też nie dopisało szczęście, co bardzo odpowiadało Rebusowi. Nie mógł się doczekać, kiedy ten facet złoży rozliczenie wydatków za te wszystkie drinki.

Poczuł się lepiej po rozmowie z księdzem, którego nazwiska, jak sobie dopiero teraz zdał z tego sprawę, nawet nie znał. Ale przecież o to chyba w tym wszystkim chodziło? Stowarzyszenie Anonimowych Grzeszników. Mógłby nawet spełnić życzenie księdza i jeszcze raz z nim porozmawiać. A dziś w nocy pojedzie na brzeg zatoki i pozbędzie się pistoletu. To był zwariowany pomysł od samego początku. W pewnym sensie samo kupienie pistoletu już mu wystarczyło. Przecież i tak nigdy by go nie użył. A może...

Zaparkował przed komendą przy St Leonard's i wszedł do środka. W recepcji czekała na niego jakaś paczuszka – zeszyt z rezerwacjami stolików restauracji Heartbreak Cafe. Calder dołączył do niego małą notkę: *Elvis przecież jadł pizzę, prawda?* Więc wyglądało na to, że Heartbreak zamieni się we włoskopodobną knajpkę z pizzą.

Gdy Rebus odczytywał notatkę, oficer dyżurny zadzwonił na górę i jego głos nagle ściszył się niemal do szeptu.

– O co chodzi? – zapytał Rebus, gdy wydało mu się, że wychwytał charakterystyczne „Jest tutaj”.

– Nic, panie inspektorze – odpowiedział oficer dyżurny.

Rebus próbował wymusić na nim wzrokiem jakąś pełniejszą odpowiedź, ale bez powodzenia. Gdy się odwrócił, otworzyły się z rozmachem wewnętrzne drzwi i stanęły w nich Siostry Brzydule: Lauderdale i Flower.

– Czy mogę dostać twoje kluczyki do samochodu? – domagał się Lauderdale.

– O co chodzi? – Rebus spojrział na Flowera, którego twarz przypominała księdza podczas palenia skazanego na stosie.

- Proszę o kluczyki. - Lauderdale nadzwyczaj zdecydowanym gestem wyciągnął rękę.

Rebus pomyślał, że gdyby odszedł, zostałaaby tak wyprostowana przez wiele godzin. Podał mu kluczyki.

- To niezły złom. Jeśli nie kopnie go pan we właściwe miejsce, może nie zapalić. - Wyszedł z nimi na parking.

- Nie zamierzam nigdzie nim jechać - powiedział Lauderdale. Zabrzmiało to groźnie, lecz tak naprawdę zaniepokoiło Rebusa milczenie Flowera. I wreszcie zrozumiał! Chodziło im o pistolet! Wiedzieli o jego broni. Tak, przecież cały czas leżała pod siedzeniem kierowcy. A gdzie indziej miałby ją ukryć? W mieszkaniu, gdzie Michael mógłby ją znaleźć? Za paskiem spodni? Nie. Więc zostawił ją w samochodzie.

Lauderdale otworzył drzwi saaba i odwrócił się do Rebusa. Rękę znów miał wyciągniętą.

- Pistolet, inspektorze. - A gdy Rebus nawet się nie poruszył, powtórzył: - Proszę dać mi ten pistolet.

## Rozdział 24

**PODNIÓSŁ PISTOLET I POCIĄGNAŁ** za spust – jeden, dwa, trzy strzały. I opuścił broń.

Zdjęli słuchawki z uszu. Specjalista z laboratorium policyjnego strzelał do czegoś, co wyglądało jak drewniana skrzynia. Potem kule zostaną wyjęte z wnętrza i poddane ekspertyzie. Laborant wsunął broń do woreczka foliowego i zdjął lateksową rękawiczkę.

– Damy wam znać, jak tylko coś będziemy wiedzieć – powiedział do komendanta Watsona, a ten skinął głową, gdy laborant opuszczał pomieszczenie.

Po jego wyjściu Watson zwrócił się do Lauderdale'a:

– Powiedz mi, o co w tym wszystkim chodzi, Frank?

Szef dochodzeniówki odetchnął głęboko. Już po raz trzeci będzie musiał opowiedzieć całą historię Watsonowi, ale nie miał do niego pretensji. Żadnej.

– Inspektor Flower przyszedł do mnie dziś przed południem i powiedział, że otrzymał informację...

– Od kogo?

– Ktoś do niego zadzwonił.

– Nieznany rozmówca oczywiście.

– Tak. – Lauderdale znów głęboko westchnął. – Rozmówca powiedział mu, że pistolet, który został użyty w strzelaninie w hotelu Central pięć lat temu, jest w posiadaniu inspektora Rebusa. I potem się rozłączył.

– I mamy wierzyć, że pięć lat temu Rebus zastrzelił kogoś w tym hotelu?

– Wiem tylko tyle, że w jego samochodzie znaleźliśmy pistolet. I sam przyznał się, że jest na nim pełno jego odcisków palców. Czy jest to ten

sam pistolet, z którego popełniono zbrodnię, czy też nie, będziemy wiedzieli dopiero pod koniec dnia.

– Nie bądź taki, kurwa, zadowolony z siebie! Obaj dobrze wiemy, że to próba wrobienia Rebusa.

– A jednak, panie komendancie – tłumaczył Lauderdale, ignorując wybuch przełożonego – Rebus prowadził prywatne śledztwo dotyczące hotelu Central. Kartoteki są nadal na jego biurku. Nie chciał nikomu powiedzieć, dlaczego się tym zajął.

– Więc coś odkrył, a teraz ktoś się go boi. I dlatego podrzucili mu...

– Z całym szacunkiem, panie komendancie – przerwał mu Lauderdale.

– Nikt mu niczego nie podrzucił. Rebus przyznał się, że kupił pistolet od kogoś, kogo nazwał „nieznajomym”. Poprosił, by ten „nieznajomy” zdobył dla niego broń.

– Po co?

– Powiedział, że próbowano go zastraszyć. Oczywiście mógł kłamać.

– Co masz na myśli?

– Może ten pistolet był wskazówką, która sprawiła, że zaczął wertować akta sprawy hotelu Central. On tak kręci w swoich zeznaniach, że nie możemy oskarżyć go o zatrzymanie dowodu przestępstwa.

– A co ty o tym wszystkim myślisz?

– Nie mam żadnych uprzedzeń, panie komendancie...

– Dawaj, Frank. Wszyscy wiemy, że nie cierpisz dupy Rebusa. Gdy zobaczył, jak ty i Flower do niego podchodzicie, to od razu musiał pomyśleć, że zbliża się komitet, który zawiedzie go na szubienicę.

Lauderdale zdobył się na niby-uśmiech.

– Zostawmy kwestie personalne, panie komendancie. Nawet jeśli będziemy się trzymać gołych faktów, to inspektor Rebus ma spore kłopoty. Dobrze, założmy, że naprawdę kupił ten pistolet, ale to przecież trefny towar. Potraktowano go pilnikiem.

– Jest z nim gorzej, niż myślałem – mruknął Watson – odkąd rzuciła go dziewczyna. A miałem wobec niego takie plany.

– Panie komendancie?

– Dzięki niej zaczął nosić lepsze ciuchy. Zaczął nawet wyglądać... jakby czekał go awans.

Szef dochodzeniówki omal nie zadławił się własnym językiem.

– Głupi gnojek – ciągnął Watson. Lauderdale pomyślał, że to komentarz pod adresem Rebusa. – Lepiej z nim porozmawiam.

– Czy chce pan, żebyśmy...?

– Chcę, żebyś został tu i poczekał na wyniki badania broni. Gdzie jest Flower?

– Z powrotem na służbie.

– Czyli w pubie. Z nim też będę chciał porozmawiać. Śmieszne, że to anonimowe „Głębokie Gardło” dotarło do oficera z St Leonard’s, który nienawidzi Rebusa tak samo jak ty.

– Panie komendancie...

– Przecież ty go nienawidzisz, Lauderdale.

**REBUSOWI JEDNAK PRZEKAZANO** już, że telefon odebrał nie Flower, lecz młodszy inspektor, który wiedział, że ten nie lubi Johna Rebusa. Zadzwoił więc do pubu, a Flower pognął na St Leonard’s niczym koń wyścigowy, by naradzić się z Lauderdale’em.

Rebus poznał szczegóły, bo miał na to trochę czasu, gdy góra była w laboratorium policyjnym przy Fettes. Zdawał sobie sprawę, że musi działać szybko, bo Watson zawiesi go, jak tylko stamtąd wróci. Znalazł dużą torbę i wpakował w nią teczki ze śledztwa dotyczącego hotelu Central i zeszyt z rezerwacjami stolików w Heartbreak Cafe. Wziął to wszystko do swojego samochodu i wrzucił do bagażnika, czyli pewnie do pierwszego miejsca, do którego Watson będzie chciał zajrzeć.

Jezu, przecież planowałem pozbyć się tego gnata dziś w nocy, pomyślał z żalem.

Lauderdale wspomniał, że pistolet prawdopodobnie został użyty do popełnienia zabójstwa w hotelu Central. No dobrze, to będzie łatwe do udowodnienia albo odrzucenia. W posiadaniu policji nadal znajdował się pocisk, który spowodował śmierć ofiary. Rebus żałował, że nie przyjrzał

się dokładnie temu pistoletowi. Wyglądał na nieużywany, może z wyjątkiem tej jednej nocy.

Nie miał wątpliwości, że to jest właśnie narzędzie tamtej zbrodni. Zastanawiał się tylko, w jaki sposób, do licha, udało im się tak go zrobić. Odpowiedzi mogło dostarczyć jedynie przeanalizowanie wydarzeń z niedawnej przeszłości. Deek Torrance dostarczył mu broń. Więc w jakiś sposób musiała się dostać w jego ręce. No dobrze, Rebus sam rozpuścił wici, że chce się spotkać z Torrance'em. I wieść rozeszła się po mieście. Ktoś to usłyszał i zainteresował się. Zapytano Torrance'a, jakie ma związki z Johnem Rebusem. I kiedy inspektor poprosił o załatwienie pistoletu, Torrance zadzwonił do nich i przekazał informacje.

No cóż, tak to właśnie musiało być. Rebus sam się wystawił, próbując kupić pistolet. I wtedy oni wiedzieli już, co dalej z tym wszystkim zrobić. Podłożenie broni byłoby zbyt oczywiste. I nikt nie poniósłby za to odpowiedzialności. Ale sprawę i tak trzeba by wyświetlić. Takie śledztwo mogło jednak trwać miesiącami, a w tym czasie Rebus będzie zawieszony. W ten właśnie sposób chcieli się go pozbyć, i to wszystko na ten temat. Bo był zbyt blisko rozwiązania.

Uśmiechnął się do siebie. Nie był wcale bliżej niż Alaska... chyba że natrafił na coś, z czego dotąd nie zdawał sobie sprawy. Zrozumiał, że musi wszystko przeanalizować od początku, szczególnie po szczególe. To, niestety, pochłonie dużo czasu, czasu, którego najprawdopodobniej wcale nie dostanie od Watsona.

Więc gdy wszedł do gabinetu komendanta, zaskoczył szefa spokojem.

– John – odezwał się Watson po tym, jak poprosił go, by usiadł – skąd to się bierze, że zawsze w coś się wtaranisz?

– Bo zawsze wymawiam magiczne zaklęcie, panie komendancie.

– A jakie jest to twoje magiczne zaklęcie?

Rebus bardzo się zdziwił tym, że Watson nie znał magicznego zaklęcia.

– Abrakadabra, panie komendancie.

– John, zawieszam cię.

– Dziękuję, panie komendancie – odpowiedział Rebus.



TEN WIECZÓR SPĘDZIŁ NA poszukiwaniu Deeka Torrance'a. Pojechał nawet na South Queensferry – do najbardziej zapomnianego miejsca. Torrance zapłaciłby sporo, by jak najszybciej wynieść się z miasta. Teraz mogło nawet nie być go już na zachodniej półkuli. A może uciszyli go w bardziej trwały sposób?

– Okazałeś się niezłym kolesiem z wojska – mruknął do siebie Rebus i powtórzył to kilka razy. By zamknąć jakoś ten krąg nieszczęść, udał się do ulubionego salonu masażu. Zawsze wydawało mu się, że jest jedynym klientem, i zastanawiał się, skąd Organ Grinder bierze pieniądze na życie. Teraz już wiedział. Organ Grinder przyjmował też zlecenia na mieście. Wystarczył bogatszy klient albo choćby z odpowiednią reputacją.

– Od jak dawna jeździsz do niego? – zapytał Rebus. Leżąc na stole do masażu, zdawał sobie sprawę, że Organ Grinder bez trudu mógł złamać mu kark lub przetrącić kręgosłup. Nie sądził jednak, że do tego dojdzie. Miał nadzieję, że przynajmniej w tej sytuacji intuicja go nie zawiedzie.

– Od kilku miesięcy. Ktoś z klubu rekreacyjnego powiedział jego żonie o mnie.

– Znasz ją dobrze?

– Wcale nie. Ona uważa, że jestem za mało delikatny.

– To naprawdę komiczne, zwłaszcza jeśli padają z ust żony Dużego Gera Cafferty'ego.

– On jest na bakier z prawem?

– A skąd to przypuszczenie?

– Zapomina pan, że mieszkam tu już od dawna.

To prawda. Rebus zapomniał, że Organ Grinder pochodzi z północnego Londynu. Gdy był w dobrym nastroju, opowiadał niezwykle historie o tym mieście.

– Wiesz coś o nim, co chciałbyś mi powiedzieć? – zaryzykował Rebus, mimo że dłonie Organa spoczywały na jego karku.

– Nic specjalnego. Milczenie jest złotem, panie inspektorze.

– Aż za dużo tego złota dokoła. Widziałeś kiedyś kogoś w jego domu?

– Tylko żonę i szofera.

- Szofera? Masz na myśli tego człowieka górę ze skłębioną kulką ciała zamiast ucha z lewej strony?

- To chyba wyjaśnia, po co ta dziwaczna fryzura - mruknął Organ Grinder.

Gdy skończył się masaż, Rebus wrócił do mieszkania. Brat oglądał nocny film. Niemal zapadł w hipnotyczny trans; blask ekranu odbijał się od jego twarzy. Rebus podszedł do telewizora i wyłączył go. Michael nadal wpatrywał się w ekran i nawet nie mrugnął okiem. W rękach trzymał kubek z zimną herbatą. Rebus zabrał go i odstawił na bok.

- Mickey - powiedział. - Muszę z kimś porozmawiać.

Brat mrugnął, potem spojrział na niego.

- Zawsze przecież możesz porozmawiać ze mną - oznajmił. - Dobrze o tym wiesz.

- Tak, wiem - odparł Rebus. - Mamy jeszcze coś wspólnego ze sobą.

- Co?

Rebus usiadł.

- Obydwoj zostaliśmy zawieszeni.

## Rozdział 25

KOMENDANT WATSON NIE CIERPIAŁ tych sobotnich poranków, gdy żona starała się namówić go, by pojechał z nią na zakupy. Nudne godziny spędzone w sklepach wielobranżowych i odzieżowych, nie mówiąc już o supermarketach, gdzie żona robiła z niego królika doświadczalnego i zmuszała do próbowania malajskich gotowych posiłków, które wystarczy tylko włożyć do mikrofalówki, albo dziwacznie wyglądających owoców, których nazwy nie da się nawet wymówić. A najgorsze było oczywiście to, że obserwował innych mężczyzn, którzy znaleźli się w takim samym położeniu. Aż dziwne, że żaden z nich nie stracił cierpliwości i nie zaczął krzyczeć, wypominając, że to właśnie mężczyźni byli kiedyś łowcami, zawziętymi i dumnymi karmicielami i władcami ludzkiego stada.

Tego ranka miał jednak niezłą wymówkę związaną z pracą. Zawsze starał się mieć jakiś powód usprawiedliwiający wypad do komendy przy St Leonard's lub zajęcie się dokumentami, które przyniósł z biura. Usiadł w swoim gabinecie i słuchając Radia Szkocja, rozkoszował się czytaniem gazety i kompletną ciszą w domu. Nagle zadzwonił telefon, co lekko go zdenerwowało, dopóki nie przypomniał sobie, że właśnie na niego czekał. To z laboratorium balistycznego z Fettes. Po zakończeniu rozmowy znalazł odpowiednią wizytówkę i wykręcił widniejący na niej numer.

– Masz się stawić w moim gabinecie w poniedziałek rano – nakazał Rebusowi. – Na oficjalne przesłuchanie.

– Rozumiem, że kupiłem trefny pistolet.

– Nie tylko trefny, ale też narzędzie zbrodni.

– Pociski pasowały do lufy?

– Tak.

– Pan wiedział, że będą pasowały – odparł Rebus. – Ja też.

– Dziwna sprawa, John.

- Taka widocznie ma być.
- Dla ciebie i dla mnie.
- Z całym szacunkiem, panie komendancie. Nie sądzę, że dla pana.

**GDY SIOBHAN CLARKE OBUDZIŁA** się rano, spojrzała na zegarek i zerwała się z łóżka. Chryste, była prawie dziewiąta. Odkręciła kran nad wanną i zaczęła szukać czystej bielizny w garderobie, gdy wreszcie to do niej dotarło. Przecież jest weekend! Nie ma się dokąd spieszyć. Wręcz przeciwnie. Zmiennicy przejęli operację Worki Pieniędzy na ten weekend, by sprawdzić, czy nie ma żadnego ruchu w biurze Dougary'ego. Wydział Standardów Handlowych twierdził, że soboty i niedziele są dla Dougary'ego dniami świętymi. Nawet nie zbliży się do Gorgie Road. Ale musieli się upewnić, więc w ten weekend zespół zmienników obserwował jego lokal. Jeśli nic się nie wydarzy, to w następny weekend dadzą sobie spokój. Dougary chadzał po utartych ścieżkach. Clarke zwykle nie musiała siedzieć na miejscu dłużej niż do piątej trzydzieści, a czasem mogła nawet skończyć pracę trochę wcześniej. I bardzo się z tego cieszyła. Oznaczało to, że będzie mogła wyskoczyć do Dundee po godzinach.

Zaplanowała kolejną wycieczkę na ten rano, ale miała jeszcze ponad godzinę do wyjazdu. Zorganizowała to tak, że wróci do Edynburga, zanim Hibsi rozpoczną grę ze środka boiska.

Czas na kawę. W salonie miała bałagan, ale nie bardzo jej przeszkadzał. Domowe obowiązki zostawiała zwykle na niedzielny poranek. To była dobra strona mieszkania solo – można było bałaganić, ile się tylko chciało. Nikt z tego powodu nie narzekał ani nie marudził. Torebki po chipsach, kartony po pizzy, butelki po winie, wypróżnione w trzech czwartych, stare gazety i czasopisma, pudełka od CD, ciuchy, otwarte i nieotwarte listy, talerze, sztucce i każdy kubek, jaki miała – to wszystko można było znaleźć w jej salonie. Gdzieś pod tymi śmieciami stała kanapa i leżał bezprzewodowy telefon.

Właśnie dzwonił. Sięgnęła pod karton po pizzy, wzięła słuchawkę do ręki i wyciągnęła antenkę.

- To ty, Clarke?

- Tak, panie inspektorze. - Dzwoniła osoba, której się spodziewała, czyli John Rebus. Clarke przeszła przez mieszkanie do łazienki.

- Okropne zakłócenia - zauważył.

- Zakręcałam wodę w wannie.

- Jezu, jesteś w...

- Nie, panie inspektorze. Jeszcze nie. To telefon bezprzewodowy.

- Nienawidzę tych wynalazków. Rozmawiasz z kimś przez pięć minut, a potem słyszysz, jak spuszcza wodę. Okropność. A która to godzina?

- Właśnie minęła dziewiąta.

- Naprawdę? - Rebus miał zmęczony głos.

- Panie inspektorze? Słyszałam, że pana zawieszono.

- Takie życie.

- Wiem, że to nie moja sprawa, ale po co panu był ten pistolet?

- Do ochrony psychicznej.

- Słucham?

- Tak nazywa to mój brat. On się na tym zna, bo był kiedyś hipnotyzerem.

- Panie inspektorze? Czy dobrze się pan czuje?

- Doskonale. Jedziesz na mecz?

- Nie, jeśli mnie pan potrzebuje.

- Zastanawiam się, czy... masz jeszcze teczki z materiałami o Caffertym?

Clarke przeszła do salonu. Tak, nadal je miała. Ich zawartość leżała porozkładana na stoliku do kawy, na biurku i na połowie stolika śniadaniowego.

- Tak, panie inspektorze.

- A mogłabyś je przywieźć do mojego mieszkania? Mam tylko teczki ze sprawą hotelu Central. Gdzieś w nich musi być jakiś trop, który przegapiłem.

- Chce je pan zbadać krzyżowo z materiałami o Caffertym? To kawał roboty.

- Nie, jeśli będzie nad tym pracowało dwoje ludzi.
- O której mam być u pana?

**SOBOTA W DOMU CIOCI BRIANA** Holmesa w Barnton była trochę jak niedziela, z tą różnicą, że w sobotę nie musiał się wymigiwać przed towarzyszeniem jej w mszy w kościele prezbiteriańskim. Czy to dziwne, że odkrywszy Heartbreak Cafe z jego pełnym urokiem wnętrzem i dobrą kuchnią, spędzał tam tyle czasu? Ale te dni już minęły. Próbował pogodzić się z myślą, że Elvis nie żyje, choć było to trudne. Nie zje już nigdy krewetek King Shrimp Creole, deseru Blue Suede Choux czy In the Gateau i nie wypije też koktajlu Blue Hawaii. Nie posiedzi już do późnego wieczoru, pijąc tequilę (oczywiście z Jose Cuervo Gold) lub Jima Beama (ulubiony bourbon Eddiego).

„Trzymaj się Beama”, powtarzał często Eddie.

- No już, już, mały.

O, świetnie. Znowu ciotka złapała go na tym, że gada do siebie. Przyniosła mu kubek z naparem ziołowym.

- Ciociu, ale to piję przed snem - zaproponował. - A nie ma nawet jeszcze południa.

- To cię uspokoi, Brian.

Upił troszkę. Hm, nawet nie smakowało tak źle. Pat wpadł zapytać, czy będzie niósł trumnę w poniedziałek.

„To dla mnie wielki honor”, odpowiedział mu Holmes. I naprawdę tak uważał. Pat unikał patrzenia prosto w oczy. Może też myślał o tych wieczorach spędzonych na wymianie plotek przy barze. Jednej nocy rozmawiali o szkockich katastrofach. Eddie nagle oznajmił, że był w hotelu Central, gdy wybuchł pożar.

- Zastępowałem jednego gościa, kasa do łapy i nikt nie zadawał zbędnych pytań. Ledwo trzymałem się na nogach po jednej zmianie w Eyrie.

- Nie wiedziałem, że pracowałeś w Eyrie.

– Byłem asystentem samego wielkiego szefa kuchni. Jeśli w tym roku nie dostanie rekomendacji do gwiazdki Michelina, to może zrezygnować z pracy.

– Więc co się stało w Central? – Głowa Holmesa nie była całkowicie otumaniona trunkami.

– Grali w pokera, gdzieś w pokoju na pierwszym piętrze. – Eddie zaczął tracić film, powoli zapadając w alkoholowy sen. – Tam i Eck szukali gości do gry...

– A kto to Tam i Eck?

– Tam i Eck Robertsonowie...

– I co się stało?

– Nie wygląda zbyt dobrze, Brian – wtrącił się Pat. – Spójrz na niego.

Choć Eddie miał otwarte oczy, jego głowa spoczywała na ramionach rozłożonych szeroko na barze. Aż zasnął.

– Mój kuzyn był w Ibrox w dniu tego wielkiego karambolu samochodowego – wyjąwił Pat, myjąc kufel.

– A pamiętasz, gdzie byłeś tego wieczoru, gdy umarł Jock Stein? – zapytał Holmes. Jeszcze sporo historii się przetoczyło przez bar tego wieczoru. Ale Eddie przespał je wszystkie.

Teraz zasnął na wieki. A Holmes miał nieść trumnę jako czwarty. Zadał jeszcze Patowi kilka pytań.

– Dziwne – zauważył Pat. – Ten twój Rebus pytał o to samo.

Brian ucieszył się w duchu, że sprawa jest w dobrych rękach.

**REBUS WYBRAŁ SIĘ NA SOBOTNIĄ** przejażdżkę samochodową w porze lunchu. Ponieważ trzymał się z dala od Princes Street, miasto wydawało się trochę luźniejsze. Przynajmniej do około drugiej trzydzieści, gdy wschodnia lub zachodnia jego część zapelniała się kibicami piłkarskimi, w zależności od tego, która drużyna grała na swoim boisku. A podczas meczów derbowych najlepiej było trzymać się jak najdalej od śródmieścia. Dziś na szczęście nie było derbów Edynburga; drużyna Hibsów siedziała w domach, więc miasto było spokojne.

- Pytał pan o niego w zeszłym tygodniu – przypomniał mu barman.

- Więc pytam jeszcze raz.

Znowu szukał Deeka Torrance'a. Tym razem była to misja „znajdź i zniszcz”. Wątpił jednak, że Torrance jeszcze przebywa w tych okolicach. Choć nieraz pieniądze i alkohol mogą tak namącić człowiekowi w głowie i wzmocnić pewność siebie, że przestaje obawiać się zagrożenia i zemsty. Rebus miał nadzieję, że Torrance gdzieś się tu jeszcze włóczy, wydając pieniądze zarobione na sprzedaży pistoletu. Te nadzieje zaczęły znikać wraz z odwiedzinami w kolejnych miejscach, w których nikt go już nie widział. Ale Rebus przynajmniej napatoczył się na Chicka Muira w klubie Leith i mógł przekazać mu informacje.

- To po prostu okropne – wymamrotał Chick. – Spróbuję coś wywąchać.

Rebus doceniał taki rodzaj współczucia. W przypadku Chicka to nie będzie trudne. Informatorów nazywa się czasem kablami, a plątanina kabli kontaktowych Chicka była niezmierną.

O pierwszej trzydziści Rebus wychodził z punktu przyjmowania zakładów. Więcej nadziei i uśmiechów można byłoby zobaczyć jedynie w hospicjum... a także mniej łez. Dziesięć minut później siedział w barze Sutherland, rozkoszując się podgrzany w mikrofalówce haggis z purée ziemniaczanym i gotowaną rzepą. Ktoś zostawił gazetę na krześle, więc zaczął ją czytać. Szczęśliwie natrafił na artykuł napisany przez Mairie Henderson.

- Spóźniłaś się – rzucił, gdy Mairie siadała obok.

Prawie wstała od stołu ze złości.

- Byłam tu już pół godziny temu. Piętnaście po pierwszej, tak jak się umówiliśmy. I czekałam do wpół do drugiej.

- A ja myślałam, że właśnie mamy się spotkać o wpół do drugiej – odparł Rebus beztrąsko.

- Nie było tu pana o wpół do drugiej. Ma pan szczęście, że wróciłam.

- A po co wróciłaś?

- Zostawiłam swoją gazetę. – Wyrwała mu ją z rąk.



– I tak nic ciekawego w niej nie ma. – Nabrał łyżką haggis i wpackował do ust.

– Myślałam, że tym razem pan stawia lunch.

Rebus wskazał głową ladę barową.

– Śmiało. Zamów sobie coś. Powiem, żeby dopisali do mojego rachunku.

Przez chwilę zastanawiała się, czy bardziej jest głodna, czy zła. Wróciła od lady z quichem i sałatką fasolową i złapała torebkę.

– Tu nie dopisują do rachunków – poinformowała go.

Rebus puścił jej oko.

– To taki mój mały dowcip. – Chciał wręczyć jej pieniądze, ale odwróciła się na pięcie i poszła za siebie zapłacić. Miała buty na niskich obcasach, takie jakby małe dziecięce martensy. I czarne rajstopy. W końcu usiadła koło niego i zdjęła płaszcz. Przez chwilę jeszcze mościła się na krześle.

– Napijesz się czegoś? – zaproponował Rebus.

– I co, może jeszcze mam zapłacić za kolejkę? – odpowiedziała jadownicie.

Pokręcił głową, więc zamówiła gin ze świeżo wyciśniętym sokiem pomarańczowym. Rebus przyniósł napoje; dla siebie wziął małego guinnessa. Podejrzewał, że w piwie było więcej substancji odżywczych niż w posiłku, który właśnie skończył jeść.

– Więc – zaczęła Mairie – jaki jest ten wielki sekret?

Rebus nakreślił swoje inicjały na gęstej pianie guinnessa, wiedząc, że zostaną na niej, nawet jak już opróżni szklanekę.

– Dostałem czerwoną kartkę.

To rzeczywiście ją zaskoczyło.

– Co? Został pan zawieszony? – Momentalnie przestała się na niego złościć. Znowu stała się reporterką węszącą za ciekawą historią. Rebus skinął głową. – Co się stało? – Pełna podniecenia, włożyła do ust widelec z fasolą nerkowatą i ciecierzycą.

Rebus przeszedł przyspieszony kurs rozpoznawania roślin strączkowych w kilku sesjach przy swoich studentach. Różnica między fasolą nerkowatą a ciecierzycą to była błahostka; potrafił doskonale odróżnić borlotti od pinto z odległości pięćdziesięciu metrów.

– Kupiłem broń, colta czterdziestkępiątkę. Może to była podróba, a może oryginał.

– I co? – Omal nie opluła go okruszkami kruchej bułki.

– To był pistolet użyty w strzelaninie w hotelu Central.

– Nie?! – Ten okrzyk sprawił, że wielu smakoszy alkoholu zwróciło w jej kierunku głowy, zanim upili kolejny łyk. Pub Sutherland był właśnie takim miejscem. Zamieszki na ulicy nie wywołałyby poważniejszego zainteresowania, co najwyżej jakiś pojedynczy suchy komentarz. Rebus wyobrażał sobie, że głowa Mairie jest po brzegi wypełniona pytaniami.

– Nadal pisujesz do niedzielnego wydania? – zapytał. Skinęła głową, starając się uporządkować kolejność pytań. – Wyświadczysz mi uprzejmość? Zawsze chciałem być na pierwszej stronie...

**REBUS WCALE JEDNAK NIE CHCIAŁ**, żeby jego nazwisko ukazało się w artykule. Dokładnie przeanalizowali wszystkie fakty w redakcji. I wreszcie mógł zwiedzić zakamarki siedziby gazety. Trochę się rozczarował – same klatki schodowe i otwarte przestrzenie biurowe. Tak naprawdę niewiele tu się działo. Cała akcja w zasadzie skupiała się nad biurkiem Mairie i w jej nowoczesnym edytorze tekstu.

Rozmawiali nawet z redaktorem niedzielnego wydania. Musieli się upewnić co do niektórych rzeczy. Taka była procedura z nieautoryzowanymi artykułami. Szkockie prawo nie przewidywało „niepotwierdzonych dowodów” i prasa starała się działać zgodnie z nim. W tym przypadku Rebus miał silne poparcie w kobiecie, której nazwisko pojawi się w podpisie pod artykułem. Po konferencji z niezłe zapewne wynagradzanym radcą prawnym gazety dostali pozwolenie na publikację i Mairie zaczęła wystukiwać na klawiaturze treść artykułu.

- Nie mogę jednak obiecać wam pierwszej strony - poinformował redaktor. - Zawsze może pojawić się jakieś nagłe wydarzenie, na przykład wypadek samochodowy z trzema ofiarami uwięzionymi w środku.

Rebus pozostał w redakcji, by zobaczyć, jak to się dalej potoczy. Kilka komend na komputerze Mairie pozwoliło na wysłanie tekstu do łamania, które odbywało się w zupełnie innym miejscu. Po chwili laserowa drukarka wypuła wydruk pokazujący, jak może wyglądać pierwsza strona w jutrzejszym porannym wydaniu. Na dole strony widniał tytuł wydrukowany wielkimi literami:

ODNALEZIONO NARZĘDZIE ZBRODNI - PIĘĆ LAT  
TAJEMNICY NIEWYJAŚNIONEGO MORDERSTWA

- To robocza wersja, tytuł będzie inny - wyjaśniła Mairie. - Redaktor puści artykuł, jak tylko przeczyta resztę.

- Dlaczego trzeba coś zmieniać?

- Po pierwsze, brzmi okropnie, po drugie, można zrozumieć, że śledztwo trwa już pięć lat. - Rzeczywiście. Rebus tego nie zauważył. Mairie zaczęła mu się przyglądać. - Czy to nie wpędzi pana w jeszcze większe kłopoty?

- A kto niby ma się dowiedzieć, że to ja sprzedałem ci tę historię?

Uśmiechnęła się.

- Na pewno każdy funkcjonariusz edynburskiej policji.

Rebus też się uśmiechnął. Kupił pastylki kofeinowe, dzięki którym od rana był na wysokich obrotach.

- Jeśli ktokolwiek się o to zapyta, będę musiał powiedzieć im całą prawdę - wyznał.

- A jaka jest ta cała prawda?

- Że to nie ja.

## Rozdział 26

PO POŁUDNIU REBUS ODPALIŁ studentom jeszcze więcej kasy, by wynieśli się z mieszkania na balangę aż do północy. Zastanawiał się, czy nie było to wręcz prekursorskie działanie w historii stosunków społecznych w Szkocji, że właściciel mieszkania płaci wynajmującym. Na weekend zostało ich tylko dwoje. Pozostała dwójka (wreszcie udało mu się ustalić, że wynajmuje mieszkanie czterem studentom, których nazwisk i tak do tej pory nie zdołał sobie przyswoić) wybyła do rodzinnych domów, żeby dać się dopieścić i dokarmić.

Michael został jednak w domu. Rebus wiedział, że to żaden kłopot. Albo brat zdrzemnie się w pakamerze, albo poogląda telewizję. Nie będzie mu przeszkadzał brak dźwięku, byle tylko coś działo się na ekranie.

Rebus odpowiednio się zaopatrzył – kupił prawdziwą kawę, mleko, piwo, napoje i przekąski. Dopiero w mieszkaniu przypomniał sobie, że Siobhan Clarke jest wegetarianką, i przeklął się za kupienie chipsów o smaku bekonu. Ale pocieszył się tym, że są przypuszczalnie sztucznie aromatyzowane, więc nie będzie miała z nimi problemu. Przyjechała o piątej trzydzieści.

– Wchodź, wchodź. – Poprowadził ją przez długi, ciemny korytarz do salonu. – To mój brat, Michael.

– Cześć, Michael.

– Michael, to jest detektyw Siobhan Clarke.

Michael skinął głową na powitanie, mrugając przy tym powoli.

– Pozwól, że wezmę twoją kurtkę – zwrócił się do niej Rebus. – A jak mecz?

– Bezbramkowy.

Odłożyła dwie torby na podłogę i zsunęła z siebie skórzaną kurtkę; Rebus powiesił ją w przedpokoju. Gdy wrócił, zauważył, że Clarke z pewnością

nieufnością ocenia stan salonu.

– Trochę niedopieczony – przyznał, choć spędził cały kwadrans na sprzątanii.

– Ale za to duży. – Nie zaprzeczyła nawet, że jest zaniedbany. Ledwie można było wyjrzieć przez wielkie okna. Wydeptany dywan wyglądał, jakby stado bydła urządziło na nim piknik połączony z linieniem. A jeśli chodzi o stan tapet... nie dziwiła się wcale studentom, że chcieli pokryć każdy centymetr kwadratowy plakatami z ulubionymi zespołami muzycznymi.

– Coś do picia?

Pokręciła głową.

– Weźmy się do roboty – rzuciła.

Nie tak to sobie wyobrażała. Brat zombi nie przyczynił się do wywarcia dobrego wrażenia. Ale też nie przeszkadzał. Zaczęli studiować materiały.

Godzinę później dotknęli zaledwie wierzchnich warstw sprawy. Clarke leżała na boku na podłodze z podkurczonymi nogami, podpierając głowę ramieniem. Właśnie piła drugą puszkę coli. Teczkę z dokumentami miała tuż przed sobą. Rebus siedział obok na sofie; jedną otwartą teczkę trzymał na kolanach, druga była rozłożona obok niego. Za uchem miał zatknięty ołówek jak rzeźnik czy kreatywny księgowy. Clarke trzymała ołówek w ustach, stukając nim od czasu do czasu o zęby, gdy była szczególnie zamyślona. W telewizji leciał beznadziejny teleturniej z historycznymi uczestnikami; całe szczęście, że bez dźwięku. Sądząc po jego wyrazie twarzy, Michael równie dobrze mógłby oglądać proces trybunału wojennego.

Wygrzebał się wreszcie z fotela.

– Czas udać się w objęcia Morfeusza – powiedział.

Clarke starała się ukryć zdziwienie, gdy nie skierował się do wyjścia z salonu, tylko ruszył do pakamery. Zamknął za sobą drzwi.

– Chciałbym osiągnąć dwie rzeczy – wyznał Rebus. – Ostatecznie zidentyfikować ofiarę zabójstwa.

– I zidentyfikować zabójcę? – domyśliła się Clarke.

Rebus pokręcił jednak głową.

– Chciałbym umiejscowić w tym wszystkim Dużego Gera.

– Przecież nie ma żadnego dowodu, że był blisko tych wydarzeń.

– I może nigdy nie będziemy go mieli. Ale mimo wszystko... Nadal nie wiemy, kto grał w pokera. Przecież nie sami bracia Bru-Head.

– Moglibyśmy jeszcze raz porozmawiać z gośćmi hotelu, którzy tam byli tej nocy.

– Tak, moglibyśmy – przyznał Rebus bez entuzjazmu.

– Albo moglibyśmy poszukać tych braci, zakładając, że żyją, i ich przesłuchać.

– Może ich kuzyni coś wiedzą.

– Kto? Kaloryfer McCallum?

Rebus skinął głową.

– Ale, niestety, nie wiemy, gdzie się podziewa. Eddie Ringan też tam był, lecz nie widnieje na oficjalnej liście. Blacka Aengusa też na niej nie było, tak samo jak braci Bru-Head. Jestem zaskoczony, że w ogóle mamy jakieś nazwiska.

– Przecież to było tak dawno. – Clarke poczuła się bardziej odprężona, gdy Michael wyszedł z pokoju.

– Ale niektórzy wszystko pamiętają. Może powinienem jeszcze raz spróbować porozmawiać z Czarnym Aengusem.

– Nie radziłabym. – Mogła coś dodać o Dundeem, ale wolała najpierw potwierdzić swoje informacje i chciała, żeby była to prawdziwa niespodzianka. W poniedziałek będzie wiedziała na pewno.

Zadzwonił telefon. Rebus podniósł słuchawkę.

– John? Tu Patience.

– Cześć. Jak się masz, Patience?

– Dobrze. Pomyślałam, że może ustalimy jakieś szczegóły naszego spotkania.

– Racja. Wyskoczmy na drinka?

– Nie mów mi, że zapomniałeś. Już ja ciebie znam, grasz trudnego do zdobycia. Ale nie przeginaj, Rebus.

– Nie, nie o to chodzi. Po prostu w tej chwili jestem trochę zajęty.

Siobhan Clarke wyczuła sytuację, wstała i dała znak, że idzie do kuchni zrobić kawę. Rebus skinął głową.

– Bardzo przepraszam, że przeszkadzam ci w ważnym zajęciu.

– Nie zrozum mnie źle, Patience. Po prostu mam pewne sprawy do załatwienia.

– A ja nie jestem tą sprawą?

Westchnął głęboko. Z kuchni doszedł odgłos kichnięcia. No tak, teraz to o Easter Road Terraces mogę sobie tylko pomarzyć, pomyślał Rebus.

– John, czy w twoim mieszkaniu jest jakaś kobieta? – zapytała Patience.

– Tak – odpowiedział.

– Studentka?

Rebus rzadko kłamał.

– Nie, koleżanka z pracy. Przeglądamy akta pewnej sprawy.

– Rozumiem.

Jezu, może powinien przynajmniej spróbować ją okłamać. Był zbyt zaabsorbowany sprawą hotelu Central, by skutecznie poradzić sobie z dociekliwą Patience.

– Dobra – zaczął. – Czy masz pomysł na godzinę i miejsce naszego spotkania?

Patience przerwała połączenie. Patrzył zaskoczony na słuchawkę, potem wzruszył ramionami i odłożył ją na dywan, a nie na widelki. Nie chciał, żeby ktokolwiek więcej mu przeszkadzał.

– Kawa gotowa – oznajmiła Clarke.

– Świetnie.

– Czy to przeze mnie?

– Co? Ach, nie... nic takiego.

Lecz drażyła nieustępliwie.

– Usłyszała, że kichnęłam, i pomyślała, że jest pan z inną kobietą?

– Przecież jestem z inną kobietą. Właśnie w taki sposób działa jej umysł... Nie do końca mi ufa.

– A powinna panu ufać?

Rebus westchnął.

– Opowiedz mi jeszcze raz, co masz o braciach Robertsonach.

Usiadła na podłodze i zaczęła czytać dokumenty z teczki. Rebus obserwował ją, siedząc na sofie. Czubek jej głowy, kształt szyi, delikatne blond włosy znikające za kołnierzykiem bluzki. Ładne, małe uszy z kolczykami...

– Wiemy, że dobrze ze sobą żyją. To tradycyjna rodzina. Sześcioro dzieci w chałupinie z jedną wspólną sypialnią.

– A co stało się z resztą rodzeństwa?

– Cztery siostry – czytała dalej Clarke. – Szanujące prawo żony i matki. Tylko chłopcy szaleją. Uwielbiają hazard, a szczególnie karty i wyścigi konne. Tam lepiej gra w karty od brata, ale Eck ma więcej szczęścia w zakładach na wyścigach... Proszę pamiętać, że te informacje pochodzą sprzed sześciu lat i tak naprawdę są to pogłoski.

Rebus skinął głową. Przypomniał sobie starszego mężczyznę w pubie w Lochgelly, tego, który wyciągał pieniądze na drinka od ekipy malarsko-remontowej. Powiedział, że jedna twarz z rysunku wydaje mu się znajoma. A któryś z malarzy przerwał mu, mówiąc, że on lepiej rozpoznaje pyski koni niż twarze ludzi. Więc dziadek musiał mieć bzika na punkcie koni, tak jak Eck i Tam.

– Może spotkał go u bukmachera? – zastanawiał się głośno Rebus.

– Słucham?

Opowiedział jej całą historię.

– Warto sprawdzić ten trop – podsumowała Clarke. – Przecież nie mamy innych śladów.

Rebus miał dobry kontakt w dochodzeniówce w Dunfermline – detektywa sierżanta Hendry’ego. Plotka głosiła, że Hendry był za dobry w swojej pracy, by zasłużyć na awans. W górę pchano tylko niekompetentnych, a zdolnych przeganiano w inne miejsca. Rebus, mając stopień inspektora, nie do końca się z tym zgadzał. Ale wiedział, że Hendry powinien awansować już dawno temu, i ciekaw był, kto lub co blokuje jego awans. Nie chodziło tu z pewnością o szorstki sposób bycia;



był jednym z najspokojniejszych ludzi, jakich Rebus kiedykolwiek spotkał. Hobby – obserwowanie ptaków – potwierdzało to w całej pełni. Pracując wspólnie nad jedną sprawą, wymienili numery telefonów. Warto spróbować.

– Cześć, Hendry. Tu Rebus.

– Rebus, przeszkadzasz odpoczywać spracowanemu człowiekowi.

– Zmęczyłeś się podglądaniem ptaków?

– Widziałem dziś rano dzięcioła kropkowanego.

– A ja raz widziałem nakrapianego palanta.

– No tak, ale ja nie jestem takim światowym człowiekiem jak ty. Czego chcesz?

– Chciałbym, żebyś poszukał w waszej książce telefonicznej namiarów na bukmacherów.

– Masz kogoś konkretnego na myśli?

– Nie, nie jestem wybredny. Potrzebuję nazwisk i adresów wszystkich, jacy są.

– Z jakich miast?

Rebus zastanowił się.

– Dunfermline, Cowdenbeath, Lochgelly, Cardenden, Kelty, Ballingry.

To wystarczy na początek.

– Zabierze mi to trochę czasu. Oddzwonię do ciebie, dobra?

– Okej. Spróbuj skupić się na dwóch nazwiskach. Tam i Eck Robertsonowie. To bracia.

– W porządku. Dzwonisz z Arden Street, jak słyszę?

– Co?

– Dostałeś wykop od doktorki. Czy poszło o twoje maniery łóżkowe?

– A kto ci o tym powiedział?

– Takie informacje krążą w eterze. Więc to prawda?

– Nie, nieprawda. Brat się do mnie wprowadził i... Aaa, mniejsza z tym.

– To jeszcze się zdzwonimy.

Rebus odłożył słuchawkę na widełki.

– Czy możesz w to uwierzyć? Każdy buras wie o mnie i Patience. A może w gazetach ukazało się jakieś ogłoszenie albo artykuł, o którym nic nie wiem?

Siobhan Clarke się uśmiechnęła.

– I co teraz robimy?

– Hendry oddzwoni i przekaże listę bukmacherów. A my w tym czasie moglibyśmy wyskoczyć i zjeść curry albo coś innego.

– A jeśli zadzwoni, gdy nas nie będzie?

– To spróbuje jeszcze raz.

– Nie ma pan automatycznej sekretarki?

– Nie udało mi się jej uruchomić, więc ją wyrzuciłem. Poza tym w regionie Fife jest sporo punktów przyjmowania zakładów, więc Hendry'emu zajmie to kilka godzin.

Poszli pieszo do Tollcross, bo Clarke nalegała, by złapali trochę świeżego powietrza.

– Myślałem, że wystarczy ci świeżego powietrza, kiedy wrzeszczysz na tych swoich Hibsów.

– Żartuje pan? Świeże powietrze na stadionie? Siedzę pomiędzy dymem papierosowym a oparami przetrawionego piwa i beknięciami po tłustym jedzeniu...

– Przez ciebie nie ruszę curry.

– Założę się, że je pan curry vindaloo.

– Nie – odpowiedział Rebus. – Wyłącznie madras.

**PODCZAS KOLACJI REBUS POMYŚLAŁ**, że po posiłku Clarke chętnie sprawdzi, czy jej nie ma w domu. Dzisiaj już nic nie dziają z listą bukmacherów, a jutro i tak punkty przyjmujące zakłady będą zamknięte. Ona jednak koniecznie chciała poczekać na telefon od Hendry'ego.

– Nie przejrzelśmy jeszcze wszystkich teczek – zauważyła.

– To prawda – przyznał Rebus. Po kolacji, gdy piła kawę, zamówił coś na wynos dla Michaela.

– Czy wszystko z nim w porządku? – dopytywała się.

– Wciąż mu się polepsza – odparł Rebus. – Tabletki już mu się kończą. Całkiem dojdzie do siebie, jak skończy kurację.

Gdy wrócili do mieszkania, Michael, jakby chcąc potwierdzić słowa brata, krzątał się po kuchni, zaparzając sobie herbatę. Wrzucił saszetkę do kubka z gorącym rozwodnionym mlekiem. Wyglądał, jakby właśnie wziął prysznic. I nawet się ogolił.

– Przyniosłem ci curry.

– Chyba czytałeś w moich myślach. – Michael powąchał zawartość opakowania. – Rogan josh?

Rebus skinął głową i zwrócił się do Clarke:

– Michael jest światowym ekspertem w dziedzinie curry z jagnięciny.

– Ktoś dzwonił, gdy wyszliście. – Wyciągnął kartonowe pojemniczki z jedzeniem z brązowej papierowej torebki.

– Hendry?

– Właśnie, Hendry.

– Zostawił jakąś wiadomość?

Michael otworzył obydwie kartoniki – z mięsem i ryżem.

– Powiedział, że powinieneś przygotować długopis i dużo papieru do notowania.

Rebus uśmiechnął się do Clarke.

– Chodź. Zaoszczędzimy Hendry'emu wydatków na rachunek telefoniczny.

– Cieszę się, że oddzwoniłeś – powiedział na wstępie Hendry. – Po pierwsze, za pół godziny gram w kręgle. A po drugie, to długa lista.

– No to dawaj – poprosił Rebus.

– A nie mógłbym ci przefaksować na komendę?

– Nie, nie mógłbyś. Wypadłem z gry.

– Nic o tym nie słyszałem.

– To dziwne, o moim życiu miłosnym dowiedziałeś się bardzo szybko. Dalej, lecimy z tą listą.

Gdy Hendry dyktował nazwiska, adresy i numery telefonów, Rebus przekazywał je Clarke, której przydzielił rolę transkrybenta, bo twierdziła,

że potrafi szybko pisać. Po dziesięciu minutach musieli się jednak zmienić, bo zaczęła boleć ją ręka. Pełna lista zajęła trzy bite strony A4. Oprócz podstawowych informacji Hendry poczęstował ich także adresami miejsc, gdzie zbierał się szemrany półświatek nielegalnych bukmacherów, paserów, różnorodnych leserów i tym podobnych typków.

– Niezła instytucja, taki punkt bukmacherski – skomentował Rebus na koniec, gdy Clarke oddała mu słuchawkę.

– No pewnie – rzucił Hendry. – Mogę już iść na kręgle?

– Jasne, dzięki za wszystko.

– Byle pomogło ci to wrócić do gry. Potrzebujemy wszystkich rozgrywających. A tak przy okazji, nazwiska tych dwóch facetów, które mi podałeś, nic mi nie mówią. Aha, Rebus...

– Tak?

– Ona ma głos niezłej laski.

Odłożył słuchawkę, zanim Rebus zdążył cokolwiek wyjaśnić. Jeśli chodziło o plotki, to Hendry był znany z długiego języka. Rebus wzdrygał się na myśl, jakich plotek będzie musiał wysłuchiwać na swój temat w ciągu najbliższych tygodni.

– Co jeszcze mówił? – dopytywała się Clarke.

– Nic.

Przestudiowała już listę.

– Nie ma tu nazwisk, które cokolwiek by mi mówiły.

Rebus wziął od niej kartki.

– Mnie też nie.

– To nasz następny przystanek jest w Fife?

– Dla mnie tak. I myślę, że już w poniedziałek. – Przypomniawszy sobie jednak, że w poniedziałek miał się stawić u komendanta Watsona i iść na pogrzeb Eddiego Ringana. – Ale ty będziesz zajęta wspieraniem naszego udziału w operacji Worki Pieniędzy.

– A myślałam, że będę mogła iść na pogrzeb. To dałoby nam usprawiedliwienie, by wyrwać się na parę godzin do Fife.

Rebus pokręcił głową.

- Doceniam twój pomysł, ale ty nadal jesteś w policji. Tylko ja mogę wyskoczyć gdzieś na bok. - Gdy Clarke skrzywiła się, rzucił ostro: - To rozkaz.

- Tak jest, panie inspektorze.

## Rozdział 27

MYŚL O KOLEJNEJ NIEKOŃCZĄCEJ się niedzieli tak dręczyła Rebusa, że po powrocie z kościoła wybrał się samochodem przez most Forth Road do Fife.

Był na mszy w kościele pod wezwaniem Matki Boskiej Wiecznego Piekła. Siedział z tyłu, zastanawiając się, czy ksiądz, który prowadził nabożeństwo, był „jego” księdzem. Mówił ze szkocko-irlandzkim akcentem. Trudno było poznać, czy to właśnie on, bo „jego” ksiądz mówił cicho, a ten niemal wykrzykiwał słowa modlitw. Może niektórzy wierni byli po prostu głusi, choć wśród zgromadzonych dostrzegł wielu młodych ludzi. Jako jeden z nielicznych nie przyjął komunii świętej.

Środkowo-zachodnie obszary Fife też powinny przyjąć komunię. Wypłyby mszalne wino i zastawiły w lombardzie kielich liturgiczny. Rebus postanowił pojechać do Dunfermline na samym końcu – to było największe miasto regionu i miało najwięcej miejsc do odwiedzenia. Zacznie od miasteczek. Nie pamiętał tylko, czy jadąc do Ballingry, najlepiej zjechać z autostrady w Kinross. Drogami lokalnymi jeździło się przyjemniej. Nęciło go, by zatrzymać się w Loch Leven, gdzie jako dziecko jeździł na pikniki i by pograć w piłkę. Do tej pory miał guzek pod kolanem w miejscu, gdzie Michael kopnął go w piszczel. Wąskie wijące się drogi były pełne niedzielnych kierowców w samochodach wypucowanych jak orderzy na klapie. Hendry pewnie spędzał dzień w rezerwacie ptaków w Loch Leven, ale Rebus nie zatrzymał się, by się z nim spotkać. Po niedługim czasie znalazł się w osowiałym Ballingry. Nie miał zamiaru spędzić tu więcej czasu, niż potrzeba.

Nie był jednak pewien, jaki ostateczny cel przyświecał tej niedzielnej wycieczce. Przecież wszystkie punkty bukmacherskie będą zamknięte na siedem spustów. Może spotka kogoś, z kim będzie mógł poplotkować

o tym czy tamtym bukmacherze, ale szczerze w to wątpił. Zdawał sobie sprawę, co tak naprawdę robi – zabija czas, a to miejsce akurat dobrze się do tego nadawało. Przynajmniej wmawiał sobie, że robi coś pożytecznego dla prywatnego śledztwa. Zaparkował samochód przed zamkniętym punktem zakładów sportowych i w budujący sposób postawił haczyk na liście adresów.

Oczywiście był jeszcze jeden powód, dla którego tak wcześnie zerwał się z łóżka i wyszedł z domu. W samochodzie na siedzeniu pasażera leżała niedzielna gazeta. Na pierwszej stronie umieszczono wielkimi literami tytuł:

MORDERSTWO I POŻAR – TAJEMNICA HOTELU CENTRAL:  
ZNALEZIONO BRONŃ ZABÓJCZY

Gdy Watson i spółka zobaczą ten artykuł, będą wisieli na telefonach i konferowali ze sobą, i oczywiście zechcą też rozmawiać z Johnem Rebusem. Ale studenci tym razem stworzą niezłą zaporę dla tych, którzy zadzwonią. Rebus przeczytał artykuł już dwa razy i zapamiętał każde jego zdanie. Miał nadzieję, że wreszcie ktoś, kto zapozna się z tym tekstem, wpadnie w panikę...

Następne przystanki: Lochore, Lochgelly, Cardenden. Rebus urodził się i wychował w Cardenden. Może raczej w Bowhill, w czasach gdy istniały tam jeszcze cztery parafie: Auchterderran, Bowhill, Cardended i Dundonald. Mieszkańcy nazywali te okolice w skrócie ABCD. Dla poczty był to jeden rejon – Cardenden. Od tamtej pory niewiele się tu zmieniło. Zatrzymał samochód przed cmentarzem i spędził kilka minut nad grobem rodziców. Jakaś kobieta w wieku około czterdziestu lat złożyła kwiaty na jednym z sąsiednich grobów, a gdy się mijali, uśmiechnęła się do niego. Kiedy wychodził z cmentarza, czekała na niego przy bramie.

– Johnny Rebus? – Było to tak niespodziewane, że uśmiechnął się szeroko. – Chodziłam z tobą do szkoły. Jestem Heather Cranston.

– Heather...? – Rebus przyglądał się jej twarzy. – Cranny?

Przyłożyła dłoń do ust, zasłaniając uśmiech.

– Nikt nie nazwał mnie tak od ponad dwudziestu lat. – Wreszcie ją sobie przypomniał. Właśnie po tym geście, by zasłonić śmiech, bo zawsze jej się wydawało, że jest zbyt wesoły. Wskazała głową w stronę cmentarza.

– Często przechodzę obok grobu twoich rodziców.

– Częściej niż ja.

– No tak, ale mieszkasz w Edynburgu albo jeszcze gdzieś dalej, tak?

– To prawda.

– Wpadłeś w odwiedziny?

– Jestem przejazdem.

Wyszli z cmentarza i zaczęli schodzić ze wzgórza w kierunku Bowhill. Minęli samochód Rebusa, ale nie chciał przerywać rozmowy, więc szli dalej.

– Wielu naszych przyjaciół i znajomych już zmarło. Kiedyś znałam wszystkich z tej okolicy, a teraz...

Słuchając jej, Rebus zdał sobie sprawę, jak bardzo jego wymowa straciła tutejszy akcent. Przez lata spędzone w innych częściach kraju przestał mówić gwarą swoich rodzinnych stron.

– Wpadnij na herbatę – zapraszała Heather, koleżanka z dawnych lat.

Bezskutecznie szukał pierścionka zaręczynowego albo obrączki na jej palcach. Nie była tak całkiem nieatrakcyjną kobietą. Miała obfite kształty, choć o ile dobrze pamiętał, w szkole była drobna i nieśmiała. A może nie? Miała świecące policzki i pomalowane oczy. Nosiła czarne buty na czterocentymetrowych obcasach i rajstopy w kolorze herbaty na muskularnych nogach. Rebus, który nie jadł śniadania ani lunchu, założyłby się, że jej szafki kuchenne są pełne ciasteczek i herbatników.

– Jasne. Czemu nie? – odpowiedział.

Mieszkała w domu przy Craigside Road. Minęli punkt bukmacherski po drodze z cmentarza. Był zamknięty na głucho jak pozostałe przybytki na całej ulicy.

– Nie chciałbyś rzucić okiem na wasz dom?

– Czyli tam, gdzie się wychował.



Wzruszył ramionami i obserwował Heather, jak otwiera drzwi kluczem. Przystanęła w sieni, nasłuchując przez chwilę, po czym krzyknęła:

– Mały? Jesteś na górze? – Gdy z piętra nie odezwał się żaden głos, oznajmiła: – To chyba jakiś cud. Wstał z łóżka przed czwartą po południu. Pewnie gdzieś wyszedł. – Spozrzęła, że Rebus poczuł się niepewnie, i jej ręka powędrowała do ust, by powstrzymać chichot. – Nie bój się. To nie mąż ani mój chłopak, ani nikt taki. Hugh jest moim synem.

– Ach, tak?

Zdjęła płaszcz.

– Wchodź śmiało.

Otworzyła drzwi do niewielkiego salonu. Pokój był zastawiony olbrzymią sofą i dwoma fotelami, stołem jadalnianym z krzesłami, regałem na książki i telewizorem. Kominek został zamurowany i zainstalowano grzejnik centralnego ogrzewania.

Rebus zatopił się w jednym z foteli stojących przy kominku.

– Masz męża?

Przewiesiła płaszcz przez balustradę.

– Nigdy jakoś nie widziałam w tym sensu – odpowiedziała, wchodząc do salonu. Przemieszczając się, pochłaniała przestrzeń. Najpierw podeszła do kaloryfera, by sprawdzić, czy grzeje, potem do gzymsu nad kominkiem, by wziąć papierosy i zapalniczkę. Poczęstowała Rebusa.

– Rzuciłem palenie. Na polecenie lekarzy. – Co, w pewnym sensie, było prawdą.

– Też próbowałam rzucić, i to kilka razy, ale tak potwornie tyję, że byś nie uwierzył. – Zaciągnęła się głęboko.

– A kim jest ojciec Hugh?

Wydmuchnęła dym nosem.

– Tak naprawdę to go nawet dobrze nie znałam. – Zauważyła zdziwienie na twarzy Rebusa. – Zaszokowałam cię, Johnny?

– Trochę, Cranny. Kiedyś byłaś... no wiesz...

– Skromna? To było dawno temu. Na co masz ochotę: na kawę, herbatę czy na mnie? – Roześmiała się głośno, zasłaniając usta ręką z papierosem.

– Kawa byłaby super – odpowiedział Rebus, zmieniając pozycję w fotelu.

Przyniosła dwa kubki rozpuszczalnej kawy.

– Skończyły mi się herbatniki – powiedziała przeproszającym tonem i podała mu kubek. – Już posłodzona.

– W porządku – odparł Rebus, który nie słodził kawy. Kubek był pamiątką z Blackpool. Rozmawiali o wspólnych znajomych ze szkoły. Siedziała naprzeciwko niego i w pewnym momencie postanowiła założyć nogę na nogę, ale zrezygnowała, bo spódnica była zbyt ciasna, więc tylko obciągnęła ją w dół.

– A co ciebie tu sprowadza? Wspomniałeś, że jesteś przejazdem.

– Coś w tym stylu. W zasadzie to szukam jednego punktu bukmacherskiego.

– Mijaliśmy jakiś po drodze...

– Szukam pewnego szczególnego kantoru. Prawdopodobnie jest zupełnie nowym przybytkiem. Powstał jakieś pięć lat temu albo został przejęty przez nowego właściciela mniej więcej w tym czasie.

– To dobrze trafiłeś. Szukasz właśnie Hutchy's – poinformowała go nonszalancko, zaciągając się papierosem.

– Hutchy's? Przecież ten kantor jest tu od czasów, gdy chodziliśmy do szkoły.

Skinęła głową.

– Tak. Nazwa została po Joem Hutchinsonie, który go otworzył. Potem zmarł i jego syn Howie przejął interes. Próbował zmienić nazwę, ale i tak wszyscy nazywali to miejsce Hutchy's, więc się poddał. Jakies pięć lat temu, może trochę mniej, sprzedał biznes i spieprzył do Hiszpanii. Wyobraź sobie: facet w tym samym wieku co my i zarobił tyle kasy. I zafundował sobie ciepłą emeryturkę w Hiszpanii. My jesteśmy blisko słońca chyba tylko wtedy, gdy przechodzimy koło włączonego tostera – zażartowała.

– A komu sprzedał swój interes?

Próbowała przypomnieć sobie nazwisko, marszcząc czoło.

– Greenwood. Chyba właśnie tak brzmi nazwisko tego faceta. Ale punkt nadal nazywa się Hutchy's. I taki szyld wisi nad wejściem. Tak, to Tommy Greenwood jest nowym właścicielem.

– Tommy? Jesteś pewna? Nie Tom albo Tam?

Pokręciła głową. Całkiem niedawno musiała pofarbować włosy na kolor soli i pieprzu, przypuszczalnie, żeby przykryć siwiznę, pomyślał Rebus. Włosy miała mocno utapirowane na modłę lat sześćdziesiątych. A to sprawiło, że myśli Rebusa cofnęły się w czasie...

– Tommy Greenwood – powtórzyła. – Spotykała się z nim moja przyjaciółka.

– Czy mieszkał gdzieś w tej okolicy przed kupieniem kantoru bukmacherskiego?

– W życiu, nigdy. W ogóle go nie kojarzę. Nagle się pojawił i kupił Hutchy's i ten stary dom doktora nad rzeką. Plotka głosi, że zapłacił Howiemu gotówką wyciągniętą z walizki. Niby plotka, ale facet nadal nie ma konta bankowego.

– Więc skąd miał tyle pieniędzy?

– Tak. Dopiero teraz zadałeś dobre pytanie. – Skinęła powoli głową. – Kilku ludzi chętnie poznałoby na nie odpowiedź.

Rebus zapytał jeszcze o kilka rzeczy dotyczących Greenwooda, ale Heather niewiele więcej mogła mu powiedzieć. Prowadził samotne życie. Chodził pieszo między domem a kantorem. Nie miał szpanerskiego samochodu ani żony czy dzieci. Nawet nie bardzo nawiązywał kontakty towarzyskie, nie pijał w pubie.

– Byłby niezłą partią dla jakiejś babeczki – stwierdziła tonem, który powiedział Rebusowi, że kiedyś najwyraźniej próbowała go złowić na wędkę. – O, tak, niezłą partią.

Rebusowi udało się uciec dwadzieścia minut później, ale nie bez wymiany adresów, telefonów i obietnic, że będą w kontakcie. Wracając do samochodu, powoli przechodził koło punktu bukmacherskiego Hutchy's;

zobaczył nieciekawe podwójne okna z brudnymi szybami i łuszczącą się farbą na futrynach i przyspieszył kroku, kierując się na cmentarz. Na miejscu dostrzegł jakiś samochód zaparkowany za jego saabem prawie zderzak w zderzak. To było wiśniowe renault 5. Przeszedł koło swojego auta i zapukał w szybkę renault. Siobhan Clarke odłożyła gazetę i opuściła szybę.

– Co ty tu robisz, do licha ciężkiego? – zażądał wyjaśnień Rebus.

– Idę za tropem.

– Nie mamy tropu.

– Trochę mi to zabrało, by go odnaleźć. Zaczął pan od Ballingry?

Rebus skinął głową.

– To właśnie mnie zdziwiło. Bo ja zjechałam w Kelty.

– Słuchaj. Znalazłem pasującego typa – oznajmił Rebus.

Nie wydała się zbyt zainteresowana.

– A widział pan dzisiejszą gazetę?

– No tak. Właśnie miałem ci o tym powiedzieć.

– Nie chodzi mi o pierwszą stronę, ale środek.

– Środek?

Popukała palcem w tytuł i podała mu gazetę przez okno.

## TROJE RANNYCH W WYPADKU NA M8

Artykuł opowiadał o tym, jak w sobotę rano bmw zjechało nagle z autostrady wiodącej do Glasgow i wylądowało w polu. Rodzina podróżująca samochodem została przewieziona do szpitala – kobieta, nastolatek i *edynburski biznesmen David Dougary* (41 l.).

– Jezu – sapnęła Rebus. – Ja to zepchnąłem z pierwszej strony.

– Szkoda, że wtedy pan o tym nie wiedział. I co teraz będzie?

Rebus jeszcze raz przeczytał artykuł.

– Nie wiem. To zależy. Jeśli zakończą lub przeniosą obserwację z Gorgie Road, to my albo kończymy pracę, albo się przenosimy.

– My? Przecież pan jest zawieszony, zapomniał pan?

- Albo Cafferty wstawi jakiegoś zastępcę, dopóki Dougary nie wydobrzeje.

- Musi się szybko uwijać.

- Myślisz, że wstawi byle kogo?

- Albo sam będzie zastępował Dougary'ego.

- Wątpię - stwierdził Rebus. - Ale czy to nie byłoby cudowne, gdyby tak się stało? Jedyne sposoby, by się przekonać, to kontynuowanie obserwacji, dopóki coś się nie wydarzy.

- A co poza tym?

- A poza tym mamy milion kantorów bukmacherskich do sprawdzenia. - Rebus odwrócił się i uśmiechnął do Siobhan Clarke. - Ale coś mi mówi, że mamy już niezłego ochotnika.

- Jakiego ochotnika? - zapytała, gdy otwierał drzwi i wsiadał do swojego samochodu.

Gdy zatrzymali się w Dunfermline, by coś przekąsić i napić się herbaty, Rebus opowiedział jej historię kantoru bukmacherskiego Hutchy's i faceta z walizką pełną gotówki. Clarke odrobinę się skrzywiła, jakby herbata była za gorąca albo kanapka z jajkiem i majonezem zbyt ostra.

- Może pan powtórzyć jego nazwisko? - poprosiła.

- Tommy Greenwood.

- On widnieje w kartotece Cafferty'ego.

- Co? - Tym razem to Rebus skrzywił się ze zdziwienia.

- Tommy Greenwood. Jestem pewna, że to on. Jest... a raczej lata temu był bliskim współpracownikiem Cafferty'ego. Potem zniknął ze sceny, jak wielu innych. Pokłócili się o udziały w zyskach czy coś takiego.

- Wygląda na to, że skruszył konkurencję albo zwolnił ich z pracy, zrzucając prosto z mostu.

- Może tak być. Przecież to wolne zawody.

- Bul, bul, bul, na samo dno.

Clarke się uśmiechnęła.

- Więc czy to jest prawdziwy Tommy Greenwood, czy nie?

Rebus wzruszył ramionami.

– Jeśli gnojek zrobił sobie operację plastyczną, to trudno będzie to stwierdzić. Ale przecież istnieją inne sposoby. – Pokiwał głową. – O, tak, są inne sposoby.

Sposoby, które zależały od pewnego znajomego urzędnika skarbowego...

**NIE TYLKO JEDNA OSOBA** przeczytała historię z pierwszej strony niedzielnej gazety z mieszaniną przerażenia, strachu, poczucia winy i wściekłości. Rozdzwoniły się telefony. Słowa podróżowały po kablach jak pociski z karabinów. Ponieważ była niedziela, zainteresowani niewiele mogli zdziałać, chyba że – jeżeli akurat byli w odpowiednim nastroju – uciekali w modlitwę. Jeśli sklepy z alkoholem, supermarkety czy też zwykłe sklepy spożywcze mogły sprzedawać alkohol w niedzielę, to oni mogli utopić smutki w alkoholu i złagodzić swój gniew. Niestety, złość narastała wprost proporcjonalnie do przerażenia. Cegła po cegle budowla pięła się w górę i była prawie ukończona. Brakowało jej tylko dachu. Czegoś, co mogłoby zatrzymać w budynku jego wewnętrzne ciśnienie i utrzymywać siły natury na zewnątrz.

A stało się to przez Johna Rebusa. W mniejszym lub większym stopniu powszechnie się z tym zgadzano. John Rebus był na wolności i miał taran, który mógł rozwalić wszystko, a więcej niż tylko jedna osoba czuła, że należy koniecznie otworzyć drzwi i wpuścić go do ich matecznika. A potem zatrzaskać drzwi i zamknąć je na klucz.

## Rozdział 28

**SPOTKANIE W GABINECIE FARMERA** Watsona było umówione na dziewiątą rano. Można się założyć, że spodziewał się zobaczyć Rebusa skacowanego i przybitego. Poranny Rebus mógłby co najwyżej trochę pojęczeć, ale gryzłby dopiero po południu. Wprawdzie każdy, od Watsona po personel kantyny policyjnej, wiedział, że Rebusa wrobiono, ale przez to sytuacja nie stawała się mniej niezręczna. Po pierwsze, śledztwo w sprawie zabójstwa w hotelu Central nie było oficjalne i Watson nadal za bardzo nie chciał go wznowiać. Więc Rebus po prostu robił sobie coś na boku. Oddając Farmerowi, co mu należne, postąpił właściwie, czyli zatroszczył się o swój zespół. Udało im się między sobą spreparować historyjkę, że Rebusowi rzekomo udzielono pozwolenia na pogrzebanie w starych kartotekach.

– Z szansą na wznowienie śledztwa w późniejszym terminie w przypadku znalezienia nowych dowodów – uzupełnił Farmer. Jego sekretarka, inteligentna kobieta z przerażającym umiłowaniem do farbowania włosów na przedziwne kolory, zapisała te słowa do notatki. – I datuj to na kilka tygodni wcześniej.

– Dobrze, panie komendancie – odpowiedziała.

Gdy wyszła z pokoju, Rebus powiedział:

– Dziękuję panu. – Stał, ponieważ było tam miejsce tylko na jedno krzesło, na którym siedziała sekretarka. Teraz przeszedł ostrożnie nad stertami teczek i usadowił swoje pośladki tam, gdzie jej pośladki siedziały wcześniej.

– Ratuję swoją skórę, tak jak i twoją, John. I ani słowa nikomu, zrozumiano?

– Tak, panie komendancie. A co z inspektorem Flowerem? Czy nie będzie czegoś podejrzewał? Nie wiem, komu jeszcze, ale na pewno

poskarży się inspektorowi Lauderdale'owi.

– No i dobrze. On i Lauderdale mogą sobie pleść, ile chcą. Ale jest coś, co musisz zrozumieć, John. – Watson uderzył dłońmi w blat biurka, a głowę obniżył, jakby chował ją pomiędzy olbrzymimi barkami. Mówił miękkim głosem. – Wiem, że Lauderdale chce mojego stanowiska. Wiem, że mogę mu ufać jak Irlandczykowi na weselu. A może ty też chcesz mojej roboty?

– Proszę się o to nie bać.

Watson skinął głową.

– O to chodzi. A teraz uważaj. Wiem, że przez najbliższy tydzień lub dwa nie będziesz siedział z nogami na biurku, więc posłuchaj mojej rady. W prawie nie można grzebać, jak ty grzebiesz sobie pod maską swojego starego samochodu. Pomyśl, zanim zaczniesz coś robić. I pamiętaj, że takie sztubackie wybryki jak kupowanie broni mogą cię doprowadzić do zwolnienia ze służby.

– Ale ja jej nie kupiłem, panie komendancie – odparł Rebus, recytując historyjkę, którą wymyślili. – Dostała się w moje ręce jako potencjalny dowód w sprawie.

Watson skinął głową.

– Ty to masz gadane, co? Ale ten tekst może uratować bekon na twoim tyłku.

– Jestem wegetarianinem, panie komendancie – odparował Rebus.

Te słowa tak rozbawiły Watsona, że śmiał się do rozpuku.

**BYLI BARDZO CIEKAWI**, co się dzieje przy Gorgie Road. Początkowe doniesienia nie były zbyt obiecujące. Nikt nie pojawił się w biurze, zupełnie nikt. Dodatkowym zadaniem było kontrolowanie sytuacji w szpitalu, w którym leżał Dougary. Jeśli nic nie wydarzy się przy Gorgie, to przeniosą obserwację na szpital, dopóki Dougary nie wstanie i nie zacznie chodzić o własnych siłach. Może będzie pracował w szpitalu? Wydarzyły się jednak jeszcze dziwniejsze rzeczy.



O jedenastej trzydzieści na parking firmy taksówkarskiej wjechał lśniący jaguar. Szofer, olbrzymiej postury mężczyzna o długich, prostych włosach, wygramolił się z samochodu, otworzył drzwi z tyłu i wysiadł Morris Gerald Cafferty.

– Mamy cię, draniu – zasyczał detektyw posterunkowy Petrie, w podnieceniu nacisnął spust migawki aparatu fotograficznego i puścił go dopiero po skończeniu całej rolki. Siobhan Clarke w tym czasie dzwoniła na St Leonard's. Po rozmowie z inspektorem Lauderdale'em, zgodnie z otrzymanymi instrukcjami (choć nie od Lauderdale'a), zadzwoniła na Arden Street. Rebus odebrał telefon już po drugim sygnale.

– Bingo! – wykrzyknęła. – Cafferty wpadł do nas w odwiedziny.

– Tylko nie zapomnijcie o naniesieniu daty i godziny na kliszę.

– Tak jest, panie inspektorze. A jak poszło spotkanie?

– Myślę, że Farmer jest we mnie zakochany.

– Obydwaj wchodzi do środka – poinformował Petrie, puszczając spust migawki. Silniczek przewijający film wreszcie mógł odpocząć.

Madden, który podszedł do okna zobaczyć przybyszów, zapytał, kim są.

W tym samym czasie Rebus zadawał podobne pytanie.

– Z kim jest Duży Ger?

– Z kierowcą.

– Człowiek góra z długimi włosami?

– To on.

– To ten sam facet, któremu Davey Dougary odgryzł ucho.

– Stara miłość nie rdzewieje.

– Tylko, że teraz człowiek góra pracuje dla Dużego Gera. – Zastanawiał się przez chwilę. – Cafferty, jak go znam, by wkurzyć Dougary'ego, pewnie da temu osiłkowi jego pracę.

– Po co miałby to robić?

– On lubi takie dowcipy. Daj mi znać, gdy będą wychodzić.

– Zrobione.

Zadzwoniła do niego po półgodzinie.

- Cafferty odjeżdża.
- Niezbyt długo zabawiał.
- Ale niech pan posłucha. Szofer został w biurze.
- Co?
- Cafferty pojechał sam.
- Niech mnie drzwi ścisną. On naprawdę wstawił człowieka górę na miejsce Dougary'ego do pilnowania biznesu pożyczkowego!
- Musi mu ufać.
- Pewnie tak, ale nie wyobrażam sobie, żeby ten drań miał jakiegokolwiek doświadczenie w prowadzeniu księgowości. Przecież to zwykły goryl.
- Co to znaczy?
- To znaczy, że Duży Ger będzie musiał się nim opiekować. Co z kolei oznacza, że Ger będzie musiał przyjeżdżać do biura codziennie. Nie mogło nam się lepiej przydarzyć!
- Musimy kupić więcej klisz.
- Tylko nie pozwól, by ten głupi drań Petrie znowu tak wybiegł jak wtedy. A tak przy okazji, co z jego buźką?
- Śwędzi go, a gdy drapie, to boli. - Petrie spojrział na nią. - Inspektor Rebus o ciebie pyta.
- Nie rób ze mnie geja - skarcił ją Rebus. - Mam nadzieję, że nos mu odleci i wpadnie do termosu.
- Przekażę mu serdeczne pozdrowienia od pana - zapewniła Clarke.
- Koniecznie - odpowiedział Rebus. - I wcale się tego nie wstydz. Jadę na pogrzeb.
- Rozmawiałam z Brianem. Powiedział, że będzie nieść trumnę.
- To dobrze. Będę mógł się przynajmniej wyplakać i wesprzeć na jego ramieniu - odparł Rebus.

**CMENTARZ WARRISTON STANOWIŁ** swoistą mieszankę grobów, od tych najstarszych (i często zapomnianych) aż do ledwie co powstałych. Na niektórych płytach czas zatarł już litery, pozostawiając prawie nieczytelne

rowki. W słoneczny dzień spacer po cmentarzu mógłby okazać się ciekawą wycieczką edukacyjną, ale nocami członkowie gangu motocyklowego Hell's Angels urządzali tu ostre balangi, odtwarzając sceny niczym z nowoorleańskich obrzędów wudu, a nie ze szkockich tańców ludowych.

Rebus czuł, że Eddie nie miałby powodów do narzekania. Ceremonia była skromna, lecz dostojna, jeśli nie brać pod uwagę wieńca w kształcie gitary elektrycznej i faktu, że w trumnie miała mu towarzyszyć płyta Elvisa Presleya.

Stał w pewnej odległości od zgromadzonych i odmówił Patowi Calderowi uczestnictwa z stypie, która miała się odbyć nie w czymś, co kiedyś było Heartbreak Cafe, ale w górnej salce pobliskiego hoteliku. Przez chwilę kusilo Rebusa, żeby tam wstąpić (serwowano piwo Gibson), ale pokręcił głową, tak jak wykręcił się Calderowi – z ubolewaniem.

Biedy Eddie. Mimo że Rebus prawie go nie znał, mimo że z niejakim trudem uniknął oskałpowania z jego rąk za pomocą patelni pełnej smażonego sera, to jednak go lubił. Ciągle spotykał takich ludzi, którzy mogli tyle jeszcze w życiu osiągnąć, ale odebrano im tę możliwość. Wiedział, że sam do nich należał. Do straceńców.

Ale przynajmniej wciąż żyję, pomyślał. I przy Bożej pomocy nikt nie będzie mi wlewał do gardła gorzały przed odkręceniem gazu. Nagle doznał olśnienia – po co wciskali mu lejek do gardła? Przecież wystarczyło wziąć Eddiego do byle jakiego baru, gdzie sam z radością pozabawiłby się przytomności za pomocą tequili albo bourbona. Nie trzeba było go wcale do tego zmuszać. Mimo to doktor Curt podrzucił jego wątrobę i stwierdził, że jest w doskonałym stanie. To było trudne do zaakceptowania, tyle że Rebus widział to na własne oczy.

Czyżby?

Spojrzał na Pata Caldera, który właśnie chwycił za linę, by sprawdzić, czy jest solidna. Brian był czwartym, co znaczyło, że stał po przeciwnej stronie od Caldera, wciśnięty pomiędzy dwóch innych mężczyzn, których Rebus nie znał. Barman Toni był szóstym. Ale oczy Rebusa

skoncentrowały się na Calderze. Jezus Maria. Ty gnojku. Ty to uknułeś, tak? A może... nie...

Odwrócił się i pobiegł do swojego samochodu zaparkowanego na drodze przed cmentarzem. Celem jego podróży była Arden Street.

Arden Street i zeszyt z rezerwacjami stolików z Heartbreak Cafe.

**REBUS MIAŁ DWIE MOŻLIWOŚCI.** Albo kopniakiem otworzyć drzwi, albo spróbować otworzyć je po cichu. To był zamek zatraskowy, który czasem daje się otworzyć cienkim kawałkiem sztywnego plastiku. Oczywiście na drzwiach zamontowano jeszcze zamek z zasuwą, ale najprawdopodobniej nie był zamknięty na klucz. Gdy pchnął i pociągnął drzwi, lekki luz potwierdził te domysły. Trzeba było tylko wepchnąć zapadkę zamka. Niestety, szczelina drzwi była zasłonięta zdobioną drewnianą listwą. W normalnych warunkach nie odstraszyłoby to włamywacza, który łomem załatwiłby sprawę.

Niestety, Rebus zapomniał o zabranii łomu.

A czy szarpanie za gałkę do drzwi wywoła jakąś reakcję? Rebus nie chciał marnować swoich szans wyważaniem drzwi barkiem albo kopaniem bez względu na to, czy były tylko zatrzaśnięte na pojedynczą zapadkę, czy też nie. Więc ukucnął i podniósł palcami kłapkę zamykającą szczelinę do wrzucania listów, pochylił się, by zajrzeć do środka, sięgnął wolną ręką do kołatki i pięć razy głośno zastukał synkopowanym rytmem: taa-ta-ta-ta-taa. Miał nadzieję, że w ten sposób sprawi przyjazne wrażenie swoim pukaniem. Z sąsiedztwa nie dochodził żaden dźwięk. Osiedle Colonies było w ciągu dnia zupełnie puste. Spokojnie mógłby wyważyć drzwi łomem i pewnie nikt by tego nie zauważył. Zamiast tego jeszcze raz sięgnął do kołatki. Drzwi były wyposażone w wizjer, więc Rebus miał nadzieję, że może ktoś zaintrygowany pukaniem podejdzie jednak do judasza, by obejrzeć natręta.

Jakiś ruch, cień skradający się powoli z salonu na korytarz. Niemal niewidoczny. I nagle w drzwiach pojawiła się głowa. Na to właśnie czekał Rebus.

– Cześć, Eddie! – zawołał. – Mam twój wieniec.

Eddie wpuścił go do środka.

Był ubrany w czerwony jedwabny szlafrok z groźnym smokiem wyhaftowanym na plecach. Na ramionach były symbole, których Rebus nie rozpoznał. Ale nie przejmował się tym. Eddie opadł na sofę, a zwykle było to miejsce Rebusa, więc inspektor musiał postać.

– Skłamałem z tym wieńcem – przyznał.

– Liczy się dobre serce. Ładny garnitur.

– Musiałem pożyczyć krawat – rzucił Rebus.

– Czarne krawaty są w porządku. – Eddie wyglądał, jakby powrócił z martwych. Miał podkrążone, pozbawione nadziei oczy, niczym u więźnia, i bladą skórę na twarzy. Podrapał się pod pachą. – Więc jak poszło?

– Odjechałem, jak cię opuszczali.

– Teraz pewnie są na stypie. Szkoda, że sam nie przygotowałem przekąsek, ale wie pan, jak to jest.

Rebus skinał głową.

– Nie tak łatwo być trupem. Sam wiesz najlepiej.

– Niektórym ludziom udało się to w przeszłości.

– Jak Kaloryferowi McCallumowi i braciom Robertsonom?

Eddie uśmiechnął się smutno.

– Jednemu z nich.

– Musiałeś być w niezłym dołku, skoro zaaranżowałeś własną śmierć.

– Nie będę odpowiadał na pytania.

– To świetnie.

Na chwilę zapadła cisza. Przerwał ją Eddie.

– Jak pan na to wpadł?

Rebus odruchowo wyjął papierosa z paczki leżącej na gzymsie kominka.

– To przez Pata. Przesadził, wymyślając tę całą historię.

– Cały Pat. Pieprzone amatorskie aktorstwo w całej krasie.

– Powiedział, że Willie wybiegł z restauracji po tym, jak wsadził swoją twarz w talerz jakiejś biednej klientki. Sprawdziłem kilku ludzi, którzy byli w restauracji tego wieczoru. Nic takiego się nie wydarzyło. A potem ta wątroba denata. Była w niezłej formie, więc najprawdopodobniej nie należała do ciebie.

– Może pan mi to powtarzać, ile razy pan chce.

Rebus już miał zapalić papierosa, ale wreszcie złapał się na tym, co robi. Wyjął go z ust i położył koło paczki.

– Sprawdziłem też osoby zaginione. Okazało się, że Willie nie wracał na stare śmieci od kilku dni. Cała ta zabawa to amatorszczyzna. Gdyby biedny typek nie stracił twarzy w wybuchu, od razu wiedzielibyśmy, że to nie ty.

– Czyżby? Zastanawialiśmy się nad tym. Od Briana dowiedzieliśmy się, że Haymarket to nie pana rewir. Mogło zadziałać.

Rebus pokręcił głową.

– Pudło. Zawsze robimy zdjęcia. Prędzej czy później i tak bym je zobaczył. Więc dlaczego go zabiłeś?

– To był wypadek.

– Niech zgadnę. Wróciłeś późno wieczorem do restauracji po niezłej imprezce. Byłeś wściekły, widząc, że Williemu niezłe się udało. Zaczęliście się bić i upadł na twarz. I wtedy wpadłeś na pomysł.

– Może.

– Jest jedna śmierdząca sprawa w tej historyjce.

Eddie zmienił pozycję na sofie. Wyglądał śmiesznie w tym kimonie. Skrzyżował ręce na piersi, jakby chciał się bronić. Wpatrywał się w kominek, unikając wzroku Rebusa.

– Co? – zapytał w końcu.

– Pat powiedział, że Willie wybiegł z Cafe we wtorek wieczorem. Jego ciało odnaleziono dopiero w czwartek rano. Gdyby umarł we wtorek, to stan zwłok i zeszywnienie pośmiertne wskazywałyby wyraźnie, że śmierć nastąpiła wcześniej. Ale tak nie było, zwłoki były świeże. Co oznacza, że

upiliście go i zagazowaliście dopiero w czwartek rano. Więc musieliście przetrzymać go przez całą środę, świetnie wiedząc, co z nim zrobicie.

– Nic nie powiem.

– Nie musisz. Ja to wiem. To był zwariowany pomysł, Eddie. Tak zwariowany jak wszystkie podobne przypadki. Wstawaj, idziemy.

– Dokąd?

– Zabieram cię na przejażdżkę.

– Dokąd?

– Na komendę, oczywiście. Ubierz się.

Rebus obserwował, jak Eddie próbował wstać. Trochę trwało, zanim się uniósł i stanął na nogach. To właśnie robiła z człowieka świadomość, że jest się mordercą. To coś zupełnie innego niż zeszywnienie pośmiertne. To było rozmiękczenie, a inaczej – efekt galarety. Długo się ubierał. Rebus przez cały czas go pilnował. Gdy Eddie skończył, w oczach lśniły mu łzy, a usta miał mokre od śliny.

Rebus skinał głową.

– Dasz radę.

Naprawdę miał zamiar wziąć Eddiego na komendę przy St Leonard's.

Ale zamiast tego najpierw wybrali się podziwiać wspaniałe krajobrazy.

**– DOKĄD JEDZIEMY?**

– Na przejażdżkę. Ładny dzień, w sam raz na wycieczkę.

Eddie spojrział przez przednią szybę. Na zewnątrz wszystko było szare, budynki i niebo; w każdej chwili mogło zacząć padać, a wiatr od morza już się nasilił. Rebus wpadł na ten pomysł, gdy skręcili w Holyrood Park Road i jechali prosto do Arthur's Seat. A gdy skręcił w prawo i zaczął oddalać się od Holyrood, jadąc w kierunku Duddingston, Eddie bardzo już się wystraszył.

– Wiesz, dokąd jedziemy? – zapytał Rebus.

– Nie.

– Trudno.

Przez jakiś czas jechali dalej, aż do bramy posiadłości, przy której Rebus włączył kierunkowskaz, jakby chciał wjechać do środka.

– Jezus, nie! – Eddie podniósł nogi i złapał się pod kolana, opierając stopy o deskę rozdzielczą, jakby zaraz miało nastąpić zderzenie czołowe. Zamiast skręcić w bramę, Rebus przejechał dalej i zatrzymał samochód przy krawężniku. Stąd było widać rezydencję Cafferty’ego. Prawdopodobnie ktoś z domu już się im przyglądał.

– Nie, nie – łkał Eddie.

– Więc wiesz, gdzie jesteśmy – odezwał się Rebus ze zdziwieniem w głosie. – I znasz Dużego Gera? – Doczekał się skinienia głowy.

Eddie przyjął pozycję embrionalną. Stopy miał oparte na siedzeniu, a głowę wcisnął między kolana.

– Boisz się go?

Eddie znowu skinął głową.

– Dlaczego?

Powoli pokręcił głową.

– Czy to z powodu pożaru w hotelu Central?

– Po co mówiłem Brianowi? – To był głośny krzyk, tym głośniejszy, że siedzieli w zamkniętym samochodzie. – Dlaczego jestem, kurwa, taki głupi?

– Znaleźli pistolet, wiesz?

– O tym nic nie wiem.

– Nigdy nie widziałeś pistoletu?

Eddie pokręcił głową. Do licha, Rebus spodziewał się czegoś więcej.

– Więc co widziałeś?

– Byłem w kuchni.

– I co?

– Wpadł jakiś facet, wrzeszcząc, bym odkręcił gaz. Wyglądał na wariata, miał rozbryzganą krew po całej twarzy. Nawet na powiekach. – Eddie zaczął się uspokajać, jakby ta opowieść była jakimś egzorcyzmem. – Zaczął odkręcać wszystkie kurki z gazem. Ale ich nie zapalał. Wyglądał na wariata. Pomagałem mu. Odkręciłem gaz, tak jak mi kazał.



– I co dalej?

– Uciekłem. Nie chciałem tam zostać ani chwili dłużej. Myślałem tak jak wszyscy: że chcieli wyłudzić odszkodowanie. Dopóki nie znaleziono ciała. Tydzień później odwiedził mnie Duży Ger. To była bolesna wizyta. A przekaz był krótki: nigdy nikomu ani słowa o tym, co się stało.

– Czy Duży Ger był tam tego wieczoru?

Eddie zadrżał.

– Byłem w kuchni. Widziałem tylko tego wariata.

Rebus wiedział, kim był ten wariat – to ktoś, kto wie, jak wyglądała hotelowa kuchnia.

– Czy to był Czarny Aengus? – zapytał.

Eddie wpatrywał się przed siebie przekrwionymi oczami i dopiero po kilku minutach odpowiedział:

– Duży Ger i tak się dowie, że coś wygadałem. Od czasu do czasu przesyła mi ostrzeżenie. Nie znęca się fizycznie... przynajmniej nade mną. Po prostu daje do zrozumienia, że pamięta wszystko. On mnie zabije. – Eddie odwrócił się do Rebusa. – On mnie zabije, a wszystko, co zrobiłem, to tylko odkręciłem gaz.

– Ten mężczyzna z zakrwawioną twarzą to był Aengus Gibson, tak? – nalegał Rebus.

Zaciskając oczy i ocierając łzy, Eddie powoli skinął głową. Rebus uruchomił silnik. Gdy ruszał, zobaczył samochód terenowy nadjeżdżający z przeciwnej strony. Z włączonym kierunkowskazem terenówka skręciła pod bramę, która zaczęła się automatycznie otwierać. Auto prowadził jakiś zbir, którego Rebus wcześniej nie widział. Z tyłu siedziała Mo Cafferty.

Rebusa intrygowała pewna sprawa podczas krótkiej przejażdżki na St Leonard's z Eddiem bujającym się i skulonym na siedzeniu pasażera. Zastanawiał się, czy Mo Cafferty potrafiła prowadzić samochód. Można by to łatwo sprawdzić – wystarczyłaby wizyta w wydziale komunikacji. Jeśli nie miała prawa jazdy i potrzebowała szofera, to kto prowadził terenówkę tego dnia, gdy Rebus zobaczył ją zaparkowaną przed sklepem rzeźnickim

Bone'a? I czy to nie był przypadek? John Rebus nie wierzył jednak w zbiegi okoliczności.

– Czy zaopatrywaliście Heartbreak Cafe w mięso od Bone'a? – zapytał Eddiego, lecz ten nie zrozumiał pytania. – Mam na myśli Bone'a i jego sklep mięsny – wyjaśnił Rebus. Gdy Eddie pokręcił głową, mruknął: – Mniejsza z tym.

**NA ST LEONARD'S OSOBA, KTÓRĄ** najbardziej chciał spotkać, już na niego czekała.

– Dlaczego nie jesteś na Gorgie Road? – zapytał.

– Dlaczego nie jest pan na zawieszaniu? – odbiła piłeczkę Siobhan Clarke.

– To cios poniżej pasa. Poza tym to ja pierwszy zadałem pytanie.

– Musiałam wpaść po to. – Pomachała mu wielką brązową kopertą przed nosem.

– No dobra. Posłuchaj. Mam dla ciebie małe zadanie. Tak naprawdę to wiele zadań. Po pierwsze, musimy odkopać i wyciągnąć z ziemi trumnę Eddiego Ringana.

– Co?

– To nie Eddie w niej leży, bo prawdziwego Eddiego właśnie wsadziłem do celi. Przesłuchasz go i aresztujesz. Wszystko ci opowiem.

– Będę musiała to wszystko zanotować.

– Nie, przecież masz doskonałą pamięć.

– Nie wtedy, gdy mój umysł jest w szoku. Więc to nie Eddie był w piekarniku?

– Przecież powiedziałem. Po drugie, masz sprawdzić, czy Mo Cafferty ma prawo jazdy.

– Po co?

– Zrób to, i koniec. A pamiętasz, jak powiedziałaś mi, że kiedy Bone wygrał mercedesa, zastawił swoje udziały w biznesie na pokrycie kosztów zakładu? Właśnie tak to ujęłaś: „swoje udziały”.

– Pamiętam. Powiedziała mi to jego żona.

Rebus skinął głową.

– Chcę wiedzieć, do kogo należy druga połowa udziałów.

– Czy to wszystko, panie inspektorze?

Zastanawiał się przez moment.

– Nie, nie całkiem. Sprawdź mercedesa Bone'a. Dowiedz się, czy miał poprzedniego właściciela. W ten sposób będziemy wiedzieć, od kogo go wygrał. – Nawet nie mrugnął, patrząc jej w oczy. – Tak na jednej nodze, dobra?

– Na jednej nodze, panie inspektorze. A nie chce się pan dowiedzieć, co jest w kopercie? To dla mężczyzny, który ma już wszystko.

– No dalej. Zaskocz mnie.

I tak właśnie zrobiła.

**REBUS BYŁ TAK ZASKOCZONY**, że z wrażenia postawił Clarke kawę i pączka w kantynie. Zdjęcia rentgenowskie leżały na stole między nimi.

– Nie mogę w to uwierzyć – powtarzał. – Naprawdę nie mogę w to uwierzyć. Przecież zarządziłem poszukiwanie tego całe wieki temu.

– Były w archiwum w Ninewells.

– Ale ja ich o to pytałem!

– A był pan wystarczająco miły?

Clarke wyjaśniła, że kilka razy jeździła do Dundee i zaczepiała każdego, kto mógłby pomóc w jej poszukiwaniach. Była szczególnie miła dla ludzi z ogarniętego chaosem archiwum, które przeniesiono i zreorganizowano kilka lat wcześniej, w wyniku czego stare dokumenty po prostu zostały wtłoczone bez ładu i składu na półki. Trochę to trwało. Clarke nawet obiecała jednemu młodemu archiwistcie, że pójdzie z nim na randkę, jeśli tylko znajdzie to, czego szukała.

Rebus uniósł jedno ze zdjęć rentgenowskich.

– Złamanie prawego ramienia – potwierdziła. – Dwanaście lat temu, gdy mieszkał i pracował w Dundee.

– Tam Robertson – powtórzył Rebus. Zwłoki człowieka, które znaleziono z raną postrzałową w sercu po kuli z colta 45 Rebusa, należały

do Tama Robertsona.

– Będzie to trudno udowodnić w sądzie – zauważyła Clarke. To prawda, trzeba by mieć coś znacznie więcej niż pogłoski i zdjęcie rentgenowskie, by zidentyfikować zwłoki i przekonać sędziego.

– Są i na to sposoby – oznajmił Rebus. – Możemy jeszcze raz spróbować z dokumentacją dentystyczną, skoro już na pewno wiemy, czyje to były zwłoki. Możemy zastosować technikę nakładania obrazów. Na tę chwilę wystarczy mi własna satysfakcja. – Skinął głową. – Dobra robota, Clarke. – Zaczął wstawać z krzesła.

– Panie inspektorze?

– Tak?

Siobhan Clarke się uśmiechała.

– Wesołych świąt Bożego Narodzenia, panie inspektorze.

## Rozdział 29

REBUS ZADZWONIŁ DO GIBSON'S Brewery, ale dowiedział się tylko, że pan Aengus wyjechał na konkurs browarniczy do Newcastle i ma wrócić późnym wieczorem. Zadzwonął też do urzędu skarbowego i przez chwilę rozmawiał z urzędnikiem odpowiedzialnym za tę sprawę. Jeśli ma doprowadzić do konfrontacji z Tommym Greenwoodem, to potrzebuje przecież całej amunicji, jaką tylko uda mu się zdobyć... zła metafora, ale przecież to prawda. Zostawił samochód przy St Leonard's i wybrał się na spacer, by odświeżyć umysł. Wszystko wreszcie zaczęło się zazębiać. Aengus Gibson grał w karty z Tamem Robertsonem i go zastrzelił. Potem podłożył ogień, żeby ukryć zabójstwo. Samo się to już zaczęło kleić, ale Rebus stawiał więcej pytań, niż było odpowiedzi. Czy to możliwe, że Aengus nosił przy sobie broń w tamtych awanturniczych latach? Dlaczego Eck, świadek zbrodni, nie szukał zemsty za śmierć brata? Czy Aengus go uciszył? Czy to możliwe, że grali w pokera tylko w trójkę? A kto dostarczył pistolet Deekowi Torrance'owi? Tyle pytań.

Gdy znalazł się na South Clerk Street, zauważył, że przed sklepem Bone'a stoi zaparkowana furgonetka z otwartymi tylnymi drzwiami. Właśnie wprawiano wielką szybę wystawową. Rebus podszedł do furgonetki i zajrzał do środka. Kiedyś może był to porządny pojazd służący do sprzedaży obwoźnej. W środku po bokach stały lody chłodnicze i mała zamrażarka. Takie furgonetki jeździły po osiedlach mieszkalnych i sprzedawały wyroby rzeźniczek gospodyniom i emerytom, którzy chętnie ustawiali się w kolejce, zamiast jechać do sklepu. Mężczyzna w białym fartuchu wyszedł ze sklepu mięsnego Bone'a z eksświnia na ramionach.

- Przepraszam - odezwał się i wrzucił półtuszę do furgonetki.
  - Wykorzystujecie ten samochód do dostaw? - dociekał Rebus.
- Mężczyzna skinął głową.

- Ale tylko do restauracji.

- Pamiętam, jak kiedyś rzeźnik jeździł po osiedlach - zaczął wspominać Rebus.

- No tak, ale przestało się to opłacać.

- Wszystko się zmienia - skwitował Rebus.

Mężczyzna przyznał mu rację skinieniem głowy. Rebus jeszcze raz przyjrzał się wnętrzu furgonetki. By stanąć za ladą, należało wejść do ładowni, odblokować część lady mocowanej na zawiasach i otworzyć małe drzwiczki. Z tyłu było naprawdę wąsko. Zupełnie jak opowiadał Michael o furgonetcie, którą go przewozili. Wąska ładownia z dziwnym zapachem. Gdy mężczyzna wyszedł z furgonetki, spod jego butów wyleciała słoma. Słoma w samochodzie rzeźnika? Przecież nie wożono zwierząt z farmy hodowlanej, tylko rozczłonkowane mięso.

Zajrzał do sklepu. Młody sprzedawca obserwował, jak montowana jest szyba wystawowa.

- Otwarte. Zapraszamy - odezwał się wesoło do Rebusa.

- Szukam pana Bone'a.

- Nie będzie go tu dziś.

Rebus skinął głową, wskazując na furgonetkę.

- Czy objeżdżacie jeszcze okolice?

- Ma pan na myśli sprzedaż z samochodu? - Młody mężczyzna pokręcił głową. - Tylko dostawy hurtowe i półtusze.

Tak, Rebus zdecydowanie się z tym zgodził.

Wybrał się z powrotem pieszo na St Leonard's i znowu wpadł na Siobhan Clarke.

- Zapomniałem powiedzieć...

- Jeszcze więcej zadań?

- Niewiele więcej. Będziesz musiała zatrzymać Pata Caldera na przesłuchanie. Powinien już być w domu. Pewnie wpadł w przerażenie i zastanawia się, dokąd to mógł wybrać się Eddie. Przykro mi bardzo, że nie będę tu, gdy znów szczęśliwie się odnajdą, ale pewnie spotkam się z nimi w sądzie.

**TO BYŁ CAŁKIEM UDANY DZIEŃ**, choć nie minęła nawet szósta po południu. W mieszkaniu studenci gotowali curry z soczewicy, a Michael siedział w salonie i czytał kolejną książkę o hipnoterapii. Wszystko dobrze się poukładało w mieszkaniu. Było tak bardzo... dobrze. Rebusowi do głowy przyszło nawet określenie „przytulnie”. Dziwne słowo w odniesieniu do grupki studentów, gliniarza i byłego więźnia, ale jednak pasowało.

Michael skończył przyjmować leki i od razu zaczął lepiej wyglądać. Miał się umówić na wizytę kontrolną u lekarza, ale Rebus wątpił, czy mu to pomoże, poza tym że znowu mogą mu przepisać kolejne tabletki. Wspomnienia po niemiłych przeżyciach muszą zagoić się w naturalny sposób. Potrzebny był tylko czas. Michael na pewno odzyskał wcześniejszy apetyt – zjadł dwie porcje curry.

Po kolacji wszyscy usiedli w salonie. Studenci pili wino, Michael podziękował, Rebus sączył piwo z puszki. Słuchali muzyki – takiej, która nigdy nie przemija: Stonesi, Doorsi, Janis Joplin i wczesny Pink Floyd. To był jeden z tych wieczorów, podczas których Rebus czuł się totalnie rozbity. Winę zrzucał na pastylki kofeinowe. Bał się o Michaela przez cały czas, gdy musiał brać te paskudne leki. Posiedział z nim tylko w jeden weekend. Mało spał, dużo myślał. Ale nie mogło to trwać bez końca. A co z muzyką i piwem, luźnymi rozmowami? Wreszcie przysnął na sofie...

– Co to było?

– Chyba ktoś rozbił butelkę albo coś takiego.

Studenci rzucili się w stronę okna.

– Nic nie widać.

– Nie. Zobaczcie. Na jezdni jest rozbite szkło. – Odwrócili się do Rebusa. – Ktoś zbił panu przednią szybę w samochodzie.

Ktoś naprawdę zbił przednią szybę w moim samochodzie, upewnił się Rebus, gdy wybiegł na ulicę. Sąsiedzi stanęli w drzwiach i oknach, by zobaczyć, co się dzieje. Większość z nich już się chowała. Na siedzeniu pasażera leżał kamień w otoczeniu kryształków zbitego szkła. W pobliżu jakiś samochód zawracał powoli na parkingu. Nadjechał i zatrzymał się koło Rebusa. Pasażer opuścił szybę.

– Co tu się stało?

– Nic. Tylko kamień wpadł przez przednią szybę.

– Co? – Pasażer zwrócił się do kierowcy. – Poczekaj chwilę. – Wsiadł z auta, by przyjrzeć się z bliska. – Kto, do licha, mógłby coś takiego zrobić?

– A ile nazwisk pan sobie życzy?

Rebus sięgnął do środka, by wyjąć kamień, i nagle poczuł uderzenie w tył głowy. Przez chwilę nic nie kojarzył, wreszcie poczuł, że ktoś ciągnie go na środek ulicy. Usłyszał, że jakiś samochód zawraca, potem się zatrzymuje. Próbował walczyć, czepiał się asfaltu paznokciami. Jezu, zaraz straci przytomność. Jego mózg zamierzał odciąć się od rzeczywistości. Każde uderzenie serca powodowało intensywny ból w czaszce. Ktoś otworzył okno i coś krzyczał, jakieś ostrzeżenie albo złorzeczenie. Rebus leżał teraz sam na środku drogi. Pasażer pobiegł z powrotem do samochodu i zatrzaskał drzwi. Rebus uniósł się na czworaka jak niemowlę po raz pierwszy opierające się siłom grawitacji. Mrugnął, próbując coś zobaczyć przez mgłę. Ujrzał światła samochodu i już wiedział, co oni chcą zrobić.

Mieli zamiar go przejechać.

Szczeniackie zagranie, a on dał się im tak załatwić. Oferta pomocy od napastnika – typowa zagrywka przestępców. Starsza niż wzgórze Arthur's Seat. Silnik samochodu zaryczał, opony zapiszczały, ciągnąc karoserię samochodu w kierunku Rebusa, który zastanawiał się, czy zdąży zapamiętać numery tablic rejestracyjnych, zanim umrze.

Jakaś ręka chwyciła go za kołnierzyk koszuli i wyrwała ze środka drogi. Samochód tylko zahaczył o jego nogi, zrywając z jednej but i wyrzucając go w powietrze. Kierowca nie zatrzymał się ani nawet nie zwolnił, tylko pomknął w górę do końca drogi, skręcił w prawo i zniknął.

– Jesteś cały, John?

To był Michael.

– Uratowałeś mi życie, Mickey.

Adrenalina mieszała się bólem, doprowadzając Rebusa do mdłości. Zwymiotował niestrawione curry z soczewicy na chodnik.

– Spróbuj wstać – poprosił go brat.



Rebus spróbował, ale mu się nie udało.

– Nogi mnie bołą! – krzyknął. – Jezu, jak mnie bołą.

**PRZEŚWIETLENIE NIE UJAWNIŁO ŻADNYCH** złamań ani pęknięć kości.

– Tylko ciężkie stłuczenie, inspektorze – oświadczyła radiolożka w ambulatorium. – Miał pan szczęście. Takie uderzenie mogło narobić niezłego bałaganu.

Rebus skinął głową.

– Powinienem się domyślić, że w końcu trafię tu jako pacjent. Bóg jeden wie, ile razy byłem tu, by kogoś odwiedzić – oznajmił Rebus.

– Coś panu przyniosę – powiedziała lekarka.

– Chwileczkę, pani doktor. Czy wasze laboratorium jest otwarte wieczorem?

Pokręciła głową.

– Dlaczego pan pyta?

– A, nic takiego.

Gdy lekarka wyszła z pokoju, Michael zbliżył się do brata.

– Jak się czujesz?

– Nie wiem, co bardziej mnie boli, głowa czy lewa noga.

– Nie będzie wielkiej straty dla świata piłki nożnej.

Rebus niemal się uśmiechnął, ale zamiast tego usta wygięły się w grymas. Każdy ruch mięśni twarzy wysyłał elektryczne impulsy do mózgu. Lekarka wróciła do pokoju.

– Proszę to wziąć. Powinno pomóc.

Rebus spodziewał się, że dostanie jakieś tabletki na ból, ale zamiast tego otrzymał laskę do podpierania się.

**TO BYŁA LASKA Z ALUMINIOWEJ RURKI**, więc okazała się lekka jak piórko. Miała rączkę pokrytą gumą i regulowaną długość dzięki serii dziurek, w które wskakiwał mały bolec na sprężynce. Dziwny przyrząd, ale Rebus

ucieszył się z niego, bo przynajmniej na własnych nogach mógł opuścić ambulatorium.

Gdy wrócił do mieszkania, jeden ze współczujących studentów powiedział, że ma dla niego coś lepszego, i wrócił z sypialni z czarną, drewnianą laską z rączką wykonaną z kości i srebra. Rebus ją wypróbował. Miała nawet odpowiednią długość.

– Kupiłem ją w sklepiku ze starociami – wyjaśnił student – ale proszę nie pytać, po co mi była potrzebna.

– Wygląda na taką, która może mieć ukryty w środku sztylet. – Rebus pokręcił i poszarpał rączką, ale bez efektu. – No trudno, nic tu nie ma.

Funkcjonariusze policji, którzy rozmawiali z nim w szpitalu, przesłuchali także studentów.

– Ten jeden posterunkowy... – zaczął opowiadać właściciel drewnianej laski, Ed, którego imię Rebus wreszcie zapamiętał. – Kurczę, patrzył na nas jak na jakichś dzikich lokatorów i dopytywał się, czy inspektor Rebus naprawdę tutaj z nami mieszka. A my kiwaliśmy głowami, że tak. Gliniarz nie mógł się temu nadziwić.

Ed zaczął się śmiać. Nawet Michael się śmiał. Ktoś zaparzył dzbanek ziołowej herbaty.

Wspaniale, pomyślał Rebus. Kolejna historyjka, która będzie zataczała plotkarskie kręgi: Rebus otacza się w swoim mieszkaniu studentami, a wieczorami popija z nimi piwo i wino. W ambulatorium pytano go, czy rozpoznałby któregoś z tych dwóch mężczyzn. Niestety, nie. Jeden z sąsiadów zapamiętał numery rejestracyjne samochodu. To był ford escort skradziony zaledwie godzinę wcześniej z parkingu przed hotelem Sheraton przy Lothian Road. Pewnie znajdą go wkrótce gdzieś porzuconego, przypuszczalnie niedaleko Marchmont. Nie będzie żadnych odcisków palców.

– To pewnie jacyś wariaci – zastanawiał się głośno Michael w drodze do domu. Rebus załatwił im przejazd radiowozem. – Wykręcić taki numer...

– To nie był żaden wyczyn, Michael. Ktoś desperacko chciał mi zaszkodzić. Ta historia we wczorajszej gazecie nieźle ich musiała

poruszyć. – W końcu tego właśnie chciałem, pomyślał. Czekałem na reakcję, to ją dostałem.

Z domu zadzwonił do firmy ekspresowo montującej szyby samochodowe. Pewnie będzie kosztowało fortunę, ale Rebus potrzebował wozu na jutro rano. Zaczął się modlić, by tylko noga mu nie spuchła.

## Rozdział 30

**OCZYWIŚCIE NASTĘPNEGO RANKA** noga była cała opuchnięta. Rebus wstał o piątej i ćwiczył chodzenie, starając się rozciągnąć ścięgna i rozruszać stawy. Zlustrował lewą nogę. Przepiękna, wielka sina opuchlizna pokrywała prawie całe podudzie. Gdyby główne uderzenie poszło w piszczel, a nie w mięsień łydki, to miałyby co najmniej poważne złamania kości. Połknął dwie tabletki paracetamolu, jak polecił lekarz z ambulatorium. Tak bardzo w nocy potrzebował snu, ale nie spał dobrze. Dzisiaj będzie musiał pobudzać się kąśliwym humorem. Byle tylko mu go wystarczyło na cały dzień.

O szóstej trzydzieści udało mu się zejść po schodach i doczłapać do samochodu, który miał już nową szybę wartą więcej niż cała reszta tej kupy złomu. Miasto nawet nie było tak bardzo zakorkowane na drogach do śródmieścia, a na wylotówkach wręcz nie było ruchu, dzięki czemu czas podróży znacznie się skrócił. Naciskanie na pedał sprzęgła powodowało ból sięgający od stopy aż do krocza. Wybrał trasę wzdłuż wybrzeża do North Berwick, by jechać spokojnie, bez konieczności częstej zmiany biegów. Po drugiej stronie miasteczka znalazł dom, którego szukał. Była to wręcz rezydencja zbudowana na piętnastohektarowej posiadłości. Roztaczał się z niej cudowny widok na wybrzeże od ujścia rzeki Forth aż do czarnego wzgórza Bass Rock.

Rebus nie znał się za bardzo na architekturze, ale potrafił rozpoznać, że dom został wybudowany w stylu georgiańskim. Wyglądał jak wiele domów w dzielnicy Edynburga New Town, ze żłobionymi kamiennymi kolumnami po obu stronach drzwi wejściowych i wielkimi oknami po dziewięć po każdej stronie kolumn.

Broderick Gibson ładnie się wspiał od czasów, gdy wyrabiał domowe piwo w szopie ogrodnika. Rebus zaparkował przed drzwiami frontowymi

i nacisnął dzwonek. Otworzyła pani Gibson. Rebus przedstawił się uprzejmie.

– Czy nie za wcześnie na wizytę, inspektorze? Coś się stało?

– Czy mógłbym porozmawiać z pani synem?

– Właśnie je śniadanie. Proszę poczekać w salonie. Przyniosę panu...

– W porządku, mamó. – Aengus Gibson skończył przeżuwanie jedzenia i wytarł usta płócienną serwetką. Stał w drzwiach do jadalni. – Proszę wejść, inspektorze.

Rebus uśmiechnął się do pokonanej pani Gibson, przechodząc koło niej.

– Co się stało z pana nogą? – dopytywał się Gibson.

– Myślałem, że pan to wie.

– Tak? A dlaczego niby miałbym wiedzieć? – Aengus usiadł przy stole.

Rebus miał nadzieję nacieszyć wzrok widokiem srebrnej zastawy i porozkładanych na niej typowych przysmaków kuchni szkockiej. Spodziewał się porcelanowych talerzy firmy Wedgewood i herbaty nalewanej przez służącego. Zamiast tego zobaczył biały talerz z kawałkiem tłustej kielbasy i jajecznicą, posmarowanego masłem tosta i kubek z kawą. Obok leżały dwie zwinięte gazety – gazeta Mairie i „Financial Times” – oraz dużo porozrzucanych okruchów, co świadczyło o tym, że rodzice Aengusa zjedli śniadanie wcześniej.

Pani Gibson wsunęła głowę do jadalni.

– Filiżankę kawy, inspektorze?

– Nie, dziękuję.

Uśmiechnęła się i wyszła.

– Pomyślałem właśnie – zaczął Rebus – że to pan mógł zaaranżować.

– Nie rozumiem.

– By mnie uciszyć, zanim zadam kilka kolejnych pytań o hotel Central.

– Znowu to samo – wybuchnął Aengus i odgryzł kawałek tosta.

– Tak, znowu – odparł Rebus i usiadł przy stole. – Widzi pan, ja wiem, gdzie pan był tamtego wieczoru długo po tym, jak Vanderhyde opuścił hotel. Wiem, że grał pan w pokera z dwoma bandziorami, Tamem

i Eckiem Robertsonami. Wiem, że ktoś użył broni i zastrzelił Tama, i wiem, że to pan wbiegł cały zakrwawiony do kuchni, wrzeszcząc, by odkręcić wszystkie kurki z gazem. To jest to, co ja wiem.

Można było odnieść wrażenie, że Gibson ma problemy z przełknięciem pogryzionego tosta. Wypił łyk kawy i znowu wytarł usta.

– No dobrze, inspektorze. Jeśli tyle pan wie, to muszę przyznać, że nie wie pan zbyt wiele.

– A może chciałby pan mi opowiedzieć resztę?

Siedzieli w milczeniu. Aengus Gibson bawił się pustym kubkiem. Rebus czekał, aż coś powie. Nagle drzwi otworzyły się szeroko.

– Wynosić się stąd! – wrzasnął Broderick Gibson. Miał na sobie spodnie i koszulę z niedopiętymi mankietami domagającymi się spinek. Było oczywiste, że żona przekazała mu informację o wizycie, gdy się ubierał. – Mógłbym kazać pana aresztować w każdej chwili! – krzyknął. – Komendant główny powiedział mi, że jest pan zawieszony. – Rebus wstawał powoli ze względu na obolałą nogę. Ale w oczach Brodericka nie było współczucia. – I proszę nas zostawić w spokoju, skoro jest pan pozbawiony uprawnień policyjnych! Dziś jeszcze porozmawiam z moim adwokatem.

Rebus był już w drzwiach. Zatrzymał się i spojrzał prosto w oczy Brodericka Gibsona.

– Właśnie chciałem to panu zaproponować. I mógłby pan też opowiedzieć mu, gdzie pan był tej nocy, gdy spłonął hotel Central. Pana syn ma poważne kłopoty, panie Gibson. Nie może pan bez końca taić przed nim tego faktu.

– Wynoś się – wyszczał Gibson.

– Nie zapytał mnie pan nawet o nogę.

– Co?

– Nic. Tak tylko głośno myślałem...

Gdy Rebus szedł przez wielki hol pełen obrazów na ścianach, świeczników, z pięknymi krętymi schodami na górę, poczuł chłód tego

domu. Nie chodziło wcale o jego wiek ani o zimną terakotę na podłodze; ta rezydencja miała serce z lodu.

**DOTARŁ NA GORGIE ROAD** właśnie w momencie, gdy Siobhan Clarke nalewała sobie pierwszy kubek bezkofeinowej kawy z termosu.

– Co się panu stało w nogę? – zapytała.

Rebus wskazał laską na mężczyznę stojącego przy aparacie fotograficznym.

– Co ty, tu do licha, robisz?

– Zastępuję Petriego – odpowiedział Brian Holmes.

– Zastanawiam się, co my wszyscy tu robimy – dodała Clarke, lecz Rebus ją zignorował.

– Przecież jesteś na zwolnieniu lekarskim.

– Nudziło mi się, więc wróciłem wcześniej. Rozmawiałem wczoraj z komendantem i zgodził się. No to jestem. – Holmes nawet dobrze wyglądał, ale jego głos zdradzał osłabienie. – Jest jeszcze jeden ukryty powód mojej obecności – wyznał. – Chciałem osobiście usłyszeć od Siobhan, co przydarzyło się Eddiemu i Patowi. To wszystko brzmi tak... niewiarygodnie. Przecież ja płakałem na cmentarzu, a ten gnój, którego opłakiwałem, siedział sobie w domu i zabawiał się sam ze sobą.

– Już niedługo będzie to sobie robił w więzieniu – stwierdził Rebus i poprosił Clarke: – Nalej mi trochę tej kawy. – Wypił dwoma wielkimi haustami i oddał jej plastikowy kubeczek. – Dzięki. Coś się ruszyło?

– Nikt jeszcze nie przyjechał. Nawet funkcjonariusz z Wydziału Standardów Handlowych.

– Miałem na myśli te inne sprawy.

– A co się panu stało w nogę? – zapytał Holmes.

Rebus wszystko im opowiedział.

– To moja wina – wyznał Holmes – że pana w to wciągnąłem.

– To prawda – przyznał Rebus. – Więc za karę masz teraz stać z nosem przyklejonym do szyby. – Odwrócił się do Clarke. – No więc?

Odetchnęła głęboko.

– No więc wczoraj po południu przesłuchałam Ringana i Caldera. Oba postawiono zarzuty. Sprawdziłam też, czy pani Cafferty ma prawo jazdy. Nie wydano jej go ani na nazwisko po mężu, ani na panieńskie. Mercedes Bone’a należał do...

– ...dużego Gera Cafferty’ego.

– To pan już wie?

– Domyśliłem się – przyznał Rebus. – A co z drugą połową firmy Bone’a?

– Należy do firmy Geronimo Holdings.

– Której właścicielem jest Duży Ger?

– Jakież to słodkie, prawda? W nazwie „Geronimo” mieści się imię jego i jego żony. Więc jaki można by wysnuć z tego wniosek?

– Wygląda mi na to, że Ger wygrał swoją połowę firmy dzięki zakładowi z Bone’em.

– Tak. Albo też porozmawiał z bandziorami wyludzającymi haracze za ochronę, na które Bone’a nie było stać – wtrącił Holmes.

– Możliwe – zgodził się Rebus. – Ale wygrany zakład jest bardziej prawdopodobnym rozwiązaniem zagadki.

– A przecież Bone wygrał samochód, zakładając się z Caffertym – dodała Clarke. – W przeszłości musieli zajmować się hazardem.

Rebus skinął głową.

– To wszystko oznacza, że naprawdę sporo ich łączy. I pewnie istnieje jeszcze silniejsze powiązanie, ale nie potrafię na razie tego udowodnić.

– Chwileczkę – zaczęła zastanawiać się głośno. – Jeśli napaść z użyciem noża i zabicie szyby mają coś wspólnego z pieniędzmi za ochronę lub z zakładami, to mają też coś wspólnego z Caffertym. A to oznacza, że skoro jest właścicielem połowy firmy rzeźniczej, to zbił własną szybę.

Rebus pokręcił głową.

– Wcale nie powiedziałem, że nóż i zbita szyba mają coś wspólnego z ochroną i hazardem.

– To jak do tego wszystkiego dopasować kuzyna rzeźnika? – wtrącił się Holmes.



– Spokojnie – usadził go Rebus. – Ty to się pchasz z powrotem do pracy, co? Nie wiem, w jaki sposób dokładnie dopasować Kintoula, ale mam pewne domysły.

– Poczekajcie – rzucił Holmes. – Coś się dzieje.

Obserwowali, jak wysłużony czerwony mini morris podjechał pod biura firmy taksówkarskiej. Przez otwarte drzwi kierowcy zaczął wyciskać się z samochodu człowiek góra.

– Jak pasta do zębów z tubki – skomentował Rebus.

– O rany, musiał chyba wyjąć przednie siedzenie. – dodał Holmes.

– Dziś będzie sam – zauważyła Clarke.

– Ale założę się, że Cafferty też tu wpadnie – powiedział Rebus. – Żeby sprawdzić, co się dzieje. Nieźle go orznęli w przeszłości, więc nie pozwoli na to drugi raz.

– Nieźle go orznęli? – powtórzyła jak echo Clarke. – Skąd pan to wie?

Mrugnął do niej.

– To mój mały zakład, choć komuś mogłoby się wydawać, że źle obstawiłem.

**NA TĘ INFORMACJĘ MUSIAŁ CZEKAĆ** aż do wczesnego popołudnia. Przefaksowano mu ją do sklepiku z prasą. Podczas długiego oczekiwania w punkcie obserwacyjnym przy Gorgie Road omówił całą sprawę z Holmesem i Clarke. Co do jednego byli zgodni: nikt nie będzie chciał zeznawać przeciwko Cafferty'emu. I podobne wrażenia co do kolejnej kwestii: nie byli pewni, czy Cafferty maczał w tym wszystkim palce.

– Dowiemy się dziś wieczorem – oznajmił Rebus i wyszedł, by odebrać faks.

Przyzwyczał się już do chodzenia z laską i jeśli był w ciągłym ruchu, noga nie sztywniała. Zdawał sobie jednak sprawę, że podróż samochodem do Cardenden na pewno nie podziała terapeutycznie. Zastanawiał się nad pociągami, ale szybko zrezygnował z tego pomysłu. Może będzie musiał w pośpiechu zmywać się z Fife, a rozkłady jazdy kolei szkockich nie zapewniały aż takiej elastyczności w planowaniu podróży.

Było jakieś wpół do trzeciej, gdy pchnął drzwi do kantoru bukmacherskiego Hutchy's. W środku panowała duchota, śmierdziało starzyzną i kurzem. Niedopałki papierosów na podłodze pochodziły pewnie jeszcze z zeszłego tygodnia. Na drugą trzydzieści przewidziano wyścig konny, więc kilku graczy siedziało w środku, czekając na komentarze i wyniki. Wygląd tego miejsca nie zniechęcił Rebusa. Nikt nie lubił stawiać zakładów w luksusowych warunkach – to znaczyłoby, że bukmacher goli za dużo kasy. Tandetne wnętrze wiązało się z psychologią hazardu. „Może i nie wygrywasz – mówił bukmacher – ale spójrz na mnie. Wcałe mi się lepiej nie powodzi”.

Tylko że jemu powodziło się lepiej.

Lustrując na ścianie wzory wypełniania kuponów, Rebus dostrzegł jakby znajomą twarz. Ale przecież ta okolica była pełna jakby znajomych twarzy. Podszedł do przeszklonego stanowiska bukmachera.

– Chciałbym porozmawiać z panem Greenwoodem.

– Czy był pan umówiony?

Spojrzenie Rebusa przeniosło się z kobiety w okienku na mężczyznę, który siedział przy biurka ustawionym za jej plecami.

– Panie Greenwood, jestem z policji. Możemy porozmawiać?

Greenwood zastanowił się przez moment, po czym wstał, otworzył drzwi i wyszedł.

– Tędy proszę. – Poprowadził Rebusa na tyły kantoru. Otworzył kolejne drzwi i zaprosił go do o wiele przyjemniejszego pokoiku, który był jego prywatnym biurem. – Jakież kłopoty? – zapytał natychmiast, siadając, po czym sięgnął po butelkę whisky.

– Nie dla mnie. – Rebus usiadł naprzeciwko Greenwooda i przyglądał mu się wnikliwie. Szkic Midgiego zbyt wiele nie różnił się od oryginału. Szachista może zagrałby pionem, ale Rebus postanowił zrobić gambit hetmański. – Jak leci, Eck? – rzucił nonszalancko i rozparł się w fotelu.

– Mówi pan do mnie? – Greenwood rozejrzał się dookoła. – Chyba tak, bo nie widzę tu nikogo innego. Nie mam na imię Eck. Czy chce pan grać w jakieś gry? To proszę bardzo. Zagrajmy. – Nalał sobie sporą porcję whisky.

– Nazywa się pan Eck Robertson. Odszedł pan z gangu Cafferty'ego, zabierając ze sobą sporo pieniędzy należących do Dużego Gera. Przyjął pan cudzą tożsamość. Teraz nazywa się pan Thomas Greenwood. Wiedział pan, że Tommy nie będzie narzekał, bo przecież wtedy już nie żył. Zresztą dzięki Cafferty'emu, który w czarodziejski sposób sprawiał, że ludzie po prostu znikali. Przyjął pan jego tożsamość i zapuścił korzenie w zaszranym dziurze w Fife, żyjąc z walizy pełnej pieniędzy, dopóki ten kantor nie zaczął przynosić dochodów. – Rebus przerwał na chwilę. – I tak właśnie panu leci. Niestety, przejął pan zbyt wiele z tożsamości Greenwooda. Gdy się tu pan umościł, urząd skarbowy upomniał się o jego niezapłacony podatek dochodowy. Napisał pan do nich list i w końcu spłacił zobowiązania Greenwooda. – Rebus wyciągnął faks z kieszeni. – Mam tu kopię pana listu i wcześniejszą korespondencję prawdziwego Thomasa Greenwooda. Poczekajmy, aż ekspert od kaligrafii będzie miał okazję im się przyjrzeć na sali sądowej. Czy spotkał pan kiedyś tych facetów pracujących dla sądu? Grafolodzy działają zupełnie jak Perry Mason. A nawet ja widzę, że podpisy nie są do siebie podobne.

– Zmieniłem styl pisania.

Rebus się uśmiechnął.

– Twarz też pan zmienił. Pofarbował włosy, zgolił wąsy, szkła kontaktowe... przyciemnione. Miał pan piwne oczy, prawda, Eck?

– Powtarzam panu, że nazywam się...

Rebus wstał.

– Jak pan chce. Jestem pewien, że Duży Ger nie będzie miał żadnych problemów z rozpoznaniem pana.

– Proszę poczekać. Niech pan siądzie.

Rebus usiadł i czekał. Eck Robertson próbował się uśmiechać. Włączył radio, przez chwilę wsłuchiwał się w komentarze z wyścigu, a potem wyłączył odbiornik. Zakład sześć do jednego na niekorzystnych obstawiających.

– Jeszcze jedna wygrana bukmacherów – stwierdził Rebus. – Zawsze lubił pan konie, czyż nie? Nie tak bardzo jak Tam. On uwielbiał zakłady na wyścigach. Podkradał pieniądze Dużego Gera, który tego nie zauważał. Po

troszeczku, aż zrobiła się z tego kupa szmalu. Proszę. – Rebus rzucił na biurko szkic z podobizną Tama Robertsona. – Tak wyglądałby teraz, gdyby Duży Ger się nie dowiedział wszystkiego.

Eck Robertson spoglądał na rysunek, wiodąc koniuszkiem palca po jego zarysie.

– Musiał pan uciekać, zanim Duży Ger pana dorwie, więc wziął pan wszystkie pieniądze. Kaloryfer też uciekł. W końcu to on wprowadził was do gangu. On również zostałby ukarany. A może Duży Ger już go dorwał? – Robertson, cały czas przypatrując się rysunkowi, wzruszył ramionami. – No dobra – rzucił Rebus. – Teraz to i ja mogę się już napić whisky.

Noga bolała go, jakby ktoś wbijał mu szpikulce w ciało; aż zaciskał palce na rączce laski. Robertson niespiesznie nalał mu do szklanki.

– Czy jest coś, co chciałby pan dopowiedzieć? – zapytał Rebus.

– Jak mnie pan znalazł?

– Ktoś pana zauważył.

Robertson skinął głową.

– Ten kucharz... Jak on się nazywał? Ringan? Widziałem go w jakimś pubie w Cowdenbeath. Wyglądał, jakby poszedł w tango, więc szybko się zmyłem. Nie sędzę, żeby mnie zobaczył, a nawet gdyby, to i tak myślę, że mnie nie rozpoznał. Może się mylę?

– Tak, mylisz się. – Rebus sęczył whisky, jakby to było lekarstwo.

– To Aengus Gibson – wyznał nagle Robertson. – Aengus Gibson miał pistolet.

I opowiedział Rebusowi resztę historii. Tam oszukiwał przy pokerze, jak zawsze zresztą, ale Aengus to zauważył. Wyciągnął broń i zastrzelił Tama.

– Uciekliśmy ze strachu.

– Co? – Rebus nie mógł w to uwierzyć. – Nie myśleliście o zemście? Ten młody pijaczyna zastrzelił przecież twojego brata!

– Nikt nie mógł dotknąć Czarnego Aengusa. Był kumplem Dużego Gera. Zaprzyjaźnili się po pewnym nieporozumieniu, po włamaniu do mieszkania Mo. Duży Ger miał pewne plany wobec niego.

– Jakie plany?

Robertson wzruszył ramionami.

– Jakieś plany. Miał pan rację, jeśli chodzi o pieniądze. Wiedziałem, że muszę uciekać, póki jeszcze mogę.

– Ale dlaczego tutaj?

– To ostatnie miejsce, do którego zajrzałyby Duży Ger. Nigdy nie interesowało go Fife. Napatoczyłby się na Włochów albo Szarawych.

Rebus szybko myślał.

– Więc co zrobił Ger, gdy Aengus zastrzelił Tama?

– O co panu chodzi?

– Eck, ja dobrze wiem, że Duży Ger tam był!

Robertson znowu przyglądał się rysunkowi twarzy brata. Rebus zaczął się domyslać, na czym mogły polegać plany Dużego Gera wobec Aengusa. Mając kontrolę nad kimś, kto w pewnym momencie przejmie kontrolę nad browarem Gibsonów...

– Kto zabrał pistolet, Eck? – Robertson znowu wzruszył ramionami. Rebus przypuszczał, że zamyślił się i przestał słuchać. Poszurał więc łaską o brzeg biurka. – Wpadłeś w spore kłopoty, Eck. Eddie Ringan dobrze to rozumiał. Dowiedział się od ciebie, że można zniknąć. To dobra lekcja, w przypadku gdy Duży Ger zaczyna się kimś interesować. On naprawdę sprawia, że ludzie znikają, nie? Wrzuca ich po prostu do morza. To tak właśnie się dzieje, co?

– Tak, ale dopiero po pewnym czasie. – Rebus aż się przeraził, a następne słowa Ecka Robertsona niemal go dobiły. – Nikt przecież nie będzie podejrzewać furgonetki rzeźnika.

Rebus skinął głową.

– Masz rację. – Zwilżył wargi. – Eck, czy będziesz zeznawał przeciwko niemu? Na zamkniętym procesie, bez ujawniania twojej nowej tożsamości? Zgodziłbyś się?

Eck Robertson kręcił głową. Nadal nią kręcił, gdy nagle otworzyły się z łoskotem drzwi. Jakaś jakby znajoma twarz spod ściany z formularzami zakładów. To ten gość, który grał w bilard.

- Wszystko w porządku, Tommy?

- W porządku, Sharky - odpowiedział Robertson, choć jego twarz na to nie wskazywała.

- Wyjdz, synu! - nakazał mu Rebus. - Pan Greenwood i ja mamy sprawy do obgadania.

Sharky go zignorował.

- Czy mam go stąd wywalić, Tommy?

Robertson nie miał nawet czasu na udzielenie odpowiedzi. Wyprowadzając uderzenie od dołu, Rebus walnął Sharky'ego rączką laski prosto w nos i wzięwszy zamach, uderzył go jeszcze mocniej po kolanach. Sharky zwałił się na podłogę, wyjąc z bólu. Rebus wstał.

- Przydatna ta laska. - Wymierzył ją w Robertsona. - Zatrzymaj rysunek na pamiętkę, Eck. Jeszcze tu wrócę. Chcę, żebyś zeznawał przeciwko Cafferty'emu. Jeszcze nie teraz. Kiedyś, gdy postawimy mu mocne zarzuty. A jeśli nie będziesz chciał zeznawać, zawsze mogę wskrzesić Ecka Robertsona. Pomyśl o tym. Tak czy owak, Duży Ger o wszystkim się dowie.

Właśnie przejeżdżał mostem Forth Road, gdy usłyszał najświeższe wiadomości przez radiodbiornik samochodowy.

- O Chryste - wyszeptał i mocniej nacisnął pedał gazu.

## Rozdział 31

**REBUS POKAZAŁ ODZNAKĘ, PRZEJEŹDŻAJĄC** przez bramę browaru. Na miejscu był tylko jeden samochód policyjny i ani śladu karetki. Robotnicy stali dookoła w małych grupkach, rozmawiając przyciszonymi głosami, częstując się papierosami i przekazując informacje.

Rebus znał detektywa, który był już na miejscu. Pracował w rejonie Edynburg-Zachód i nazywał się Robert Burns. Był wysoki i masywnie zbudowany; miał piegi i rude włosy. W niedzielne popołudnia zwykle przechadzał się u podnóża wzgórza Mound, gdzie krytykował spacerujących pogan. Rebus ucieszył się, że zastał tu płomiennego Burnsa. Zionął ogniem i siarką; niestety, nigdy nie poczęstował nikogo wafelkiem.

Burns wskazał na wysoki aluminiowy zbiornik.

– Wszedł na sam szczyt. – Rebus bardzo wyraźnie widział stalowe schody wiodące na górę. Pierścienie platform okalały zbiornik co dziesięć metrów. – A gdy już się tam dostał, to skoczył. Wielu robotników to widziało i wszyscy powtarzali to samo. Wspinał się coraz wyżej, aż zabrakło schodów, i wtedy skoczył z rozłożonymi ramionami. Jeden z robotników powiedział, że skok był lepszy niż te, które oglądał w czasie olimpiady.

– Aż taki dobry?

Nie tylko oni przyglądali się zbiornikowi. Robotnicy pokazywali gapiom tor spadania Aengusa Gibsona. Uderzył w asfalt i złożył się jak harmonijka. W ziemi była solidna dziura, jakby usunięto spory głąz.

– Ojciec próbował wspinać się za nim – ciągnął Burns. – Ale nie doszedł daleko. To przecież stary facet, nic dziwnego, że jego serce nie wytrzymało. Musieli pomóc mu zejść z trzeciego kręgu.

Rebus policzył platformy okalające zbiornik.

- Te kręgi to zupełnie jak u Dantego, co? - Mrugnął do Burnsa.  
- Stary mówił, że to był wypadek.  
- Oczywiście, że tak.  
- Ale przecież to nie był wypadek.  
- Oczywiście, że nie.  
- Mam kilkunastu świadków, którzy powiedzieli, że skoczył.  
- Kilkunastu świadków, którzy zmieniają zdanie, jeśli ktoś zagrozi im utratą pracy - dodał Rebus.

- Niestety, tak będzie.

Rebus nabrał powietrza głęboko w płuca. Zawsze lubił zapach chmielu, ale od dzisiejszego dnia ten zapach stanie się inny. Będzie przypominał tę chwilę.

- Pan daje i Pan odbiera - skomentował Burns. - A tak przy okazji, co ci się stało w nogę?

- Paznokieć mi wrastał do środka - wyjaśnił Rebus. - Pan mi je dał, a w szpitalu mi je odebrali.

Burns syknął na to bluźnierstwo, gdy otworzyło się okno w budynku za ich plecami.

- Ty! - wrzasnęła Broderick Gibson. - Ty go zabiłeś! Ty jesteś winny! - Skrzywiony palec, którego nie potrafił wyprostować, był skierowany w stronę Rebusa. Oczy starca wyglądały jak mokre szkło, oddech był urywany. Ktoś próbował delikatnie wciągnąć go z powrotem do pokoju, trzymając za barki. - Jeszcze się policzymy! - zawołał za Rebusem Gipson. - Zapamiętaj moje słowa. Nadejdzie czas rozliczenia!

Dał się w końcu wciągnąć do środka i opuszczono okno. Robotnicy spoglądali w kierunku dwóch policjantów.

- To musi być jeden z waszych - powiedział Rebus, kierując się do swojego samochodu.

Było już po wszystkim. Aengus Gibson zastrzelił Tama Robertsona, a teraz sam nie żył. Koniec historii. Rebus pomyślał o jedynej osobie spoza rodziny Aengusa, która nie będzie tym zachwycona - o Dużym Gerze Caffertym. Cafferty dawał ochronę Czarnemu Aengusowi, a może nawet



szantażował go przez cały czas, czekając, aż junior przejmie browar w spadku. Po śmierci Aengusa cały spisek stracił sens.

No tak, ale nadal nie można było ukarać Cafferty'ego.

Kiedy Rebus wrócił do mieszkania, Michael przekazał mu wiadomości.

– Doktorka dzwoniła do ciebie.

– Która? Tyle ich ostatnio spotkałem.

– Doktor Patience Aitken. Ona sądzi, że jej unikasz. Wygląda na to, że twoja taktyka zaczyna działać.

– To nie żadna taktyka. Po prostu za dużo miałem ostatnio na talerzu.

– A jeśli tego nie dokończysz, to nie dostaniesz deseru. – Michael uśmiechnął się i dodał: – Ma ładny głos.

– Cała jest ładna. To ja jestem palantem.

– Więc się z nią spotkaj.

Rebus opadł na sofę.

– Może się spotkam. Co czytasz?

Michael pokazał mu okładkę.

– Znowu książka o hipnoterapii? Pewnie już wiesz o niej wszystko.

– Dopiero podrapałem naskórek – odparł Michael. – Zamierzam iść na kurs hipnoterapii.

– Coś ty?

– Zostanę hipnoterapeutą. Naprawdę. Przecież potrafię hipnotyzować ludzi.

– Z pewnością potrafisz zrobić tak, że zdejmą spodnie i zaczną szczekać jak psy.

– No właśnie, już czas, żeby zastosować moje umiejętności do wyższych celów.

– Mówią, że śmiech jest najlepszym lekarstwem.

– Zamknij się już, John. Mówię poważnie. I niedługo wprowadzę się do Chrissie i dzieciaków.

– Naprawdę?

– Już z nią rozmawiałem. Spróbujemy od nowa.

– Jakież to romantyczne.

– Któryś z nas musi mieć choć trochę romantyzmu w duszy. – Michael podniósł słuchawkę i podał ją bratu. – Masz. Zadzwoń do niej.

– Tak jest – odpowiedział Rebus.

**BRODERICK GIBSON NAPRAWDĘ MIAŁ WPŁYWY.** W środę rano w porannej prasie można było przeczytać o „tragicznym wypadku” w Gibson’s Brewery koło Fountainbridge w Edynburgu. Zamieszczono zdjęcia Aengusa; niektóre pochodziły z dni, gdy nazywano go jeszcze Czarnym Aengusem, inne pokazywały późniejsze jego wcielenie na różnych imprezach dobroczynnych. Nawet szeptem nie mówiono o samobójstwie. To kolejne zatajenie prawdy przez ojca Aengusa. Tak więc stary Gibson po raz kolejny zataił prawdę. Zupełnie jakby wynikało to z jego charakteru i dokonało się w rutynowy sposób.

O dziesiątej piętnaście Rebus odebrał telefon od komendanta Watsona.

– Ktoś tu chce się z tobą spotkać – oznajmił Farmer. – Powiedziałem mu, że jesteś zawieszony, ale się uparł.

– Kto to jest? – zapytał Rebus.

– Jakiś stary, ślepy porąbaniec, nazywa się Vanderhyde.

Gdy Rebus pojawił się na komendzie, Vanderhyde nadal czekał. Siedział spokojnie i wsłuchiwał się w odgłosy wokół niego. Paplanina ludzi, rozmowy telefoniczne i stukanie klawiatur komputerowych. Siedział na krześle po drugiej stronie biurka Rebusa. Mimo bólu nogi inspektor wszedł cicho na palcach i usiadł. Obserwował Matthew Vanderhyde’a przez parę minut. Starszy pan miał na sobie ciemny garnitur, białą koszulę i czarny krawat – żałobny ubiór. Przyniósł niebieską tekturową teczkę, która spoczywała na jego udach. Laska oparta była o bok krzesła.

– No dobrze, inspektorze – powiedział nagle Vanderhyde. – Już się pan napatrzył?

Rebus uśmiechnął się krzywo.

– Dzień dobry, panie Vanderhyde. Co mnie zdradziło?

– Niesie pan jakiś kij, który uderzył o narożnik biurka.

Rebus skinął głową.

– Przykro mi...

– Nie jest panu bardziej przykro niż jego rodzicom. Przez te lata ciężko pracowali nad Aengusem. On był naprawdę trudny. Czasem nawet zachowywał się jak szatan. A teraz to wszystko zostało zmarnowane. – Vanderhyde pochylił się na krześle. Gdyby miał wzrok, jego oczy wywierciłyby w Rebusie dziurę. Inspektor widział odbicie swojej twarzy w okularach starszego człowieka. – Czy on zasłużył na śmierć, inspektorze?

– Miał wybór.

– Naprawdę?

Rebus przypomniał sobie słowa księdza: „Czy będziesz potrafił żyć przez resztę życia, pamiętając o wszystkim i z poczuciem winy?”. Vanderhyde wiedział, że Rebus nie miał zamiaru odpowiadać na to pytanie. Powoli skinął głową i usiadł trochę wygodniej.

– Był pan tam tego wieczoru? – zapytał Rebus.

– Gdzie?

– Przy stoliku, gdzie grano w karty.

– Ślepiec nie jest najlepszym karciarzem, inspektorze.

– Ale ktoś, kto widzi, może podpowiadać, jakie się trzyma karty w ręku. – Rebus czekał. Vanderhyde siedział sztywno wyprostowany, jakby był figurą woskową człowieka z epoki wiktoriańskiej. – Może ktoś taki jak Broderick Gibson.

Palce Vanderhyde’a bawiły się sznureczkiem niebieskiej teczki. Wreszcie ujął ją w dłoń i przesunął po blacie biurka.

– Broderick chciał, żebym ją panu przekazał.

– Co w niej jest?

– Nie wiem. Wyraził tylko nadzieję, że dla pana będzie miała jakąś wartość, choć sam w to trochę wątpi. Oczywiście sam byłem ciekawy i obejrzałem ją po swojemu. To jakaś książka. – Rebus wziął od niego ciężką teczkę, a Vanderhyde wycofał rękę i macając brzeg krzesła, znalazł laskę i wsparł się na niej. – Przy Aengusie znaleziono jakieś klucze. Nie

pasowały do żadnego zamka. Wczoraj wieczorem Broderick znalazł wyciągi bankowe wskazujące na comiesięczne płatności dla administracji pewnego budynku. Zna kierownika biura, więc zadzwonił do niego. Okazało się, że Aengus wynajmował mieszkanie przy Blair Street.

Rebus znał to miejsce. Był to wąski deptak pomiędzy High Street a Cowgate, na pograniczu bogactwa i biedy.

– I nikt o tym wcześniej nie wiedział?

Vanderhyde pokręcił głową.

– To jest mała kawalerka, inspektorze. Taka szczyrza nora, jak mówił o niej Broderick. Pleśniejące jedzenie i puste butelki, kasety z filmami pornograficznymi...

– Normalna kawalerska samotnia.

Vanderhyde zignorował żarty Rebusa.

– Tę książkę właśnie tam znaleźiono.

Rebus już otworzył teczkę. W środku był duży notatnik, którego kartki złączono metalowymi kółkami. Nie miał tytułu na okładce, ale wąskie linie wypełnione były pismem. Po przeczytaniu kilku zdań Rebus już wiedział, co to jest: pamiętnik Aengusa Gibsona.

## Rozdział 32

**REBUS SIEDZIAŁ ZA SWOIM BIURKIEM** i czytał. Nikt mu nie zwracał głowy. Martwiło go tylko to, że jest zawieszony. Sala operacyjna wydziału powoli pustoszała, gdy śledczy powyjeżdżali na miasto. Nikt na niego nie zwracał uwagi, jakby w ogóle go nie było. Zdjął słuchawkę telefonu z widełek i kiwając głową nad stronami pamiętnika, zagłębił się w lekturze. Nie chciał, by ktokolwiek mu przeszkadzał.

Najpierw szybko przeczytał cały dziennik. Przecież nie wszystkie wpisy dotyczyły interesującej go sprawy. Wczesne relacje były pełne opisów zwariowanych imprez w wiejskich rezydencjach oraz niezliczonych stosunków płciowych z zamężnymi kobietami o znanych nazwiskach, a częściej z ich córkami. Wplątane w to były wspomnienia awantur z rodzicami, głównie o pieniądze. Było tam też sporo dokładnych zapisków, na co wydawał forszę – na podróże, samochody, szampana, ubrania. Pamiętnik rozpoczynał się jednak dość dziwnie:

*Czasem, gdy jestem sam, a nawet w czyimś towarzystwie, dostrzegam kątem oka jakąś postać. Albo tak mi się wydaje. Gdy jednak odwracam wzrok, by się tej osobie przyjrzeć, nie ma tam nikogo. Może to tylko jakiś kształt, coś ciekawego, podświadome zestawienie cieni na krawędzi otwartych drzwi lub na futrynie okna albo cokolwiek, co tam jest, a ja to coś widzę jako ludzką postać. Piszę o drzwiach i oknie, ponieważ ostatnio właśnie coś takiego mi się przydarzyło.*

*Zaczynam dochodzić do wniosku, że naprawdę mam wizje. A moje wizje przedstawiają... mnie. Tego innego mnie. Chodziłem do kościoła, gdy byłem dzieckiem, i wierzyłem w duchy. Nadal wierzę w duchy...*

Rebus pominął resztę i przeszedł do następnego wpisu.

*Mogę pisać ten pamiętnik całkiem bezpiecznie, wiedząc, że jeśli ktokolwiek go teraz czyta – dotyczy to też ciebie, drogi czytelniku – robi to już po mojej śmierci. Nikt nie wie, że tutaj go trzymam, a ponieważ nie mam żadnych przyjaciół, żadnych powierników ani powierniczek, nie jest prawdopodobne, by komuś udało się go dostać w swoje ręce. Jakiś włamywacz mógłby oczywiście go ukraść. Jeśli tak, to wstydź się – to była najmniej wartościowa rzecz w moim mieszkaniu, choć może stać się tym bardziej wartościowa, im więcej wpisów tu się pojawi...*

W chronologii pamiętnika były wielkie wyrwy czasowe. Jeden rok miał nieraz zaledwie kilka datowanych wpisów. Okazuje się, że Czarny Aengus nie był pilnym kronikarzem, w ogóle nie był pilny w niczym. Pięć lat temu pojawił się cały nawał wpisów: przypadkowe włamanie do mieszkania Mo Johnson, zaprzyjaźnienie się z Mo i poznanie Morrisa Cafferty'ego. Po pewnym czasie w opisach spotkań w pubach, klubach i na imprezach Cafferty staje się w pamiętniku po prostu *Dużym Gerem*.

Najdłuższy wpis dotyczył jednego dnia, który najbardziej Rebusa interesował:

*To naprawdę nie jest takie fatalne miejsce. Opiekunowie są wyrozumiali i chętnie opowiadają dowcipy i historyjki. Prowadzą mnie delikatnie z powrotem do mojego pokoju, gdy się od niego zbyt oddalę. Korytarze są długie i pokręcone jak w labiryncie. Pewnego razu wydawało mi się, że widzę na środku korytarza rosnące drzewo, ale to był obrazek na ścianie. Pielęgniarka położyła moją dłoń na szybie, bym upewnił się, że to tylko namalowany obraz.*

*Tak jak reszta opiekunów, ona też odmówiła mi przeschumowania wódki.*

*Z okna oglądam wiewiórkę – rudą wiewiórkę. Skacze sobie po gałęziach, a za drzewami są wzgórza pokryte listowiem, jak kiepska szkolna fryzurka.*

*Ale ja wcale nie widzę tej sielankowej scenerii. Patrząc na pokój – na pokój, w którym podejrzewam, że spędzę sporo czasu, nawet jeśli wyjdę z tego szpitala.*

*Dlaczego namawiałem ojca, by poszedł zagrać w pokera? Teraz znam już odpowiedź. Bo Cafferty chciał, żeby on tam był. A ojcu spodobał się pomysł – do tej pory ma ogień w oczach, ten ogień przecież przekazał mi w genach. Ale nie mógł przyjść. Zastanawiam się, czy gdyby on tam był, wszystko nie potoczyłoby się inaczej.*

*W barze spotkałem się z wujkiem Matthew. Boże, co za nudziarz! On myśli, że skoro zajmuje się demonami i skrzatami nacjonalizmu, to ma jeszcze jakiś wpływ na świat. Mogłem mu powiedzieć, że ludzie tacy jak Cafferty mają wpływ. Oni są ukrytymi mechanizmami, mikserami i załatwiaczami. To proste, im się wszystko udaje. Mój Boże, i to jeszcze jak!*

*Tam Robertson zaproponował, bym zagrał w pokera na górze. Nie trzeba było mieć dużego wkładu, a przecież zawsze mogłem wyskoczyć na Blair Street po więcej gotówki, gdyby mi zabrakło. Oczywiście, że zdawałem sobie sprawę z reputacji Tama Robertsona. Dziwnie tasował karty, unosząc przy tym łokcie. Choć nie mogłem się domyślić, jak to było możliwe, niektórzy uważali, że w ten sposób udaje mu się zobaczyć spody kart, które tasował. Jego brat Eck wyjaśnił to tak, że Tam złamał rękę, gdy był dzieckiem. Nie jestem wybitnym graczem, więc spodziewałem się, że przegram kilka funciaków, ale wiem, że zauważyłbym, gdyby ktoś próbował mnie oszukać podczas gry.*

*Dołączyli do nas jeszcze dwaj i miałem już pewność, że nie dam się oszukać. Jednym z nich był Cafferty. Towarzyszył mu facet, który nazywał się Jimmy Bone, rzeźnik. Wyglądał nawet na rzeźnika – puciołowata twarz, czerwone policzki, palce grube jak tłuste parówki. Skóra, jakby czyścili ją pumeksem. Tak właśnie wyglądają wszyscy rzeźnicy, chirurdzy, pracownicy przetwórci mięsnych. Lubią być czystszy od czystych.*

*Teraz, gdy o tym myślę, to Cafferty też tak wyglądał. I Eck. I Tam. Tam ciągle mył ręce i przez to pachniały mydłem cytrynowym. Albo oglądał sobie paznokcie i je czyścił. Gdy patrzyło się na jego ubranie, trudno było się domyślić, że miał bzika na punkcie czystości. Teraz dopiero zrozumiałem jedną rzecz – błogosławione wspomnienia – że*

bracia Robertsonowie nie ucieszyli się z widoku Cafferty'ego. Nawet rzeźnik nie cieszył się, że go tu przyciągnięto i namówiono na grę. Przez cały czas marudził, że ma już dosyć hazardu i długów, które nie malały, ale Cafferty nie chciał tego słuchać.

Rzeźnik fatalnie grał w pokera. Krzywił się, gdy był niezadowolony z karty, wiercił się i szurał stopami, kiedy karta mu dopisała. W czasie gry widać było, że nie ma dobrego kontaktu między Caffertym i braćmi Robertsonami. Cafferty narzekał na biznes, że kiepsko idzie i że pieniądze słabo sphywają. Wtedy zwrócił się do mnie i klepnął mnie w wierzch dłoni.

– Ile trupów do tej pory widziałeś?

W towarzystwie Cafferty'ego stawałem się jeszcze bardziej narwany niż zwykle. Działo się tak dzięki jego niezwyklej naturalności.

– Niewielu – odpowiedziałem (albo coś w tym stylu naprędce wymyślonego).

– Choć jednego? – nalegał na odpowiedź. I nie czekając na nią, powiedział: – Ja widziałem dziesiątki. Tak, dziesiątki. A co więcej, Czarny Aengusie, wielu z nich sam zabiłem.

Cofnął dłoń, rozparł się w krzesle i nic już więcej nie powiedział. Następną rozgrywką odbyła się w milczeniu. Szkoda, że nie było z nami Mo. Miała na niego uspokajający wpływ. Pił whisky prosto z butelki, przepłukując usta przed głośnym połknięciem. Gdy jest trzeźwy, staje się nieprzewidywalny; gdy jest pijany, bywa groźny. To dlatego tak go lubię. Nawet w pewien sposób go podziwiam. On zawsze dostaje to, czego chce, bez względu na środki, które musi zastosować. Jest coś niezwykle magnetycznego w prostocie postępowania Cafferty'ego. No i oczywiście w jego towarzystwie staje się osobą budzącą respekt, nawet w ludziach, którzy normalnie nazwaliby mnie napuszonym snobem albo, jak to powiedział jeden facet, „obsiurany gównem”. Cafferty się wkurzył, gdy mu powiedziałem, że tak mnie nazwano. Złożył temu gościowi osobistą wizytę.



A dlaczego się ze mną przyjaźni? Przed tym wieczorem myślałem, że po prostu widzi ogień w oczach drugiego człowieka. Ale teraz już wiem dlaczego. Przyjaźnił się ze mną, bo miałem być narzędziem w jego rękach do osiągnięcia pewnego celu. Przykrego, ostatecznego rozwiązania.

Pilem wódkę, na początku z sokiem pomarańczowym, potem czystą, ale zawsze z lodem. Robertsonowie pili piwo. Pod stołem, między nogami, mieli całą skrzynkę piwa. Jimmy Bone pił whisky, gdy tylko Cafferty nalał mu cokolwiek, jak zwykle za mało dla biednego rzeźnika. Już po paru minutach gry byłem dwadzieścia funtów w plecy, a po kwadransie – sześćdziesiąt. Cafferty znowu położył dłoń na mojej.

– Gdybym tu nie zajrzał do ciebie – powiedział – to oskubaliby cię z ostatniej koszuli i zdarli z ciebie gacie.

– Ja nigdy nie oszukuję – rzucił Tam Robertson.

Miałem uczucie, że Cafferty przez cały czas czekał, aż on wreszcie coś powie. Robertson zrozumiał swój błąd i ugryzł się w wargę. Jego brat próbował uratować sytuację, skupiając naszą uwagę na grze. Ale Cafferty uśmiechał się krzywo do Tama Robertsona, gdy ten brał karty do ręki. I znowu zaczął swoją gadkę.

– Zabiłem wielu ludzi – powiedział, kierując wzrok w moją stronę, lecz mówiąc do Robertsonów – ale wszystkie te zabójstwa były usprawiedliwione. Nie miałem litości dla ludzi, którzy winni mi byli pieniądze, którzy mi się sprzeniewierzyli, ludzi, którzy mnie oszukali. Każdy wie, w co się świadomie pakuje. Taka jest prawda.

Przyznałem mu głośno rację.

– I skoro ktoś posuwa się do oszustwa, to musi wiedzieć, że grożą za to konsekwencje, prawda? – Znowu skinąłem głową. – Czarny Aengusie – zwrócił się do mnie – czy chciałeś kiedyś kogoś zabić?

– Wiele razy. – To była prawda, ale teraz żałuję, że nie trzymałem języka za zębami. Chciałem zabić bogatszych, przystojniejszych ode mnie mężczyzn, którzy mają piękne kobiety; zabić kobiety, które odrzuciły moje zaloty. Chciałem pozbyć się ludzi, którzy odmówili mi

obsługi, gdy byłem pijany; ludzi, którzy nie odwzięczyli się uśmiechem, gdy się do nich pierwszy uśmiechnąłem; ludzi, których wywoływano przez głośniki w holach hotelowych, i tych, którzy kręcili filmy w Hollywood i byli właścicielami olbrzymich rancz i zamków, i mieli nawet własne armie. Więc moja odpowiedź była szczerą. – Wiele razy.

Cafferty kiwał głową. Wypił prawie całą butelkę. Pomyślałem, że za chwilę coś się wydarzy, zostanie popełnione jakieś przestępstwo, i byłem na to przygotowany – albo mi się przynajmniej tak wydawało. Robertsonowie wyglądali, jakby mieli eksplodować albo implodować. Tam trzymał ręce na krawędzi stołu, gotowy do poderwania się na nogi. Nagle otworzyły się drzwi. To był ktoś z kuchni, przyniósł nam kanapki, które wcześniej zamówiliśmy. Z łososem i rostbefem. Czekał, aż mu zapłacimy.

– No dalej, Tam – odezwał się Cafferty cichym głosem. – Ty masz dzisiaj szczęście, to mu zapłać.

Ociągając się, Tam odliczył kilka banknotów i zapłacił.

– I napiwek – dodał Cafferty.

Kolejny banknot zmienił właściciela. Kelner wyszedł.

– Bardzo miły gest – powiedział Cafferty.

Teraz była jego kolej na tasowanie i rozdanie kart.

– Ile jesteś do tyłu, Czarny Aengusie?

– Nie jest tak źle – odpowiedziałem.

– Pytam: ile?

– Czterdzieści.

W pewnym momencie byłem aż sto funtów do tyłu, ale trafiły się dwa dobre rozdania i udało mi się trochę załatać dziurę. No i oczywiście – nie można w to było wątpić – najlepsi gracze przy stole, czyli bracia Robertsonowie, zaczęli mieć problemy z koncentracją. W pokoju wcale nie było zbyt ciepło, ale po bokobrodach Ecka spływały kropelki potu. Ciągle ocierał pot z twarzy.

– Pozwolisz, żeby obrąbali cię z tych czterdziestu funtów? – zagadał Cafferty.

Tam Robertson zerwał się gwałtownie na nogi, aż jego krzesło przewróciło się do tyłu.

– Mam już dosyć słuchania tego wszystkiego!

Eck podniósł krzesło i pociągnął brata, by usiadł. Cafferty skończył rozdawanie i lustrował swoje karty, jakby ta scena nie robiła na nim żadnego wrażenia. Rzeźnik zerwał się nagle, ogłaszając, że zaraz zwymiotuje. Szybko wyszedł z pokoju.

– Już nie wróci – oznajmił Cafferty.

Coś tam odpowiedziałem à propos młodej jeszcze godziny. Wtedy Cafferty spojrział na mnie tak dziwnym wzrokiem, jakiego nie znałem, mimo że poznałem wiele stron jego osobowości, zbyt wiele, i powiedział:

– Nie wiedziałbyś, czy jest wczesna, czy późna godzina, gdybym kopnął cię w pizdę.

Zaczął zbierać karty do powtórnego tasowania. Poczulem, jak policzki mi się czerwienią od napływającej krwi. Jego słowa były odrażające. Wytłumaczyłem sobie, że pewnie za dużo wypił. Ludzie zawsze mówią głupoty, gdy się napiją. Spójrzcie na mnie, przecież miałem powody, by być niezadowolony z tych świąństw, które mówią o mnie napici goście.

Rozdał karty. Gdy przyszła jego kolej na postawienie, dorzucił jakiś banknot na kupkę i odłożył karty na stół koszulkami do góry. Sięgnął za pasek spodni. Zawsze nosił garnitur, zawsze wyglądał elegancko. Powtarzał, że policja nie tak szybko zatrzymuje dobrze ubranych ludzi, a tym bardziej obawia się ich popychać lub kopać.

– Oni nie lubią marnować dobrego towaru – powiedział do mnie. – Widzisz, jacy sprytni Szkoci?

Gdy wyciągnął rękę zza paska, trzymał w niej pistolet. Robertsonowie zaczęli mieć obiekcje, a ja wpatrywałem się w broń. Widziałem już pistolety, ale nigdy nie z tak bliska i w takiej sytuacji. I nagle cała wypita wódka, która prawie wcale na mnie nie działała

tego wieczoru, cofnęła mi się do góry jak wybijające ścieki przez rurę kanalizacyjną. Przestraszyłem się, że się porzygam, ale przelknąłem ją jakoś. Pomyślałem, że stracę film. A Cafferty przez cały czas spokojnie mówił, że Tam oszukuje, i pytał, gdzie są pieniądze.

– I oszukiwałeś też Czarnego Aengusa – powiedział.

Chciałem zaprotestować, ale bałem się, że zwymiotuję, jak odezwę się słowem, więc tylko pokręciłem głową, przez co jeszcze bardziej mnie zemdlilo. Czuję straszny ból i złość, gdy opisuję te wydarzenia tak szczerze i dokładnie. Minęło już czternaście tygodni od tego wieczoru, ale co noc ból wraca, budząc mnie ze snu. Dają mi tu lekarstwa, ale żadnego alkoholu. W ciągu dnia mogę chodzić po parku. Są spotkania grupowe, podczas których mamy omawiać swoje problemy. Chryste, gdyby to było takie proste! Pierwszą rzeczą, którą ojciec zrobił, to usunął mnie z drogi. Kusi mnie, by powiedzieć, że usunął mnie ze swojej drogi. Po prostu wysłał mnie na wakacje. Matka pojechała ze mną do Nowej Anglii i dotarliśmy do Bar Harbor, gdzie ciotka ma dom. Próbowaliśmy rozmawiać z matką, ale to nie miało żadnego sensu. Przez cały czas na ustach miała ten swój głupi współczujący uśmiešek.

Odszedłem od tematu, ale to też było ważne. No więc wracam do naszej gry w pokera. Prawdopodobnie już się domyśliłeś, czytelniku, co wydarzyło się później. Poczulem dłoń Cafferty'ego na mojej, tylko że tym razem podniósł moją dłoń i wsunął w nią pistolet. Nadal czuję jego chłód i twardość. Połowa mojego mózgu mówiła mi, że ten pistolet to tylko straszak, a on chciał właśnie nastraszyć Robertsonów. Druga połowa mózgu mówiła mi, że pistolet był prawdziwy, ale nie sądziłem, że go użyje.

Wtedy poczułem, że owija mój palec wskazujący na spuście. Jego dłoń zwarła się na mojej i wycelowała lufę. Cafferty przycisnął mój palec do spustu. Nagle usłyszałem wystrzał i zobaczyłem smugi gryzącego prochu. Krew rozbryzgnęła się na wszystkich. Początkowo czułem jej ciepło na skórze, później stała się chłodna. Eck pochylał się nad bratem i coś do niego mówił. Pistolet stuknął o blat stołu. Wtedy

jeszcze nie rozumiałem, dlaczego Cafferty schował broń do foliowej torebki. Teraz wiem, że chciał zachować na niej moje odciski palców.

Zerwałem się znad stołu, cały spanikowany i rozhisteryzowany. Cafferty siedział bez ruchu, wyglądał na całkowicie spokojnego. Jego spokój sprawił, że straciłem panowanie nad sobą. Rozbiłem butelkę z wódką o ścianę, alkohol zamoczył tapety i zasłony. Wpadłem na pewien pomysł: chwyciłem ze stołu zapalniczkę i podpaliłem wódkę. Dopiero wtedy Cafferty wstał. Zaczął mnie wyzywać i próbował stłumić płomienie, ale lizały już zasłony i były poza zasięgiem jego ramion. Szybko rozprzestrzeniały się po suficie obitym sukniem. Zrozumiał, że ogień jest szybszy od nas. Eck chyba już poświęcił brata i uciekł stamtąd, zanim ja wybiegłem z pokoju. Skakałem po trzy stopnie, wpadłem do kuchni i zażądałem, by odkręcono gaz. Chciałem, żeby Central spalił się doszczętnie i pochłonął ze sobą wszelkie dowody.

Musiałem wyglądać na wariata, bo szef kuchni spełnił moje żądania. To był ten sam facet, który przyniósł nam kanapki, tylko że zmienił marynarkę. Było późno; siedział sam w kuchni i pisał coś w notatniku. Kazałem mu uciekać. Wydostał się z kuchni tylnymi drzwiami, a ja wyszedłem za nim i trzymając nisko głowę, pobiegłem do domu przy Blair Street.

To chyba wszystko na ten temat. Wcale się lepiej nie czuję tylko dlatego, że to opisałem. Nie wydarzyły się żadne egzorcyzmy i nie nastąpiło katharsis. Może nigdy się z tego nie oczyszczę. Znalaziono zwłoki. I pewnie wiedzą już, kim był zastrzelony człowiek. Nie mam pojęcia, w jaki sposób mogliby się tego dowiedzieć. Może ktoś im powiedział. Eck Robertson miałby przecież dobry powód. Tylko on mógł im donieść. Ale to i tak wszystko przeze mnie. Zdaję sobie sprawę, że Cafferty zaczął na mnie przeklinać, bo latałem jak opętany i podłożyłem ogień. Jeslibym tego nie zrobił, dopilnowałby, żeby ciało Tama Robertsona zniknęło. I nikt o niczym by się nigdy nie dowiedział. A nam upiekłoby się morderstwo.

Ale „upiekło mi się” nie oznacza wcale, że to już wszystko. Te zwłoki nawiedzają mnie we śnie. Zeszłej nocy śniło mi się, że przyszło

*do mnie zwęglone i dymiące ciało Tama. Wskazało na mnie palcem i nacisnęło spust. O Boże, co za straszne cierpienie. A oni myślą, że ja tu jestem tylko z powodu alkoholizmu. Nawet ojcu nie powiedziałem wszystkiego, jeszcze nie. Czasem żałuję, że nie karał mnie surowiej, kiedy byłem mały, i nie zabronił mi źle się zachowywać. I cieszył się z tego, że dokazuję! „Zrobimy z ciebie mężczyznę!”, powtarzał. Ojczy, zrobiłeś.*

O to właśnie chodziło. Rebus rozparł się w fotelu i zaczął wpatrywać się w sufit. Eddie Ringan wiedział trochę więcej, niż zeznał. Był świadkiem gry w pokera i wiedział, że Cafferty uczestniczył w tej grze. Nic dziwnego, że ciągle się czegoś bał. Duży Ger przypuszczalnie nie wiedział wtedy, kim on jest, i nie zwracał uwagi na jakiegoś kelnera, który pracował na czarno, a nie był stałym pracownikiem.

Rebus potarł oczy i wrócił do czytania dziennika. Dalej było coś o wakacjach, a potem znowu o szpitalu. Kolejny wpis dotyczył okresu kilka miesięcy po wypisie szpitalnym.

*Spotkałem dziś Cafferty'ego. To wcale nie był mój pomysł. Chyba mnie śledził. Złapał mnie na Blackford Hill. Przeszedłem przez Hermitage i wspinałem się po stromym wzgórzu. Pewnie myślał, że próbuję przed nim uciec. Pociągnął mnie za ramię i obrócił w swoją stronę. Omal nie wylazłem ze skóry.*

*Powiedział mi, że muszę od tej chwili trzymać język za zębami i że pobyt w szpitalu był dobrym pomysłem. Chyba chciał mi udowodnić, że wie wszystko o tym, co się ze mną ostatnio działo. Domyślam się, co knuje. Na razie po prostu czeka. Obserwuje mnie, jak uczę się zarządzania biznesem. Czeka na dzień, kiedy przejmę interes po ojcu. Myślę, że on chce wszystko – moje ciało i moją duszę.*

*Tak, i ciało, i duszę.*

Było tam jeszcze sporo takich historyjek. Zmieniały się styl i zawartość wpisów wraz ze zmianami w samym Aengusie. To była dla niego ciężka praca. Publiczna twarz, działalność charytatywna – to wszystko

maskowało tęsknotę za dziką naturą. Rebus przewertował kartki do ostatniego wpisu nieopatrzonego datą:

*Wiesz, mój drogi przyjacielu lub wrogu, spodobało mi się to, co czułem, gdy trzymałem pistolet w ręce. A gdy Cafferty położył mój palec na spuście... to on go nacisnął. Jestem tego pewien. Ale gdyby nie on? Czy wystrzeliłbym z tego pistoletu z jego silną dłonią zakleszczoną na mojej? Po tych wszystkich latach, tych sennych koszmarach, zimnych potach i nagłych depresjach, coś się stało. Wznowiono śledztwo. Rozmawiałem z Caffertym i powiedział, że nie mam się czego obawiać. Kazał mi skoncentrować energię na browarze. Wydaje się, że wie więcej o naszych finansach niż ja. Ojciec wspomina o przejściu na emeryturę w przyszłym roku. Ja przejmę cały interes, a Cafferty przejmie go ze mną. Spotykałem go na wielu imprezach dobroczynnych i przy innych okazjach, zawsze z Mo. Rozmawialiśmy, ale od tamtej nocy już nigdy nie cieszyłem się z jego towarzystwa tak jak dawniej. Tamtej nocy utraciłem poczucie, że jestem użyteczny. Przypuszczalnie okazałem słabość, rozbijając butelkę. A może taki właśnie był plan od samego początku. Cafferty zawsze puszcza oko, gdy mnie widzi. Ale przecież on puszcza oko prawie do każdego. Przy mnie jednak zamyka powiekę na jedną sekundę, tak jakby we mnie celował. Chryste, czy to się nigdy nie skończy? Gdybym się tak nie bał, modliłbym się, żeby policja mnie namierzyła. Ale Cafferty im nie pozwoli. Nigdy im na to nie pozwoli, nigdy.*

Rebus zamknął pamiętnik. Jego serce biło bardzo szybko, ręce się trzęsły. Aengus, ty głupi gnojku. Gdy przeczytałeś, że mamy pistolet, myślałeś, że zdejmimy odciski palców i przyjdziemy po ciebie.

Ale zamiast tego Cafferty odtrąbił triumfalnie swoje zwycięstwo, obciążając Rebusa, by tylko wyłączyć go z gry na jakiś czas. Cała ironia losu polegała na tym, że gdy zatarły się odciski palców Aengusa – nikt nie mógłby oskarżyć go o zabójstwo, którego zresztą nie popełnił.

No tak, ale dowody były nadal niedopracowane. Rebus wyobraził sobie, jaką zabawę miałyby obrona, gdyby wmaszerował na salę sądową

z niczym więcej, jak tylko z pamiętnikiem dochodzącego do siebie alkoholika. Sądy karne w Edynburgu znane były z surowości, a konfrontacja z adwokatami, na których mógł sobie pozwolić Duży Ger, byłaby przegrana na samym starcie.

Rebus zdawał sobie sprawę, że musi coś zrobić z Caffertym. Ten człowiek zasługiwał na karę, milion kar. Niech kara dorówna zbrodni, pomyślał. Ale natychmiast odrzucił ten pomysł. Dość już zabaw z bronią.

Nie poszedł prosto do domu. Wyszedł z pustej już komendy i wsiadł do samochodu. I siedział tak w nim na parkingu. Kluczyk tkwił w stacyjce. Ręce spoczywały na kierownicy. Dopiero po niecałej godzinie uruchomił silnik, ale głównie dlatego, że zrobiło mu się zimno. Nigdzie nie pojechał; odbył tylko podróż w swoim umyśle, cofał się pamięcią i zmieniał bez przerwy kierunki, aż wpadł na pomysł. Niech kara dorówna zbrodni. Tak, ale nie kara dla Cafferty'ego. Nie, nie dla Cafferty'ego.

Tym razem dla Andrew McPhaila.



## Rozdział 33

**PRZEZ KILKA DNI REBUS** nawet nie zbliżał się do komendy przy St Leonard's, chociaż otrzymał wiadomość od Farmera Watsona, że Broderick Gibson rozważa złożenie zażalenia przeciwko niemu za dręczenie syna.

– On sam się dręczył przez wiele lat – skomentował to Rebus i nic już więcej nie powiedział.

Czekał teraz na ulicy w swoim samochodzie na Andy'ego Steele'a, który właśnie miał być zwolniony z aresztu. Niedoszły prywatny detektyw z rybackiego rodu zmrużył oczy, gdy wyszedł na świeże powietrze. Rebus zatrąbił i opuścił szybę, gdy Andy podszedł ostrożnie do samochodu.

– A, to pan – odezwał się Steele. W jego głosie słychać było niezadowolenie. Rebus przecież powiedział, że postara się zrobić, co tylko będzie w jego mocy, by go wcześniej wypuszczono, ale zostawił go w areszcie i nie pojawił się już więcej.

– Wreszcie cię wypuścili – zauważył Rebus.

– Tak, za kaucją.

– Bo ktoś ją za ciebie założył.

Steele skinął głową i zaraz zapytał:

– To pan?

– Ja – odparł Rebus. – Wsiadaj. Mam dla ciebie robotę.

– Jaką robotę?

– Wsiadaj, to ci opowiem. – W Steele'a wstąpiło odrobinę więcej życia, gdy obchodził samochód i otwierał drzwi. – Chcesz być prywatnym detektywem – zaczął Rebus. – Rozumiem twoje chęci. I mam dla ciebie robotę.

Steele nie był pewien, co o tym myśleć, ale wreszcie przegnał wątpliwości, potrząsając głową i przeczesując włosy palcami.

– To świetnie – rzucił. – Byle tylko nie było to niezgodne z prawem.

– To nic nielegalnego. Wszystko, czego od ciebie chcę, to żebyś pogadał z paroma ludźmi. Są dobrymi słuchaczami, więc nie będziesz miał żadnych problemów.

– A co mam im powiedzieć?

Rebus uruchomił silnik.

– Że jest kontrakt na jednego faceta.

– Kontrakt?

– Daj spokój, Andy. Nie oglądasz filmów? Kontrakt.

– Kontrakt – wymruczał Andy Steele, gdy Rebus włączył się do ruchu.

**NIGDZIE NIE BYŁO ŚLADU PO** Andrew McPhailu. Alex Maclean, jak dowiedział się Rebus, już był na nogach, choć jeszcze nie wrócił do pracy. Gdy Rebus odwiedził panią MacKenzie, powiedziała mu, że nie widziała w okolicy żadnego mężczyzny z obandażowanymi dłońmi i twarzą. Ale jeden z sąsiadów go widział. To i tak nie miało znaczenia, bo McPhail już tu nie wróci. Prawdopodobnie napisze albo zadzwoni i poda pani MacKenzie nowy adres z prośbą o przesłanie swoich rzeczy. Rebus spojrział w kierunku szkoły, gdy wsiadał do samochodu. Pomyślał, że dzieci żyją w swoim własnym świecie, w którym... są już teraz bezpieczne.

Jeździł po całym mieście, obserwując szkoły i place zabaw. Zdawał sobie sprawę z tego, że McPhail musi słabo sypiać. A może już od dawna nie było go w Edynburgu? Rebus miał wizję, że McPhail wdrapuje się na wagon z węglem, a ktoś pomaga mu się tam dostać. Tym kimś był Deek Torrance. I pojawiają się napisy początkowe filmu...

Nie miało znaczenia, czy odnajdzie McPhaila, a taką miłą niespodziankę mógłby mu sprawić. Okrutną niespodziankę.

Wester Hailes była dzielnicą umożliwiającą ukrycie się każdemu, kto nie chciał zostać znaleziony. Leżała w zachodniej części miasta i była widoczna z obwodnicy. W Wester Hailes miasto gromadziło ludzi, o których chciało zapomnieć. Architektura dzielnicy była pozbawiona wdzięku, a ściany bloków mieszkalnych zawilgocone i pełne pęknięć.

Ludzie opuszczali Wester Hailes albo zostawali tam na całe życie, otoczeni drogami przelotowymi, zakładami przemysłowymi i nieużytkami. Do tej pory Rebus nigdy nie myślał, że to dobre miejsce na kryjówkę. Można było swobodnie chodzić ulicami albo wokół pola golfowego Kingsknowe albo ulicami wokół wzgórza Sighthill i jeśli nie wychyliło się nosa za dzielnicę, było się całkiem bezpiecznym. Znajdowały się tam miejsca, gdzie nocujący przybysz mógł mieć pewność, że nikt go nie wytropi. Było też kilka placów zabaw i szkoła.

Właśnie tam już drugiego dnia poszukiwań Rebus odnalazł Andrew McPhaila. Choć wcześniej, niestety, musiał obserwować dworce kolejowe i autobusowe, i tak wiedział, gdzie szukać. Przez trzy kwadransy śledził go samochodem, później trochę niezdarnie pieszo, gdy McPhail postanowił skrócić sobie drogę deptakiem. Rażno maszerował, jak zwykły facet na spacerze. Wyglądał na trochę zaniedbanego, ale przy sporym bezrobociu kto przejmowałby się facetem z dwudniowym zarostem.

Starał się nie zwracać na siebie uwagi. Nawet się nie zatrzymał, by popatrzeć na dzieci, które spotkał po drodze. Tylko się do nich uśmiechnął i poszedł dalej. Gdy Rebus już zobaczył, co chciał, przyspieszył kroku i stuknął go ręką w bark. McPhail odskoczył jak porażony prądem.

– Jezus, to pan! – McPhail złapał się za pierś. – Niemal dostałem ataku serca.

– To zaoszczędziłoby wysiłków Alxowi Macleanowi.

– A jak on się czuje?

– Drobne poparzenia. Już się szykuje, by znów wstąpić na ścieżkę wojenną.

– Chryste! Przecież to wydarzyło się całe lata temu!

– I już nigdy się nie powtórzy?

– Nie!

– I to był tylko przypadek, że zamieszkałeś naprzeciwko szkoły?

– Tak.

– I myliłem się, myśląc, że znajdę cię gdzieś niedaleko szkoły albo placu zabaw?

McPhail otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale zamknął je po chwili. Pokręcił głową.

– Nie, nie mylił się pan. Nadal lubię dzieci. Ale już nigdy... nigdy im nic złego nie zrobię. Nawet z nimi nie rozmawiam. – Spojrzał na Rebusa. – Naprawdę się staram, inspektorze.

Każdy chciał dostać drugą szansę: Michael, McPhail, nawet Czarny Aengus. Zdarzało się też, że Rebus mógł pomóc w takiej sytuacji.

– Powiem ci coś – zaczął. – Istnieją programy dla byłych skazanych. Mógłbyś z jakiegoś skorzystać. Poza Edynburgiem. Mógłbyś wystąpić o przyznanie numeru ubezpieczenia społecznego i starać się o pracę. – McPhail wyglądał, jakby chciał coś powiedzieć. – Wiem, że trzeba mieć na to pieniądze, a odrobina gotówki postawiłaby cię na nogi. I w tym mógłbym ci pomóc.

Zaskoczony McPhail aż mrugnął, pozostawiając jedno oko przymknięte.

– Dlaczego?

– Bo tak chcę. I po tym wszystkim dam ci spokój. Obiecuję. Nikomu nie powiem, gdzie jesteś ani co się z tobą stało. Pasuje ci?

McPhail zastanawiał się przez chwilę – najwyżej przez dwie sekundy.

– Pasuje – odpowiedział.

– No to się cieszę. – Rebus położył mu rękę na barku, przyciągając go do siebie trochę bliżej. – Ale najpierw chciałbym, żebyś coś dla mnie zrobił...

**W KLUBIE NIC SIĘ NIE DZIAŁO** i Chick Muir już miał zamiar zbierać się do domu, gdy dosiadł się do niego przy barze jakiś młody koleś i zapytał, czy może mu postawić drinka. Chick chętnie na to przystał.

– Nie lubię pić sam – wyznał młody mężczyzna.

– Nikt nie ma prawa cię za to winić – powiedział Chick, przesuwając po blacie pustą szklankę w stronę barmana.

– Nie jesteś stąd?

– Z Aberdeen – odparł nieznajomy.

– To daleko od domu. Czy tam jest nadal jak w Dallas?

Chick miał na myśli boom związany z ropą naftową, której złoża, niestety, wyczerpały się tak szybko, jak szybko je odkryto. W mitologii stworzonej przez ludzi z innych rejonów kraju Aberdeen nadal było jak Dallas w Teksasie.

– Może i jest – odparł młody mężczyzna – ale to i tak nie powstrzymało ich od wywalenia mnie z pracy.

– Przykro mi to słyszeć. – Współczucie Chicka było prawdziwe. Żył po prostu nadzieję, że ten facet ma sporo gotówki, dzięki której jeszcze trochę się zabawi. Chciał naciągnąć go na dychę, ale porzucił ten pomysł.

– A tak przy okazji, nazywam się Andy Steele.

– Chick Muir. – Włożył papirusa do ust, by ucisnąć rękę Andy'ego. Uścisk dłoni był silny jak zgniatarka do śmieci.

– Pieniądze nie przyniosły Aberdeen zbyt dużo szczęścia – powiedział refleksyjnie Steele. – Przyciągnęły sfory rekinów i gangsterów.

– Nic dziwnego.

Chick wypił już połowę swojego piwa. Żałował, że nie zamówił whisky zamiast małego browca, gdy jego nowy znajomy powiedział, że stawia, ale zamiana piwa na whisky nie byłaby dżentelmeńskim posunięciem, więc siedział nad małym piwem.

– Właśnie dlatego się tu znalazłem – oznajmił Steele.

– Co? Przez gangsterów? – zapytał ze śmiechem Chick.

– W pewnym sensie. Przyjechałem w odwiedziny do przyjaciela, ale skoro już tu jestem, to pomyślałem, że skręcę parę funciaków.

– W jaki sposób? – Chick trochę się przestraszył, ale też niezwykle zaniepokoił.

Steele ściszył głos, choć i tak byli sami w barze.

– W Aberdeen mówi się, że ktoś ma dorwać jednego gościa z Edynburga.

Barman włączył magnetofon szpulowy stojący na półce za barem. Sala szybko wypełniła się dźwiękami piosenek ludowych. Jakiś duet śpiewaków występował tu w zeszłym tygodniu i barman ich nagrał. Niestety, jakość nagrania sprawiła, że duet brzmiał jeszcze gorzej niż na żywo.

– Na Boga, ścisż to! – Głos Chicka nie był donośny, ale nikt nie mógł zarzucić mu, że nie miał autorytetu. Barman trochę ściszył muzykę, a gdy Chick nadal na niego spoglądał, ściszył jeszcze bardziej. – Więc o co chodziło? – zapytał.

Andy Steele dopił drinka i powtórzył swoją kwestię. Chwilę później, po zakończeniu misji, postawił Chickowi następnego drinka i wyszedł z baru.

Chick Muir nie tknął nowego piwa. Popatrzył na swoje odbicie w barowym lustrze, wydarł się na barmana, żeby całkiem wyłączył to gównno, po czym zadzwonił w kilka miejsc. Ostatni z telefonów był na komendę policji przy St Leonard's, gdzie niefrasobliwie poinformowano go, że inspektor John Rebus został zawieszony w czynnościach aż do zakończenia postępowania wyjaśniającego. Próbował złapać Rebusa w jego mieszkaniu, ale bez skutku. No trudno, to i tak nie było takie istotne. Wystarczy, że udało mu się poinformować dużego ważniaka. I teraz ważniak był mu coś winny, a to zupełnie wystarczyło gołemu jak święty turecki Chickowi Muirowi.

**ANDY STEELE POWTÓRZYŁ TEN SAM** występ w mrocznym pubie i w punkcie bukmacherskim, a tego dnia właśnie odbywały się wyścigi chartów na torze Powderhall. Wyrecytował tekst dostarczony przez Rebusa i w końcu dostrzegł faceta, o którego głównie chodziło, a który pałaszował chipsy przy stoliku koło wykuszu okiennego.

– Shuggie Oliphant? – zapytał Steele.

– Tak – odparł trzydziestoletni wielkolud. Zanurzył palce w torebce po chipsach w poszukiwaniu soli.

– Ktoś mi powiedział, że możesz być zainteresowany informacjami, które posiadam.

Oliphant nawet na niego nie spojrział. Po opróżnieniu torebki złożył ją w cienki pasek, zawiązał supełek i położył na blacie. Leżały tam już cztery takie paski z supełkami.

– Nie dostaniesz kasy, dopóki mi nie zapłacą – poinformował Oliphant, oblizując tłuste palce i cmokając.

– Pasuje mi całkowicie – odpowiedział Andy Steele.

W PONIEDZIAŁEK RANO REBUS czekał na szczycie wietrznego wzgórza Calton Hill. Jak wielu innych niedzielnych spacerowiczów przeszedł się wokół obserwatorium. Z nogą było już znacznie lepiej. Ludzie wokół podziwiali rozpościerającą się stąd panoramę miasta wypełnioną charakterystycznymi dla Edynburga zabytkami i atrakcjami turystycznymi. Rwące się chmury przesuwały się szybko po błękitnym niebie. Nigdzie w świecie nie ma chyba takiej mieszanki wzgórz, dolin i kopalni odkrywkowych, pomyślał. Wulkaniczne wzgórze, na którym zbudowano zamek edynburski, jest niezwykle malownicze. Doskonałe miejsce na wzniesienie zamku otaczającego pieczę miasto, które rozrosło się u spodu, aż po Wester Hailes i dalej.

Obserwatorium sprawiało dziwne wrażenie, ale było funkcjonalne. Stojące nieopodal nowoczesne ruiny wydawały się już tylko dziwne i nie służyły niczemu pożytecznemu, a tylko komuś, kto chciał napisać na nich sprayem swoje nazwisko. Tym dziwadłem była jedna strona projektowanej świątyni greckiej. W końcu o Edynburgu mówiono, że to Ateny Północy. Jakiś zbyt ekscentryczny umysł pragnął tu wznieść klasyczną świątynię, ale najwyraźniej zabrakło mu pieniędzy po wybudowaniu jednej ściany. I tak stały sobie rzędem wielkie kolumny na podstawach tak wysokich, że dzieci musiały wchodzić sobie na plecy, żeby się na nie wdrapać.

Gdy Rebus spojrział w tamtym kierunku, zobaczył kobietę, która siedziała na podstawie kolumny, machała nogami i przywoływała go ręką. To była Siobhan Clarke. Rebus ruszył w jej stronę.

– Długo tu już siedzisz?! – zawołał.

– Nie tak długo. A gdzie pańska laska?

– Już nieźle sobie radzę bez niej. – To była prawda, choć słowo „nieźle” znaczyło, że może zaledwie kuśtykać z dość przyzwoitą prędkością. – Hibi wreszcie wygrali.

– Wreszcie.

– Jeszcze się nie pojawił?

Clarke wskazała na parking samochodowy.

– Już jedzie.

Samochodzik mini metro wtoczył się na szczyt wzgórza i zaparkował między dwoma większymi, błyszczącymi autami.

– Proszę pomóc mi zejść – poprosiła Clarke.

– Uwaga na moją nogę – marudził Rebus.

Clarke była lekka jak piórko, gdy pomagał jej zeskoczyć.

– Dzięki.

Brian Holmes przyglądał się całemu przedstawieniu, zanim zamknął samochód i podszedł do nich.

– Prawdziwy Barysznikow – skomentował.

– Bądź pozdrowiony – odpowiedział Rebus.

– O co tu chodzi, panie inspektorze? – zapytała Clarke. – Po co te tajemnice?

– Nie ma żadnej tajemnicy w tym – powiedział Rebus – że inspektor chce porozmawiać z dwójką młodszych kolegów. Zaufanych młodszych kolegów.

Clarke złapała spojrzenie Holmesa. Ten pokręcił głową, jakby mówił: „On chce czegoś od nas”. Tak jakby tego nie wiedziała.

Oparli się o poręcz i podziwiali widok. Rebus wszystko im tłumaczył. Clarke i Holmes od czasu do czasu rzucali jakieś pytanie, zwykle retoryczne.

– Czyli to będzie akcja poza godzinami służby?

– Oczywiście – odpowiedział Rebus. – Po prostu dwoje ciekawskich giniarzy z odrobiną inicjatywy. – Sam też miał do nich pytanie. – Czy może być jakiś problem z oświetleniem?

Holmes wzruszył ramionami.



– Zapytam Jimmy’ego Huttona. Jest profesjonalnym fotografem. Robi kalendarze i tym podobne.

– To nie będą słodkie kociątka ani piękno szkockiej przyrody – odparł Rebus.

– Wiem, panie inspektorze.

– I myśli pan, że damy radę? – zapytała Clarke.

Rebus wzruszył ramionami.

– Pożyjemy, zobaczymy.

– Ale jeszcze nie zgodziliśmy się, że to zrobimy.

– Wiem, że się nie zgodziliście – zapewnił ich Rebus. – Ale i tak to zrobicie.

## Rozdział 34

**I TAK Z WŁASNEJ WOLI** Holmes i Clarke postanowili spędzić poniedziałkowy wieczór na obserwacji w ramach operacji Worki Pieniędzy. W nieogrzewanym pokoju, w którym był punkt obserwacyjny, czuło się wilgoć, było zimno i ciemno na tyle, że nie bała się zajrzeć do nich jakaś dziwna duża mysz. Holmes nastawił aparat fotograficzny, korzystając z podpowiedzi specjalisty od kalendarzy. Na tę wyjątkową okazję pożyczył teleobiektyw służący do nocnych zdjęć. Walkmana i taśmy z Patsy Cline zostawił w domu; dawniej były wspaniałym prowokacyjnym pretekstem do rozmowy z Siobhan Clarke. Ale dziś nie była w nastroju. Zagryzała z nerwów wargi i od czasu do czasu wstawiała, by zrobić kilka ćwiczeń rozciągających.

– A tobie mięśnie nie cierpną? – zapytała Holmesa.

– Absolutnie – odpowiedział cicho. – Trenowałem, by osiągnąć perfekcję. Przez całe lata wylegiwałem się na kanapie.

– Wydawało mi się, że jednak dbasz o formę.

Holmes obserwował, jak koleżanka robi skłony do przodu i naprzemiennie dotyka palcami czubków butów.

– Ty chyba masz jakieś podwójne stawy.

– Wcale nie. Powinieneś mnie widzieć, jak byłam nastolatką.

Uśmiech Holmesa był widoczny w rozproszonym pomarańczowym świetle z ulicy.

Nad głowami usłyszeli chrobotanie.

– To pewnie sznur – powiedział Holmes. – Widziałaś kiedyś jakiegoś z bliska? – Clarke pokręciła głową. – Potrafią skakać jak łososie przez wodospady Tummel.

– Jak byłam mała, rodzice zabrali mnie kiedyś na wycieczkę nad tamę.

– W Pitlochry? – Skinęła głową. – Więc widziałas, jak łosie potrafią skakać? – Znowu potwierdziła skinieniem głowy. – No dobrze, to teraz wyobraź sobie takiego łosia z futrem, siekaczami i długim grubym ogonem.

– Raczej dziękuję. – Zaczęła wyglądać na ulicę. – Myślisz, że się pojawi?

– Nie wiem. John Rebus rzadko się myli.

– To dlatego wszyscy go nienawidzą?

Holmes się zdziwił.

– A kto go nienawidzi?

Clarke wzruszyła ramionami.

– Ludzie, z którymi rozmawiałam na St Leonard's, i ci z innych komend. Nie ufają mu.

– Nieważne, jak bardzo by się starał, i tak nie będą go lubić.

– Dlaczego?

– Bo jest narwany. – Holmes przypomniał sobie, gdy po raz pierwszy Rebus wykorzystał go w swoim śledztwie. Spędził cały zimny wieczór, czekając na nielegalną walkę psów, która nie doszła do skutku. Miał nadzieję, że dziś będzie lepiej.

Szczur znowu zaczął chrobotać, tym razem gdzieś w okolicach drzwi.

– Myślisz, że przyjedzie? – zapytała Clarke ponownie.

– Przyjedzie, dziewczyno, przyjedzie.

Obydwoje odwrócili się w stronę postaci, która pojawiła się w drzwiach. To był Rebus.

– Wy dwoje – zwrócił się do nich. – Świergolicie jak przekupy na rynku. Mógłbym stukać podkutymi kowbojkami na schodach, a i tak byście mnie nie usłyszeli. – Podeszedł do okna. – Jakies ruchy?

– Nic, panie inspektorze.

Rebus skierował zegarek w stronę światła, by odczytać godzinę.

– Na moim za pięć.

Clarke podświetliła tarczę swojego cyfrowego zegarka.

– Na moim za dziesięć.

– Cholerny zegarek – mruknął Rebus. – Już niedługo. Coś będzie się działo w okolicach pełnej godziny. O ile ten stuknięty koleżka z Aberdeen czegoś nie spierdzielił.

„TEN STUKNIĘTY KOLEŻKA Z ABERDEEN” nie był jednak taki stuknięty. Duży Ger Cafferty płacił za informacje, nawet jeśli już wcześniej je znał. To był tani sposób na to, by zapewnić sobie luksus dostawania wszelkich informacji. Na przykład wiedział już z dwóch różnych źródeł, że jakieś wsioki planowały w niego uderzyć, ale mimo to wypłacił Shugowi Oliphantowi kilka banknotów za jego starania. A Oliphant, który doceniał swoje źródła, przekazał Andy’emu Steele’owi dziesięć funtów, czyli dwie piąte tego, co sam otrzymał.

– To twoje – powiedział, wręczając banknot.

– Dzięki – odpowiedział szczerze ucieszony Steele.

– Znalazłeś to, czego szukałeś? – Oliphant nawiązał do kaset wideo, które otaczały ich ze wszystkich stron w prowadzonej przez niego małej wypożyczalni wideo. Miejsca za ladą było tak mało, że Oliphant ledwie się mieścił. Za każdym razem, gdy się obracał, zrzucił coś z półek i pudełka z kasetami leżały na podłodze, bo przestrzeń była zbyt wąska, by mógł się schylić i je podnieść. – Mam coś jeszcze pod ladą, co mogłoby cię zainteresować.

– Nie, dziękuję.

Oliphant skrzywił usta w niezbyt przyjemnym uśmiechu.

– Nie jestem wcale pewien, czy on uwierzył w twoją historyjkę – powiedział. – Ale skoro ja sam słyszałem takie pogłoski już kilka razy po twojej opowieści, to może coś w tym jest.

– Musi w tym coś być. – Rebus miał rację, pomyślał Andy. Jeśli powie się głuchemu coś w poniedziałek, to we wtorek ta informacja wyjdzie drukiem w gazecie popołudniowej. – Oni obserwują miejsca, gdzie bywa, nawet to przy Gorgie Road.

Oliphant spojrział na niego podejrziwym wzrokiem.

– Skąd to wiesz?

– Miałem odrobinę szczęścia. Wpadłem na jednego z nich. Znałem go jeszcze z Aberdeen. Kazał mi się wynosić, jeśli nie chcę być w to wszystko zamieszany.

– Ale jeszcze tu jesteś.

– Wyjeżdżam pierwszym pociągiem jutro rano.

– Więc coś się będzie działo dziś wieczorem? – W głosie Oliphana pobrzmiwał sceptycyzm, ale zawsze tak mówił, gdy chciał zdobyć kolejne informacje.

Steele wzruszył ramionami.

– Wiem tyle, że prowadzą obserwację. A może chcą tylko pogadać.

Oliphant zastanawiał się tylko przez chwilę, przesuwając palcami po grzbietach kaset wideo.

– Wczoraj w dwóch pubach, gdzie oni bywają, wybito szyby. – Steele nawet nie mrugnął. – Czy to może mieć jakiś związek?

Steele znowu wzruszył ramionami.

– Pewnie, że może. – Gdyby chciał być do końca uczciwy, to powiedziałby, że sam siedział za kierownicą samochodu, z którego Rebus rzucał kamieniami w szyby. Pierwszy z pubów nazywał się Firth i był przy Tollcross, a drugi, Brewery, i mieścił się na końcu Easter Road. Ale zamiast tego powiedział: – Loon dzwonił do McPhaila, do tego, który obserwuje Gorgie. On tym rządzi.

Oliphant kiwnął głową.

– Wiesz, jak to działa. Wpadnij jutro lub pojutrze. Będzie dla ciebie kasa, jeśli gościu zostanie przyszpilony.

– Ale ja spadam do Aberdeen.

– No tak... Wiesz co? – Oliphant wyrwał kartkę z notatnika. – Daj mi swój adres, to wyślę ci pieniądze przekazem.

Andy Steele świetnie się ubawił, podając jakieś zmyślane namiary.

**CAFFERTY GRAŁ WŁAŚNIE W SNOOKERA**, gdy otrzymał tę wiadomość. Miał dwadzieścia pięć procent udziałów w odpicowanym salonie bilardu i w kompleksie sportowo-rekreacyjnym w Leith. Grupą docelową byli

yuppies i chłopcy z klasy robotniczej, drapiący pazurami po nasmarowanych oliwą szczebelkach kariery biznesowej. Niestety, yuppies zniknęli nagle w mgnieniu oka, a ośrodek musiał obniżyć loty i wprowadzić wideo-bingo, promocje na drinki oraz gry komputerowe, ale planowano też otwarcie sali do bowlingu. Nastolatki zawsze skądś miały forszę. A na salę do bowlingu uda się zaadaptować niezbyt popularną siłownię, przylegającą do niej restaurację i salę do aerobiku.

Cafferty wiedział, że utrzymanie się w biznesie zależy od elastyczności i umiejętności przystosowania się do potrzeb rynku. Jeśli zmieniają się wiatry, to nie należy sterować w przeciwnym kierunku. Porzucił więc dyskusyjne plany stworzenia klubu tanecznego i odtworzenia sali balowej z lat czterdziestych z nocnymi ubawami po świt.

Zdawał sobie sprawę z tego, że jest kiepski w snookera, ale lubił tę grę. Dorobił do tego swoją teorię: po prostu brakowało mu praktyki. Próżność nie pozwalała mu wynająć trenera, a jego słynny brak cierpliwości powodował, że trenerzy nie bardzo garnęli się do polecania mu swoich usług. Za radą Mo spróbował innych sportów – tenisa, squasha, a nawet jazdy na nartach, co raz mu się udało. Jedyne sporty, jakie naprawdę lubił, to golf. Uwielbiał walić w piłeczkę na polu. Ale i tu miał pewien problem – zawsze uderzał zbyt mocno i przestrzeliwał. Gdy nie zgubił w zaroślach kilku piłeczek po dziewięciu dołkach, to nie był z siebie zadowolony.

Snooker też mu odpowiadał. Ta gra miała w sobie wszystko: taktykę, cygarka, gorzałkę, a nawet można było ustawić jakieś zakłady na boku. Świetnie się bawił w sali do bilardu, gdzie światła paliły się jedynie nad zielonym suknom stołów, a wokół było ciemno. Otaczająca stoły cisza działała na niego wręcz terapeutycznie; do uszu dochodziło jedynie klikanie zderzających się kul, czasem jakiś komentarz lub dowcip, stuknięcie kijem w podłogę, będące znakiem dobrego uderzenia. Wtem pojawił się Jimmy Ucho i podszedł do niego.

– Telefon z domu – poinformował Cafferty'ego. I przekazał mu wiadomość.

ANDREW MCPHAIL UFAŁ REBUSOWI jak ofiara swojemu oprawcy. Doskonale zdawał sobie sprawę, że powinien stąd wiać gdzie pieprz rośnie. Rebus mógł go wystawić na wiele różnych prób. Mógłby na przykład doprowadzić do konfrontacji z Macleanem. Na taką okoliczność McPhail potrafiłby się jednak przygotować. A jeśli wykreślił inną intrygę? Może ktoś mu spuści manto, co będzie wyraźną wiadomością, że ma spieprzać z Edynburga i już się tu więcej nie pokazywać.

A może to będzie coś normalnego. Jakaś zwykła przysługa. Rebus poprosił go przecież o dostarczenie wiadomości – przekazanie listu. Dał mu kopertę. A wiadomość była dla mężczyzny o nazwisku Cafferty, który będzie opuszczał teren biura firmy taksówkarskiej przy Gorgie Road około dziesiątej wieczorem.

– A co jest tą wiadomością?

– Nie twój interes – odparł Rebus.

– A dlaczego ja?

– Bo ja nie mogę mu jej przekazać. To wszystko, co musisz wiedzieć. Upewnij się, że to on, i wręcz mu kopertę.

– To śmierdzi na odległość.

– Inaczej nie da się tego rozegrać. Spotkamy się po fakcie i załatwię ci nową przyszłość. Piłka jest już w grze.

– No tak – przyznał McPhail. – Ale nie widzę, kurwa, żadnej bramki.

A jednak się tu pojawił. Szedł Gorgie Road. Trochę zimno, zanosilo się na deszcz. Rebus zabrał go po południu na St Leonard's, kazał mu się wykapać i ogolić, dał mu nawet jego ubrania, które przywiózł od pani MacKenzie.

– Nie chcę, by jakiś włóczęga przekazywał list ode mnie – wyjaśnił.

Aha, list. McPhail nie był jakimś tam tumanem – rozerwał kopertę od razu wieczorem. W środku była mniejsza, brązowa, na której napisano drukowanymi literami:

NIE ZAGLĄDAJ DO ŚRODKA, MCPHAIL!

I tak pomyślał o tym, by ją otworzyć. Chyba nie było tam zbyt wiele; pewnie pojedyncza kartka. Coś go jednak przed tym powstrzymało, jakaś

słaba iskierka nadziei, że wszystko będzie w porządku.

Nie miał zegarka, ale miał dobre poczucie czasu. Czuł, że jest już dziesiąta. I nagle znalazł się przed biurem firmy taksówkarskiej. W środku paliły się światła, na zewnątrz stały taksówki. Za chwilę rozpocznie się najbardziej pracowita zmiana: powroty do domu po zamknięciu pubów. Nocne powietrze pachniało dziesiątą. Andrew McPhail czekał.

Zobaczył światła samochodu, a gdy jaguar gwałtownie skręcił i wjechał na chodnik, pierwszą myślą McPhaila było: Pewnie pijany kierowca. Ale samochód zahamował normalnie, zatrzymując się tuż przed nim, prawie przygważdżając go do ogrodzenia z drucianej siatki. Z jaguara wyskoczył kierowca. Był wielki. Powiew wiatru rozwiał jego włosy i McPhail zauważył, że facet nie miał jednego ucha.

– Ty jesteś McPhail? – zapytał.

Powoli otworzyły się tylne drzwi i z auta wysiadł drugi mężczyzna. Nie był tak potężnie zbudowany jak kierowca, ale w jakiś dziwny sposób wydawał się od niego większy. Uśmiechał się nieprzyjemnie.

List był w kieszeni McPhaila.

– Cafferty? – zapytał z trudem.

Uśmiechający się mężczyzna skinął niedbale głową na potwierdzenie. W drugiej kieszeni płaszcza McPhail schował znaną po drodze butelkę po whisky ze zbitym denkiem. Nie była to rewelacyjna broń, ale na nic lepszego nie było go stać. Mimo tulipana w kieszeni kiepsko oceniał swoje szanse. Sięgnął więc po list.

Kierowca szarpnął nim i odwrócił twarzą w stronę Cafferty'ego; ten kopnął go w krocze. Gruba końcówka trzyelementowego kija do snookera wysunęła się niemal automatycznie z rękawa marynarki Cafferty'ego i wpadła mu do ręki. Gdy McPhail pochylił się z bólu, końcówka kija uderzyła go w szczękę, miażdżąc kości i wybijając zęby. Opadł jeszcze niżej, za co dostał nagrodę w postaci silnego uderzenia kijem w szyję. Całe jego ciało zdrętwiało. Kierowca chwycił go za włosy i odchylił głowę do tyłu, a Cafferty zaczął wciskać mu kij w usta, gniotąc język i wpychając w głąb gardła.



– Stać, policja! – Dwie osoby rzuciły się w ich kierunku, mężczyzna i kobieta. Biegli przez ulicę, trzymając w rękach odznaki policyjne.

Cafferty natychmiast cofnął ręce i podniósł je wysoko. Kij do snookera zostawił w ustach McPhaila. Kierowca puścił zmasakrowanego mężczyznę i ten pozostał w takiej pozycji na kolanach. Trzęsąc się, McPhail zaczął wyciągać kij z gardła. Z dala rozległa się syrena zbliżającego się radiowozu.

– Nic tu się nie stało – wyjaśniał Cafferty. – Tylko małe nieporozumienie.

– Niezłe nieporozumienie – skomentował policjant.

Jego partnerka włożyła rękę do kieszeni płaszcza McPhaila. Natrafiła na zbitą butelkę. Nie ta kieszeń. Sięgnęła do drugiej i wyciągnęła z niej wygniecioną kopertę z listem. Podała ją Cafferty’emu.

– Proszę to otworzyć – powiedziała.

Cafferty przyglądał się kopercie.

– To pułapka?

Ale mimo to otworzył kopertę. W środku była złożona kartka; rozprostował ją. Wiadomość nie była podpisana. Ale i tak wiedział, od kogo pochodzi.

– To Rebus! – Splunął i upuścił kartkę. – Ten gnojek Rebus!

Kilka minut później Cafferty i jego kierowca byli już pakowani do radiowozu. Nadjeżdżała karetka, by zabrać Andrew McPhaila. Clarke podniosła list upuszczony przez Cafferty’ego. Przeczytała: *Mam nadzieję, że będą sprzedawać kawałki twojej skóry jako souvenir.*

Zmarszczyła czoło i spojrzała na okno, skąd prowadzili obserwację, ale nikogo nie dostrzegła.

Gdyby jednak kogoś tam zauważyła, byłby to mężczyzna, który zrobił pistolet z własnej dłoni, wycelował w Cafferty’ego i nacisnął wymyślony spust.

– Bang!

## Rozdział 35

NIKT NA KOMENDZIE PRZY St Leonard's nie uwierzył Holmesowi i Clarke, że znaleźli się nocną porą na miejscu przestępstwa jedynie z powodu nadgorliwego stosunku do obowiązków służbowych. Bardziej wiarygodną wersją było to, że spotkali się tam na potajemne bzykanko i przypadkowo stali się świadkami pobicia. I na szczęście w aparacie fotograficznym była klisza, i nawet zdjęcia też dobrze wyszły.

Z Caffertym w areszcie mieli w końcu szansę dobrać się do jego rzeczy i zajrzeć do słynnego zakodowanego notatnika. Watson i Lauderdale właśnie medytowali nad odbitymi na powielaczu stronami tajemnego notesu, gdy ktoś zapukał do drzwi gabinetu komendanta.

– Wejść! – zawołał Watson.

John Rebus wszedł i rozejrzał się dookoła; podziwiał tak wiele wolnej od papierów podłogi.

– Widzę, że dostał pan wreszcie szafki na akta, panie komendancie.

Lauderdale wyprostował się znad stołu.

– Co ty tu, do licha, robisz? Przecież jesteś zawieszony w obowiązkach.

– W porządku, Frank – odezwał się Watson. – Sam zaprosiłem tu inspektora Rebusa. – Odwrócił się do rozłożonych kartek. – Spójrz na to.

Rozszyfrowanie kodu nie trwało długo. Dotąd największą przeszkodą w jego złamaniu było to, że nie wiedzieli, czego szukać. Teraz Rebus nie opierał się tylko na jakichś niekonkretnych domysłach. Wskazał palcem na jeden z wpisów.

– Popatrzcie, panowie. *Trzy EZR SCS*.

– No i co?

– To znaczy, że rzeźnik z South Clerk Street jest mu winien trzy tysiące. Słowo „rzeźnik” jest zapisane trzyliterowym skrótem od tyłu.

Lauderdale przyglądał się z niedowierzaniem.

– Jesteś pewien?

Rebus wzruszył ramionami.

– Jak chcecie, to możecie dać to technikom z laboratorium przy Fettes. Na pewno znajdą więcej spóźnialskich dłużników.

– Dziękuję, John – powiedział Watson.

Rebus odwrócił się elegancko i wyszedł z gabinetu. Lauderdale spojrzął na przełożonego.

– Już zaczynam rozumieć – rzucił. – Tu jest coś grane, o czym nie mam zielonego pojęcia.

– Daj spokój, Frank – odparł Watson. – Dlaczego ten dzień miałby się czymkolwiek różnić od pozostałych?

A to sprawiło, że para uszła z gwizdka szefa dochodzeniówki i leciutko sobie tylko pogwizdywała.

**TO SIOBHAN CLARKE ZDOBYŁA** najważniejszą informację w całym śledztwie.

Bo wreszcie ta sprawa stała się znowu oficjalnym śledztwem. Rebus nie miał nic przeciwko temu, że machina śledcza na komendzie działa bez niego. Holmes i Clarke składali mu raport na koniec każdego dnia. Efektem ciężkiej pracy specjalistów od łamania szyfrów z laboratorium kryminalistycznego było przesłuchiwanie ofiar Cafferty'ego wymienionych w jego czarnej księdze. Wystarczyłyby pełne zeznania jednej lub dwóch osób w sądzie, by Duży Ger poszedł siedzieć. Ale do tej pory nie udało się namówić do tego ani jednej osoby. Rebusowi przyszło do głowy nazwisko kogoś, kto po odpowiedniej dozie perswazji mógłby się na to zgodzić.

I wtedy Siobhan Clarke wspomniała, że firma Cafferty'ego Geronimo Holdings miała siedemdziesiąt dziewięć procent udziałów w wielkiej farmie pod południowo-zachodnią granicą Szkocji, wcale nie tak daleko od miejsca, gdzie do niedawna morze wyrzucało na brzeg ludzkie zwłoki. Natychmiast wysłano tam detektywów. Znaleźli wiele rozmaitych rzeczy – ale głównie pracę dla policyjnych ekspertów medycyny sądowej na

terenie... chlewni. Budynki tuczarni same w sobie były czyste, ale nad pomieszczeniami dla świń znajdowało się piętro służące za magazyn. O ile prawie cała farma została wyposażona w najnowsze zdobycze agrotechniki, o tyle chlewnie, niestety, nie. I właśnie ich stan przyciągnął uwagę policji. Nad tuczarnią, w ciemnej przestrzeni magazynowej wypełnionej słomą, rozchodził się ohydny smród. Coś gniło, coś się rozkładało. Znalaziono fragmenty odzieży, a w jednym z rogów pomieszczenia leżał męski skórzany pasek od spodni. Na piętrze domu zarządcy przydybano człowieka, który początkowo twierdził, że jest robotnikiem rolnym, ale później przyznał się, że nazywa się Derek Torrance, lepiej znany jako Deek.

W tym samym czasie Rebus jechał samochodem do Dalkeith, a dokładniej do Duncton Terrace. Był wczesny wieczór i cała rodzina Kintoulów przebywała w domu. Matka, ojciec i syn siedzieli przy stole w kuchni. Rondel do smażenia ziemniaków strzelał jeszcze olejem, opluwając zatłuszczoną kuchenkę gazową. Winyłowe tapety były wilgotne od pary po gotowaniu. Większość jedzenia na talerzach pokrywał brązowy sos. Rebus wyczuwał zapach octu i płynu do mycia naczyń. Rory Kintoul przeprosił rodzinę i wyszedł z Rebusem do salonu. Kuchnia i salon były połączone okienkiem do podawania potraw.

Rebus usiadł w fotelu przy kominku, a Kintoul naprzeciwko niego.

– Przepraszam, że wpadłem o niewłaściwej porze – zaczął Rebus. Musiał odbębnić początkowy rytuał.

– O co chodzi, inspektorze?

– Jak pan słyszał, aresztowaliśmy Morrissa Cafferty’ego. Opuści świat wolnych ludzi na długi czas. – Rebus spojrział na fotografie na gzymsie kominka, fotki szczerbatych dzieci, siostrzeńców, siostrzenic, bratanków. Wywołały uśmiech na jego twarzy. – I chyba przyszedł czas, by wreszcie pan zrzucił swój ciężar z pleców. – Zamilkł na chwilę, znowu oglądając zdjęcia. Kintoul nie odezwał się ani słowem. – Wiem, że jest pan dobrym człowiekiem – powiedział Rebus z akcentem na słowo „dobry”. – Rodzina jest u pana zawsze na pierwszym miejscu, prawda? – Kintoul skinął

niepewnie. – Zrobiliby pan wszystko dla żony i syna. Pewnie cała pana rodzina jest dla siebie dobra: bracia, siostry, kuzyni – ciągnął Rebus.

– Wiem, że Cafferty pójdzie siedzieć – powiedział Kintoul.

– No i?

Kintoul wzruszył ramionami.

– To jest tak – zaczął wyjaśniać Rebus. – Wiemy już wszystko, co nam jest potrzebne, ale potrzebujemy jeszcze wsparcia, czyli trochę współpracy.

– Czyli zeznań w sądzie?

Rebus kiwnął głową. Eddie Ringan też będzie musiał zeznawać i opowie wszystko, co wie o wydarzeniach w hotelu Central, w zamian za dobre słowo od policji w czasie jego własnego procesu.

– Panie Kintoul, musi się pan pogodzić z jedną rzeczą. Musi pan zrozumieć, że pan się zmienił, nie jest pan już tym samym człowiekiem, którym pan był rok lub dwa lata temu. Dlaczego pan to robił? – Rebus zadał to pytanie, jakby był jego przyjacielem, który pyta tylko z ciekawości.

Kintoul wytarł resztkę sosu z brody.

– To była przysługa. Jim zawsze domagał się przysług.

– To pan prowadził furgonetkę?

– Tak, byłem kierowcą jego furgonetki.

– Ale przecież pan jest technikiem laboratoryjnym!

Kintoul się uśmiechnął.

– Jako kierowca samochodu chłodniczego zarabiałem więcej – odparł, wzruszając ramionami. – Jest tak, jak pan powiedział, inspektorze. U mnie rodzina jest na pierwszym miejscu, a szczególnie gdy chodzi o pieniądze.

– I co dalej?

– A ile pan wie?

– Wiemy, że furgonetka była wykorzystywana do przewożenia zwłok.

– Nikt nie zwraca uwagi na furgonetkę rzeźnika.

– Oprócz biednego posterunkowego w północno-wschodnim Fife. Miał wstrząśnienie mózgu.

– To stało się później. Wtedy byłem już odsunięty. – Czekał, aż Rebus skinie głową, i mówił dalej: – Tylko że gdy chciałem odejść, to Cafferty się nie zgadzał. Stawiał mnie pod murem.

– Dlatego dostał pan nożem?

– To zrobił jego ochroniarz, Jimmy Ucho. To jemu tak odbiło. Dźgnął mnie, gdy wysiadałem z samochodu. Pokręcony gnój. – Kintoul spojrział w stronę okienka do kuchni. – Czy wie pan, co Cafferty zrobił, gdy powiedziałem, że nie chcę już dla niego pracować? Zaproponował pracę „kierowcy” Jasonowi. A Jason to mój syn.

Rebus kiwnął głową.

– Ale po co to robi? Przecież setka ludzi czeka w kolejce, żeby dla niego pracować, nawet jako kierowca furgonetki.

– Myślałem, że pan go zna, inspektorze. Cafferty właśnie taki jest. Bardzo poważnie podchodzi do swojego... mięsa.

– On jest rąbnięty – skomentował Rebus. – Ale jak pan dał się w to wszystko wciągnąć?

– Pracowałem jako kierowca dla Jimmy’ego, gdy Cafferty wygrał połowę jego interesu. Pewnego wieczoru jeden z ludzi Cafferty’ego pojawił się u mnie i był dziwnie przymilny. Powiedział, że wczesnym rankiem pojedziemy na wybrzeże. Przez jakąś farmę przy granicy.

– I był pan na tej farmie? – To stąd ta słoma w furgonetce, skojarzył Rebus.

Z twarzy Kintoula zaczęła odpływać krew.

– Tak. Coś tam trzymali w chlewni, zapakowane w worki po paszy. Śmierdziało jak jasna cholera. Pracowałem przecież u rzeźnika, to musiałem wiedzieć, że to, co tam było, gniło już od dobrych kilku tygodni, a może nawet miesięcy.

– Zwłoki?

– Nietrudno się domyślić, prawda? Rzygałem dalej, niż widzę. Człowiek Cafferty’ego zażartował, że to strata żarcia i że powinienem

rzygać do koryta. – Kintoul wciąż ocierał brodę, choć ślad po sosie dawno już zniknął. – Cafferty lubił, gdy ciała już podgniły. To dawało mniejsze szanse na identyfikację zwłok po wyrzuceniu ich na brzeg morza.

– Chryste.

– Jeszcze nie doszedłem do najgorszej części. – Żona i syn Kintoula rozmawiali przyciszonymi głosami w kuchni. Rebusowi nigdzie się nie spieszyło, więc spokojnie obserwował gospodarza, gdy ten wstał i podszedł do okna. Na tyłach domu był kawałek ogrodu, o którym Kintoul mógł powiedzieć, że należał do niego. Mały, ale własny. Odwrócił się i podszedł do gazowego kominka, nie spoglądając na Rebusa. – Byłem tam, gdy kogoś zabili – powiedział z determinacją i zacisnął mocno powieki.

Rebus próbował kontrolować własny oddech. Ten facet będzie brylantem na sali sądowej.

– Zabili kogoś? Jak? – Nie naciskał nachalnie, nadal pytał jak zaciekawiony przyjaciel.

Kintoul odrzucił głowę do tyłu, co spowodowało, że łzy wypływały z powrotem tam, skąd wypływały.

– Jak? Gołymi rękami. Przyjechaliśmy trochę spóźnieni. Samochód nam się zepsuł na środku pola. Była dziesiąta rano. Farma cała we mgle, jakbyśmy przyjechali do jakiejś pozaziemskiej krainy. Ci dwaj byli w eleganckich garniturach i to mnie najbardziej uderzyło. Do łokci uwalali się w błocie i oborniku.

Rebus zmarszczył czoło, nie całkiem rozumiejąc, o co chodzi.

– To oni byli w chlewni?

Kintoul skinął głową.

– Tam jest taki ogrodzony wybieg. Tam właśnie stał Cafferty i jeszcze jeden facet. Inni przyglądali się temu spoza ogrodzenia. – Przełknął ślinę. – Przysięgam, że Cafferty wyglądał, jakby się świetnie bawił. Błoto się do niego przyklejało, a świny darły się w boksach, zastanawiając się pewnie, co się dzieje na zewnątrz. I ci niemi obserwatorzy za płotem... – Kintoul starał się zrzucić z siebie to brzemie, choć na farmie tak odrażające sceny mogły być przecież codziennością.

– Walczyli ze sobą.

– Ten drugi facet wyglądał, jakby już go wcześniej ostro poturbowano. Nikt nie nazwałby tego czystą walką. Cafferty tak go tłukł, że tamten przestał się bronić. Złapał go za głowę i wcisnął ją w błoto. Stał na plecach tego mężczyzny, łapiąc równowagę, i cały czas trzymał jego głowę w błocie. Wyglądał, jakby nie było to dla niego nic nowego. I wtedy ten drugi przestał się ruszać... – Rebus i Kintoul milczeli, krew buzowała w ich żyłach, obydwaj próbowali ogarnąć ten obraz chlewni... – A potem – zaczął znowu Kintoul; jego głos był jeszcze bardziej przytłumiony – uśmiechnął się do nas, jakby był na swojej koronacji.

W całkowitej ciszy się skrzywił, potem zaczął łkać.

**REBUS TAK CZĘSTO ODWIEDZAŁ SZPITAL**, że zaczął się zastanawiać nad wykupieniem abonamentu na wizyty. Ale po raz pierwszy natknął się tam na inspektora Flowera.

– Masz skierowanie? Oddział psychiatryczny jest na końcu korytarza.

– Ha, ha – odparł Flower.

– A co tu robisz?

– Mógłbym ci zadać to samo pytanie.

– Ja tu mieszkam, a ty?

– Wpadłem zadać kilka pytań.

– Andrew McPhailowi?

Flower potwierdził skinieniem głowy.

– Czy nikt ci nie powiedział, że jego szczeka jest cała odrutowana? – spytał Rebus.

Flower się skrzywił, co sprawiło, że Rebus szeroko się uśmiechnął.

– A od kiedy jest to w ogóle twoja sprawa?

– Przecież dotyczy Cafferty'ego – odpowiedział Flower.

– No tak. Zapomniałem.

– Wygląda na to, że tym razem go przyskrzyniliśmy.

– Tak wygląda. Ale z Caffertym nigdy nic nie wiadomo. – Rebus nawet nie mrugnął, patrząc na Flowera. – Tak długo nie mogliśmy go dopaść, bo



jest bardzo cwany. Jest inteligentny i ma doskonałych adwokatów. No i ludzie się go boją, bo ma ich w kieszeni... a może też jakiegoś gliniarza albo nawet kilku.

Flower wytrzymał to spojrzenie; dopiero po chwili mrugnął.

– Uważasz, że Cafferty mnie opłacał?

Rebus zastanawiał się nad odpowiedzią. To Cafferty zorganizował napaść na Michaela i wywołał skandal z pistoletem. A jeśli chodzi o próbę przejechania go samochodem, byłoby to dla niego zbyt amatorskie zagranie; o to podejrzewał Brodericka Gibsona. To proste – Cafferty użyłby profesjonalistów.

Już dosyć tego milczenia; pokręcił głową.

– Nie sądzę, że jesteś na to wystarczająco bystry. Cafferty lubi bystrzaków. Ale za to jestem pewien, że ty doniosłeś na mnie do urzędu skarbowego.

– Nie wiem, o czym mówisz.

Rebus skrzywił usta w złośliwym uśmiechu.

– Podoba mi się ten tekst. – Odszedł w głąb korytarza.

Łatwo było odnaleźć Andrew McPhaila. Wystarczyło poszukać połamanej twarzy. Był tak pookręcany drutem, że wyglądał jak rozdzielnia elektryczna po wizycie kogoś, kto po raz pierwszy się do niej dorwał. Rebusowi wydawało się, że zużyłby połowę tego drutu na ustawienie szczęki. A przecież nie był chirurgiem. McPhail leżał z przymkniętymi powiekami.

– Jak leci? – rzucił Rebus. McPhail uchylił powieki. W jego oczach była złość, ale Rebus nie przejął się tym tak bardzo. Wyciągnął rękę. – A, nie. Wcale nie musisz mi dziękować. – Uśmiechnął się. – Wszystko jest już dla ciebie przygotowane, jak tylko cię stąd wypuszczą. Na północ na rehabilitację, może nawet dostaniesz tam pracę. No i te wspaniałe spacery brzegiem morza. Człowieku, jak ja ci zazdroszczę. – Rozejrzył się po sali. W każdym łóżku ktoś leżał. Pielęgniarki wyglądały, jakby powinny pojechać wreszcie na zasłużony urlop albo przynajmniej uraczyć się ginem z sokiem z limonki i garścią orzeszków ziemnych. – Obiecałem, że dam ci spokój – ciągnął Rebus – i dotrzymam słowa. Ale najpierw mała

rada na przyszłość. – Oparł ręce na brzegu łóżka i pochylił się nad McPhailem. – Cafferty jest najgorszym zbirem w okolicy. Ty jesteś jedynym w mieście, który tego nie wiedział. Teraz jego ludzie wiedzą, że niejaki McPhail wrobił ich szefa. Więc nawet nie myśl o powrocie do Edynburga, jasne? – McPhail wpatrywał się w niego intensywnie. – To dobrze – powiedział Rebus. Wyprostował się, odwrócił, odszedł parę kroków, zatrzymał się i znów się odwrócił. – I jeszcze jedno miałem ci powiedzieć. – Wrócił do łóżka i stanął u jego nóg przy tabliczce z notatkami przedstawiającymi wykresy temperatury i spis leków przyjmowanych przez pacjenta. Począł, aż mokre od łez oczy McPhaila zrównają się z jego wzrokiem, i uśmiechnął się współczująco. – Przepraszam. – powiedział, po czym wyszedł.

**ANDY STEELE BYŁ NIEZBĘDNYM** pośrednikiem. Samodzielne rozpowszechnianie wymyślonej historyjki byłoby dla Rebusa zbyt niebezpieczne. Cafferty mógłby dowiedzieć się, kto ją głosił, a to zepsułoby cały plan. McPhail nie był niezbędnym, ale okazał się przydatny. Rebus dwukrotnie wyjaśnił Andy'emu Steele'owi, na czym polega podstęp, ale nawet wtedy młody rybak nie wszystko zrozumiał. I wielce się zatroskał swoim brakiem bystrości.

– No i co teraz masz zamiar robić? – zapytał go Rebus, mając nadzieję, że chłopak wybiera się jednak z powrotem do rodzinnego miasta.

– Występuję o grant – odpowiedział Steele.

– O stypendium na uniwersytet?

Steele ryknął śmiechem.

– W życiu! To taki program grantów dla bezrobotnych, którzy chcą się usamodzielnic i założyć biznes.

– Ach, tak?

Steele skinął głową.

– I ja spełniam warunki.

– A jaki biznes chcesz otworzyć?

– Agencję detektywistyczną oczywiście!

- A w jakim mieście?

- W Edynburgu. Odkąd tu przyjechałem, zarobiłem więcej pieniędzy niż przez pół roku w Aberdeen.

- Chyba żartujesz - skomentował Rebus.

Andy Steele wcale nie żartował.

## Rozdział 36

**REBUSOWI NIE BYŁO SPIESZNO** do odbycia ostatniego z zaplanowanych spotkań. Szedł z komendy policji przy St Leonard's do biblioteki uniwersyteckiej przy George Square. Znudzony ochroniarz przy drzwiach niedbale rzucił okiem na jego legitymację i kiwnął, że może wejść do recepcji, gdzie Nell Stapleton, wysoka kobieta o szerokich plecach, przyjmowała książki od studentki ubranej w wełniane poncho. Zauważyła go kątem oka i bardzo się zdziwiła. Początkowo wydawało mu się, że jest zadowolona ze spotkania, ale kiedy obserwował ją, jak przegląda zwrócone książki, spostrzegł, że jej myśli krążą gdzieś indziej. W końcu podeszła do niego.

– Cześć, John.

– Cześć, Nell.

– Co cię tu przyniosło?

– Możemy pogadać?

Poprosiła drugiego asystenta, by zastąpił ją na pięć minut. Poszli na koniec korytarza, którego obie ściany były zastawione regałami z książkami.

– Brian wspomniał, że zamknęliście tę sprawę, którą się tak bardzo przejmował.

Rebus skinął głową.

– To dobre wieści – rzuciła. – Dzięki za twoją pomoc.

Wzruszył ramionami.

Nell przechyliła głowę i zapytała:

– Masz jakiś problem?

– Nie jestem pewien – odparł Rebus. – Może ty mi powiesz?

– Ja?

Znowu skinął głową.

– Nie rozumiem.

– To ty mieszkłaś z policjantem, Nell. Dobrze wiesz, że nasza praca w dużej mierze polega na szukaniu motywów. Nieraz tylko to właśnie nam zostaje. Ostatnio wiele myślałem o tych motywach w naszym życiu. – Rebus przestał na chwilę mówić, gdy z bocznych drzwi wyszła studentka, uśmiechnęła się do Nell i poszła dalej. Wyczuł, że Nell przynajmniej na kilka minut chciałaby się zamienić z nią na ciała.

– Motywy? – zapytała.

Opierała się o ścianę w swobodnej pozie, ale było oczywiste, że nie podchodzi z dystansem do sprawy.

– Pamiętasz – ciągnął swój wywód – tę noc w szpitalu, kiedy napadnięto na Briana? Wspomniałaś coś o jakiejś awanturze, po której wyszedł do Heartbreak Cafe.

Skinęła głową.

– To prawda. Spotkaliśmy się tego wieczoru, by porozmawiać przy drinku, lecz skończyło się na ostrej wymianie zdań. Ale nie widzę...

– Ja widzę motyw napaści na niego. Na początku było ich zbyt wiele, więc skupiłem się na tych najbardziej prawdopodobnych. I wreszcie pozostały mi tylko te motywy, które łączyły się z tobą, Nell.

– Co?

– Powiedziałas mi, że boisz się o niego, ponieważ on się czegoś obawia. A on się bał, bo zaczął dotykać spraw związanych z Dużym Gerem Caffertym. Czy nie byłoby lepiej, gdyby w całej sprawie był jeszcze ktoś inny, kto mógłby ściągnąć na siebie cały ogień? Innymi słowy, chodziło o mnie. Więc mnie w to włączyłaś.

– Czekaj chwilę...

Rebus podniósł rękę i przymknął oczy.

– Była jeszcze detektyw posterunkowa Clarke. Tak dobrze im się współpracowało. Może chodziło też o zazdrość? A to zawsze dobry motyw.

– Nie mogę uwierzyć w to, co mówisz.

Rebus zignorował jej zaprzeczenia.

– I oczywiście najprostszy z motywów. Dyskutowaliście namiętnie, czy mieć, czy nie mieć dzieci. To oraz fakt, że Brian był stale zapracowany i nie poświęcał ci wystarczająco dużo czasu.

– To też ci powiedział?

Rebus odrzekł uprzejmie:

– Ty sama opowiedziałaś mi o tych scysjach tego wieczoru. Wiedziałaś, dokąd wychodzi. Tam gdzie zawsze. A może by tak zacaić się koło jego samochodu i walnąć go porządnie w łeb, gdy wyjdzie z knajpy? Prosta zemsta. Ile to motywów już się nazbierało? Bo ja straciłem rachubę. Wystarczająco, by zadziałać.

– To nie tak. – Łzy wypełniły jej oczy i za każdym razem, gdy mrugała, było ich coraz więcej. Przesunęła kciukiem i palcem wskazującym po nosie, wciągając powietrze i oczyszczając go z łez. Oddychała głośno. – Co teraz będzie? – zapytała w końcu.

– Teraz pożyczę ci chusteczkę do nosa.

– Nie chcę twojej pieprzonej chusteczki!

Rebus położył palec na usta.

– Jesteśmy w bibliotece, zapomniałaś? – Pociągnęła nosem i otarła łzy. Milczała. – Nell. Nie musisz nic mówić. Nie chcę już nic wiedzieć. Chcę tylko, byś wiedziała, że wiem. W porządku?

– Ty zawsze musisz być taki cholernie bystry.

Wzruszył ramionami.

– Oferta pożyczania chusteczki jest nadal aktualna.

– Wypchaj się nią.

– Czy naprawdę chcesz, żeby Brian oszedł z policji?

Nie usłyszał odpowiedzi, bo Nell ruszyła przed siebie, trzymając wysoko głowę i nazbyt ostentacyjnie kołysząc plecami. Obserwował, jak dotarła do swojego biurka, a jej koleżanka zauważyła, że coś z nią jest nie tak, i otoczyła ją ramieniem. Rebus spojrział na półki z książkami, ale nie znalazł na nich nic ciekawego, co mogłoby powstrzymać jego decyzję o wyjściu z tego przybytku.

Siedział na ławce w parku The Meadows, za plecami mając bibliotekę. Trzymał ręce w kieszeniach, obserwując, jak zaczyna się naprędce zorganizowany mecz w piłkę. Ośmiu na siedmiu facetów. Podeszli do niego i spytali, czy miałby ochotę wyrównać szanse jednej z drużyn.

– Ja i gra w piłkę to porażające zestawienie – odpowiedział z uśmiechem.

Bramki wyznaczały: jeden pomarańczowo-biały pacholek uliczny, sterta kurtek, sterta książek i notatników oraz gałąź wbita w ziemię. Rebus często spoglądał na zegarek, częściej, niż było to potrzebne. Piłkarze nie liczyli czasu, nie przejmowali się, jak długo trwa pierwsza połowa. Dwaj gracze wyglądali jak bracia, choć byli w przeciwnych drużynach. Mickey wyniósł się dziś rano, zabierając ze sobą fotografię ojca i wuja Jimmy'ego.

– Żeby mi coś przypominała – oświadczył.

Na ławce obok Rebusa usiadła kobieta w długim płaszczu w szkocką kratę.

– Dobrze grają? – zapytała.

– Drużyna Hibsów dzięki nim wreszcie uczciwie zarobiłaby swoje pieniądze.

– Czyli są dobrzy czy kiepscy?

Rebus odwrócił się do doktor Patience Aitken i uśmiechnął się, ujmując jej dłoń.

– Co tak długo cię zatrzymało? – zapytał.

– To samo co zawsze – odparła. – Praca.

– Dzwoniłem od czasu do czasu.

– Więc przynajmniej teraz powiedz mi coś, co mnie uspokoi – poprosiła.

– Co?

Przysunęła się do niego.

– Powiedz mi, że nie jestem tylko jakimś numerem w twojej czarnej księdze...

# Podziękowania

Autor pragnie podziękować Fundacji Chandler-Fulbright za pomoc okazaną przy pisaniu tej książki.